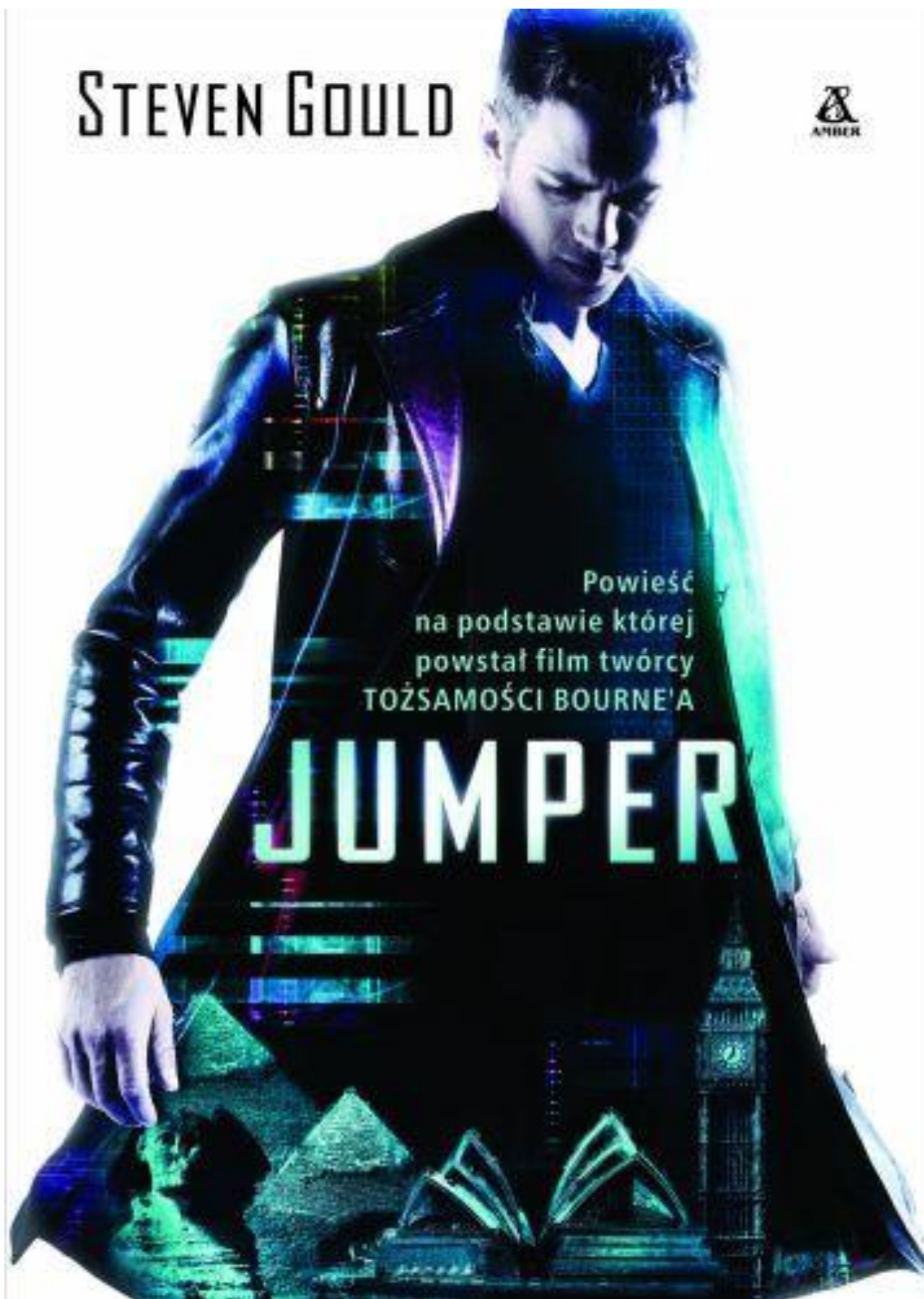


STEVEN GOULD



Powieść  
na podstawie której  
powstał film twórcy  
TOŻSAMOŚCI BOURNE'A

# JUMPER



# **Gould Steven**

## **Jumper**

**W świecie opanowanym przez przemoc stare metody walki nie wystarczą. Powstrzymać falę terroru może tylko organizacja stojąca poza prawem. Taka jak Campus. Powołując do życia tę supertajną agencję, prezydent Ryan nie przeczuwał jednak, że w jej szeregach znajdzie się pewnego dnia jego syn. I że będzie musiał wykonać misję, jakiej nie przewidziano w najlepszym szkoleniu antyterrorystycznym.**

Dla Jamesa Goulda, żołnierza, rzemieślnika, żeglarza, ojca i Laury J. Mixon, inżyniera,  
nauczycielki, pisarki, żony

## Część I

### Rozdział 1

Czytałem, kiedy mój stary wrócił do domu. Na dźwięk jego głosu wzdrygnąłem się.

- Davy!

Odłożyłem książkę i usiadłem na łóżku.

- Jestem tutaj, tato. W swoim pokoju.

Jego kroki na dębowej podłodze w holu stawały się coraz głośniejsze. Wtuliłem głowę w ramiona. Stanął w drzwiach, wściekły.

- Zdaje się, że kazałem ci dziś skosić trawnik! - Wszedł do pokoju. Górował nade mną jak wieża. - I co? Odpowiadaj, jak cię pytam!

- Zaraz to zrobię, tato. Właśnie kończyłem książkę.

- Przyszedłeś ze szkoły ponad dwie godziny temu! Mam już powyżej uszu twojego nieróbstwa! - Pochylił się. Od zapachu whisky w jego oddechu załzawiły mi oczy. Cofnąłem się. Złapał mnie za kark jak w imadło i mocno potrząsnął. - Jesteś skończonym leniem! Nauczę cię pracowitości, choćbym nawet miał cię zabić!

Postawił mnie na nogi i, jedną ręką wciąż trzymając za kark, drugą odpiął ozdobną klamrę ciężkiego kowbojskiego pasa.

- Tato, nie. Zaraz skoszę trawnik. Słowo honoru!

- Zamknij się - warknął i pchnął mnie na ścianę. Ledwo zdążyłem unieść ramiona, żeby w nianie wałnąć. Zmienił ręce. Lewą przycisnął mnie do ściany, prawą wyciągnął pas ze szlufek spodni. Obróciłem głowę, żeby nie zmiażdżyć sobie nosa. Zobaczyłem, że stary trzyma pas inaczej niż zwykle. Ciężka srebrna klamra zwisała na końcu, daleko od jego dłoni.

- Tylko nie klamrą, tato! - krzyknąłem. - Obiecałeś! Przycisnął mi twarz mocniej do ściany.

Początki

- Zamknij się! Ostatnim razem ledwo cię tknąłem! - Odsunął się na odległość wyciągniętej ręki, zamachnął i wyrzucił ramię do przodu. Klamra poszybowała w powietrzu. Odruchowo uchyliłem się przed ciosem i...

Opierałem się o półki z książkami i choć nie czułem na karku miażdżącego uścisku starego, moje ciało wciąż było przygotowane na uderzenie. Rozejrzałem się, ciężko dysząc, serce waliło mi jak oszalałe. Ani śladu starego.

Byłem w dziale beletrystyki biblioteki publicznej w Stanville. Odetchnąłem z ulgą. Znałem bibliotekę jak własny pokój, ale wątpiłem, żeby mój ojciec kiedykolwiek wszedł do tego budynku. To był pierwszy raz.

Drugi raz był taki.

Na nowym parkingu dla ciężarówek, który wyglądał w nocy jak jasno oświetlona betonowa wyspa, panował ruch. Wszedłem szklanymi drzwiami do restauracji i usiadłem przy kontuarze blisko wydzielonej części z tabliczką „Tylko dla kierowców”. Zegar na ścianie wskazywał dwudziestą trzecią trzydzieści. Położyłem zwinięty tobołek z rzeczami na podłodze pod swoimi nogami i starałem się wyglądać na dorosłego.

Kelnerka w średnim wieku miała sceptyczną minę, ale położyła przede mną menu i postawiła szklankę wody.

- Kawy? - zapytała.

- Poproszę gorącą herbatę. Uśmiechnęła się mechanicznie i odeszła.

Część dla kierowców była tylko w połowie zajęta, w powietrzu unosiła się gęsta mgła papierosowego dymu. Żaden z gości nie wyglądał na takiego, który podałby mi rękę, a tym bardziej podwiózł mnie kawałek.

Wróciła kelnerka z filiżanką torebką herbaty ekspresowej i jednym z tych małych metalowych dzbanków z niezbyt gorącą wodą.

- Co jeszcze podać?

- Na razie nic.

Patrzyła na mnie przez chwilę, potem wypisała rachunek i położyła na kontuarze.

- Dasz to kasjerce. Jak będziesz chciał coś jeszcze, zwołaj mnie. Nie pomyślałem, żeby przy nalewaniu wody otworzyć pokrywkę, więc jedna trzecia chlusnęła na kontuar. Wytarłem go serwetką i starałem się nie rozpląkać.

- Długo w drodze, młody?

Podniosłem gwałtownie głowę. Patrzył na mnie mężczyzna siedzący na ostatnim miejscu w części dla kierowców. Był wielki, wysoki i gruby.

Rozpięta pod szyją koszula odsłaniała wole. Uśmiechał się. Miał nierówne, przebarwione zęby.

- O co panu chodzi? Wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa. Nie wyglądasz na takiego, co od dawna ucieka. Mówił cieńszym głosem, niż można by się spodziewać przy jego wymiarach, ale uprzejmie.

Spojrzałem na drzwi.

- Jakież dwa tygodnie. Skinął głową.

- Kiepsko. Uciekłeś od starych?

- Od ojca. Matka dawno się wyniosła.

Przesunął swoją łyżeczkę po kontuarze. Miał brud za długimi paznokciami.

- Ile masz lat, młody?

- Siedemnaście. Przyjrzał mi się i uniósł brwi. Wzruszyłem ramionami.

- Nie obchodzi mnie, co pan myśli. Mówię prawdę. Wczoraj skończyłem siedemnasty rok mojego nędznego życia. - Łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugalem, żeby je powstrzymać.

- Co robisz, odkąd uciekłeś z domu?

Herbata naciągnęła. Wyjąłem torebkę i wsypałem cukier do filiżanki.

- Podróżuję stopem, trochę zebrzę, pracuję dorywczo. Przez ostatnie dwa dni zbierałem jabłka.

Dwadzieścia pięć centów za buszel i wszystko, co mogę zjeść. Dostałem też trochę ubrań.

- Nie masz już swoich? Wypiłem połowę herbaty.

- Wziąłem tylko to, co miałem na sobie.

To, w czym wyszedłem z biblioteki publicznej w Stanville.

- Aha. Nazywam się Topper Robbins. A ty? Popatrzyłem na niego.

- Davy - powiedziałem w końcu.

- Davy...?

- Po prostu Davy. Znów się uśmiechnął.

- Rozumiem. Nie musisz mówić. - Sięgnął po łyżeczkę i zamieszał kawę. - No dobra, Davy. Jestem kierowcą tamtej cysterny PetroChem. Za jakieś trzy kwadransy odjeżdżam na zachód. Jeśli ci po drodze, chętnie cię zabiorę. Ale przedtem pewnie byś coś zjadł. Postawię ci.

Znów poczułem w oczach łzy. Byłem przygotowany na okrucieństwo, nie na dobroć. Zamrugałem mocno.

- Okej. Byłbym wdzięczny za jedzenie i transport.

Godzinę później jechałem na zachód w kabinie cysterny Toppera. Ciepło i pełny żołądek usypiały mnie. Nie chciało mi się rozmawiać. Topper próbował mnie zagadywać, ale w końcu przestał.

Obserwowałem go spod przymkniętych powiek. Patrzył na mnie, ilekroć reflektory samochodów nadjeżdżających z przeciwka oświetlały wnętrze kabiny. Powinienem być mu wdzięczny, ale przyprawiał mnie o gęsią skórę.

Po jakimś czasie zasnąłem. Obudziłem się nagle, nie bardzo wiedząc, gdzie jestem. Czułem w mózgu drzenie, reakcję na ledwo pamiętany zły sen. Zmrużyłem oczy. Powróciły moja tożsamość i związane z nią wspomnienia.

Topper rozmawiał przez CB-radio.

- Spotkamy się za sklepem Sama - mówił. - Za piętnaście minut.

- Przyjąłem. Jesteśmy w drodze. Topper się pożegnał. Ziewnąłem i usiadłem prosto.

- Jezu. Długo spałem?

- Jakąs godzinę, Davy. - Uśmiechnął się, wyłączył CB i złapał w radiu stację nadającą muzykę country.

Nie cierpię country.

Dziesięć minut później skręcił w wiejską drogę na odludziu.

- Możesz mnie tu wysadzić, Topper.

- Jadę dalej, młody, ale najpierw muszę się spotkać z jednym facetem. Chcesz łapać okazję po ciemku? Nikt się nie zatrzyma. Poza tym zanosi się na deszcz.

Miał rację. Księżyc zniknął za grubą warstwą chmur, wiatr smagał drzewa wokół.

- Okej.

Jechał przez jakiś czas podrzędną jednopasmówką, w końcu skręcił przy wiejskim sklepie z dwoma dystrybutorami paliwa od frontu. W budynku było ciemno, ale na żwirowym parkingu z tyłu stały dwa pikapy. Topper zatrzymał się obok nich.

- Chodź, młody. Chcę, żebyś poznał pewnych facetów. Nie ruszyłem się.

- Zaczekam tu na ciebie.

- Przykro mi - odparł. - Firma zabrania zabierać pasażerów, ale naprawdę dostanę po tyłku, jak cię tu zostawię i coś ci się stanie. Bądź kumplem.

Skinąłem wolno głową.

- Jasne. Nie chcę sprawiać kłopotu. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Żaden kłopot. Przeszedł mnie dreszcz.

Żeby zejść na dół, musiałem się odwrócić twarzą do kabiny i poszukać nogą stopnia. Czyjaś ręka naprowadziła moją stopę. Zamarłem. Potem spojrzałem w dół. Po mojej stronie cysterny stali trzej mężczyźni. Usłyszałem chrzęst żwiru, kiedy Topper okrążał przód samochodu. Spojrzałem na niego. Odpiął dzinsy i rozsuwał suwak.

Próbowałem wdrapać się z powrotem do kabiny, ale silne ręce chwyciły mnie za kostki i ciągnęły w dół. Złapałem się oburącz chromowanego uchwyty przy drzwiach i trzymałem z całej siły, wierząc nogami, żeby się uwolnić. Dostałem silny cios w żołądek. Puściłem uchwyt i zwróciłem kolację.

- Jezu Chryste! Całego mnie obrzygał! - wrzasnął któryś z nich i wymierzył mi kopniaka, kiedy upadłem.

Chwycili mnie za ramiona, zanieśli do pikapa z otwartą tylną klapą i rzucili na skrzynię ładunkową. Poczulem smak krwi w ustach. Jeden z nich wskoczył na skrzynię. Usiadł mi okrakiem na plecach i chwycił boleśnie za włosy. Po chwili poczułem, że drugi odpina mi pasek, a potem ściąga spodnie i slipy.

- Szkoda, że nie przywiozłeś dziewczyny - powiedział.

- Kto ma wazelinę? - zapytał ten drugi.

- Cholera. Jest w ciężarówce.

- Dobra... jakoś sobie poradzimy.

Sięgnął mi między nogi i złapał za genitalia. Potem rozchylił mi pośladki i splunął. Jego ciepła ślina opryskała mi tyłek i...

Rzuciłem się naprzód. Nacisk na moje ramiona i włosy ustąpił. Wpadłem na coś głową i zadałem cios. Trafiłem dłonią w coś miękkiego, co się ugięło. Odwróciłem się, chwyciłem opuszczone do kolan spodnie i podciągnąłem je do góry. Łapałem gwałtownie powietrze, serce mi waliło, cały się trząsałem.

Otoczała mnie ciemność, ale nie wiał wiatr i byłem sam. Już nie na dworze. Księżycowa poświata wpadająca przez okno oświetlała półki z książkami. W ustach znów poczułem smak krwi. Ostrożnie dotknąłem rozciętej górnej wargi, a potem podszedłem do plamy światła i się rozejrzałem.

Zdjąłem z półki książkę i otworzyłem. Pieczętka na wewnętrznej stronie okładki potwierdziła to, co już wiedziałem: wróciłem do działu beletrystyki biblioteki publicznej w Stanville. Byłem pewien, że zwariowałem.

To był drugi raz.

Kiedy pierwszy raz skończyłem w bibliotece, nie krwawiłem, miałem na sobie czyste ubranie i po



prostu wyszedłem... z tego budynku, z tego miasta, z tego życia.

Pomyślałem, że zaciągnąłem zasłonę. Cokolwiek zrobił mi mój ojciec, było tak straszne, że po prostu nie chciałem tego pamiętać i doszedłem do siebie dopiero w bezpiecznej bibliotece.

Myśl o zaciągnięciu zasłony przerażała mnie, ale nie była mi obca. Stary w kółko zaciągał zasłony, a ja przeczytałem dość książek, by wiedzieć, co to jest amnezja spowodowana urazem.

Byłem jednak zaskoczony, że tym razem biblioteka jest ciemna i zamknięta. Spojrzałem na ścienny zegar. Wskazywał drugą, godzinę i pięć minut później niż cyfrowy wyświetlacz w kabinie cysterny Toppera. Boże! Wzdrygnąłem się i sięgnąłem do zapięcia spodni. Suwak był zesputy, ale zatrzask działał. Zapiąłem pasek jedną dziurkę ciaśniej i wyjąłem koszulę na wierzch, żeby zasłaniała rozprek. W ustach czułem smak krwi i wymiocin.

Bibliotekę oświetlały z zewnątrz biała księżycowa poświata i żółty blask ulicznych lamp rtęciowych. Ruszyłem wzdłuż regałów z książkami do kraniku z pitną wodą. Płukałem usta, dopóki nie pozbyłem się nieprzyjemnego smaku i warga nie przestała krwawić.

Przez dwa tygodnie oddaliłem się od ojca o tysiąc pięćset kilometrów. A teraz w ciągu jednego uderzenia serca znalazłem się piętnaście minut drogi od domu. Opadłem ciężko na twarde drewniane krzesło i ująłem głowę w dłoń.

Dzieje się coś, czego nie ogarniam. Coś dziwnego. Coś...

Jestem taki zmęczony. Muszę odpocząć. Pomyślałem o tych krótkich chwilach snu w ciągu ostatnich dwóch tygodni, o żalonych drzemkach na parkingowych ławkach, w czyichś samochodach czy pod krzakami, jak jakieś zwierzę. Pomyślałem o domu oddalonym o piętnaście minut drogi, o mojej sypialni, moim łóżku.

Ogarnęła mnie fala tęsknoty. Wstałem i ruszyłem przed siebie, marząc tylko o tym łóżku.

Doszedłem do wyjścia awaryjnego z tablicą ostrzegającą, że po otwarciu drzwi włączy się alarm.

Pomyślałem, że zanim ktoś zareaguje na jego dźwięk, będę już daleko.

Drzwi były zaryglowane. Napałem na nie i uderzyłem bardzo mocno otwartą dłoń. Cofnąłem się ze łzami w oczach, żeby znów uderzyć, ale drzwi zniknęły. Poleciałem do przodu, wymachując rękami, straciłem równowagę i wylądowałem w łóżku.

W moim łóżku. Najpierw myślałem, że poznałem to po zapachu pokoju, ale na nocnym stoliku stał budzik z podświetloną tarczą, który mama

przysłała rok po odejściu, a blask z tylnego ganku sączył się przez okno pod właściwym kątem.

Odprężyłem się. Zamknąłem oczy i poczułem, jak ogarnia mnie niemal namacalna fala zmęczenia.

Nagle usłyszałem hałas. Zerwałem się i zeszywniałem na czworakach na narzucie. Dźwięk się powtórzył. Stary... chrapał.

Dziwne, ale ten odgłos bardzo mnie uspokajał. Kojarzył się z domem, rodziną. Oznaczał też, że sukinsyn śpi.

Zdjąłem buty i cicho przeszedłem przez hol. Drzwi były uchylone, paliło się górne światło. Stary leżał rozciągnięty ukośnie na zaścielonym łóżku, bez butów, w jednej skarpetce i rozpiętej koszuli. W zagięciu ramienia trzymał pustą butelkę po szkockiej. Westchnąłem.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Złapałem butelkę za szyjkę, delikatnie wyciągnąłem spomiędzy jego ramienia i boku i postawiłem na nocnym stoliku. Stary chrapał dalej, pogrążony w pijackim śnie. Zdjąłem mu spodnie, pociągając na przemian za nogawki. Z tylnej kieszeni wypadł portfel. Powiesiłem spodnie na oparciu krzesła, potem przejrzałem portfel.

Znalazłem osiemdziesiąt dolców i kartę kredytową. Wyjąłem trzy dwudziestki i już miałem odłożyć portfel na komodę, gdy poczułem, że jest sztywniejszy, niż powinien być, i grubszy. Obejrzałem go dokładniej. Znalazłem ukrytą przegródkę zasłoniętą klapką z fałszywym szwem. Otworzyłem ją i omal nie upuściłem portfela. Była pełna studolarowych banknotów.

Zgasilem światło i zabrałem portfel do mojego pokoju. Rozłożyłem nowiutkie setki na łóżku.

Naliczyłem dwadzieścia dwie.

Patrzyłem wytrzeszczonymi oczami na pieniądze. Piekły mnie uszy i nagle rozboleł żołądek.

Wróciłem do sypialni starego i przyglądałem mu się przez chwilę.

To ten człowiek zabierał mnie do sklepów z używaną odzieżą, żeby kupić mi ubrania. To ten człowiek kazał mi brać do szkoły masło orzechowe i galaretkę, żałując mi nędznych dziewięćdziesięciu centów na lunch. To ten człowiek zbił mnie, kiedy chciałem dostawać kieszonkowe za prace na naszej posesji.

Chwyciłem pustą butelkę po szkockiej. Była zimna, gładka i idealnie pasowała do moich małych rąk. Nie wysliznęła mi się z dłoni ani nie przesunęła, kiedy zamachnąłem się na próbę. Spód był z grubego szkła, jakby producent chciał wywołać wrażenie, że jest większa. Wyglądała na bardzo mocną.

Stary chrapał z otwartymi ustami i zwioteczalymi mięśniami twarzy. Wysokie czoło pokryte zmarszczkami przypominało skorupkę jajka. Dotknąłem lewą ręką dna butelki. Wydawało się aż nadto ciężkie.

Niech to szlag.

Odstawiłem butelkę na stolik i wróciłem do mojego pokoju.

Wziąłem bloczek do notatek, przyciąłem kartki do wielkości banknotów i złożyłem ich tyle, żeby pakiet był w dotyku gruby jak plik setek. Wetknąłem kartki do portfela i wsunąłem go z powrotem do kieszeni spodni ojca.

Potem poszedłem do garażu i wziąłem starą skórzaną walizkę, którą dał mi dziadek, kiedy przeszedł na emeryturę. Zapakowałem do niej trochę ubrań, przybory toaletowe i oprawiony w skórę zbiór powieści Marka Twai-na, który zostawiła mi mama.

Zamknąłem walizkę, zdjąłem brudne ubranie i włożyłem garnitur, a potem rozejrzałem się dookoła, kołysząc na stopach. Gdybym zaraz się nie ruszył, upadłbym.

Było jeszcze coś, z czego mogłem skorzystać...

Pomyślałem o kuchni na końcu korytarza, oddalonej o zaledwie dziesięć metrów. Przed odejściem mamy uwielbiałem tam siedzieć, kiedy gotowała. Rozmawiałem z nią i opowiadałem głupie dowcipy. Zamknąłem oczy i spróbowałem to sobie wyobrazić.

Atmosfera wokół mnie się zmieniła. Stałem w cichym domu, ale odgłos mojego oddechu odbijający się od ścian brzmiał inaczej w każdym pokoju.

Byłem w kuchni.

Skinąłem wolno głową. Pod powierzchnią kipiała histeria, rosnący bąbel, który groził eksplozją.

Zepchnąłem go w dół i zajrzałem do lodówki.

Trzy sześciopak schlitza, dwa kartony papierosów, pół pizzy w tekturowym pudełku od dostawcy.

Zamknąłem lodówkę i pomyślałem o moim pokoju. Próbowałem wyobrazić sobie przestrzeń między biurkiem a oknem.

Znalazłem się tam. Pokój wirował. Mój wzrok i być może ucho wewnętrzne nie były przygotowane do zmiany. Położyłem rękę na ścianie i pokój przestał się obracać.

Podniosłem walizkę i zamknąłem oczy. Otworzyłem je w bibliotece. Cienie przeplatały się ze srebrzystymi plamami światła. Podeszedłem do drzwi frontowych i wyjrzałem na zewnątrz.

Ostatniego lata często przychodziłem do biblioteki. Wypożyczałem książkę lub dwie i wychodziłem na dwór, na trawnik pod wierzami. Wiatr przewracał kartki, targał mi włosy, szarpał ubranie.

Zagłębiałem się w treść i znajdowałem szczeliny między zdaniem. Słowa ulatywały i zostawałem w powieści, w akcji, w głowach innych ludzi. Dwa razy bawiłem tam za długo i wróciłem do domu po starym. Tylko dwa razy, ale dla niego to było aż nadto.

Zamknąłem oczy. Wiatr rozwiał mi włosy i zatrzepotał moim krawatem. Walizka była ciężka; musiałem kilka razy zmieniać rękę, kiedy szedłem na dworzec autobusowy oddalony o dwie przecznice.

O piątej trzydzieści odjeżdżał autobus na wschód. Kupiłem bilet do Nowego Jorku za sto dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt trzy centy. Kasjer wziął dwie setki bez komentarza, wydał mi resztę i powiedział, że mam przed sobą trzy godziny czekania.

To były najdłuższe trzy godziny w moim życiu. Co piętnaście minut wstawałem, ciągnąłem walizkę do łazienki i ochlapywałem twarz wodą. Pod koniec oczekiwania meble pełzały po podłodze, a przy każdym ruchu krzaków na dworze za drzwiami widziałem ojca z pasem w ręce. Klamra miała krawędzie ostre jak brzytwa i wielkość samochodowego kołpaka.

Autobus spóźnił się pięć minut. Kierowca włożył moją walizkę do bagażnika i zaprosił mnie do środka.

Kiedy minęliśmy tablicę oznaczającą koniec miasta, zamknąłem oczy i wkrótce zasnąłem. Spałem sześć godzin.

## Rozdział 2

Kiedy miałem dwanaście lat, tuż przed odejściem mamy, wybraliśmy się na tydzień do Nowego Jorku. To była okropna, a zarazem cudowna podróż. Stary pojechał tam w interesach i cały pobyt spędził na spotkaniach i służbowych lunchach. My z mamą chodziliśmy do muzeów, byliśmy w Chinatown, Macy's i na Wall Street, i jeździliśmy metrem aż na Coney Island.

Wieczorami rodzice kłócili się przy kolacji, raz w teatrze i raz w pokoju hotelowym. Stary chciał uprawiać seks, a mama nie, bo firma ojca płaciła tylko za jeden pokój i ja spałem w kącie na rozkładanym łóżku. Trzy razy w ciągu tego tygodnia stary kazał mi się ubrać, zejść na dół do holu i zaczekać pół godziny, żeby mogli to zrobić. Choć za trzecim razem chyba tego nie robili, bo gdy wróciłem, mama płakała w łazience, a stary pił, czego zwykle przy niej unikał.

Następnego dnia mama miała siniaka na prawym policzku i dziwnie chodziła - nie utykała na żadną nogę, ale poruszała się tak, jakby bolały ją obie.

Kiedy dwa dni po powrocie z Nowego Jorku przyszedłem ze szkoły, już jej nie zastałem.

W każdym razie Nowy Jork bardzo mi się spodobał. Wydawał się dobrym miejscem na rozpoczęcie wszystkiego od nowa - dobrą kryjówką.

- Chciałbym pokój.

Nędzny hotel dla przyjezdnych w Brooklynie mieścił się dziesięć przecznic od najbliższej stacji metra. Polecił mi go pakistański taksówkarz, który wiozł mnie z dworca autobusowego. On też tam mieszkał.

Recepcjonista, starszy mężczyzna mniej więcej w wieku mojego dziadka, czytał przez połówki okularów powieść Lena Deightona. Opuścił książkę i pochylił się, żeby spojrzeć na mnie ponad szklami.

- Jesteś za młody - powiedział. - Założę się, że uciekłeś z domu. Położyłem na ladzie setkę, trzymając na niej rękę, jak Philip Marlowe. Roześmiał się i przykrył banknot dłonią. Cofnąłem rękę.

Przyjrzał się uważnie setce, potarł ją palcami i wręczył mi kartę meldunkową.

- Czterdzieści osiem za noc, pięć dolców depozytu za klucz, łazienka na końcu korytarza, płatne z góry.

Dałem mu pieniądze za tydzień. Obejrzał następne setki i podał mi klucz.

- Tylko żadnej dilerki - ostrzegł. - Nie obchodzi mnie, co będziesz robił poza hotelem, ale jak zobaczę coś, co mi będzie wyglądało na dilerkę, sam cię zakabluję.

Popatrzyłem na niego.

- Chodzi panu o dragi? - spytałem zdumiony.

- Nie, o cukierki - mruknął. - Dobra, może nie handlujesz. Ale jak zobaczę coś takiego, będzie po tobie.

Zaczerwieniłem się i poczułem, jakbym robił coś złego, choć tak nie było.

- Nie bawię się w to - wyjąkałem. Nie cierpiałem tak się czuć. Tylko wzruszył ramionami.

- Może nie. Po prostu cię ostrzegam. I nie przyprawdzaj tu nikogo na szybki numerek.

Wzdrygnąłem się na wspomnienie szorstkich rąk ściągających mi spodnie.

- W to też się nie bawię!

Poczułem ucisk w gardle i łzy napłynęły mi do oczu. Znow wzruszył ramionami.

Wniosłem walizkę na szóste piętro i usiadłem na wąskim łóżku w zapuszczonym pokoju. Tapeta odłaziła od ścian, śmierdziało papierosami, ale drzwi i framuga były stalowe, a zamek wyglądał na nowy.

Okno wychodziło na zaułek z poczerniałym od sadzy ceglanym murem oddalonym zaledwie o półtora metra. Gdy je otworzyłem, poczułem zapach

zgnilizny. Wychyliłem się i zobaczyłem w dole worki ze śmieciami. Połowa była rozerwana i odpadki wały się po ziemi. Spojrzałem w prawo i dostrzegłem wąski kawałek ulicy przed hotelem.

Pomyślałem o tym, co powiedział recepcjonista, i poczułem się mały, nieważny. Byłem szczęśliwy, że jestem w Nowym Jorku, a on mnie tak załatwił. Dlaczego ludzie muszą się tak zachowywać? Czy nigdy nic nie będzie jak należy?

- Nie obchodzi mnie, jaki jesteś zdolny, pracowity czy solidny. Nie masz matury ani świadectwa ukończenia zaocznej szkoły średniej, więc nie możemy cię zatrudnić. Następny!

- Jasne, że zatrudniamy dzieciaki ze szkoły średniej. Wyglądasz mi na bystrego. Podaj mi swój numer ubezpieczenia i załatwimy sprawę. Nie masz ubezpieczenia? Skąd ty jesteś, z Marsa?

Przyjdź z numerem ubezpieczenia, to cię przyjmę na próbę. Następny!

- To jest wniosek o przyznanie numeru ubezpieczenia społecznego. Wypełnij go i pokaż mi akt urodzenia. Nie masz aktu urodzenia? Musisz go przynieść. Nie robimy żadnych wyjątków.

Następny!

- Przykro mi, ale jeśli nie ukończyłeś osiemnastu lat, musisz mieć zgodę rodziców na zdawanie egzaminu zaocznej szkoły średniej. Przyjdź z matką lub ojcem i z aktem urodzenia albo nowojorskim prawem jazdy, to będziesz mógł zdawać.

W pewnym momencie musisz się poddać, przynajmniej chwilowo, i myślisz tylko o tym, żeby się wyłączyć. Wróciłem metrem do Brooklyn Heights i otepiałą ruszyłem w kierunku mojego hotelu. Było późne pochmurne popołudnie i obskurny wygląd szarej ulicy wydawał się odpowiedni do mojego nastroju.

Niech ich szlag! Dlaczego musieli mnie tak zdołować? Po każdej rozmowie kwalifikacyjnej czułem się coraz bardziej winny. I zawstydzony, choć nie wiedziałem, czym. Kopnąłem jakiś śmieć w rynsztoku i uderzyłem dużym palcem u nogi w krawężnik. Zamrugąłem gwałtownie. Niewyraźnie widziałem i oddychałem z trudem. Miałem ochotę po prostu wleźć do łóżka i schować się pod kołdrą.

Skręciłem w pjszożnicę prowadzącą do alei z moim hotelem. Uliczka była wąska i przez ro jeszcze ciemniejsza, stopy plastikowych worków ze śmieciami piętrzyły się przy gankach starych budynków z piaskowca. Nie

wiedziałem, dlaczego nazywają te domy brunatnymi kamienicami; większość była pomalowana na zielono, czerwono lub żółto. Przed jednym śmieci zajmowały tyle miejsca, że musiałem zejść na jezdnię, żeby je ominąć. Kiedy wróciłem na chodnik, z domu wyłonił się jakiś mężczyzna i podszedł do mnie.

- Masz może zbędny bilet na metro albo jakieś drobne?

Tego dnia widziałem wielu żebraków, głównie przy stacjach metra. Wkurzali mnie, ale wciąż dobrze pamiętałem, jak sam byłem głodny po ucieczce od starego. Prosiłem o pomoc, a ludzie mijali mnie, jakbym nie istniał. Po raz szósty tego dnia sięgnąłem do kieszeni.

- Jasne.

Gdy wyjmowałem rękę z kieszeni, usłyszałem za sobą jakiś hałas. Zacząłem się odwracać i w tym momencie moja głowa eksplodowała.

Czułem coś lepkiego między moim policzkiem a zimną, szorstką powierzchnią, na której leżałem. Bolało mnie prawe kolano i byłem w jakiejś dziwnej niewygodnej pozycji. Spróbowałem otworzyć oczy, ale lewe wydawało się sklezione na amen. Prawym zobaczyłem beton.

Chodnik.

Wspomnienie i ból powróciły jednocześnie. Jęknąłem.

Na chodniku rozległy się kroki. Pomyślałem, że to uliczni bandyci. Dźwignąłem się z trudem na czworaki. Głowa mi pękała, a kolano rozbolało jeszcze bardziej, kiedy je obciążylem. To lepkie na chodniku okazało się krwią.

Obróciłem się z trudem, oparłem plecy o jeden ze śmietników i podniosłem wzrok. Zobaczyłem kobietę z dwiema papierowymi torbami pełnymi zakupów. Właśnie ominęła wielką kupę śmieci i zwolniła na mój widok.

- O rany! Jesteś cały? Co ci się stało?

Zamrugąłem otwartym okiem i pomasażowałem obolałą potylicę.

- Chyba ktoś mnie uderzył. - Pomacałem przednią kieszeń, w której nosiłem pieniądze. - I okradł. Rozdzieliłem palcami powieki lewego oka. Były sklezione krwią. Znów dotknąłem ostrożnie potylicy i wyczułem wielki mokry guz. Miałem czerwone palce.

Super. Byłem w obcym mieście bez pieniędzy, bez pracy, bez rodziny i bez perspektyw. Ból z tyłu głowy nie mógł się równać z bolesnym uczuciem, że na to zasłużyłem.

Gdybym był lepszy jako dziecko, może mama by nie odeszła, a tata by tyle nie pił...

- Mieszkam dwa domy dalej - powiedziała kobieta. - Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Nie czekając na odpowiedź, odeszła z gazem łzawiącym w rękę, przyczepionym do łańcuszka jej klucza. Trzymała się daleko od budynków i patrzyła w mijane wejścia.

Sprytna. Dużo sprytniejsza ode mnie.

Dziewięćset jedenaście. To oznaczało policję. Byłem nieletnim uciekinierem z domu, nie miałem dowodu tożsamości i nie chciałem, żeby zawiadomiono moich rodziców.

Pomyślałem o moim hotelu oddalonym o trzy przecznice. Nie miałem siły wstać, a tym bardziej przejść tej odległości. Ale w pokoju o stalowych drzwiach z dobrym zamkiem byłbym bezpieczny. Zamknąłem oczy i skoczyłem.

Podłoga hotelowa była znacznie cieplejsza niż chodnik. Wstałem, podszedłem wolno do łóżka i położyłem się ostrożnie.

Na poduszce pojawiła się krew, ale nie obchodziło mnie to.

Okolo północy poszedłem do łazienki, jak mój stary po całonocnym picciu. Była pusta. Zamknąłem drzwi i puściłem wodę do wanny. Lała się, kiedy sikałem.

Spojrzałem w lustro. Wyglądałem jak postać z horroru. Włosy i górną lewą część twarzy pokrywała ciemna skorupa zakrzepłej krwi. Wzdrygnąłem się.

Nawet gdybym czuł się na siłach, żeby dojść do hotelu, na mój widok na każdym rogu ulicy wzywano by policję.

Wszedłem do wanny, przyjemnie zaskoczony, że woda jest gorąca. Przez ostatnie dni była co najwyżej letnia. Zanurzyłem tył głowy, trochę zaszczypało, namydliłem delikatnie włosy i umyłem twarz. Kiedy usiadłem, woda w wannie była brązowawoczerwona. Spłukałem pod kranem mydliny i resztki krwi z włosów. Wycierałem się, kiedy ktoś próbował wejść do łazienki.

- Już kończę - powiedziałem.

- Pospiesz się, człowieku! - zawołał facet po drugiej stronie drzwi. - Nie możesz okupować kibla całą noc.

Skończyłem wycierać włosy i sięgnąłem po slipy.

Rozległ się hałas, jakby ktoś uderzył w drzwi otwartą dłonią.

- Szybciej. Otwieraj te pieprzone drzwi!

- Ubieram się - rzuciłem.

- Co mnie to obchodzi, do kurwy nędzy? Wpuść mnie, ty pedale, bo muszę się odlać.

Wkurzyłem się.

- Na innych piętrach też są łazienki. Idź gdzie indziej!



- Nigdzie nie będę chodził, zasańcu. Jak mi natychmiast nie otworzysz, to cię załatwię.  
Zabolały mnie szczęki i zdałem sobie sprawę, że zgrzytam zębami. Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju?

- Będziesz tu stał z pełnym pęcherzem czy pójdiesz się odlać gdzie indziej? - zapytałem.

- Nigdzie nie pójdę, jebańcu, dopóki nie skopię ci dupy. Usłyszałem plusk i spod drzwi zaczęła wypływać żółta ciecz. Złapałem

swoje ubranie i przeskoczyłem nago z powrotem do mojego pokoju.

Wciąż byłem wkurzony. Uchyliłem drzwi i spojrzałem w kierunku łazienki w głębi korytarza.

Wysoki, muskularny białas w samych dżinsach właśnie zapinał rozporek. Potem znów uderzył w drzwi.

Z któregoś pokoju ktoś zawołał:

- Zamknij się wreszcie!

- Chodź i mnie zmusz, kutasie! - odkrzyknął białas. Nie przestając łomotać w drzwi, drugą ręką wyjął coś z tylnej kieszeni. Zrobił zamaszty ruch nadgarstkiem i w słabym świetle korytarza błysnęło srebrne ostrze.

Jezu Chryste!

Byłem przerażony, ale im dłużej patrzyłem w głąb korytarza, tym większa ogarniała mnie złość.

Położyłem ubranie na łóżku i przeskoczyłem z powrotem do łazienki.

Łomotanie w drzwi było ogłuszające. Wziąłem kosz na śmieci i wysypałem z niego papierowe ręczniki. Potem napełniłem go zakrwawioną mydlaną wodą z wanny i postawiłem nad drzwiami na dźwigni sprężynowego mechanizmu zamykającego. Sprawdziłem, czy kosz stoi prosto. Nie, musiałem go przesunąć trochę w prawo.

Gotowe. Zgasilem światło, odsunąłem zasuwkę na drzwiach i przeskoczyłem z powrotem do mojego pokoju.

Wyjrzałem na korytarz w samą porę, by zobaczyć, jak białas łapie za gałkę, otwiera drzwi i wpada do łazienki. Rozległ się hałas i korytarz zalała woda. Facet krzyknął, upadł na plecy i chwycił się rękami za głowę. Nie zauważyłem, gdzie się podział nóż, ale nie miał go w ręku.

Otworzyły się drzwi innych pokoi i zaalarmowani hałasem goście wyjrżeli na korytarz. Zamknąłem cicho moje drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkałem w tym hotelu, uśmiechnąłem się.

Nadszedł czas, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. Jestem inny. Różnię się od moich kolegów ze szkoły średniej w Stanville - chyba że niektórzy z nich też mają swoje wielkie tajemnice.

Dostrzegałem kilka wyjaśnień tego stanu rzeczy.

Pierwsze było takie, że ostatnim razem stary spowodował u mnie takie uszkodzenie mózgu lub inny uraz, że to wszystko mi się śniło. Nawet napad na mnie był tylko szczegółem dodanym przez moją podświadomość, żeby skorelować to z „prawdziwymi” obrażeniami. Mogłem leżeć na oddziale intensywnej opieki medycznej w Szpitalu Świętej Marii w Stanville, z małym ekranem robiącym bip, bip, bip obok mojego nieruchomego ciała. Ale wątpiłem w to. Nawet w najgorszych koszmarach miałem świadomość, że śnię. Smród śmieci w zaułku wydawał się zbyt rzeczywisty. Druga możliwość była taka, że większość tego, co pamiętałem, i większość złych rzeczy, które mnie spotkały, zdarzyła się naprawdę. Mój umysł po prostu wypaczył rzeczywistość, aby poradzić sobie ze skutkami, i dał mi łatwiejszą do przyjęcia alternatywę ucieczki z pomocą pojedynczej zdolności paranormalnej. Przy każdym „przeskoku” miałem uczucie nie-rzeczywistości, dezorientacji. To mogło być przejście w stan jakiejś irracjonalnej psychozy, dostosowanie się do nieprzyjemnych realiów. Albo też skutek porażenia wszystkich zmysłów całkowitą zmianą otoczenia wokół mnie.

Istniała też trzecia możliwość, chyba najmniej prawdopodobna - że mogę być kimś wyjątkowym. Nie w tym sensie, że jestem wyjątkowo wykształcony lub jestem problemowym dzieckiem, ale że mam rzadki dar, który inni - jeśli też go mają - skrzętnie ukrywają. Zdolność teleportacji. No proszę, wreszcie to zwerbalizowałem. Teleportacja. - Teleportacja.

Słowo wypowiedziane głośno zawibrowało w pokoju. Było obce normalnemu pojmowaniu rzeczywistości, istniało tylko w świecie beletrystyki, filmu i kaset wideo.

A jeśli naprawdę się teleportuję, to jak? I dlaczego właśnie ja? Co jest we mnie takiego, że mogę się teleportować? Czy ktoś inny też może? Czy właśnie to stało się z mamą? Po prostu teleportowała się od nas?

Nagle poczułem ucisk w żołądku i zacząłem szybciej oddychać. Boże! A jeśli stary też może się teleportować?

Wyobraziłem sobie ojca zjawiającego się przede mną z tym swoim pasem w ręce.

Spokojnie. Przecież nie widziałem, żeby robił coś takiego. Za to nieraz widziałem, jak włókł się chwiejnie ulicą do Country Corner, kiedy skończyło mu się piwo, choć ledwo był w stanie iść.

Gdyby mógł się teleportować, na pewno by to wykorzystał w takich razach.

Usiadłem na łóżku i się ubrałem. Potem uczesałem się bardzo ostrożnie i przejrzałem w mikroskopijnym lustrze na ścianie. Guz, nadal duży

i bolesny, wyglądał jak błąd fryzjera. Rana znów trochę krwawiła, ale nie było tego widać przez włosy.

Powinienem zażyć aspirynę. Wstałem i pomyślałem o apteczce w naszym domu. Zabawne, że wciąż uważałem go za nasz. Ciekawe, co by na to powiedział mój stary.

Nie wiedziałem, która jest godzina. Wiedziałem tylko, że minęła północ. Zastanawiałem się, czy stary śpi i czy w ogóle jest w domu. Po chwili porzuciłem tę myśl i pomyślałem o wielkim dębie w rogu ogrodu za domem. Chodziłem tam czytać książki i kiedy rodzice się kłócili. Nie słyszałem wtedy słów, tylko ich podniesione głosy.

Skoczyłem i otworzyłem oczy. Trawnik zdecydowanie wymagał koszenia. Mogłem się założyć, że to okropnie wkurza starego. Próbowałem wyobrazić go sobie za kosiarką, ale mi się nie udało. To ja zawsze kosiłem trawnik, odkąd skończyłem jedenaście lat. Stary siadał na tylnym ganku z piwem w ręce i pokazywał mi miejsca, które przeoczyłem.

W domu było ciemno. Szedłem ostrożnie naprzód, aż dotarłem do podjazdu. Samochodu starego nie było. Wyobraziłem sobie łazienkę i znów skoczyłem.

Zapaliłem światło, wyjąłem z apteczki fiolkę ibuprofenu, butelkę z wodą utlenioną i waciki.

Potem przeskoczyłem do kuchni, bo chciałem się przekonać, czy nadal mogę, i byłem głodny.

Zrobiłem sobie dwie kanapki z szynką i serem i włożyłem je razem z rzeczami z łazienki do papierowej torby, którą wziąłem ze spiżarni. Potem napiłem się mleka, umyłem szklanke i odstawiłem ją do szafki. Posprzątałem starannie, żeby kuchnia wyglądała dokładnie tak, jak przed moim przyjściem.

Ledwo skończyłem, usłyszałem odgłos opon na podjeździe - znajomy dźwięk wywołujący strach i napięcie. Wziąłem torbę i przeskoczyłem z powrotem do ogrodu. Nie zgasilem światła, bo stary zobaczyłby to przez okno. Może pomyśli, że sam je zostawił. A może nie, bo zawsze na mnie wrzeszczał, kiedy nie zgasilem gdzieś światła.

Obserwowałem, jak w domu zapalają się lampy - w holu od frontu, w salonie, w korytarzu z tyłu.

Zapalił światło w swojej sypialni, potem zgasił. Później włączył lampę w moim pokoju i zobaczyłem ciemny zarys jego sylwetki przez zasłony. Zgasił światło i poszedł do kuchni.

Zobaczył, że tylne drzwi nie są zaryglowane. Gdy zaczął je otwierać, dałem nura za pień dębu.

- Davy? - zawołał niewiele głośniejszy, niż prowadziłby rozmowę. - Jesteś tam?

Nie odezwałem się.

Usłyszałem jego kroki na tylnym ganku. Po chwili drzwi się zamknęły. Wyjrzałem zza drzewa i zobaczyłem go, jak wyjmuje piwo z lodówki. Westchnąłem i przeskoczyłem do biblioteki w Stanville.

W dziale czasopism z dala od okien stały kanapa i mały okrągły stolik, nad którym zawsze zostawiano zapalone światło. Tam zjadłem kanapki. Przeżuwałem je z nogami na blacie i patrzyłem w ciemne kąty. Kiedy skończyłem, popiłem trzy ibuprofeny wodą z wodotrysku i skorzystałem z toalety.

Co za ulga nie musieć się obawiać, że ktoś wtargnie do środka. Zwilżyłem wacik wodą utlenioną i przemyłem ranę z tyłu głowy. Zaszczypało, a na waciku pojawiła się świeża krew. Skrzywiłem się, ale dokończyłem zabieg. Nie chciałem trafić do szpitala z zakażeniem.

Wrzuciłem zużyty wacik do sedesu i spuściłem wodę, a potem przeskoczyłem do mojego pokoju hotelowego w Brooklynie.

Byłem zmęczony, ale nie zamierzałem kłaść się spać.

Nadszedł czas sprawdzić, co potrafię.

### Rozdział 3

w Washington Square Park zjawiłem się przed ławką, na której siedziałem dwa dni wcześniej. Teraz leżał na niej jakiś mężczyzna i trząsał się z zimna. Nogi miał owinięte gazetami, ręce zaciśnięte przy szyi na postawionym kołnierzu brudnej marynarki. Otworzył oczy, zobaczył mnie i wrzasnął.

Cofnąłem się o krok. Usiadł i złapał gazety, zanim zwiął je lekki wiatr. Patrzył na mnie wzrokiem szaleńca i wciąż się trząsał.

Przeskoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego w Brooklynie, wziąłem z łóżka koc i znów skoczyłem do parku.

Ponownie wrzasnął na mój widok i skulił się na ławce.

- Zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju - powtarzał w kółko.

Położyłem koc na drugim końcu jego ławki i ruszyłem w kierunku MacDougal Street. Kiedy przeszedłem jakieś piętnaście metrów, obejrzałem się. Mężczyzna wziął koc i opatulił się nim, ale jeszcze się nie położył. Zastanawiałem się, czy do rana ktoś mu go nie ukradnie.

Gdy zbliżyłem się do ulicy, zastąpili mi drogę dwaj mężczyźni. Ich ciemne sylwetki rysowały się na tle światła lamp ulicznych.

Zerknąłem za siebie, żeby znów ktoś mnie nie zaskoczył.

- Dawaj portfel i zegarek. - W świetle latami błysnął nóż; drugi mężczyzna uniósł coś ciężkiego i twardego.

- Za późno - powiedziałem. I skoczyłem.

Pojawilem się w bibliotece w Stanville, przed półką od „Ruedinger Cat-hy” do „Wells Martha”.

Uśmiechnąłem się. Kiedy skoczyłem, nie miałem na myśli żadnego konkretnego miejsca przeznaczenia, po prostu uciekłem. Ilekroć uskakiwałem przed jakimś bezpośrednim fizycznym zagrożeniem, trafiałem tutaj, do najbezpieczniejszej przystani, jaką znałem.

Przebiegłem w myślach wszystkie miejsca, do których się teleportowałem.

Były to miejsca, gdzie często bywałem przed przeskakiwaniem do nich - albo ostatnio, jak w wypadku Washington Square i nowojorskiego hotelu, albo wielokrotnie na przestrzeni długiego czasu. Każde z nich mogłem sobie wyobrazić. Zastanawiałem się, czy to wystarczyło.

Podszedłem do katalogu rzeczowego i odszukałem Nowy Jork. Spis przewodników, według bibliotecznej klasyfikacji dziesiętnej 917.471, doprowadził mnie do przewodnika Fostera z 1986 roku. Na stronie trzysta dwudziestej trzeciej było kolorowe zdjęcie jeziora w Central Parku z ławką i koszem na śmieci na pierwszym planie i hangarem łodziowym Loeb Boat-house z boku.

Kiedy zwiedzaliśmy z mamą Nowy Jork, nie zgodziła się, żebyśmy zapuścili się dalej niż do Metropolitan Muséum po wschodniej stronie Central Parku. Słyszała zbyt wiele opowieści o napadach i gwałtach. Nie widzieliśmy więc hangaru łodziowego.

Patrzyłem na zdjęcie, dopóki nie zapamiętałem go tak dobrze, że mogłem zamknąć oczy i nadal je widzieć.

Skoczyłem i otworzyłem oczy.

Nie przeniosłem się. Nadal stałem w bibliotece.

Hm.

Próbowałem tego samego z innymi miejscami, w których nie byłem -z Bloomingdale's, ZOO w Bronksie, wnętrzem podstawy Statuy Wolności. Nie udało się.

Potem trafiłem na zdjęcie tarasu widokowego Empire State Building. „Mamo, patrz, tam jest Chrysler Building i widać stąd World Trade Center i...”

„Ciszej, Davy. Modułuj głos, proszę”.

Określenie mamy „modułuj głos” było znacznie grzeczniejsze niż „zamknij się” czy „przymknij jadaczkę” mojego starego. Wjechaliśmy na taras

widokowy drugiego dnia pobytu w Nowym Jorku i byliśmy tam godzinę. Zanim trafiłem na to zdjęcie, nie zdawałem sobie sprawy, jakie to wywarło na mnie wrażenie. Myślałem, że w najlepszym razie mam tylko mgliste wspomnienia. Ale pamiętałem wyraźnie każdy szczegół.

Skoczyłem i zatkało mi uszy jak podczas startu samolotu. Stałem tam, zimny wiatr od East River

rozwiewał mi włosy i przewracał kartki przewodnika, który wciąż trzymałem w ręce. Było pusto. Zerknąłem do przewodnika i przeczytałem, że taras jest otwarty od dziewiętej trzydzieści do północy.

Więc mogę przeskakiwać do miejsc, w których już byłem. Swoją drogą, co za ulga. Gdyby stary potrafił się teleportować, nie mógłby przeskoczyć do mojego pokoju hotelowego w Brooklynie. Nigdy tam nie był.

Z góry rozciągał się dezorientujący widok - wszystkie budynki oświetlone, ich zarysy zamglone i stopione razem. Dostrzegłem w oddali oświetloną zieloną figurę i wszystko się poukładało.

Patrzyłem wzdłuż Piątej Alei w kierunku Greenwich Village i śródmieścia. Dwie wieże World Trade Center powinny być dla mnie wskazówką.

Pamiętałem, że mama wrzucała ćwierćdolarówki do lunety, żebym mógł zobaczyć Statuę Wolności. Nie wybraliśmy się na wyspę, bo mama miała chorobę morską.

Poczułem tęsknotę. Dokąd odeszła?

Przeskoczyłem z powrotem do biblioteki i odłożyłem przewodnik na półkę.

Czy naprawdę mogę się przenieść do każdego miejsca, w którym już byłem?

Mój dziadek ze strony matki przeprowadził się do małego domu na Florydzie. Odwiedziliśmy go tylko raz, kiedy miałem jedenaście lat. Wybieraliśmy się do niego znowu następnego lata, ale na wiosnę mama odeszła. Pamiętałem mgliście jasny dom z białymi dachówkami i kanał z łodziami z tyłu. Usiłowałem wyobrazić sobie salon, ale udało mi się tylko zobaczyć dziadka w tym pokoju bez wyrazu. Spróbowałem skoczyć, jednak nic z tego nie wyszło.

Hm.

Najwyraźniej pamięć jest ważna. Muszę mieć w głowie wyraźny obraz miejsca, w którym byłem. Postanowiłem zrobić inny eksperyment. Skoczyłem.

Na Czterdziestej Piątej ciągnie się rząd sklepów z elektroniką. Sprzedają tam sprzęt stereo, wideo, komputery i inne urządzenia. Wszystkie były

zamknięte, kiedy zjawiłem się na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Piątej, łącznie z budką z lodami włoskimi, w której byłem dzień wcześniej.

Mogłem jednak zajrzeć do sklepów, oświetlonych wewnątrz dla bezpieczeństwa i reklamy.

Większość witryn chroniły opuszczone stalowe kraty z masywnymi kłódkami na dole, ale można było przez nie coś zobaczyć.

Zatrzymałem się przed sklepem z grubszą kratą i lepszym oświetleniem niż inne. Przyjrzałem się uważnie podłodze, ścianom, ustawieniu półek, towarom najbliższej okna.

Stałem na chodniku zaledwie dwa metry od wnętrza, więc mogłem je sobie dokładnie wyobrazić.

Spojrzałem w prawo i w lewo, zamknąłem oczy i skoczyłem.

Stały się dwie rzeczy. Po pierwsze, znalazłem się w środku tuż obok setek lśniących elektronicznych zabawek. Po drugie, natychmiast włączył się bardzo głośny alarm, a wewnątrz sklepu oświetliła niczym błyskawica oślepiająca lampa stroboskopowa.

Jezu! Wzdrygnąłem się i prawie bez namysłu przeskoczyłem z powrotem do biblioteki w Stanville.

Trzęsły mi się kolana. Usiadłem na podłodze i drżałem ponad minutę.

Co się ze mną stało? To był tylko alarm, jakiś detektor ruchu. Nie miałem takiej reakcji, kiedy w Washington Square Park zaczepiło mnie dwóch bandziorów.

Ale tamto nie zdarzyło się tak nieoczekiwanie, tak nagle. Wziąłem kilka głębokich oddechów.

Mógłbym zostać w sklepie i zabrać do mojego pokoju hotelowego parę magnetowidów, zanim zjawiłaby się policja.

I co bym z nimi zrobił? Sprzedał komuś? Gdybym spróbował, wykołowałiby mnie albo zgarnęli.

Na samą myśl o interesach z ludźmi handlującymi kradzionymi rzeczami dostałem gęsiej skórki. A co z właścicielem sklepu? Nie byłby stratny? Pokryłoby to ubezpieczenie? Myśląc o tym, zacząłem czuć się winny.

Przyszło mi do głowy jeszcze coś, co przyprawiło mnie o szybsze i mocniejsze bicie serca. Może ten błysk to był flesz? Może mają tam kamery?

Wstałem i zacząłem krążyć po bibliotece. Oddychałem szybko, niemal brakowało mi powietrza.

- Przestań! - powiedziałem sobie w końcu. Mój głos zabrzmiał donośnie w cichym budynku. Jak, do cholery, mogliby cię złapać, nawet gdyby mieli twoje odciski palców? A gdyby jednak, to o co by cię oskarżyli? Przecież nic nie zginęło, do cholery, nie było włamania, nie została wybita szyba.

Nagle poczułem się skrajnie wyczerpany. Znow rozboleła mnie głowa i zachciało mi się spać.

Przeskoczyłem do pokoju hotelowego i zrzuciłem buty. W pokoju panował chłód, kaloryfer był ledwo ciepły. Spojrzałem na cienką kołdrę na łóżku. Do niczego. Pomyślałem o mężczyźnie w Washington Square Park. Czy jemu jest ciepło?

Skoczyłem do ciemnego wnętrza mojej sypialni w domu starego, wziąłem z łóżka kołdrę i przeskoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego.

Owinąłem się kołdrą i po chwili zasnąłem.

Było południe, kiedy obudził mnie jakiś hałas na ulicy, chyba klakson. Podciągnąłem wyżej kołdrę i popatrzyłem na nędzny pokój.

Jest środa, więc stary powinien być w biurze. Wstałem, przeciągnąłem się i skoczyłem do łazienki w domu. Nasłuchiwałem chwilę, potem wyjrzałem zza rogu. Nikogo. Przeskoczyłem do kuchni i spojrzałem na podjazd. Nie było samochodu starego. Skorzystałem z łazienki i zjadłem śniadanie. Nie mogę wiecznie żyć na koszt ojca. Ta myśl przyprawiła mnie o ból żołądka. Skąd ja wezmę pieniądze?

Skoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego i przerzuciłem swoje ubrania w poszukiwaniu czegoś czystego do włożenia. Kończyła mi się bielizna, wszystkie skarpetki były brudne. Może by tak pójść do sklepu, wybrać sobie trochę ubrań i wyskoczyć stamtąd bez płacenia? Jedyne w swoim rodzaju złodziej sklepowy.

Pokręciłem gwałtownie głową, zebrałem wszystkie brudne rzeczy i przeskoczyłem z powrotem do domu starego.

No proszę - coraz bardziej uważam ten dom za jego dom, nie za nasz. Uznałem to za krok w dobrym kierunku.

Zostawił w pralce swoje ciuchy, nie przełożył ich do suszarki. Sądząc po zapachu stęchlizny, leżały tak od paru dni. Władowałem je do suszarki i włożyłem na ich miejsce moje rzeczy.

Jeśli to jego dom, to co ja tu robię? Jest mi winien przynajmniej coś do jedzenia i możliwość zrobienia prania. Przestałem czuć się winny, że coś od niego biorę.

Oczywiście podczas prania krążyłem po domu i czułem się winny.

Nie chodziło o jedzenie czy robienie prania. Czułem się winny, bo wyjąłem mu z portfela dwadzieścia dwie setki. To było głupie. Ten człowiek dobrze zarabiał, a kazał mi nosić używane ubrania. Jeździł samochodem za ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, ale utrzymywał mnie, żeby nie musieć płacić mamie alimentów.

A jednak czułem się winny. I byłem zły.



Miałem ochotę zniszczyć to miejsce, rozwalić wszystkie meble i spalić ubrania starego. Mógłbym wrócić tu w nocy, otworzyć wlew paliwa jego cadillaca i wrzucić tam zapalną. Może pożar ogarnąłby również dom.

Z każdą minutą spędzoną w tym domu byłem coraz bardziej wściekły. A im bardziej się wściekałem, tym bardziej czułem się winny. Kompletna paranoja. Skoczyłem na Manhattan i szedłem przez Central Park, dopóki się nie uspokoiłem.

Po czterdziestu minutach wróciłem do domu starego i włożyłem swoje uprane rzeczy do suszarki. Pachnące stęchlizną jego ciuchy wpakowałem z powrotem do pralki.

Potrzebowałem z tego domu jeszcze czegoś. Poszedłem korytarzem do nory starego - jego „gabinetu”. Zabraniał mi tam wchodzić, ale miałem w nosie jego regulamin domowy. Zacząłem od szafki na akta z trzema szufladami, potem przeniosłem się do biurka. Skończyłem, kiedy wyszło pranie, ale nigdzie nie znalazłem mojego aktu urodzenia.

Zatrzasnąłem ostatnią szufladę, zebrałem moje suche ubrania i przeskoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego.

Skąd wezmę pieniądze?

Położyłem ubrania na łóżku i skoczyłem do Washington Square Park przed znajomą ławkę. Ani śladu śpiocha z ostatniej nocy. Siedziały tam dwie stare kobiety pogrążone w rozmowie. Zerknęły na mnie, ale gadały dalej. Odszedłem.

Próbowałem znaleźć uczciwą pracę. Nie chcieli mnie zatrudnić bez numeru ubezpieczenia społecznego. Większość wymagała też potwierdzenia obywatelstwa - aktu urodzenia lub wypisu z rejestru wyborców. Nie miałem niczego. Pomyślałem o nielegalnych imigrantach pracujących w Stanach. Jak oni to załatwiają?

Kupują fałszywe dokumenty.

Otóż to. Kiedy szedłem Broadwayem do Times Square, kilku facetów proponowało mi wszystko, od narkotyków po kobiety i małych chłopców. Mogłem się założyć, że skombinowaliby również fałszywy dowód tożsamości.

Aleja nie miałem pieniędzy.

Czułem się jak uchodźca z Trzeciego Świata w pułapce między potrzebą zdobycia pieniędzy, żeby zarabiać, a brakiem widoków na pożyczkę w supermocarstwie. Wiedziałem, że jeśli nazajutrz nie zapłacę za hotel, wyląduję na ulicy.

Wycie alarmu przeciw włamaniowego na Czterdziestej Drugiej ulicy wydawało się w świetle dnia mniej przerażające. Pomyślałem o kradzieży magnetowidów albo telewizorów i zastawieniu ich w lombardach, żeby za otrzymane pieniądze spróbować kupić fałszywy dowód tożsamości.

Myśl o zanieśieniu magnetowidu do lombardu przerażała mnie. Wprawdzie byłem nie do złapania, ale ktoś nerwowy mógłby mi wpakować kulkę. A gdybym ukradł coś bardziej wartościowego? Na

przykład biżuterię. Albo poszedł do muzeum i wyciął z ram obrazy? Im droższa rzecz, tym mniejsza szansa, że na tym zarobię, bo mnie wykołują albo zabijają.

Może zatrudniłby mnie rząd?

Wzdrygnąłem się. Czytałem Podpalaczkę Stephena Kinga. Wyobraziłem sobie, jak mnie rozcinają, żeby się dowiedzieć, jak to zrobiłem. Albo narkotyzują, żeby nie mógł tego zrobić - tak kontrolowali bohatera tej książki. Trzymali go na narkotykach, żeby nie mógł jasno myśleć.

Ciekawe, czy już mają ludzi, którzy mogą się teleportować.

Trzymaj się z daleka od rządu. Niech nikt nie wie, co potrafisz.

W takim razie, uznałem, będę musiał po prostu ukraść forszę.

Chemical Bank of New York mieści się przy Piątej Alei. Wszedłem i zapytałem ochroniarza, czy w banku jest łazienka. Pokręcił głową.

- W Trump Tower w głębi ulicy mają w holu toaletę. Zrobiłem obolałą minę.

- Naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu, ale za chwilę mam się tu spotkać z moim ojcem. Jak mnie tu nie zastanie, to się wkurzy, a ja muszę się wysikać. Nie ma tu gdzieś łazienki dla pracowników?

Bez wątpienia wyglądałem żałośnie, ale on nie sprawiał wrażenia przekonanego. Skrzywiłem się, pewien, że odeśle mnie z kwitkiem.

- A co tam - mruknął - widzisz tamte drzwi? - Wskazał drzwi za rzędem okienek kasowych. Wejdz tam i idź prosto. Łazienka jest po prawej stronie na końcu korytarza. Jeśli ktoś cię zaczepi, powiedz, że Kelly cię wpuścił.

Odetchnąłem z ulgą.

- Dziękuję, panie Kelly. Uratował mi pan życie.

Wszedłem przez wskazane drzwi. Żołądek wywracał mi się do góry nogami i byłem pewien, że każdy, kto mnie minie, rozszyfruje moje zamiary i zorientuje się, że jestem przestępcą.

Stalowe drzwi skarbcza, wiszące na zawiasach większych ode mnie, były otwarte, ale krata wewnątrz była zamknięta, a przy stoliku przed nią siedział strażnik. Zatrzymałem się przed nim i zajrzałem w głąb skarbcza za jego plecami. Podniósł na mnie wzrok.

- O co chodzi? - zapytał chłodno. Patrzył na mnie jak dyrektor szkoły na ucznia bez identyfikatora.

- Szukam łazienki - wyjąkałem.

- W tym banku nie ma publicznych toalet - odparł.

- Pan Kelly pozwolił mi skorzystać z toalety pracowniczej. To gardłowa sprawa.

Uśmiechnął się lekko.

- Na końcu korytarza. Na pewno nie tutaj. Skinąłem głową.

- Oczywiście. Dziękuję panu. - Poszedłem dalej. Nie przyjrzałem się skarbcowi wystarczająco dobrze.

Wszedłem do łazienki i umyłem ręce. W drodze powrotnej przystanąłem.

- To strasznie wielkie drzwi. Wie pan może, ile ważą? - Przysunąłem się trochę bliżej.

Strażnik wyglądał na poirytowanego.

- Dużo. Jeśli już skorzystałeś z łazienki, wracaj do holu.

- Jasne. - Spojrzałem na wejście do skarbcza pod innym kątem. Zobaczyłem wózki i stół przy jednych z wewnętrznych drzwi. Na wózkach leżały brezentowe worki i stosy popaczkowanych pieniędzy. Zrobiłem jeszcze krok i dostrzegłem szare stalowe półki pod inną ścianą.

Załatwione!

Strażnik zaczął wstawać. Odwróciłem się od drzwi i zobaczyłem, że poczerwieniał.

- Już sobie idę - powiedziałem. - Dziękuję za wskazanie mi drogi. Coś warknął, ale odszedłem szybko korytarzem. Kiedy mijałem ochroniarza w holu, uśmiechnąłem się.

- Dzięki, panie Kelly. Pomachał mi i wyszedłem z banku.

Resztę popołudnia spędziłem w bibliotece w Stanville. Najpierw czytałem w encyklopedii o bankach, napadach na nie, systemach alarmowych, sejfach, skarbcach, zamkach czasowych i kamerach nadzoru, potem przejrzałem książkę o przemysłowych systemach bezpieczeństwa, którą znalazłem w dziale technicznym.

- David? David Rice?

Podniosłem wzrok i zobaczyłem panią Johnson, moją nauczycielkę geografii. Spojrzałem na zegar ścienny - lekcje skończyły się godzinę temu.

Nie chodziłem do szkoły od trzech tygodni, odkąd pierwszy raz skoczyłem. Poczułem, że robię się czerwony na twarzy. Wstałem.

- To naprawdę ty, Davidzie - powiedziała pani Johnson. - Cieszę się, że nic ci nie jest. Więc wróciłeś do domu?

Nie wiadomo dlaczego, byłem zaskoczony, że w szkole wiedzą o mojej ucieczce. Już chciałem skłamać, że wróciłem i jutro będę w szkole. Tak bym zrobił miesiąc temu. Poszedłbym po linii najmniejszego oporu, byle tylko uniknąć awantury. Powiedziałbym to, co byłoby konieczne, żeby ludzie się na mnie nie wściekali.

Nie znosiłem, kiedy ktoś się na mnie wściekał.

Pokręciłem głową.

- Nie, pani profesor. Nie wróciłem. I nie zamierzam. Nie wydawała się zaszokowana ani nawet

zaskoczona.

- Twój ojciec bardzo się martwi. Przyszedł do szkoły i rozmawiał z całą twoją klasą. Pytał, czy ktoś cię widział. Powiesił też plakaty... pewnie je widziałeś na mieście.

Wzruszyłem ramionami. Plakaty?

- A co ze szkołą? - spytała. - Jak zamierzasz się dostać do college'u? Albo dostać pracę?

- Chyba... chyba będę musiał urządzić się inaczej. - Dobrze się czułem, nie kłamiąc, lecz wciąż obawiałem się jej dezaprobaty. - Chciałem zdać egzamin eksternistyczny, ale siedemnastolatek musi mieć zgodę rodziców albo nakaz sądu.

Pani Johnson oblizwała dolną wargę.

- Gdzie mieszkasz, Davidzie? Masz co jeść?

- Tak, pani profesor. Radzę sobie.

Zrozumiałem, że nie zamierza na mnie wrzeszczeć za to, że nie chodzę do szkoły albo że uciekłem.

Miałem wrażenie, że nie chce mnie spłoszyć.

- Muszę zadzwonić do twojego ojca, Davidzie. To mój obowiązek. Gdybyś się zgodził, moglibyśmy porozmawiać z pracownikiem opieki społecznej. Nie musisz wracać do domu, jeśli nie chcesz. -

Zawahała się na moment, a potem spytała: - Czy ojciec cię maltretuje?

Łzy pojawiły się jak grom z jasnego nieba. Nie przypuszczałem, że się rozkleję. Zaciśnąłem powieki, zaczęły mi się trząść ramiona. Milczałem, usiłując opanować łkanie.

Pani Johnson zrobiła krok w moim kierunku, chyba po to, żeby mnie przytulić. Cofnąłem się i odwróciłem, wycierając gorączkowo oczy.

Opuściła ręce wzdłuż boków. Wyglądała na zmartwioną.

Wziąłem głęboki, spazmatyczny oddech, potem jeszcze dwa i drżenie stopniowo ustało.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Nie zadzwonię do twojego ojca - odezwała się cicho, łagodnie - ale pod warunkiem, że pójdziesz ze mną do pana Mendozy. On będzie wiedział, co zrobić.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie. Nic mi nie jest. Nie chcę rozmawiać z panem Mendozą.

Zrobiła jeszcze bardziej zmartwioną minę.

- Proszę cię, Davy. Na ulicach jest niebezpiecznie, nawet w Stanville w Ohio. Możemy cię ochronić przed ojcem.

Czyżby? A gdzie byliście przez ostatnie pięć lat? Znow pokręciłem głową.

- Wciąż pani jeździ szarym volkswagenem, pani profesor? - zapytałem, patrząc ponad jej ramieniem.

Zamrugła, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Tak.

- Chyba właśnie ktoś w niego uderzył.

Odwróciła szybko głowę. Zanim zdała sobie sprawę, że z miejsca, w którym stoimy, nie widać parkingu, przeskoczyłem z powrotem do hotelu w Brooklynie.

Niech to wszystko szlag trafi! Rzuciłem przez pokój książkę o zabezpieczeniach przemysłowych. Potem podniosłem ją z poczuciem winy, że się wściekłem i tak potraktowałem książkę z biblioteki. Książki nie zasługują na maltretowanie... A ludzie?

Skuliłem się na łóżku i nakryłem głowę poduszką.

Budziłem się wolno, etapami. Rozglądałem się chwilę, spodziewając się zobaczyć stojącą nade mną panią Johnson, która opowiada fascynujące rzeczy o zachodniej Afryce. Dopiero gdy trochę bardziej oprzytomniałem, przyćmione światło przenikające przez cienką zasłonę wydobyło z mroku pokój, moje położenie, mój byt.

Wstałem i przeciągnąłem się. Byłem ciekaw, która jest godzina, więc skoczyłem do biblioteki w Stanville, żeby spojrzeć na zegar ścienny. W Ohio była 21.20, w Nowym Jorku tak samo. Czas zabrać się do pracy.

Przeskoczyłem do mojego ogrodu, za dąb. Samochód starego stał na podjeździe, a światło paliło się w jego gabinecie-norze i w moim pokoju. Co on u mnie robi? Poczulem rosnącą panikę, ale ją opanowałem. Zignoruj to. Uda ci się tam wejść.

Rzeczy używane do pracy w ogrodzie trzymaliśmy w garażu, na półce nad kosiarką. Skoczyłem tam i między środkami owadobójczymi, nawozem a nasionami trawy znalazłem po omacku stare rękawiczki ogrodnicze. Włożyłem je i przeskoczyłem na podjazd od frontu.

Cadillac starego lśnił w świetle lampy ulicznej - wielka, masywna bestia. Podeszedłem do drzwi od strony pasażera i sprawdziłem, czy są zablokowane. Były. Spojrzałem przez szybę na luksusową tapicerkę i lśniącą deskę rozdzielczą. Dokładnie pamiętałem zapach i miękkość siedzeń.

Zamknąłem oczy i skoczyłem.

Włączył się alarm o przeraźliwym dźwięku, ale spodziewałem się tego. Ze schowka w desce rozdzielczej wyjąłem latarkę, a gdy na ganku rozbłysło światło i zaczęły się otwierać frontowe drzwi, przeskoczyłem do mojego pokoju.

Alarm brzmiał tutaj dużo ciszej, choć nadal nieprzyjemnie. Byłem pewien, że w całej okolicy zapalają się lampy na gankach.

Kominiarka narciarska leżała w dolnej szufladzie mojej komody pod kilkoma parami za małych kalesonów. Znalazłem ją w momencie, kiedy ucichł alarm. Zacząłem skakać, potem uświadomiłem sobie, że nie mam w ręku latarki. Rozejrzałem się po pokoju i zobaczyłem ją na komodzie.

Drzwi frontowe się zamknęły i usłyszałem kroki w holu. Chwyciłem latarkę i skoczyłem.

Skórzane rękawiczki były stare i sztywne. Ocierały mi palce, kiedy je zginałem. Kominiarka pasowała w sam raz, chociaż miała cztery lata. Rozciągnęła się i straciła kształt, lecz odpowiednio włożona, zasłaniała całą twarz, z wyjątkiem oczu i grzbietu nosa. Wprawdzie dolna połowa zwisała luźno, ale nic spod niej nie wystawało.

Drapała mnie jak cholera.

Skoczyłem.

Zjawiłem się w ciemnym i cichym pomieszczeniu z gładką podłogą. Oczekałem chwilę, zanim zapaliłem światło, żeby się przygotować na przeraźliwy dźwięk alarmu. Obawiałem się też, że jestem w niewłaściwym miejscu, i chciałem odwlec moment, w którym odkryję swoją pomyłkę. Ale nie zabrzmiał żaden alarm, bo - o ile wiedziałem - zamiast tego na tuzinie monitorów od banku aż do posterunku policji mogły rozbłysnąć kontrolki. Jeśli na świecie są inni teleporterzy, to czy banki o nich wiedzą i podejmują odpowiednie kroki? Takie jak wpuszczanie do zamkniętych skarbców trującego gazu? Albo uruchamianie pułapek? Powietrze wokół mnie gęstniało, ciemność napierała na mnie, aż w końcu pomyślałem, że może to ściany się przysuwają. Włączyłem latarkę. Tyle pieniędzy!

Na wózkach, które widziałem wcześniej, piętrzyły się stosy starannie popaczkowanych banknotów, tace z rulonami monet i brezentowe worki z nadrukami „Chemical Bank of New York” po obu stronach. Na większości półek leżały paczki nowych banknotów.

Zamknąłem oczy, bo nagle zakręciło mi się w głowie. Przy drzwiach skarbcza był włącznik światła. Sięgnąłem do niego i pomieszczenie zalał blask jarzeniówek. Wyglądało na to, że nie ma tu kamer, nie zauważyłem też na ścianie żadnych małych urządzeń przypominających czujniki ciepła,

o których czytałem tego popołudnia. Z wywietrzników nie wydobył się gaz, nie uruchomiła się żadna pułapka.

Zgasilem latarkę i zabrałem się do pracy.

Na pierwszym wózku, do którego podszedłem, leżały wpłaty z poprzedniego dnia: starannie popaczkowane pieniądze były z całą pewnością używane. Wziąłem paczkę banknotów studolarowych. Na banderoli widniały nadruk „5000 \$” i nazwa banku. Na innym wózku stało tekturowe pudło wypełnione plikami jednodolarówek po pięćdziesiąt sztuk. Spróbowałem ocenić, ile jest warstw, wreszcie pokręciłem głową. Później policzysz, Davy.

Podniosłem pudło i przeskoczyłem do pokoju hotelowego. Wysypałem pieniądze na łóżko i skoczyłem z powrotem.

Zacząłem w jednym końcu i posuwałem się do drugiego. Gdy banknoty wyglądały na nowe, sprawdzałem, czy są ułożone według numerów. Jeśli były, zostawiałem je. Jeśli nie, wkładałem do pudła. Kiedy je napełniłem, znów przeskoczyłem do pokoju hotelowego, wysypałem zawartość na łóżko

i skoczyłem z powrotem.

Gdy skończyłem z luźnymi pieniędzmi na wózkach, sprawdziłem pierwszy worek. Wyglądało na to, że są w nim wpłaty z oddziałów banku, bo znalazłem tylko używane banknoty. Wziąłem wszystkie worki, nie sprawdzając zawartości pozostałych, i skoczyłem do pokoju. Włożyłem worki pod łóżko, bo na nim pieniądze się już nie mieściły.

Wróciłem do skarbca. Na półkach leżały nowe banknoty, na banderolach widniały numery serii. Zostawiłem je i rozejrzałem się ostatni raz. Alarm nadal nie dźwięczał, drzwi były szczelnie zamknięte.

Ale to nie miało znaczenia. Jeśli to, co czytałem o zegarach kontrolnych, było prawdą, musiałyby zaistnieć naprawdę wyjątkowe okoliczności, żeby drzwi otworzyły się wcześniej niż następnego ranka, nawet gdyby włączył się alarm.

Zastanawiałem się chwilę, czy nie zostawić kartki z podziękowaniami albo jakiegoś graffiti namalowanego farbą w spreju, ale uznałem, że to niepotrzebne.

Rano i bez tego będzie wystarczające poruszenie. Skoczyłem.

## Rozdział 4

Duży elektroniczny billboard na Times Square wyświetlał dwudziestą trzecią. Załatwiłem całą sprawę w niecałe czterdzieści minut, łącznie z wzięciem rękawiczek i latarki.

Na placu roilo się od ludzi, głównie młodych, w parach lub grupkach. Niektórzy stali w kolejkach do kin, inni po prostu spacerowali Broadwayem i zaglądali do otwartych jeszcze sklepów. Panowała świąteczna atmosfera, jak w środku karnawału.

Wszedłem do sklepu pełnego T-shirtów z hasłami wychwalającymi zalety Nowego Jorku. Na jednej koszulce zobaczyłem napis „Witaj w Nowym Jorku - a teraz wyjedź”. Uśmiechnąłem się, mimo że cały się trząsałem i miałem od tego mdłości.

W kieszeni miałem paczkę dwudziestodolarówek. Zdjąłem papierową banderolę i upewniłem się, że umiem wyciągać banknoty pojedynczo, ale nadal byłem zdenerwowany. Bolał mnie tył głowy, tam gdzie uderzył mnie bandzior, i raz po raz niemal bezwiednie oglądałem się gwałtownie za siebie.

Chryste, Davy, zachowujesz się jak świr. Uspokój się!

W sklepie były też tanie nylonowe torby podróżne, worki marynarskie i plecaki. Właśnie tego potrzebowałem. Wybrałem po jednej sztuce każdego rodzaju i koloru.

Sprzedawca popatrzył na mnie.

- Oglądaj je pojedynczo, dobra? Chyba że chcesz kupić wszystkie. Dalej wybierałem torby.

Wyszedł zza lady z wściekłą miną.

- Nie słyszałeś? Powiedziałem, żebyś...

- Słyszałem, co pan powiedział! - krzyknąłem. Cofnął się o krok i zamrugał. Wziąłem głęboki oddech i spytałem ciszej: - Ile płacę za tych dwadzieścia toreb? - Podeszedłem i położyłem je na ladzie.

Milczał, więc wyjąłem z kieszeni kurtki część dwudziestek - pewnie około pięciuset dolarów.

- Zaraz policzę - powiedział. - Przepraszam, że się uniosłem. Wiesz, przychodzą tu dzieciaki, które kradną. Muszę być ostrożny. Nie bierz tego do siebie. Nie...

- W porządku. Nie ma sprawy.

Kiedy wbił na kasę wszystkie torby, włożyłem je do największej, worka marynarskiego z paskiem na ramię.

Musiał mieć wyrzuty sumienia, że mnie tak źle potraktował, bo dał mi dziesięć procent zniżki.

- Razem będzie dwieście dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt centów.



Odliczyłem dwanaście dwudziestek i powiedziałem coś, co zawsze chciałem powiedzieć.

- Reszta dla pana. Zamrugał.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Wyszedłem ze sklepu, skręciłem w prawo i skoczyłem.

Ułożyłem paczki pieniędzy według nominałów pod ścianą naprzeciw łóżka. Żeby mieć dość miejsca, musiałem odsunąć lichą komodę i zastawić nią drzwi, ale to mi nie przeszkadzało.

Stawałem się paranoikiem, więc powiesiłem na oknie kołdrę, całkowicie je zasłaniając.

Kiedy uprzątnąłem łóżko i sięgnąłem po pieniądze w workach, miałem dwa stosy jedynek wysokości ponad pół metra. W każdej warstwie było dwadzieścia pięć paczek. Nie przerywałem układania, chcąc policzyć pieniądze. Puste worki rzucałem na łóżko. Raz skoczyłem do biblioteki w Stanville, żeby zobaczyć, która jest godzina.

Wreszcie skończyłem sortowanie, ale nie zabrałem się od razu do liczenia. Zamierzałem to zrobić później.

Zebrałem puste worki i włożyłem kominiarkę i rękawiczki. Była druga nad ranem.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, próbując się uspokoić. Zaczynałem odczuwać wyczerpanie nerwowe, choć wcale nie chciało mi się spać. Skoncentrowałem się na wnętrzu skarbcza i skoczyłem, usiłując jednocześnie widzieć w wyobraźni bibliotekę w Stanville, na wypadek gdyby już otworzyli skarbiec.

Był zamknięty.

Jezu, zostawiłem zapalone światło. Rzuciłem worki na jeden z pustych wózków i odwróciłem się, żeby wyłączyć jarzeniówki. Zaraz, a gdzie jest latarka? Poczulem przyspieszone bicie serca i wpadłem w panikę. O Boże! Po co mi to było? Osunąłem się po ścianie i wtedy zobaczyłem latarkę. Leżała na pierwszym wózku, który opróżniłem. Wiedziałem, że nie ma na niej moich odcisków palców, ale mogły być odciski starego. Gdzie pan był, panie Rice, w ubiegły piątek w nocy? Oczywiście tutaj, w Ohio. Ale nie wiem, gdzie się podziewa mój syn...

Chwyciłem latarkę, zgasiłem światło w skarbcu i przeskoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego.

Spieszyłem się, żeby zdążyć do rana zwrócić worki. Zdawałem sobie sprawę, że mogę się ich pozbyć gdziekolwiek. Mogłem włożyć do nich cegły i wrzucić je do East River, ale pomyślałem, że będzie większe zamieszanie, jeśli zostawię je w skarbcu.

Jakby nie wystarczyło zamieszanie, które i tak będzie.

Nie wiedziałem, ile właściwie ukradłem pieniędzy. Usiadłem na łóżku i wpatrzyłem się w moją zdobycz.

Każdy stos składał się z warstw pięć na pięć paczek, miał nieco ponad trzydzieści centymetrów wzdłuż ściany i odstawał od niej na jakieś osiemdziesiąt centymetrów. Jedynek było najwięcej i leżały w trzech stosach o wysokości ponad stu dwudziestu centymetrów. Stos piątek miał niecałe sześćdziesiąt centymetrów, dziesiątek - mniej więcej czterdzieści pięć, a dwudziestek - około dwudziestu trzech centymetrów. Była też warstwa banknotów pięćdziesięciodolarowych i siedemnaście paczek studolarowych.

Skoczyłem do biblioteki w Stanville i wziąłem kalkulator z biurka. Policzyłem warstwy i przemnożyłem wszystko dwa razy. Gdy wyniki się różniły, sprawdzałem rachunki ponownie.

W każdej warstwie było dwadzieścia pięć paczek. W wypadku jedynek oznaczało to tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów, a w wypadku dwudziestek - dwadzieścia pięć tysięcy. Miałem sto pięćdziesiąt trzy warstwy i sześć paczek jedynek, czyli w samych tylko jednodolarówkach... Odłożyłem kalkulator i opadłem na łóżko, cały się trzęsąc.

W banknotach jednodolarowych miałem sto dziewięćdziesiąt jeden tysięcy czterysta dolarów.

Kiedy skończyłem wszystkie obliczenia, wyszło mi, że mam dziewięćset pięćdziesiąt trzy tysiące pięćdziesiąt dolarów, nie licząc siedmiuset sześćdziesięciu dolców w kieszeni kurtki.

Prawie milion.

Ponieważ było siedemnaście paczek banknotów studolarowych, podzieliłem nominały od piątek do setek na siedemnaście nylonowych toreb. Wypadło prawie pięćdziesiąt tysięcy na torbę - mniej więcej przeciętna roczna pensja. Potem do każdej torby wepchnąłem tyle paczek jedynek, żeby ją wypełnić. W mniejszych torbach przybyło tylko siedemset dolarów. W większych - aż trzy tysiące dwieście. Do trzech dużych worków marynarskich zapakowałem tyle paczek jednodolarówek, że ledwo mogłem je unieść. Został stos jedynek o wysokości sześćdziesięciu centymetrów. Policzyłem warstwy i wyszło mi, że jest tam trzydzieści tysięcy dolarów. Wypełniłem po brzegi tekturowe pudło ze skarbcą, ale zostało jeszcze dwa tysiące pięćset dolarów.

Jezu! Gdzie ja to wszystko schowam?

Z ulicy dobiegło wycie syreny. Wstrzymałem oddech. Kiedy dźwięk się oddalił, wciągnąłem spazmatycznie powietrze i poczułem na czole krople zimnego potu. Syrena przypomniała mi, jak niebezpieczna jest ta okolica.

Przypomniała mi o incydencie w łazience na końcu korytarza i o napadzie na mnie.

Byłem bogaty dopiero od godziny, a już stałem się paranoikiem. Pieniądze nie rozwiązują wszystkich problemów, pomyślałem. One tylko stwarzają nowe.

Zastanawiałem się, która może być godzina. Skoczyłem do biblioteki w Stanville i zobaczyłem, że jest wpół do czwartej nad ranem. Odłożyłem kalkulator na miejsce i już miałem przeskoczyć z powrotem, gdy zerknąłem w górę.

Bibliotekę w Stanville wzniesiono w 1910 roku. Wielki budynek z granitu miał sufity na wysokości czterech i ćwierć metra. Wiedziałem to od bibliotekarki, panny Tonovire, która ćwiczyła na mnie oprowadzanie wycieczek. Kiedy w 1973 roku w bibliotece instalowano klimatyzację, zamontowano wiszący sufit, żeby zasłonić przewody. Był na wysokości około trzech metrów.

Wspiąłem się po półkach z magazynami ilustrowanymi w dziale czasopism i pchnąłem jeden z paneli o wymiarach czterdzieści pięć na dziewięćdziesiąt centymetrów. Uniosłem go i odsunąłem na bok. Nade mną było ciemno.

Skoczyłem z powrotem do pokoju hotelowego i przeniosłem dziesięć toreb do tego przewodu klimatyzacyjnego. Rozmieściłem je tak, żeby równomiernie rozłożyć ciężar. Wstawiłem tam też pudło z jedynkami.

Hotelowy pokój wydawał się pusty bez stosów pieniędzy i pełnych forsy nylonowych toreb. Jedyną torbę, która została, zapiąłem i wsunąłem pod łóżko. Potem zdjąłem buty, zgasilem światło i się położyłem.

Byłem zmęczony, ale mój umysł pracował na najwyższych obrotach - z nerwów, podniecenia, uniesienia, poczucia winy. Nie chcę, żeby mnie złapali. Nie mogą mnie złapać! Zmieniłem pozycję, próbując ułożyć się wygodniej. Mój umysł nie zwolnił. Stale słyszałem hałasy na ulicy i nie mogłem zasnąć. Staralem się uspokoić. Dlaczego mieliby cię złapać? Jeśli będziesz ostrożnie wydawał pieniądze, nic ci nie grozi. Poza tym nie mogliby cię zamknąć, nawet gdyby się zorientowali, że ty to zrobiłeś.

Przewróciłem się na drugi bok.

A biblioteka? Co będzie, jeśli postanowią oczyścić zakurzone wierzchy półek? Nie nabiorą jakichś podejrzeń, kiedy znajdą na nich ślady stóp? Pokręciłem głową i wtuliłem się głębiej w poduszkę. Staralem się głęboko oddychać. Nie zadziało. Próbowałem policzyć od tysiąca do zera, ale widziałem w wyobraźni stosy pieniędzy. Około pięćdziesięciu tysięcy dolarów pod łóżkiem zdawało się napierać na mnie przez materac, wydawało się żywą istotą. Do jasnej cholery, to tylko torba papie-

ru! Walnąłem pięścią w poduszkę, ugniotłem ją i poprawiłem, potem zacisnąłem mocno powieki.

Po jakimś czasie westchnąłem, usiadłem, włożyłem buty i skoczyłem do biblioteki.

Dopiero gdy wytarłem wierzchy wszystkich półek w budynku, a w okna biblioteki zajrzało poranne słońce, odłożyłem ścierkę do kurzu, przeskoczyłem z powrotem do Brooklynu i zasnąłem.

- Jaki zegarek cię interesuje?

- Wodoszczelny, który pokazuje godzinę w kilku różnych strefach czasowych, ma budzik i jest elegancki, ale nie pretensjonalny. Chciałbym, żeby pasował do wyjściowego ubrania, ale nie wyglądał tak, że dostanę w głowę, kiedy będę go miał na ręku w jakiejś niebezpiecznej okolicy.

Sprzedawca się roześmiał. Miał krótko przystrzyżoną brodę i był w jar-mułce, jakie noszą niektórzy Żydzi. To było dla mnie coś nowego - dotąd widziałem jarmułki tylko w telewizji.

- Rozumiem - powiedział. - Ile ma kosztować?

- Nieważne, byle miał to wszystko.

Byłem na Czterdziestej Siódmej ulicy w butik z biżuterią i elektroniką. Wybrałem się najpierw tutaj. Wskoczyłem do metra na stacji Grand Central, potem przeszedłem pozostałe sześć przecznic.

Sprzedawca wyjął z szuflady trzy różne zegarki.

- Wszystkie mają to, o co ci chodzi. Budzik, strefy czasowe i tak dalej. Ten jest najtańszy. Kosztuje pięćdziesiąt pięć dziewięćdziesiąt pięć.

Przyjrzałem się.

- Niezbyt elegancki. Skinał potakująco głową.

- Fakt. Te dwa wyglądają dużo lepiej. Ten - wskazał zegarek w kolorze złota z bransoletą w kolorach złota i srebra - kosztuje trzysta siedemdziesiąt. W promocji dwieście dziewięćdziesiąt pięć. - Wskazał drugi zegarek, płaski z paskiem ze skóry jaszczurki. - Jest skromniejszy, ale ze srebra powleczonego złotem, podczas gdy ten - uniósł zegarek z bransoletą - to anodyzowana stal nierdzewna.

Dotknąłem płaskiego zegarka.

- Ile kosztuje?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt sześć i trzydzieści pięć centów. Zamrugąłem. Sprzedawca zaczął odkładać na bok drogi zegarek.

- Uwielbiam obserwować miny klientów, kiedy im to mówię. Nie jesteśmy sklepem na Piątej Alei. Nie wiem, po co w ogóle go trzymamy.

Uniosłem rękę.

- Wezmę go.

- Ten? - Wskazał zegarek lśniący złotym blaskiem.

- Nie, tamten za tysiąc czterysta. Jaka jest cena z podatkiem? - Sięgnąłem do prawej przedniej kieszeni, gdzie włożyłem dwadzieścia banknotów studolarowych. Kiedy zacząłem je odliczać na ladzie, chwycił kalkulator.

Za jego plecami rząd telewizorów różniących się wielkością i kształtem pokazywał ten sam program, popołudniową telenowelę. Kiedy się skończyła, na ekranach ukazało się logo wiadomości News Before the Hour, potem widok Chemical Bank of New York z zewnątrz. Wpatrzyłem się w obraz. Reporterzy podsuwali mikrofony ponuremu mężczyźnie, który czytał coś z kartki. We wszystkich telewizorach był wyłączony dźwięk.

Sprzedawca zauważył moje zainteresowanie i zerknął za siebie.

- A, ten skok na bank. Szybko ich złapią. Rozbolał mnie brzuch i ugięły się pode mną kolana.

- Tak pan myśli? - zdołałem wykrztusić.

- Milion dolarów znika ze skarbca między jego zamknięciem a otwarciem następnego dnia? To musiała być robota kogoś z wewnątrz. Jeśli tych pieniędzy nie było w skarbcu, kiedy go otworzyli, to nie było ich tam, gdy go zamykali.

- Nic nie słyszałem.

- Podali to w wiadomościach o jedenastej trzydzieści - rzekł sprzedawca, odliczając mi resztę. - Któraś z kasjerek musiała dać cynk mediom. Proszę, wziąłem tysiąc pięćset jedenaście pięćdziesiąt pięć z tysiąca pięciuset dwudziestu, więc zostaje osiem czterdzieści pięć. - Obejrzał się na telewizory. - Ktokolwiek to zrobił, będzie musiał długo trzymać te pieniądze zamelinowane. Schowałem starannie resztę.

- Dlaczego?

- Pewnie wezmą pod ścisłą obserwację wszystkich pracowników z dostępem do skarbca. Jak ktoś wyda choćby centa, z którego nie będzie mógł się wyliczyć, to leży! - Wręczył mi paragon i kartę gwarancyjną. - Coś jeszcze? Może magnetowid, kamerę wideo, komputer?

Wszystko było fajne, ale ja jeszcze nie miałem na to miejsca.

- Może kiedy indziej.

- Zapraszam.

Zjadłem w restauracji Jockey Club w hotelu Ritz Carlton, kawałek na południe od parku. Portier patrzył na mnie dziwnie, kiedy szedłem przez hol i w dół po schodach, ale hostessa zaprowadziła mnie do stolika i była bardzo miła. Wybrałem na lunch najdroższe danie z menu.

Czekając na jedzenie, bawiłem się przyciskami zegarka i przyglądałem innym gościom, żeby zobaczyć, jak są ubrani i jak się zachowują w eleganckim lokalu. Na każdym stoliku stały świeże kwiaty i kelner od razu przyniósł ciepłe bułeczki i masło.

Od czasu odejścia mamy nie miałem dużego doświadczenia w restauracjach. Nauczyła mnie nie tylko jedzenia z zamkniętymi ustami, ale czułem się skrępowany.

Moje danie było smaczne, lecz połowę zostawiłem. Porcja okazała się duża, a nie byłem zbyt głodny. Informacje w telewizji źle na mnie podziałały i znów wpadłem w paranoję.

Chciałem zapłacić kelnerowi, gdy przyniósł rachunek, ale poprawił mnie delikatnie.

- Mogę zanieść pieniądze kasjerce, jeśli pan sobie życzy, albo może pan po prostu zapłacić, kiedy będzie pan wychodził.

Odparłem, że tak zrobię, i myślałem chwilę o tym, jak uprzejmię mi to wyjaśnił, żebym nie poczuł się głupio. Gdyby to był mój ojciec, powiedziałaby: „Płaci się kasjerce, durniu. Ciemny jesteś?”

Zasadnicza różnica. Zostawiłem kelnerowi dwadzieścia dolarów napiwku.

Wydanie pięćdziesięciu dolarów na lunch wydawało się nierzeczywiste, tak jak wcześniej kupno zegarka. Miałem wrażenie, że gram w monopol albo bawię się w udawanie.

Co byś zrobił, Davy, gdybyś był bogaty?

Byłbym szczęśliwy.

Przeciąłem ulicę i wszedłem do Central Parku, zielonego i pełnego bujnej roślinności, jakby nie na swoim miejscu w środku miasta z betonu i stali.

Mogę spróbować.

## Część II

### Pogoń za szczęściem

#### Rozdział 5

Millie poznałem w przerwie musicalu Sweeney Todd, demoniczny fryzjer z Fleet Street wznowionego na Broadwayu. Oglądałem go szósty raz. Pierwszy raz zapłaciłem za bilet, potem po prostu wskakiwałem do niszy z tyłu balkonu pięć po ósmej. Światła były już wtedy zgaszone i bez problemu znajdowałem miejsce siedzące. Jeśli widziałem, że ktoś spóźniony idzie do mojego fotela, schylałem się, jakbym zawiązywał sznurowadło, i przeskakiwałem z powrotem do niszy. A potem lokalizowałem inne wolne miejsce.

Nie miałem nic przeciwko płaceni, ale często dopiero po podniesieniu kurtyny potrafiłem się zdecydować, czy chcę to obejrzeć. W dodatku kasjerka zabierała mi czas, próbując mnie namówić, żebym kupił bilet na następny spektakl. Za duży kłopot.

Jak na czwartkowy wieczór był zaskakujący tłok. Stałem przyciśnięty do poręczy balkonu, piłem drogie piwo imbirowe i obserwowałem kolejki do toalet.

- A ty co się tak uśmiechasz?

Odwróciłem gwałtownie głowę. Przez moment myślałem, że to jedna z bileterek chce mnie wyrzucić, ale zobaczyłem kobietę niewiele starszą ode mnie, choć musiała mieć co najmniej dwadzieścia jeden lat, bo piła szampana.

- Mówi pani do mnie?

- Oczywiście. Może to bezczelność z mojej strony, ale w takim tłoku jesteśmy skazani na zażyłość.

- To prawda. Mam na imię David.

- Millie - przedstawiła się. Była w eleganckiej bluzce i czarnych luźnych spodniach, ładna, bez makijażu, w dużych okrągłych okularach. Dłu-

gie, czarne lśniące włosy miała związane z tyłu. - Więc dlaczego się uśmiechałeś?

Zmarszczyłem brwi.

- Chyba czułem wyższość, że nie muszę stać w kolejce. Czy ta chwilowa zażyłość ma polegać na rozmawianiu o toaletach?

Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Sama bym stała w kolejce, ale wymknęłam się w czasie pierwszego aktu. Pewnie będę musiała to zrobić jeszcze raz. W czym tkwi tajemnica? Masz mocny pęcherz?

Zarumieniłem się.

- Coś w tym rodzaju.

- Czerwienisz się? Kurczę, myślałam, że chłopaki w twoim wieku lubią gadać o potrzebach fizjologicznych. Moi bracia ciągle o tym mówią.

- Gorąco tutaj.

- Fakt. Dobra, nie będziemy więcej rozmawiać o wydalaniu. Sąjeszcie jakieś tematy tabu?

- Raczej nie podsunę ci żadnego pomysłu. Roześmiała się.

- Punkt dla ciebie. Jesteś stąd?

- Tak jakby. Dużo podróżuję, ale na razie mieszkam tutaj.

- Ja nie. Przyjechałam turystycznie. Za dwa tygodnie wracam na uczelnię.

- Gdzie?

- W Oklahomie. Studiuję psychologię. Zastanowiłem się.

- W Stillwater?

- Zgadza się. Chyba rzeczywiście dużo podróżujesz.

- Nie do Oklahomy. Mój dziadek tam studiował, w Wyższej Szkole Rolniczo-Mechanicznej.

- Gdzie się uczysz?

- Nigdzie. Nie mam głowy do nauki. Przyjrzała mi się przez okulary.

- Nie wyglądasz na głupiego. Znów się zarumieniłem.

- Nie spiesz mi się.

Światła zaczęły przygasać do drugiego aktu. Dopiła szampana i wrzuciła plastikowy kubek do kosza na śmieci. Potem wyciągnęła rękę. Uścisnąłem jej dłoń. Potrząsnęła moją mocno dwa razy.

- Miło się z tobą rozmawiało. Baw się dobrze na reszcie spektaklu.

- Wzajemnie.



Plakałem w czasie drugiego aktu. Żona Sweeneya, której wykradziono dziecko i która wpada w obłąd po gwałcie, jest ukazana jako obłąkana żebraczka prostytutka i ginie z ręki męża, gdy jest świadkiem morderstwa swego gwałciciela, sędziego Turpina.

Kiedy pierwszy raz widziałem tę scenę, nie podobała mi się. Dopiero gdy przyłapałem się na tym, że przyglądam się uważnie każdej bezdomnej nędzarce na ulicy, żeby sprawdzić, czy to nie moja matka, uświadomiłem sobie, dlaczego.

Ale nie przestałem się przyglądać bezdomnym kobietom i po jakimś czasie zacząłem wracać na Sweeneya Todda.

Opuściłem finał i skoczyłem na stację Grand Central. To jedno z miejsc, gdzie późną nocą można znaleźć taksówkę. Wyciągnąłem rękę i na ulicę wyskoczył dwudziestoparoletni czarny obdartus.

- Taryfa dla ciebie? Zaraz załatwię.

Mogłem pójść na postój przy Vanderbilt Avenue, ale co tam. Skinąłem głową.

Wetknął do ust chromowany gwizdek policyjny i dmuchnął w niego dwa razy, wywołując ostry, przeraźliwy dźwięk. Nadjechała taksówka, przecięła dwa pasy ruchu i zahamowała. Czarny facet przytrzymał mi drzwi. Wręczyłem mu banknot.

- Hej, człowieku. To kosztuje dwa dolce.

- To jest dziesięć. Cofnął się, zaskoczony.

- O... Fakt. Dziękuję.

Kazałem taksjarsowi wrócić przez Czterdziestą Piątą przed teatr, gdzie wystawiano Sweeneya, i zaparkować przy krawężniku. Stałem na chodniku z jedną nogą w samochodzie i odganiałem ludzi, którzy chcieli wsiąść.

- Ta taksówka jest zajęta. Nie zwalniam jej. Przykro mi. Nie, nikogo nie wezmę. Czekam na kogoś. Zaczynałem wątpić, czy to był dobry pomysł, kiedy w końcu pojawiła się Millie. Wyglądała bardzo po nowojorsku z torebką przewieszoną przez ramię i zdecydowaną miną.

- Millie!

Odwróciła się z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- David? Jak ci się udało złapać taksówkę? Wzruszyłem ramionami.

- Czary. Podwiozę cię. Podeszła bliżej.

- Nie wiesz, w którą stronę jadę.

- To mi powiedz.

- Mieszkam w Village.
  - Da się wytrzymać. Wsiadaj. - Wpuściłem ją do środka i rzuciłem do kierowcy: - Sheridan Square.
  - Zmarszczyłem brwi. „Da się wytrzymać”? Tak mawiał mój stary. Zastanowiłem się, w czym jeszcze jestem do niego podobny.
  - Gdzie to jest? - spytała Millie.
  - W samym sercu Village. W pobliżu są naprawdę wspaniałe restauracje. Nie jesteś głodna?
  - Co to ma być? Myślałam, że po prostu jedziemy jedną taksówką- powiedziała, ale się uśmiechnęła. - Ile będzie kosztował ten kurs? Miałam wrócić metrem. Nie uwzględniłam w moim budżecie dodatkowego wydatku. Słyszałam, że nie ma szans na złapanie taksówki, kiedy ludzie wychodzą z teatrów.
  - To prawda. Gdy na ciebie czekałem, czułem się jak na planecie zom-bich polujących na taksówki.
  - Czekałeś na mnie? - Przez moment wyglądała na zdenerwowaną. - Matka mi mówiła, żebym nie rozmawiała z obcymi. Więc ile będzie kosztowała taksówka?
  - Daj spokój. Zaproponowałem ci transport, nie pół taksówki. I zapraszam na kolację, jeśli masz ochotę.
  - Hm. Ile masz lat?
- Zaczerwieniłem się i spojrzałem na zegarek.
- Za czterdzieści siedem minut będę miał osiemnaście. - Odwróciłem się od niej i popatrzyłem na mijane światła i chodniki. Przypomniałem sobie zdarzenia w okolicy moich siedemnastych urodzin i wzdrygnąłem się.
  - W takim razie najlepsze życzenia prawie urodzinowe. - Zapatrzyła się w przestrzeń. - Zachowujesz się bardziej dojrzałe. Ubierasz się z klasą i nie mówisz jak nastolatek.
- Wzruszyłem ramionami.
- Bardzo dużo czytam... i stać mnie na to, żeby się tak ubierać.
  - Musisz mieć dobrą pracę.
- Zastanowiłem się, co robię w tej taksówce z tą kobietą.
- Ja nie pracuję, Millie. Nie muszę.
  - Twoi rodzice są aż tacy bogaci?
- Pomyślałem o moim starym, sknerze z cadillakiem i butelką.
- Ojciec dobrze sobie radzi, ale nic od niego nie biorę. Mam własne Pieniądze. Odsetki bankowe.
  - Nie uczysz się i nie pracujesz? Więc co robisz? Uśmiechnąłem się ponuro.
  - Bardzo dużo czytam.

- Już to mówiłeś.

- Taka jest prawda.

Popatrzyła przez okno po swojej stronie taksówki. Obiema rękami ścisnęła mocno torebkę. W końcu odwróciła się do mnie.

- Jadłam przed spektaklem, ale chętnie wypiłabym cappuccino albo espresso w jakiejś kawiarni. Parę dni po obrobieniu banku, kiedy trochę się uspokoiłem, przeniósłem się do hotelu Gramercy Park. Przez jakiś czas było fajnie, ale po miesiącu atmosfera hotelu i wielkość pokoju zaczęły na mnie źle działać.

Najpierw próbowałem znaleźć mieszkanie w Village, ale choć mogłem sobie pozwolić na coś takiego, w większości miejsc wymagano referencji, dowodu tożsamości i numeru konta bankowego, czego nie miałem. W końcu znalazłem mieszkanie w East Flatbush za połowę tamtych pieniędzy i bez połowy tamtych kłopotów. Wynająłem je na rok i zapłaciłem gospodarzowi przekazami pocztowymi kaucję i czynsz za trzy miesiące.

Wydawał się zadowolony.

Krótko po wprowadzeniu się dokonałem drobnych napraw, dodałem po obu stronach drzwi stalowe wsporniki, żeby utrzymały antaby trzy na sześć centymetrów, i zamurowałem garderobę w przedpokoju. Kiedy skończyłem, za ślepa ścianą pozostało pomieszczenie bez wejścia.

Ale nie dla mnie.

Nikt o niczym nie wiedział, bo hałasowałem tylko w dzień, kiedy moi sąsiedzi z dołu byli w pracy, a materiały ze składu drewna w Yonkers transportowałem skokami prosto do mieszkania. Nikt nie widział, żebym wnosił do domu kantówki czy gotową masę szpachlową Sheetrock.

Potem zabrałem pieniądze z biblioteki i ułożyłem je na półkach w ukrytej szafie. Poświęciłem cały tydzień na zastąpienie gumowymi opaskami papierowych banderol bankowych, które paliłem w kuchennym zlewie.

Przedtem bałem się, że zjawię się w bibliotece i zastanę tam czekającego na mnie policjanta. Teraz obawiałem się, że przyjdzie gospodarz i spyta, co zrobiłem z garderobą w przedpokoju.

Jej zamurowanie wyszło doskonale, co znacznie poprawiło mi nastrój. Nie kupiłem tego za pieniądze. Nikt mnie w tym nie wyręczył. Byłem z siebie bardzo zadowolony.

Postanowiłem wykonywać w przyszłości więcej prac fizycznych.

Kiedy się meblowałem, kupowałem tylko takie rzeczy, które mogłem unieść, albo rozbierane na części. W ten sposób mogłem wszystko transportować skokami prosto do mieszkania.

Większość moich mebli stanowiły półki na książki, a większość innych zakupów - książki. Millie została w Nowym Jorku cztery dni dłużej. Pozwoliła, żebym z nią poszedł do kilku tradycyjnie odwiedzanych miejsc - ZOO w Bronk-sie, Metropolitan Museum, Empire State Building. Zabrałem ją na dwa spektakle na Broadwayu i na kolację do Tavern on the Green. Zgadzała się niechętnie.

- To bardzo miłe z twojej strony, Davidzie, ale jesteś trzy i pół roku młodszy ode mnie. Nie podoba mi się, że wydajesz na mnie pieniądze. Podejrzewam, że to podstęp.

Byliśmy w Central Parku. Szliśmy właśnie przez Sheep Meadow do alei dla pieszych. Pod niebem unosiły się kolorowe latawce. Chodnikiem po drugiej stronie parkanu przejeżdżały grupki rowerzystów.

- Jaki podstęp? Nie mam żadnych ukrytych zamiarów. Stać mnie na wydawanie pieniędzy i lubię spędzać z tobą czas. Nie jestem wtedy sam. Tylko o to mi chodzi. Nie miałbym nic przeciwko czemuś więcej, ale nie spodziewam się, że to kupię. A ta gadka o różnicy wieku to jakieś seksistowskie bzdury. Zaskoczyłaś mnie.

Zmarszczyła brwi.

- Co w tym seksistowskiego?

- Gdybym był trzy lata starszy od ciebie, romans byłby możliwy, a nawet prawdopodobny.

Spotykałaś się kiedyś z kimś starszym od ciebie o trzy lata?

Zaczerwieniła się.

- Myślę - ciągnąłem - że to jest akceptowane w społeczeństwie, bo starsi mężczyźni mają więcej dóbr i dzięki temu są lepszymi konkurentami. Chyba to jest główną przyczyną. A może te bzdety o ich męskości. Starsze byki żyją dłużej, więc można im pozazdrościć genów. Podzielasz te przestarzałe poglądy? Zamierzasz pozwolić, żeby męskie wyobrażenie o tym, jaka powinna być, miało decydujący wpływ na to, jakiego wyboru dokonasz?

- Daj mi spokój! Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli nie chcesz się ze mną spotykać z innych przyczyn, po prostu powiedz. Tylko mi nie mów o różnicy wieku. - Popatrzyłem na swoje buty ' dodałem ciszej: - Mam dość problemów z powodu mojego wieku.

Długo się nie odzywała. Minęliśmy kawiarnię z fontanną. Zaczęły mnie piec uszy i byłem na siebie wściekły - nie wiadomo dlaczego niemal zawstydzony. Żałowałem, że się w porę nie zamknąłem.

- To niesprawiedliwe - powiedziała w końcu. - Takie mamy nastawienie, taki sposób myślenia. Uczą nas tego od dziecka. - Zatrzymała się, kiedy znów byliśmy na chodniku, i usiadła na pobliskiej ławce. - Spróbuję inaczej. Oboje nie powinniśmy się angażować, skoro jutro odlatuję do Stillwater.

Znów wzruszyłem ramionami.

- Mówiłem ci, że dużo podróżuję. Uniwersytet w Oklahomie nie jest mi całkiem nie po drodze.

Pokręciła głową.

- Sama nie wiem.

- Chodź. - Chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem do góry. - Postawię ci lody.

Roześmiała się.

- Nie, to ja ci postawię. Mój budżet jeszcze to wytrzyma. - Nie puściła mojej ręki, kiedy wstała. - I postaram się nie mieć uprzedzeń.

- Jakich uprzedzeń?

- Po prostu uprzedzeń. Różnych. Zamknij się. I przestań się uśmiechać.

Do domu mojego starego wróciłem dopiero po wynajęciu mieszkania. W Gramercy Park pranie robił mi hotel, a jeśli nie chciałem wychodzić, jadłem w pokoju, więc nie musiałem skakać do Stanville.

Ale drugiego dnia w mieszkaniu potrzebowałem młotka i gwoździa, żeby powiesić oprawioną grafikę, którą kupiłem w Village. Mogłem skoczyć do sklepu, lecz chciałem ją powiesić właśnie w tym momencie.

Skoczyłem od razu do garażu starego i poszukałem na półkach gwoździa. Znalazłem go i właśnie sięgałem po młotek, kiedy usłyszałem kroki. Zerknąłem przez okno w drzwiach garażu i zobaczyłem dach samochodu starego.

No tak. To sobota.

Drzwi garażu zaczęły się otwierać, więc przeskoczyłem z powrotem do mojego mieszkania.

Przy wbijaniu gwoździa dwa razy uderzyłem w kciuk. Kiedy powiesiłem grafikę, okazało się, że wisi za nisko, i musiałem zrobić wszystko od początku. Ponownie uderzyłem się młotkiem w palec.

Niech to szlag!

Skoczyłem do garażu, rzuciłem młotek na blat warsztatowy i przeskoczyłem z powrotem do mieszkania.

Dobrze mu tak, pomyślałem o starym. Znów pobiegnie do garażu i nikogo nie zastanie.

W następnym tygodniu skoczyłem do domu, a kiedy stwierdziłem, że starego nie ma, zrobiłem pranie. Czekaając, aż pralka się wyłączy, chodziłem po pokojach i patrzyłem, co się zmieniło. W domu panował dużo większy porządek niż cztery tygodnie wcześniej, gdy robiłem poprzednie pranie. Zastanawiałem się, czy stary wynajął kogoś do sprzątanía. W jego pokoju był bałagan. W kącie leżały sterta brudnych skarpetek i koszula, a na oparciu krzesła wisiały krzywo spodnie. Przypomniałem sobie, jak znalazłem portfel z banknotami studolarowymi, kiedy rozbierałem starego.

Na to wspomnienie jak zwykle rozboleł mnie tył głowy. Większość tamtych pieniędzy straciłem, kiedy mnie napadnięto w Brooklynie. Poczulem się winny.

Cholera.

Przeskok do mojej szafy z pieniędzmi, wyciągnięcie dwudziestu dwóch banknotów studolarówek i skok z powrotem zajęły mi niecałe pół minuty. Banknoty tworzyły ładny wzór na narzucie jego łóżka - pięć rzędów po cztery setki i po jednej setce z obu stron.

Wyobraziłem sobie, jak stary wraca do domu i znajduje te pieniądze. Delektowałem się jego zaskoczeniem i słyszałem język, jakiego używa.

Kiedy wyjąłem ubrania z suszarki, postanowiłem poszukać sobie innego miejsca do robienia prania. Nie chciałem być mu nic winien.

Zdecydowałem, że odtąd będę brał tylko rzeczy z mojego pokoju, należące do mnie. Nie wezmę niczego, co jest jego własnością.

Zacząłem szukać innych skoczków. Robiłem to w miejscach, gdzie czulem się najlepiej - w bibliotekach. Moim źródłem były książki o okultyzmie i percepcji pozazmysłowej, które wcześniej wyśmiewałem. Kiedyś uważałem, że to tylko folklor. Teraz czytałem je z wielką uwagą.

Znalazłem mnóstwo książek o dość dziwacznych zjawiskach - deszczach żab, kręgach na polach pszenicy, nawiedzeniach, przepowiedniach, ludziach pamiętających poprzednie wcielenia, zginaczach łyżeczek, różdż-karzach, telepatii i UFO.

O teleportacji było bardzo niewiele.

Przeniosłem się z biblioteki w Stanville do działu naukowego nowojorskiej biblioteki publicznej, tej z lwami od frontu. Tam znalazłem więcej materiału, jednak dowody nie były zbyt przekonujące. Ale zaraz - właściwie jakie dowody?

Mój dar wydawał się możliwy do udokumentowania. To było coś, co można powtórzyć, co da się potwierdzić.

- Jumper

Chyba.

Szczerze mówiąc, wiedziałem tylko tyle, że ja to mogę powtórzyć, że moje przeżycie jest do powtórzenia. Nie teleportowałem się na oczach bezstronnych świadków. I nie zamierzałem. Jedynym obiektywnym dowodem, jaki mogłem wskazać, był skok na bank. W końcu pisali o tym w gazetach. Może więc poszukiwania innych teleporterów powinny polegać na studiowaniu doniesień o przestępstwach, których sprawcy nie zostali wykryci?

Bzdura. Jak to pomoże w znalezieniu innych teleporterów? Nawet nie da gwarancji, że są inni teleporterzy, tylko potwierdzi, że istnieją niewykryci sprawcy przestępstw.

Zniechęcony, przerwałem poszukiwania i zająłem się inną kwestią.

Dlaczego mogę się teleportować? Nie jak, tylko dlaczego.

Czy każdy mógłby się teleportować, gdyby się znalazł w rozpaczliwym położeniu? Raczej nie. Zbyt wielu ludzi było w takich sytuacjach i po prostu wytrzymywali to, cierpieli albo załamywali się.

Jeśli unikali nieszczęścia, to zwykłymi sposobami, często - jak ja podczas przygody z Topperem - uciekając z deszczu pod rynnę. A może jednak ktoś wyszedł cało z opresji w taki sam sposób jak ja.

Ale dlaczego właśnie ja? Czy to dziedziczne? Myśl, że mój stary potrafi się teleportować, mroziła mi krew w żyłach. Sprawiała, że zaglądałem w ciemne kąty i oglądałem się za siebie. Tłumaczyłem sobie, że to niemożliwe. Było przecież wiele takich sytuacji, że skoczyłby, gdyby mógł.

Powtarzałem to sobie setki razy, a jednak wciąż czułem niepokój.

Czy mama potrafi się teleportować? Czy to właśnie zrobiła - odskoczyła od starego jak ja? Ale dlaczego mnie nie zabrała? Dlaczego po mnie nie wróciła?

A jeśli nie może się teleportować, to co się z nią stało?

Całe życie podejrzewałem, że jestem inny niż wszyscy, że jestem jakimś odmieńcem. Może również dlatego stary tak mnie traktował.

Według tego, co pisano w książkach, rząd zatajał wszystkie informacje o tajemniczych zjawiskach, ukrywał dowody, uciszał świadków i fabrykował wyjaśnienia.

Zupełnie jak mój stary. W naszym domu fakty stale się zmieniały. Zakazy i rozkazy były ciągle inne, zdarzenia imitowały, wspomnienia blakły. Często zastanawiałem się, czy to ja jestem nienormalny czy on.

Nie sądziłem, żebym był odmieńcem... ale nie byłem pewien.

Gospodarz dziwnie na mnie spojrzał, kiedy spytałem, czy mógłbym opłacić miesięczny czynsz gotówką.

- Gotówką? Nie ma mowy. Wystarczająco kłopotliwe były dla mnie tamte przekazy. Dlaczego nie masz konta w banku? Chcesz, żeby przyczepił się do mnie urząd skarbowy?

- Nie.

Zmrużył oczy.

- Oni biorą pod lupę duże transakcje gotówkowe. Mam nadzieję, że z twoimi dochodami wszystko jest w porządku.

- Oczywiście - zapewniłem. - Po prostu po ostatniej podróży zostało mi dużo gotówki. - Piekły mnie uszy i czułem ucisk w żołądku.

Później tego samego dnia znów dałem mu przekaz pocztowy. Nie był zadowolony.

Kobieta przy telefonie powiedziała mi, że aby otworzyć rachunek w jej banku, muszę pokazać prawo jazdy i podać numer ubezpieczenia społecznego. Nie miałem ani jednego, ani drugiego.

Rozmawiałem z nią z automatu. Bałem się zakładać telefon bez dowodu tożsamości.

Włożyłem do kieszeni tysiąc dolarów i skoczyłem na Manhattan, na zachód od Times Square, gdzie wzdłuż Czterdziestej Drugiej ulicy i Ósmej Alei ciągną się księgarnie dla dorosłych i kina porno.

Przez dwie godziny proponowano mi prochy, dziewczyny, chłopców i dzieci. Jeden gość powiedział, że może załatwić prawo jazdy, ale zrobił to tylko po to, żeby mnie zwabić w zaułek,

gdzie chciał mnie obrobić. Skoczyłem w porę i na resztę dnia dałem sobie spokój z poszukiwaniami.

Biblioteka publiczna w Stanville mieści się na granicy śródmieścia, w kwartale trzy na dwie przecznice, gdzie znajdują się inne budynki użyteczności publicznej, a także kilka restauracji i plajtujących sklepów. Interesy śródmieścia przejął supermarket Wal-Mart na krańcu Stanville i duże centrum handlowe w odległym o trzydzieści kilometrów Waverly.

Szedłem Main Street i myślałem o tym, jak bardzo to małe miasto różni się od Nowego Jorku.

Na płycie ze sklejki od frontu zamkniętego na głucho kina Royale widniał, napis „Ogiery rządzą!”

W Nowym Jorku na kinach widywałem obsceniczne lub agresywne graffiti, a nie przechwałki sportowej reprezentacji szkoły średniej. Ale w Nowym Jorku na samym tylko Manhattanie było ponad pięćdziesiąt kin, nie licząc tych z filmami porno. W Stanville jedyne kino splajtowało - nie wytrzymało konkurencji wideo. Aby obejrzeć film na dużym ekranie, trzeba było jechać do multipleksu w Waverly.

Porównywanie tutejszych restauracji z nowojorskimi nie miało sensu, ale mnogość i różnorodność tamtych doceniłem po wejściu do Dairy Queen. Cegła, wysokie okna i jarzeniówki. Atmosfera i urok pokoju badań



lekarskich. Przyszło mi do głowy siedem miejsc w Greenwich Village, gdzie podano by mi wszystko, od pysznych lodów przez mrożony jogurt do ciasta z kremem bawarskim. Mogłem tam być w mgnieniu oka.

- Poproszę rożek lodowy.

Nie znałem starszej kobiety za kontuarem, ale hamburgery smażył Robert Werner, który chodził ze mną na zajęcia z biologii. Podniósł wzrok znad grilla i zmarszczył brwi, jakby mnie znał, ale nie pamiętał skąd. Zrobiło mi się przykro, że mnie nie poznał.

- Siedemdziesiąt trzy centy.

Zapłaciłem. W Village wydałbym sporo więcej. Kiedy wróciłem do jednej z laminowanych plastikami łóż, zobaczyłem swoje odbicie w lustrze biegnącym wzdłuż tylnej ściany. Nic dziwnego, że Robert mnie nie poznał.

Byłem w luźnych spodniach od Bergdorfa, w koszuli, którą wcisnął mi jakiś zarozumiały sprzedawca na Madison Avenue, i w butach od Saksy przy Piątej Alei. Staranna fryzura, trochę na punka, bardzo się różniła od potarganej szopy, którą miałem na głowie przed rokiem. Wtedy chodziłem w wytartych, źle dopasowanych dżinsach, koszulach w gryzące się wzory, trzyletnich tenisówkach i dziurawych skarpetkach.

Przez dłuższą chwilę patrzyłem w lustro i aż się wzdrygnąłem na wspomnienie swojego wcześniejszego wyglądu. Usiadłem, odwróciłem się od lustra i zacząłem jeść lody.

Z kuchni przyszedł Robert, żeby przygotować jeden z sąsiednich stolików. Znow na mnie spojrzął, wciąż zaintrygowany.

Co za cholera?

- Jak leci, Robert?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- W porządku. A co u ciebie? Dawno się nie widzieliśmy. Nadal mnie nie poznawał.

Roześmiałem się.

- Można tak powiedzieć. Ponad rok.

- Ostatnim razem u...? - urwał, jakby próbował sobie przypomnieć i zachęcał mnie, żebym wypełnił lukę w jego pamięci.

- Sam sobie przypomnij. Nie pomogę ci. Zdenerwował się.

- Dobra, do cholery. Znam cię, ale nie wiem skąd. Daj mi spokój! Pokręciłem głową i ugryzłem rożek.

Odwrócił się, żeby dokończyć przygotowywanie stolika, potem nagle się wyprostował.

- Davy? Chryste, Davy Rice!

- Bingo.
- Myślałem, że jesteś gdzieś w wielkim świecie. Skrzywiłem się.
- Poetycko powiedziane.
- Wróciłeś do domu?
- Nie! - Zamrugalem zaskoczony siłą swojego głosu. - Nie - powtórzyłem ciszej. - Po prostu odwiedzam stare śmieci.
- Aha. - Włożył ręce do kieszeni. - Dobrze wyglądasz. Zupełnie inaczej. Wzruszyłem ramionami.
- Radzę sobie.
- Gdzie teraz mieszkasz?
- Chciałem skłamać, ale wydało mi się to żalosne.
- Wolę nie mówić. Zmarszczył brwi.
- O! Twój stary jeszcze wiesz tamte plakaty?
- Chryste, mam nadzieję, że nie. Zaczął wycierać stolik.
- Będziesz tu w sobotę? U Sue Kimmel jest impreza. Poczulem, że się czerwienię.
- Nigdy się nie trzymałem z tamtą paczką. Połowa z nich jest w college'^ Nie będą mnie tam chcieli. Wzruszył ramionami.
- Bo ja wiem? Może zwracają za dużo uwagi na ciuchy i takie rzeczy. Zaprosili mnie tylko dlatego, że moja siostra kumpluje się z Sue. Teraz ty pasujesz do nich bardziej niż ja. Jak chcesz pójść, to cię zabiorę.
- Chryste, musiałem się strasznie zmienić.
- Chodzisz z kimś?
- Właściwie nie. Spotykam się trochę z Trish McMillan. Będzie u Sue. Ale to żadne chodzenie.
- To miłe z twojej strony, że mnie zapraszasz. Zamrugał.
- Wiesz... to nie jest tak, że się wkręciłem w lepsze towarzystwo. Może coś mi doradzisz w sprawie mojego wyglądu.
- Chętnie. Pracujesz tu cały tydzień?
- Tak, nawet w soboty, do szóstej. Haruję, żeby zarobić na college.
- O której będziesz mógł wyjść?
- Może o ósmej.
- Jeździsz czymś? Wskazał parking.

- Tamtym starym rzęchem.

Wzięłem głęboki oddech. Nie chciałem iść do jego domu. Nie wiedziałem, jak zareagują jego rodzice i co powiedzą mojemu staremu. Ale ta impreza... hm, naprawdę mnie kusila.

- Będziesz mógł mnie zabrać stąd?

- Jasne. Sobota, punkt ósma.

Tego wieczoru długo rozmawiałem z Millie. Było to frustrujące, bo dzwoniłem z automatu i ciągle musiałem wrzucać ćwierćdolarówki.

- Jak tam na uczelni?

- W porządku. Jeszcze na dobre nie zaczęłam studiów. To dopiero pierwszy miesiąc.

Nagrany głos znów poprosił, żebym dopłacił. Wrzuciłem kilka ćwierć-dolarówek. Millie się roześmiała.

- Musisz sobie założyć telefon.

- Pracuję nad tym. W Nowym Jorku założenie telefonu... Jak to załatwię, zadzwonię i podam ci mój numer.

- Dobra.

Stałem przy automatach w tylnym holu hotelu Grand Hyatt przy stacji Grand Central. Na półce przede mną leżała kupka ćwierćdolarówek. Mijali mnie ludzie idący do toalet. Od czasu do czasu ochroniarz w garniturze wyprowadzał tych, którzy chcieli skorzystać z łazienki, ale nie byli gośćmi Hyatta, głównie czarnych, nędznie ubranych, z rzeczami osobistymi w plastikowych torbach. Irytowało mnie to, bo ochroniarz sam był czarny.

- Co mówiłaś?

Millie była zniecierpliwiona.

- Że jestem zaproszona na imprezę za dwa tygodnie. Nie chcę na nią iść, bo będzie tam Mark.

- Twój były chłopak?

- Tak. Uważa, że nadal jesteśmy parą.

- Dlaczego? Mówiłaś, że nie odpowiadasz na jego telefony i nie wpuszczasz go do swojego mieszkania.

- Bo tak jest. Ale to go nie zraża. Sukinsyn nie daje mi spokoju, chociaż wiem, że spotyka się z kimś innym.

- Hm. Coś mi się zdaje, że jednak chętnie byś poszła na tę imprezę.

- Fakt. Niech to szlag. Nie chcę, żeby moje decyzje zależały od tego, czy się z nim widuję czy nie. To mnie wkurza.

- Mógłbym...

Znów musiałem wrzucić monetę.

- Co mówiłeś, David?
- Mógłbym z tobą pójść, gdybyś chciała.
- Bądź realistą. Jesteś w Nowym Jorku.
- Oczywiście. Teraz. Za dwa tygodnie mógłbym być w Stillwater. Milczała chwilę.
- Byłoby fajnie. Ale uwierzę, jak to zobaczę.
- Możesz na mnie liczyć! Odbierzesz mnie z lotniska czy mam wziąć taksówkę?
- Chryste! Żaden taksówkarz nie pojedzie z lotniska do Stillwater. To prawie sto kilometrów. Odbiorę cię, ale dopiero po zajęciach.
- Dobra.
- Mówisz poważnie?
- Jasne.
- W takim razie okej. Daj mi znać.

W ten sposób miałem co robić w dwa następne sobotnie wieczory. Pożegnałem się i rozłączyłem. Ochroniarz wyszedł z toalety, trzymając się parę kroków za kolejną osobą z ulicy. Zgarnąłem z półki resztę ćwierćdolarówek i wrzuciłem do jednej z plastikowych toreb tego faceta. Spojrzał na mnie zaskoczony i chyba trochę przestraszony. Ochroniarz zmiażdżył mnie wzrokiem. Poszedłem za róg i odskoczyłem stamtąd.

Leo Pasquale był boyem w Gramercy Park, przyjemnym hotelu, gdzie wynajmowałem pokój, zanim znalazłem mieszkanie. Wygrał rywalizację personelu o moje względy.

Dawałem duże napiwki.

- Witam, panie Rice. Miło pana widzieć. Skinąłem głową.
- Cześć, Leo.
- Wrócił pan do nas? Który pokój? Pokręciłem głową.
- Nie. Mam już mieszkanie. Ale mógłbyś mi w czymś pomóc. Obejrzał się na portiera i wskazał głową windę.
- Chodźmy na dziesiąte.
- Okej.

Na dziesiątym piętrze poprowadził mnie korytarzem i otworzył jakiś Pokój kluczem uniwersalnym.

- Wchodź - powiedział.

Wpuścił mnie do apartamentu. Otworzył drzwi i wyszliśmy na wielki balkon, prawie taras. Było ładne popołudnie, ciepłe, ale nie duszne. Hałas

uliczny docierał z Lexington Avenue na górę jak fale przyboju. Budynek wyrastał wokół nas niczym klify.

- Co ci jest potrzebne, David? Panienki? Jakies relaksujące dragi? Wyjąłem z kieszeni pieniądze i odliczyłem pięć banknotów studolaro-

wych. Wręczyłem mu je, trzymając w drugiej ręce pozostałe pięćset tak, że były widoczne.

- To zaliczka. Resztę dostaniesz przy dostawie. Oblizął wargi.

- Przy dostawie czego? Zawahałem się.

- Jest mi potrzebne prawo jazdy wydane w stanie Nowy Jork, na tyle dobre, że przejdzie kontrolę policyjną.

- Rany, człowieku. Możesz kupić fałszywe prawko za niecałą stówę... dobre za mniej niż dwieście pięćdziesiąt.

Pokręciłem głową.

- Ta forsa jest tylko za znalezienie źródła, Leo. Nie zapłacę za fałszywy dokument z tego tysiąca. To jest suma za skontaktowanie mnie z ekspertem. Sam się z nim rozliczę za jego usługę.

Leo uniósł brwi i znów oblizął wargi.

- I cały tysiąc będzie mój?

- Jak załatwisz sprawę. Ale jeśli prawko będzie kiepskie, nie dostaniesz drugiej połowy. Znajdź mi specja, to reszta forsy będzie twoja. Możesz to zrobić?

Potarł banknoty palcami, jakby chciał poczuć fakturę papieru.

- Jasne. Na pewno. Nie znam osobiście nikogo takiego, ale znam mnóstwo nielegalnych z naprawdę dobrymi papierami. Masz jakiś numer telefonu, pod którym będę mógł cię złapać?

Uśmiechnąłem się.

- Nie.

- Ostrożny jesteś. Pokręciłem głową.

- Po prostu nie mam telefonu. Zgłoszę się do ciebie. Kiedy będziesz coś wiedział?

Złożył starannie pieniądze i schował do kieszeni.

- Spróbuj jutro.

Zapłaciłem bezdomnemu dwadzieścia dolarów za wejście do sklepu z alkoholem i kupno półtoralitrowki jakiegoś droższego szampana. Wyszedł z dużą butelką w jednej ręce i flaszką taniego wina pod drugą pachą.

- Trzymaj, młody. Życzę dobrej imprezy. Ja się zabawię jak cholera.

Pomyślałem o moim starym. Zastanawiałem się, czy nie zabrać gościowi jego wina i skoczyć, zanim zdąży cokolwiek zrobić. Zamiast tego podziękowałem mu uprzejmie i skoczyłem z powrotem do mojego mieszkania, gdy tylko się odwrócił.

Szampan ledwo się zmieścił w mikroskopijnej lodówce - na leżąco, nie na stojąco, i nawet w tej pozycji zawadzał o drzwi. Przystawilem do nich krzesło, żeby się nie otwierały.

Następne dwie godziny spędziłem na Piątej Alei, kupując ubrania i buty. Kilku sprzedawców nawet mnie pamiętało. Potem poszedłem do mojego fryzjera w Village i ostrzygłem włosy.

Przecież nie lubisz tych ludzi, Davy. Po co tyle zachodu?

Ogoliłem się, usuwając z twarzy rzadki zarost zaledwie kilkoma ruchami. Postanowiłem kupić elektryczną golarkę. Miałem nadzieję, że do wieczora krwawienie ustanie. Zobaczyłem w lustrze spokojną minę. Ani śladu nerwów, ucisku w żołądku czy walenia serca. Starłem wilgotnym palcem kropelki krwi.

Cholera.

Do imprezy zostały jeszcze trzy godziny, ale nie chciało mi się ani czytać, ani spać, ani oglądać telewizji. Włożyłem jakieś stare, wygodne ubranie, które zabrałem ze sobą do Nowego Jorku, i skoczyłem do ogrodu za domem mojego starego.

Samochodu nie było. Skoczyłem do mojego pokoju.

Na biurku i parapecie okiennym zobaczyłem cienką warstwę kurzu. Pachniało lekko stęchlizną. Spróbowałem otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Pociągnąłem mocniej - ani drgnęły.

Przeskoczyłem na korytarz.

Do framugi i drzwi był przyśrubowany jasny, lśniący skobel. Wisiała na nim wielka mosiężna kłódka. Podrapałem się w głowę. Co jest? Poszedłem do kuchni i znalazłem na lodówce kartkę.

„Davy

O co Ci chodzi? Dlaczego po prostu nie wrócisz do domu? Obiecuję, że więcej Cię nie uderzę.

Przepraszam za tamto. Czasem mnie ponosi. Wolałbym, żebyś tu stale nie przychodził, chyba że już zostaniesz na dobre. To mnie przeraża. Mogę Cię wziąć za włamywacza i przypadkowo postrzelić.

Wróc do domu, dobrze?

tata"

List był przyczepiony do lodówki magnesem, który ozdobiłem w szkole podstawowej zielono-niebieskapeczynąmodeliny. Wyciągnąłem kartkę spod magnesu i zmiąłem w kulkę.

Kolejne obietnice. W przeszłości było dość niedotrzymanych obietnic. Po namyśle odwinąłem róg listu i włożyłem go z powrotem pod magnes. Papierowa kulka wisiała na lodówce przycięta pecyną kolorowej mode-liny.

Zobaczymy, co stary o tym pomyśli.

Byłem zły i bolała mnie głowa. Po co ciągle tu wracam? Wziąłem z kuchennego blatu duży słoik mąki z drewnianą pokrywką i podrzuciłem go wysoko do góry. Zwolnił tuż pod sufitem, zawisł w powietrzu i opadł. Zanim uderzył w podłogę, skoczyłem.

Rozdział 6

Chryste, skąd ty bierzesz takie ciuchy?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszyłem ramionami i wsiadłem do samochodu Roberta. Sprężyny zaskrzypiały i musiałem dwa razy trzasnąć drzwiami, żeby się zamknęły. Położyłem butelkę szampana na siedzeniu między nami. Na szyjce miała zawiązaną białą kokardkę.

Robert wytoczył się ostrożnie z parkingu. Samochód zakołysał się, kiedy przejeżdżaliśmy przez ściek.

- Amortyzatory są do wymiany - powiedział.

- Aha. Ile osób ma być na tej imprezie? Machnął wolną ręką.

- Z pięćdziesiąt, może sto, kto wie. Sue zamówiła kapelę. Stać ją na to.

- A co będą robili jej starzy?

- Wyjechali. Bardzo dobrze.

Samochodów było tyle, że musieliśmy zaparkować w połowie drogi między przecznicami. Przed frontowymi drzwiami stał tłum futbolistów ze szkoły średniej w Stanville z puszkami piwa oraz papierosami w rękach i ustach. Przepchnęliśmy się między nimi.

- Kim jest twoja panienka, Robert? - zawołał jeden z nich.

Robert szedł dalej, jakby nie usłyszał, ale zobaczyłem, że poczerwieniał mu kark. Zatrzymałem się przy drzwiach i obejrzałem. Wszyscy szczyrzyli zęby. Ten, który się odezwał, nazywał się Kevin Giamotti. W podstawówce wymuszał ode mnie pieniądze na lunch. Patrzyłem na niego przez chwilę.

Chryste, to jeszcze szczeniak!

Pokręciłem głową i zacząłem się śmiać. W porównaniu z tamtymi facetami w zaułku niedaleko Times Square Kevin był dzieciakiem. I miałem się go bać? Śmieszne.

Kevin przestał szczerzyć zęby.

- Co? - Zrobił groźną minę.

- Nic - odrzekłem i machnąłem ręką. - Zupełnie nic. - Odwróciłem się z jeszcze głośniejszym, niemal niekontrolowanym śmiechem i wszedłem do domu.

Sue Kimmel stała na końcu holu i rozmawiała z jakąś parą, która była dużo bardziej zainteresowana dotykaniem się niż słuchaniem jej.

- Jesteście aż tacy napaleni na siebie? - spytała. - Bar jest w salonie. Jeśli chcecie pić, oddajcie kluczyki Tommy'emu. To ten za barem.

Para odeszła, przytulając się i całując.

- Cześć, Robert. Kto to?

Robert otworzył usta, ale go ubiegłem.

- David - przedstawiłem się szybko. Wyjąłem zza pleców butelkę i wręczyłem jej z lekkim ukłonem. - Dzięki za zaproszenie.

Uniosła brwi i przyjęła szampana.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Bollinger? Klasa. Tutaj go nie sprzedają. - Przesunęła palcem po zroszonym szkle. - Skąd go wzięłeś?

Przełknąłem ślinę.

- Z mojej lodówki. Roześmiała się.

- Dobrze. Okej, nie będę dalej zaglądała darowanemu koniowi w zęby. - Spojrzała na Roberta. - Trish cię szukała. Jest na patio.

- Dzięki, Sue. - Odwrócił się do mnie. - Chcesz poznać Trish? Zacząłem coś mówić, ale Sue Kimmel mi przerwała.

- Za chwilę go przyprowadzę. Tylko to otworzymy.

Poczułem, że kieruje mnie delikatnie przez hol do dużego pokoju zatłoczonego ludźmi w moim wieku i starszymi ode mnie. Temperatura była tu o kilka stopni wyższa niż w holu. Rozluźniłem krawat i ruszyłem przez tłum za Sue. Torowała sobie drogę zimną i mokrą butelką szampana.

Dotykała nią odsłoniętej skóry lub cienkich ubrań gości, odsuwając ich w prawo i w lewo.

W końcu dotarliśmy do długiego baru biegnącego wzdłuż tylnej ściany. Za kontuarem stał wielki mężczyzna - chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu - i nalewał do kufla beczkowe piwo jakiemuś facetowi. Na ramieniu miał pasek z poprzyczepianymi kluczykami do samochodów.

- Tommy!

- Tak, Sue?



Postawiła na kontuarze bollingera.

- Szkło.

- Już się robi.

Sięgnął za siebie po dwa kieliszki do wina.

- Nie takie. Szampanki. Chryste, Tommy. Wąskie i wysokie. Spojrzała na mnie i przewróciła oczami. Tommy się zaczerwienił.

- Ja normalnie piję z musztardówki - powiedziałem i uśmiechnąłem się do niego.

Skinał głową i odszedł w drugi koniec baru, żeby znów napełnić czyjś kufel.

- A więc?

Odwróciłem się do Sue i uniosłem brwi. Wskazała butelkę.

- No tak, racja.

Poczytałem sobie o otwieraniu szampana na wypadek, gdybym musiał to zrobić. Metalowa folia zesła prawie tak jak powinna. Chwyciłem za drut, odkręciłem go i zdjąłem delikatnie z korka. Sue wcześniej tak wymachiwała butelką, że obawiałem się eksplozji.

W książce było napisane, że należy ostrożnie wyciągać korek i mocno go trzymać, żeby gdzieś nie poleciał i w kogoś nie trafił. Przeczytałem tam, że strzelanie z korka „jest dobre dla błaznów i fireyków”.

Chciałem go wyciągnąć, ale ani drgnął. Spróbowałem obracania i szarpania. Nic. Włożyłem butelkę między nogi, żeby mieć lepszy chwyt. Moja głowa znalazła się na poziomie piersi Sue.

- Rany, David. Co ty masz między nogami? - Wzięła mnie ręką za tył głowy i przyciągnęła trochę bliżej. Uderzyłem czołem w jej szyję i spojrzałem w dół. Poczulem zapach perfum i skóry.

Spróbowałem się wyprostować, piekły mnie uszy i twarz. Korek obluzował się trochę w szyjce butelki. Udało mi się odsunąć od Sue.

Patrzyła z uśmiechem, jak się czerwienię. Nagle uśmiech zastygł na jej twarzy. Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię i obróciła. Donośny głos krzyknął mi do ucha:

- Co ty, kurwa, robisz z moją dziewczyną?!

Potężny brodaty blondyn ustępował wzrostem Tommy'emu, ale nade mną górował jak wieża.

Gapilem się na niego, wciąż trzymając nieotwartą butelkę. Popchnął mnie. Poleciałem krok do tyłu, wpadłem na bar i Sue i niechcący wstrząsnąłem szampana. Wtedy wystrzelił.

Korek trafił blondyna w podbródek, zatrzęsnał mu usta i facet przygryzł sobie język. Strumień bollingera oblewał jego i mnie. Patrzyłem na to z przerażeniem, daremnie próbując zatkać butelkę kciukiem. Piana tryskała dalej.

Usłyszałem, jak Sue mruczy pod nosem:

- Znowu przedwczesny wytrysk. \_ Ty gnoju!

Blondyn rzucił się na mnie i sięgnął mi rękami do gardła. Upadłem. Zwalił się na mnie i przygniótł swoim ciężarem. Skoczyłem.

Mokry od szampana krawat uderzył z plaśnięciem w ścianę łazienki.

- Niech to szlag. Niech to szlag. Niech to szlag. Dlaczego taki syf zawsze przytrafia się mnie?

Bolała mnie krtań i miałem ochotę coś rozwalić. Spojrzałem w lustro.

Włosy lepiły mi się do czoła i mocno zaciskałem szczęki. Nabrzmiały mi mięśnie twarzy i szyi.

Rozluźniłem szczęki i poczułem, że bolą mnie zęby. Oparłem się na blacie i wziąłem kilka głębokich oddechów.

Puściłem zimną wodę. Umyłem twarz, spłukałem włosy, żeby pozbyć się zapachu wina, i uczesałem się gładko to tyłu.

Różnica w moim wyglądzie była uderzająca. Włosy stały się dużo ciemniejsze, zmienił się kształt głowy. Poszedłem do sypialni i wziąłem z szafy czarną koszulę ze sztywną stójką. Włożyłem ją i sprawdziłem efekt w lustrze.

Nie przypominałem zbyt chłopaka, który przyszedł do Sue Kimmel z szampanem. Skoczyłem. Futbolisci wynieśli się z frontowego ganku, ale zostawili po sobie okropny bałagan. Pety i zgniecione puszki po piwie wały się na trawie i chodniku. Zanim wszedłem do domu, wiedziałem, że zaczęła grać kapela - od basów i perkusji drżał chodnik i szyby w oknach. Gdy otworzyłem drzwi, dźwięk uderzył mnie z niemal namacalną siłą.

Wziąłem głęboki oddech i wtopiłem się w hałas.

W holu panował większy tłok niż przedtem, ale kiedy wreszcie przebiłem się do pokoju z barem, zastałem tam mniej gości. Hałas dochodził z drugiego końca salonu, gdzie kilkadziesiąt osób wyginało się w szalonym tańcu.

Przy barze stało tylko parę osób. Tommy nadal urzędował za kontuarem i bębnił w blat w rytm muzyki. Na jego szyi wisiało dwukrotnie więcej kluczyków.

Oparłem stopę na rurze biegnącej wzdłuż baru i wysunąłem łokcie do Przodu. Zerknął na mnie raz, potem znowu. Podeszedł do końca kontuaru ' krzyknął przez muzykę:

- Chryste, szybko się przebrałeś! Myślałem, że znam wszystkich, którzy mieszkają w tej okolicy.

Pokręciłem głową.

- Pewnie znasz. Ja nie jestem stąd.

- Sue cię szukała.

- Tak?

Sięgnął pod kontuar i wyjął półtoralitrowkę bollingera.

- Trochę zostało. Z litr można by wyjąć z koszuli Lestera, ale smak byłby kiepski.

Postawił na blacie tulipanowy kieliszek i napełnił go, opróżniając butelkę.

- Lester to ten facet, który na mnie skoczył?

- Tak. Sue odesłała go do domu. Była wściekła. Uśmiechnąłem się.

- Może nie powinienem był wracać. Ale bardzo się cieszę, że już go tu nie ma.

Tommy skinął głową.

- Jeśli o mnie chodzi, mógłby zniknąć na zawsze.

- Nie lubisz go, co?

Przytaknął, wyszczerzył zęby w uśmiechu i odszedł w drugi koniec baru.

Szampan przypominał niesłodzony gazowany napój imbirowy i zostawiał w ustach nieprzyjemny posmak. Spojrzałem w lustro za barem i ująłem kieliszek inaczej, starając się wyglądać bardziej światowo. Znów pociągnąłem mały łyk i się wzdrygnąłem.

Wyrafinowany światowiec.

Wyszedłem z kieliszkiem na werandę, z dala od muzyki. Stały tam białe krzesła i stoliki z kutego żelaza. Trzy były zajęte. Jeden stał oddzielnie w cieniu żywopłotu. Usiadłem.

Kapela zaczęła grać kawałki z początku lat sześćdziesiątych. Choć były przebojami, zanim się urodziłem, znałem je dobrze. Mama słuchała tylko rock and rolla z czasów, kiedy była nastolatką, więc dorastałem z tymi piosenkami w uszach. Nie przepadałem za nimi, ale mi nie przeszkadzały.

- Tu jesteś. - Sue Kimmel przysunęła sobie jedno z krzeseł na patio i postawiła na stoliku drinka z lodem. - Tommy mi powiedział, że wróciłeś, ale minęłam cię trzy razy, zanim się zorientowałam, że się przebrałeś.

Oblizałem wargi.

- Nie chciałem narozrabiać. Przewróciła oczami.

- To Lester narozrabiał.

- Musi być w tobie bardzo zakochany.

- Zakochany? - Roześmiała się. - On nawet nie wie, co to znaczy. Lester zagarnia terytoria. Sikałby na hydranty uliczne, gdyby uważał, że inni mają wystarczająco dobry węch.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc pociągnąłem następny łyk szampana. Fu!

Wypiła trochę swojego drinka i mlasnęła.

- Właściwie to chciałam cię przeprosić za zachowanie Lestera. On nie zdaje sobie z tego sprawy, ale między nami wszystko skończone.

- Przykro mi.

- Dlaczego? Myślałam o tym cały tydzień. On mnie za często wkurza. Znów wypilem mały łyk.

Szampan smakował mi jakby trochę bardziej

niż przedtem. Uniosłem kieliszek w jej kierunku. Sue dokończyła drinka.

- Chodźmy potańczyć - zaproponowała. Wpadłem w panikę. Tańczyć? Odstawiłem kieliszek.

- Nie jestem w tym zbyt dobry.

- Nie przejmuj się. Chodź.

- Wolałbym nie.

Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła z krzesła.

- Idziemy.

Kapela grała coś bardzo szybkiego i głośnego. Przepychaliśmy się między wirującymi ciałami, dopóki nie dotarliśmy do kawałka wolnej podłogi. Czuję się osaczony przez machające nogi i ręce wokół mnie. Zaczęła tańczyć. Stałem przez chwilę, potem też spróbowałem. Muzyka waliła we mnie jak fale na plaży. Usiłowałem złapać rytm, ale tempo było za szybkie.

Sue zamknęła oczy i poruszała do taktu nogami. Starałem się nie gapić na jej podskakujące części ciała. Czuję się głupio.

Zaczekałem, aż odwróci się tyłem, i przeskoczyłem z powrotem na patio. Ktoś na prawo ode mnie wciągnął gwałtownie powietrze. Spojrzałem w tamtą stronę. Przyglądała mi się jakaś dziewczyna przy jednym ze stolików.

- Jezu! Nie widziałam, jak podchodziłeś.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. - Wziąłem swój kieliszek i poszedłem do baru. -

Jestem z powrotem, Tommy.

- Nie ma już szampana.

- Nalej mi gazowanego napoju imbirowego. Z pianką. Uśmiechnął się i napełnił z dystrybutora kieliszek.

- Proszę bardzo, monsieur.

- Dzięki.

Wróciłem na ganek i usiadłem na swoim miejscu. Po chwili zjawiała się Sue. Wyglądała na zaskoczoną i trochę zirytowaną.

- Co z tobą? Wiesz, ilu facetów na tej imprezie chce ze mną tańczyć?

- Domyślam się. Masz dużą klasę i robisz to super. Zamrugła z otwartymi ustami. W końcu je zamknęła i usiadła.

- Tamto było dobre. Bardzo dobre. Aż za dobre. Dlaczego nie chcesz ze mną tańczyć?

Wzruszyłem ramionami.

- Głupio się czuję. Ty umiesz tańczyć. Mnie to nie wychodzi. Przy tobie wypadam żałośnie. Jestem denny, ale nie chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

- Fakt, całkiem denny. Zwłaszcza w porównaniu z Lesterem.

- Założę się, że Lester umie tańczyć.

- Po swojemu, sztucznie i egocentrycznie. Bardziej jak John Travolta niż Barysznikow.

Znów wzruszyłem ramionami i zrobiło mi się głupio. Czy potrafię tylko wzruszać ramionami?

- Idę po drinka. Przynieść ci coś? - spytała. Uniosłem pełny kieliszek.

- Tylko mi nie zniknij.

- Tak jest, proszę pani.

Wróciła z czymś bursztynowym w szklance. Za nią przyszedł Robert z ładną rudą dziewczyną, którą pamiętałem mgliście ze szkoły średniej. Trish McMillan. Jak twierdził, trochę się z nią spotyka, „ale to żadne chodzenie”.

- Kurczę, człowieku, wszędzie cię szukałem - powiedział. - Wszystko gra? Podobno Lester cię sponiewierał.

- Nic mi się nie stało.

- Jakim cudem tak szybko się przebrałeś? Wziąłeś ze sobą jakąś torbę?

Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem uniwersalnym wzruszeniem ramion.

Wyglądał, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale Trish go ubiegła.

- Robert mi mówił, że cię tu przyprowadził, ale nie skojarzyłam, że chodzi o tego Davy'ego Rice'a.

Dawno uciekłeś?

Sue spojrzała na Trish, potem na mnie.

- Jak to uciekłeś? Skąd?

Sięgnąłem po szampankę i łyknąłem napoju imbirowego. Wątpiłem, żeby tym razem wystarczyło wzruszenie ramion.

\_ Z domu. Rok i dwa miesiące temu. Trish dalej drażyła temat.

\_ Wyglądasz, jakby dobrze ci szło. Warto to zrobić? \_ To zależy. \_ Od czego?

\_ Od tego, jaką masz sytuację w domu. Musi być naprawdę kiepsko, żeby ucieczka okazała się lepsza. \_ A jak było u ciebie? Odstawiłem kieliszek.

- Wolałbym nie opowiadać.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

- Nie ma sprawy. Ładna dziś pogoda. Robert wyglądał nieswojo.

- Fakt. Odwożę Trish, a potem mogę tu po ciebie wpaść. Pokręciłem głową.

- Nie, dzięki. Sam wrócę. Wstali, żeby wyjść.

- Antykoncepcja, Trish - powiedziała Sue. - Pamiętaj o tym. Trish i Robert zaczerwienili się.

- Oboje będziemy pamiętać - zapewnił Robert. Kiedy zniknęli, Sue odwróciła się do mnie.

- Fajni ludzie. Gdzie mieszkasz? Nie widziałem powodu, żeby kłamać.

- W Nowym Jorku.

- O! Więc tylko odwiedzasz stare śmieci.

- Tak spędzam czas. Roześmiała się.

- Co jeszcze robisz?

- Dużo czytam. Pociągnęła łyk drinka.

- Co pijesz? - spytałem.

- Glenlivet.

Pokręciłem głową, bo nie zrozumiałem.

- Szkocką.

- Aha.

- Chcesz?

Zobaczyłem w wyobraźni faceta w białym i czarnych skarpetkach, z owłosionymi nogami, nieogolonego, z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami, przyciskającego do siebie pustą butelkę po whisky jak niemowlaka ~ obraz mojego starego.

- Nie, dzięki.

Pochyliła się do przodu, ukazując piersi w głębokim dekolcie. Odwróciłem wzrok. Wyprostowała się i podciągnęła do góry ramiączko. Łyknąłem napoju imbirowego.

- Widziałeś dom, Davidzie? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- To chodź. Znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce do rozmowy. Wstała, zachwiała się lekko i poprowadziła mnie z powrotem do środka,

a potem po schodach na górę. Pokazanie mi domu ograniczyło się do: „To jest górny hol, a to moja sypialnia”. O, mój Boże.

- Co będziemy tu robili, Sue? Zamknęła drzwi.

- Będziemy rozmawiali. O tym, o czym wcześniej mówiłam na dole Trish i Robertowi.

Ruszyła w moją stronę. Cofnąłem się o krok i oparłem o zamknięte drzwi.

- Skąd wiesz, że nie jestem drugim Charlesem Mansonem? I że nie mam wszystkich znanych chorób wenerycznych?

Położyła mi ręce na ramionach. W szpilkach była trochę wyższa ode mnie.

- A masz?

- Co?

- Jakież choroby przenoszone drogą płciową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Przycisnęła usta do moich. Wodziła językiem po moich wargach. Po plecach przechodziły mi ciarki.

Uczucie było przyjemne, ale jej oddech pachniał szkocką. Odsunąłem ją delikatnie.

- Zaczekaj.

Była piękna. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Chciałem się z nią przespać, a jednocześnie chciałem uciec, po prostu skoczyć. I co z Millie?

Przywarła do mnie całym ciałem.

- Nie podobam ci się? Czy to jest coś, czego nie robisz?

- Eee... eee... gdzie jest łazienka?

Wskazała drzwi w drugim końcu pokoju i poszła tam za mną. Zobaczyłem małą łazienkę bez drugiego wyjścia. O cholera. Zapaliła światło.

- Prezerwatywy są w dolnej szufladzie - poinformowała i zamknęła drzwi. Dźwięk, który wydały, skojarzył mi się z traskiem pułapki na myszy.

Wysunąłem dolną szufladę. Pudełko prezerwatyw Trojan Gold leżało między gumkami do włosów, lokówkami i tubą nawilżającego żelu intymnego. Tylko jedno pudełko? Konserwatystka czy puszczańska? Wsunąłem szufladę z powrotem i spojrzałem na okno. Było na prawo od umywalki i miało niecałe dwa metry kwadratowe. Otwierało się do wewnątrz. Wystawiłem głowę na dwór. Zobaczyłem sześciometrową przepaść przy pionowej ceglanej ścianie.

Trudno.

Wziąłem szminkę Sue i napisałem na lustrze: „Przepraszam, nie mogę”. Potem spuściłem wodę, upewniłem się, że drzwi nie są zaryglowane, i skoczyłem do mieszkania w Brooklynie.

- Znaleźli kogoś, kto pasował do twojego rysopisu, i zrobili duplikat jego prawka z twoim zdjęciem.

Nazwisko może się trochę różnić, ale niewiele. Oczywiście adres jest jego, ale jeśli sprawdzą ci prawko, dyspozytorowi wszystko będzie się zgadzało w komputerze. - Leo urwał i spojrzał na mnie. - Aha, mają dostęp do oryginalnego plastiku i tłoczni. Twoje prawko to autentyk.

- A co z podpisem? - zapytałem.

- Będziesz musiał poćwiczyć.

Szedłem w milczeniu, od czasu do czasu zerkając na dokument. Dotarliśmy do Lexington.

- To naprawdę dobry interes, Davy. Szczerze.

- W porządku, Leo, wierzę ci. - Zapłaciłem mu działkę plus premię i rozstaliśmy się.

Później tego samego dnia otworzyłem w banku Liberty Savings & Loan konto osobiste z wkładem trzydziestu tysięcy dolarów na Davida Michaela Reece'a. Takie nazwisko widniało na moim nowo nabytym prawie jazdy. Dostałem też numer ubezpieczenia społecznego. Dziewczyna w okienku zaproponowała mi do wyboru toster albo robota kuchennego. Wziąłem toster.

Z nowymi czekami poszedłem kupić bilet lotniczy pierwszej klasy w jedną stronę do Oklahoma City.

- Na pewno nie chce pan biletu w obie strony? Jeśli kupi pan oddzielnie bilet powrotny pierwszej klasy, zapłaci pan ponad trzysta dolarów więcej.

- Nie, dziękuję. Nie potrzebuję biletu powrotnego.

- Aha, nie wraca pan? Pokręciłem głową.

- Wracam, ale innym środkiem transportu.

- Pewnie samochodem.

Wzruszyłem ramionami. Niech dziewczyna myśli sobie, co chce.



Powiedziała, że ponieważ nie mam karty kredytowej, będę mógł odebrać bilet, kiedy sprawdzę czek.

Zaczęły mnie piec uszy i poczułem się, jakbym robił coś złego.

- Więc może po prostu zapłacę gotówką? - Wyjąłem zwitek pięćdziesiątek.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

- Wolimy transakcje bezgotówkowe. Spiesz się panu?

- Owszem.

Co jest ze mną nie tak?

- Zapytam szefową - powiedziała i wyszła na zaplecze.

Nie wiadomo dlaczego, poczułem się, jakbym siedział przed gabinetem dyrektora szkoły i czekał na burę za złe zachowanie. Miałem ochotę uciec. Albo coś rozwalić. Chciało mi się płakać.

Właśnie postanowiłem skoczyć z powrotem do mojego mieszkania i dać sobie spokój z tą całą sprawą, kiedy wróciła ze starszą kobietą.

- Witam, panie Reece. Charlotte Black. Jestem właścicielką biura.

- Dzień dobry - odrzekłem bezbarwnym głosem.

- Zwykle nie przyjmujemy gotówki, bo nasza księgową krzywi się na to. Poza tym oddaję wpływy do banku, a trochę się boję nosić gotówkę w tej okolicy.

- Rozumiem panią - powiedziałem. Zakłuło mnie z tyłu głowy. - Nie chcę robić problemu, ale będę dużo podróżował. Wolałbym wszystko załatwić w jednym miejscu - urwałem - i bez czekania na sprawdzenie czeku.

Zmarszczyła brwi.

- Mógłby pan otworzyć u nas rachunek kredytowy. Obciążalibyśmy pana na koniec każdego miesiąca.

- Jaka byłaby procedura?

- Wypełniłby pan wniosek i nasza agencja kredytowa musiałaby pana sprawdzić.

Super. Tylko tego mi potrzeba, żeby ktoś grzebał w mojej przeszłości.

- Mam inną propozycję - odparłem. - Wystawię pani czek na dziesięć tysięcy dolarów. Kiedy wyczerpię limit, zawiadomi mnie pani i wypiszę następny. I zaczekam z odbiorem biletu, aż czek zostanie sprawdzony - dodałem.

Zamrugła i wciągnęła gwałtownie powietrze.

- To byłoby do przyjęcia.

Wypełniłem czek, starając się, żeby podpis wyglądał niedbale i przypominał ten na moim prawie jazdy. Wzięła czek i spojrzała na niego.

- O! My też mamy konto w banku Liberty. Zaniosę tam czek w czasie przerwy na lunch. Możemy do pana zadzwonić dziś po południu?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie mam jeszcze telefonu. Właśnie idę to załatwić. Może wpadnę o trzeciej?

- Oczywiście, panie Reece.

Millie czekała na mnie na lotnisku Will Rogers World z uśmiechem na twarzy, ale nie w oczach.

Poczułem, że coś się we mnie kurczy.

- Cześć - powiedziałem. Nie wykonałem żadnego ruchu, żeby jej dotknąć. Wyglądało na to, że jej ulżyło.

- Szybko wyszedłeś. Musiałeś siedzieć z przodu. Wzruszyłem ramionami.

- W pierwszej klasie były tylko trzy rzędy.

- Aha. - Zaczęła iść. Zrównałem się z nią. - Masz jakiś bagaż?

- Tylko podręczny.

- Do samochodu musimy iść tędy.

Ruszyliśmy wzdłuż hali, a potem skręciliśmy w prawo.

- Zaczekaj moment - poprosiłem. Zatrzymała się.

Staliśmy przy tablicy z napisem „Taras widokowy”. Żeby wejść za obrotową bramkę i po schodach na górę, trzeba było wrzucić dziesięć centów.

- Moglibyśmy na chwilę tam wejść? - spytałem. Zaskoczona uniosła brwi.

- To nie Empire State Building, ale jeśli chcesz...

- Dzięki.

Rozmieniłem ćwierć dolara w barze w terminalu, a potem wspięliśmy się po trzech kondygnacjach schodów. Zobaczyliśmy pasy startowe, odległe drzewa i brązową trawę. Rozejrzałem się, próbując zapamiętać wszystkie szczegóły, żebym następnym razem mógł skoczyć prosto tutaj.

Millie wydawała się nieobecna i jakby niepewna.

- Coś nie tak? - zagadnąłem, zerkając na nią z ukosa. - Żałujesz, że przyleciałem?

Zmarszczyła brwi i otworzyła usta, ale nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

- Niech to szlag! - wypaliła nagle. - Sama nie wiem! Czuję się pod presją i nie mam pojęcia, czego ty chcesz.

Wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Uniosłem rękę w uspokajającym geście.

- A czego ty chcesz? - spytałem. Odwróciła się do okna.

- Nie wiem.

- Więc spróbujmy się dowiedzieć. Cieszysz się czy żałujesz, że przyleciałem?

- Tak.

- Aha, po trosze jedno i drugie. To chyba lepiej niż całkiem żałować. - Mnie też chciało się płakać. -

A dlaczego czujesz się pod presją?

Pokręciła głową niemal ze złością.

- To nie w porządku! Gdybyśmy sypiali ze sobą, może uznałabym za uzasadnione, że wydałeś pieniądze na przylot tutaj. Ale nie jesteśmy kochankami, więc skoro poniosłeś koszty, czuję się zobowiązana pójść z tobą do łóżka, żeby ci to wynagrodzić.

- A nie chcesz tego zrobić, tak? Pokręciła głową.

Nie mogłem się powstrzymać od pytania:

- Nigdy? Zmrużyła oczy.

- Widzisz? Nawet ty uważasz, że powinnam. Zaczerwieniłem się.

- Przepraszam. Wcale tego nie oczekuję. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie chcę, ale nie oczekuję tego. Przyleciałem tu, żeby pójść z tobą na imprezę. Nie próbuję cię do niczego zmuszać.

- Ale ja tak to odbieram.

- Hm. Wygląda na to, że ty więcej myślisz o przespaniu się ze mną niż ja. To zachęcające.

Zmiażdżyła mnie wzrokiem.

- Daj mi święty spokój.

- Dobrze, ale bądź odpowiedzialna tylko za własne decyzje. Zgodziłaś się pójść ze mną na imprezę i naprawdę nie musisz się martwić tym, że poniosłem jakieś koszty albo czegoś oczekuję. Wiem, że jestem młodszy od ciebie, ale nie musisz się mną opiekować.

Znów zmarszczyła brwi.

- Taka już jestem i nic na to nie poradzę.

- Więc może sobie pójde? Na pewno będę miał co robić przez weekend w Oklahoma City. Gdzie tu są taksówki?

- A chcesz sobie iść? Wypuściłem gwałtownie powietrze.

- Nie! Chcę być z kimś, kto chce być ze mną! Spędziłem wystarczająco dużo czasu z ludźmi, którzy mnie nie chcieli.

To ją przystopowało. Popatrzyła niewidzącym wzrokiem na pas startowy.

- Dobra, chodźmy.

Nie ruszyłem się.

- Dokąd?

Chwyła mnie za ramię i pociągnęła.

- Na imprezę, do cholery! - Na schodach wzięła mnie pod rękę. - No dobrze, chcę być z tobą. I przestań się uśmiechać!

Z braku czasu zjedliśmy coś po drodze i pojechaliśmy prosto na imprezę. Kiedy szliśmy do frontowych drzwi, doznałem dziwnego uczucia déjà vu. Przed drzwiami stali futboliści w swetrach lub kurtkach z napisami i pili piwo. Tu było mniej palaczy - w końcu tego należałoby się spodziewać po sportowcach z college'u - ale ich obecność i głośna muzyka w domu przypominały mi imprezę z ostatniej soboty.

Millie przedstawiła mnie gospodarzowi, magistrantowi antropologii. Nazywał się Paul jakiś tam.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Jaki przedmiot kierunkowy wybrałeś? - zapytał i przyjrzał mi się od góry do dołu. - Niech zgadnę. Historię sztuki, pierwszoz roczniaku.

Pokręciłem głową.

- Pudło, przykro mi. Nie studuję. I nie jestem stąd.

- O! - Wydawał się rozczarowany. - A skąd?

- Z Nowego Jorku.

- Aha. Jesteś kuzynem Millie?

Millie, która w tym czasie rozmawiała z kimś innym, usłyszała to pytanie.

- Nie - wtrąciła się. - To mój chłopak. Powiedziała to z naciskiem.

Paul jakiś tam zamrugał.

- Rozumiem. Młodo wygląda, więc myślałem, że to ktoś z rodziny. Millie pogroziła mu palcem.

- Ty seksistowska świni! Gdyby był trzy lata starszy ode mnie, nic byś nie powiedział. Co za hipokrytyczne bzdury!

Paul cofnął się o krok.

- Okej! Okej! - sumitował się. - To twój chłopak. W naszej kulturze rzecz nie bez precedensu.

- Zamknij dziób, bo coś ci do niego wleci - zgasła go Millie. Postanowiłem się nie odzywać.

Odciągnęła mnie do kuchni, gdzie był bar, i przedstawiła innym osobom. Uśmiechałem się i ścisnąłem im dłonie, ale niewiele mówiłem. Millie wzięła kieliszek wina, ja gazowany napój imbirowy.

Jakiś czas później znaleźliśmy się na patio z dwójgiem jej znajomych. Rozmawialiśmy o Nowym Jorku, przestępczości i ubóstwie w tym mieście.

Młoda kobieta, która nigdy tam nie była, wygłaszała najbardziej kategoryczne opinie.

- Nie kupuję tych bajek o bezdomnych. Moim zdaniem to épuny albo lenie. Nie chce im się pracować, więc zebrzą.

Uniosłem brwi.

- Widzisz tylko czarne i białe.

- Chodzi ci o rasizm? Millie zakryła dłonią usta.

- Nie. Chodzi mi o to, że twój punkt widzenia to duże uproszczenie. Oczywiście, że są ludzie, o jakich mówisz. Ale widuję też kobiety z dziećmi, które nie mogą dostać pracy, bo jedyny adres, jaki mają, to róg ulicy i...

Millie położyła mi rękę na ramieniu.

- Przyszedł Mark - odezwała się cicho.

Spojrzałem na drzwi. Stał w nich barczysty facet trochę wyższy ode mnie. Miał blond włosy i brodę. Obejmowała go w pasie jakaś dziewczyna. Patrzył w naszą stronę, na Millie.

Przeniosłem wzrok z powrotem na moją rozmówczynię.

- Byłabyś zaskoczona liczbą ludzi na ulicy, którzy nie odpowiadają twoim wyobrażeniom - powiedziałem.

Millie wyprostowała się i splotła dłonie. Mark nadal się gapił.

Kapela zaczęła grać wolny kawałek, Sittin 'on the Dock of the Bay Otisa Reddinga.

- Chodź, Millie, zatańczymy.

Odwróciła gwałtownie głowę, jakby zapomniała, że jestem obok. Uśmiechnęła się słabo.

- Okej.

- Przepraszamy - powiedziałem i poprowadziłem ją przez patio do drzwi wychodzących na parkiet.

Mark cały czas nas obserwował.

- Jezu - szepnęła mi do ucha, kiedy byliśmy na parkiecie. - Widziałeś jego wzrok?

- Tak. Nie przejmuj się.

- Łatwo ci mówić.

Pogłaskałem ją po karku i odprężyła się trochę, kołysząc się mechanicznie w rytm muzyki.

- Ile to może trwać?

- Co? - Przyciągnąłem ją bliżej. Zdawała się nie mieć nic przeciwko temu.

- Odzwyczajanie się od kogoś. Zwłaszcza kiedy ten ktoś nie daje ci spokoju.

- Kto zerwał? Lekko zeszywniała.

- Ja. Sypiał z Sissy.

- Z Sissy?

- Tak. Z tą pijawką przyssaną do jego boku.

- Aha. Ale on cię nadal obchodzi. Chociaż cię zdradzał. Znow zesztywniała i wtuliła głowę w moją szyję. Poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. To był Mark. Strząsnąłem jego rękę i tańczyłem dalej. Złapał mnie za ramię. Millie go zobaczyła i cofnęła się. Odwróciłem się twarzą do niego. Rozłożył ręce.

- Odbijany, człowieku. - Uśmiechał się, ale nieprzyjemnie.

Wziąłem Millie za ramię i zeszedliśmy z parkietu. Poszedł za nami. Próbował ją złapać za rękę i obrócić. Dostałem lekkich mdłości, jak zawsze, kiedy wiedziałem, że stary pił i da mi wycisk. Wszedłem między Millie a Marka. Pchnął mnie na nią. Była w szpilkach i zawadziła jednym obcasem o próg. Zamachała rękami, żeby nie upaść.

Przytrzymałem ją i się rozejrzałem.

Przy drzwiach pokoju był rząd włączników światła. Mark stał z uniesionymi rękami na szeroko rozstawionych nogach. Goście najbliżej nas przestali tańczyć i przyglądali się nam.

Zbierało mi się na wymioty. Chciałem uciec, a jednocześnie miałem ochotę zabić Marka za to, że przez niego tak się czuję, i za to, że tak traktuje Millie.

Odwróciłem się gwałtownie i zgasilem lampy w pokoju. Zapadła ciemność, jedyne światło wpadało przez drzwi na patio. Skoczyłem za Marka, na pozycję, którą sobie wybrałem, zanim wcisnąłem włączniki. Oplotłem go rękami w pasie i dźwignąłem z podłogi. Zamachał rękami i trafił mnie łokciem w oko, ale nadal go trzymałem. Skoczyłem na taras widokowy w porcie lotniczym Will Rogers sto kilometrów na południowy zachód od Stillwater i puściłem Marka. Zatoczył się, opadł na kolana i wyciągnął przed siebie ręce, żeby się podeprzeć. Zanim wstał i się odwrócił, skoczyłem z powrotem w ciemność na parkiecie. Ktoś zapalił światło.

Millie patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Dotknąłem swojej twarzy i skrzywiłem się.

Podeszła i odchyliła mi głowę do tyłu, żeby obejrzeć moje oko.

~ O rany. Trzeba przyłożyć lód. Gdzie jest Mark?

Rozejrzałem się. Ludzie znow zaczęli tańczyć. Postanowiłem powiedzieć prawdę.

- Musiał się wynieść, kiedy było ciemno.

- Uderzył cię?

- Chyba łokciem.

Wzięła mnie pod rękę i pociągnęła do kuchni. Kiedy szliśmy, cały czas rozglądała się w poszukiwaniu Marka.

W holu minęliśmy Sissy. Rozmawiała przez telefon. Drugie ucho zatykała palcem z powodu głośnej muzyki.

- Gdzie jesteś?! - wołała do słuchawki. - Nie chrzań! Minutę temu byłeś tutaj! Nie, nie przyjadę po ciebie! Mam jechać tam, gdzie nie może cię być? Jak nie chcesz mi powiedzieć prawdy, to lepiej nie mów nic. Wal się!

Trzasnęła słuchawką i poszła w kierunku parkietu. Millie uniosła brwi i się uśmiechnęła.

- Chyba ją też zaczął okłamywać. Co mu zrobiłeś? Nie odpowiedziałem.

W kuchni zawinęła kostki lodu w ścierkę do naczyń i przyłożyła mi do twarzy. Zabolało, ale jej troska za bardzo mi się podobała, żeby narzekać.

- Lepiej?

- Nie, ale może przynajmniej nie spuchnie. Roześmiała się.

Wróciliśmy na patio z następnymi drinkami i lodem w ścierce. Po chwili znów zatańczyłem z Millie wolny kawałek. Później ona zatańczyła kilka szybkich z Paulem i innym przyjacielem. Potem wyszliśmy.

- Cieszę się, że byłam na tej imprezie - powiedziała w samochodzie - tylko przykro mi z powodu twojego oka.

- Nic mi nie jest. Dobrze się bawiłem. Warto było tu przylecieć. Spojrzała na mnie, westchnęła i z powrotem skupiła uwagę na drodze.

Minęliśmy uniwersytet i zatrzymaliśmy się przed blokiem mieszkalnym.

- Zaraz, a co z moim hotelem? Uśmiechnęła się lekko.

- Szkoda pieniędzy.

- Mam pieniądze.

Wyłączyła silnik i przez chwilę patrzyła prosto przed siebie. Potem odwróciła się do mnie.

- Chcę, żebyś przenocował u mnie. - Uciekła wzrokiem w bok.

- Na pewno? Skinęła głową.

- Okej.

Miała mieszkanie z dwiema sypialniami, które dzieliła z koleżanką. Kiedy o nią zapytałem, wyjaśniła:

- Sherry pojechała na weekend do domu do Tulsy.

Rzuciłem torbę obok kanapy i usiadłem. Pokój był pełen roślin - wiszących, na stojakach i na podłodze. Sofa, mały stolik do kawy i wielki wiklinowy fotel stojące wśród zieleni przypominały polany w dżungli. Oparłem się wygodnie i przyjrzałem czemuś dużemu o pierzastych liściach. Serce biło mi bardzo mocno.

- Jak się nazywa ta roślina, która wisi nade mną jak miecz Damo-klesa?

Millie skończyła wieszać nasze płaszcze.

- To paproć bostońska i na pewno nie spadnie.

- Moja matka je hodowała. Dotąd nie wiedziałem, jak się nazywają.

Napłynęło ponure wspomnienie, obraz mojego wściekłego starego wynoszącego tylnymi drzwiami doniczkę za doniczką żeby je rozbić o terakotę na patio, i małego chłopca skulonego w kącie i płaczącego, bo jego matka odeszła.

- Napijesz się czegoś?

Nagle zaschło mi w ustach, a może tak było cały czas, tylko dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Wody. Poproszę dużo.

Przyniosła półlitrowy dzbanek wody z lodem. Wypiłem duszkiem połowę i od zimna rozboleło mnie gardło.

Usiadła przy mnie, ale się nie oparła. Przypominała mi ptaka gotowego do odlotu.

Westchnąłem.

- Może to nie jest dobry pomysł, Millicent. Spojrzała na podłogę.

- Mam za duży tupet? To ty mówiłeś o seksizmie. Przypomniałem sobie jej przemowę do Paula.

Uśmiechnąłem się.

- Nie. Nie o to chodzi. Podoba mi się to. I ty mi się podobasz. Ale jestem zdenerwowany i... muszę ci o czymś powiedzieć.

Odsunęła się ode mnie.

- Tylko mi nie mów, że masz opryszczkę! Otworzyłem szerzej oczy i zaczerwieniłem się.

- Nie. - Zniżyłem głos, oparłem łokcie na kolanach i spuściłem wzrok. - Jestem prawiczkim - wymamrotałem.

Pochyliła się do przodu.

- Że co? Nie dosłyszałam.

- Jestem prawiczkim! Wystarczy? - Wzdrygnęła się i zdałem sobie sprawę, że krzyknąłem.

- Przepraszam. - Znowu utkwilem wzrok w podłodze. Czułem, jak coraz bardziej pieką mnie uszy.



Poruszyła się na kanapie. Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że się oparła. Patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

- Chyba żartujesz?

Pokręciłem głową. Byłem przybity i zawstydzony.

- Ile ty masz lat?

- Przecież wiesz. Osiemnaście i dwa miesiące. Uczuliśmy moje ostatnie urodziny, nie pamiętasz? Jej napięcie zupełnie zniknęło. Siedziała z rękami na podolku, odprężona. Pokręciła wolno głową.

- Coś takiego. Prawiczek.

- Tak! To coś złego?

Objęła mnie za ramiona i pociągnęła do tyłu, żebym się oparł. Uśmiechała się łagodnie. Zacząłem płakać.

Zacisnąłem powieki i wstrzymałem oddech, ale i tak po twarzy ciekły mi łzy. Dosyć! Czułem się taki mały, taki zawstydzony...

Zabrała rękę z moich pleców i to odtrącenie było jak dźgnięcie nożem. Nie mogłem przestać myśleć, że to już koniec, że teraz Millie wie, jaki ze mnie kiepas. Ale po chwili ona znów mnie objęła i przyciągnęła do siebie.

- Och, Davy. Wszystko w porządku. - Kołysała mnie i zacząłem gwałtownie szlochać. Przycisnęła wargi do moich włosów. - Wszystko w porządku, ulżyj sobie. Wypłacz się.

Nie mogłem przestać. Między chlipnięciami powtarzałem w kółko:

- Przepraszam, przepraszam...

- Ciii... Dobrze jest się wyplakać, dobrze. - Wciąż mnie kołysała. Ale gdy mówiła, że dobrze jest się wyplakać, słyszałem głos mojego

starego: „Mazgaj. Przestań się nad sobą użalać, bo dam ci prawdziwy powód do płaczu”. Nie mogłem się powstrzymać od przeproszenia jej i wciąż zalewałem się łzami. O Boże, jak to boli.

Powoli zacząłem się uspokajać. W końcu wyprostowałem się i powiedziałem:

- Muszę wytrzeć nos.

Podala mi pudełko chusteczek higienicznych ze stolika do kawy, nie zdejmując drugiej ręki z mojego ramienia. Już nie czułem wstydu, ale byłem lekko zażenowany. Wziąłem trzy chusteczki, żeby oczyścić zatoki. Millie oparła się wygodnie i podciągnęła pod siebie nogi.

Ścisnąłem w ręce zużyte chusteczki zgniecione w kulkę.

- Przepraszam za to wszystko.

- Nie ma za co. Najwyraźniej było ci to potrzebne. Cieszę się, że zrobiłeś to przy mnie.

Spojrzałem na nią. Na widok jej zatroskanej miny omal znów się nie rozplakałem.

- Nie jestem do tego przyzwyczajony. Nie powinienem się tak zachowywać przy tobie.

Wyglądała na zirytowaną.

- Mężczyźni! Dlaczego, do cholery, w naszej kulturze wszystko jest takie porąbane? Płacz to nic złego. To błogosławieństwo, dobrodziejstwo. Masz takie samo prawo płakać jak każdy.

Trudno było mi na nią spojrzeć, ale nie chciałem wychodzić. Dziwne. Tak łatwo byłoby skoczyć z powrotem do Nowego Jorku. Uciec. Wiele przemawiało za tym, żeby to zrobić.

- Zaparzę herbatę - powiedziała. Wstała i potargała mi włosy.

Podniosłem na nią wzrok. Ruch jej ręki zmienił się w pieszczotę, delikatne głaskanie. Kiedy poszła do kuchni, nadal czułem na głowie dotyk jej dłoni, ciepły i lekki.

Wstałem i poczłapałem do łazienki. Oczy miałem czerwone i zapuchnięte, ciągle ciekło mi z nosa.

Umyłem twarz ciepłą wodą i wytarłem. Przeczesałem potargane włosy mokrymi palcami.

- Dlaczego jest tak, Davy, że ty wiesz wszystko o mojej rodzinie, a ja o twojej nic? - Wniosła do salonu herbatę na tacy z laki. Dzbanek i filiżanki były japońskie i miały nieszkliwione brzegi.

Nalała mi herbaty.

- Dzięki - powiedziałem.

- No więc?

- Co?

- Twoja rodzina - przypomniała. Wypiłem mały łyk.

- Doskonała herbata. Uniosła brwi.

- Tak myślałam. Umiesz słuchać, Davy, i potrafisz na zawołanie zmieniać temat. Prawie w ogóle nie mówisz o sobie.

- Mówię... za dużo.

- Mówisz o książkach, sztukach teatralnych, filmach, miejscach, jedzeniu, aktualnych wydarzeniach. Ale nie o sobie.

- Nie bardzo jest o czym. Nie wychowywałem się z czterema braćmi, jak niektórzy.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić, w porządku. Ale nie zamierzam się znów denerwować przez ciebie ani rozmawiać o bzdurach.

Dolała mi herbaty. Zmarszczyłem brwi.

- Naprawdę tak jest?

- Jak? Że nie opowiadasz o sobie? Naprawdę.

- Nie, że się denerwujesz przeze mnie.

- Jesteś niesamowity. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak zgrabnie zmieniał temat.

- Nie robię tego umyślnie. Roześmiała się.

- Akurat. Może nieświadomie, ale celowo.

Wypiłem łyk herbaty i wpatrzyłem się w ścianę. Millie odstawiła dzbanek i przysunęła się bliżej.

- Spójrz na mnie, Davy.

Odwróciłem się. Nie uśmiechała się. Miała poważną minę.

- Nie będę cię zmuszała do opowiadania o rzeczach, o których nie chcesz opowiadać. Masz prawo do prywatności. Jeśli nie chcesz o czymś mówić, w porządku. Sądząc po tym, jak zmieniłeś temat, chyba nigdy mnie nie okłamałeś. Zgadza się?

Zastanowiłem się. Przypomniałem sobie nasze wspólne chwile w Nowym Jorku i rozmowy telefoniczne.

- Chyba tak. Na pewno nie zamierzałem cię okłamać. I nie pamiętam, żebym to kiedykolwiek zrobił.

Skinęła głową.

- Z Markiem było inaczej. Długo nie mogłam uwierzyć, że kłamie. Jeśli kiedykolwiek się dowiem, że nie powiedziałeś mi prawdy, wszystko między nami będzie skończone. Jasne?

- Tak, proszę pani. Jasne. - Odwróciłem głowę i zerknąłem na nią kątem oka. - Czy to znaczy, że między nami coś jest?

Spojrzała na dywan.

- Może. - Podniosła wzrok i popatrzyła mi w oczy. - Tak. Między nami coś jest. Przekonamy się, czy to będzie intymny związek.

Poprawiłem się na kanapie. Piekły mnie uszy i nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Westchnęła i spojrzała na sufit, ale drgały jej kąciki ust. Zsunąłem się niżej i wtuliłem w nią z głową na jej ramieniu. Objęła mnie w milczeniu.

Po jakimś czasie zacząłem mówić. Opowiedziałem jej o moim starym i mamie, o ucieczce z domu, o napadzie na mnie w Nowym Jorku, hotelu w Brooklynie, incydencie w łazience i kierowcy ciężarówki, który chciał mnie zgwałcić.

Nie wspomniałem jednak o skakaniu i o obrabowaniu banku. Wciąż źle się czułem z tym, że ukradłem pieniądze, i wciąż mi się śniło, że mnie złapali. A mówienie jej o skakaniu tylko skomplikowałoby sprawy.

Gdy skończyłem, było mi wstyd, jakbym się przyznał do strasznych rzeczy. Nie miałem odwagi spojrzeć na Millie, mimo że siedziała tuż obok i gładziła moje ramię.

Wstydzilem się również tego, o czym jej nie powiedziałem. Uważałem, że nie jestem wart jej troski i zaangażowania. Znow zebrało mi się na płacz, ale nie chciałem się rozkleić. Wciąż źle się czułem z tym, co się stało wcześniej.

Przytuliła mnie i przyciągnęła moją głowę do swojej szyi. Zerknąłem w górę na jej twarz. Miała zamknięte oczy, po jej lewym policzku spływała łza.

Potem wzięła mnie do łóżka.

- Nic nie szkodzi. To się zdarza za pierwszym razem. Drugi będzie lepszy.
- Widzisz, mówiłam ci. No, no... - Wzięła głęboki oddech. - Było dużo lepiej.
- O, mój Boże! Gdzie się tego nauczyłeś? To naprawdę twój pierwszy raz?
- Mówiłem ci, że dużo czytam - odrzekłem zgodnie z prawdą.

## Część III

### Uzgodnienia

#### Rozdział 7

Miłość jest trudna.

Millie chciała, żebyśmy się widywali tylko w weekendy, nie częściej niż dwa razy w miesiącu. Nie chciała, żebym wydawał pieniądze. Zaproponowałem, że się przeprowadzę do Stillwater. Nie zgodziła się.

- Nie ma mowy. Zaczekaj z tym. Wiem, że jesteś bogaty jak król Mi-das, ale ja też mam swoje życie, do cholery! Muszę chodzić na wykłady i pracować na niepełnym etacie. A w drugiej, pełniejszej i bogatszej części mojego życia nie ma dla ciebie miejsca. - Uniosła rękę. - Na razie. Może będzie później, ale nie teraz. Nie spieszmy się.

- Nie musisz pracować. Mogę ci wypłacać pensję. Opadła jej szczęka.

- To niesłychane. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś!

- Dlaczego? - Zastanowiłem się nad tym. - Przepraszam. Po prostu chcę z tobą spędzać jak najwięcej czasu.

Musiałem z nią twardo negocjować, żeby się zgodziła na dwa weekendy w miesiącu, zamiast jednego. Miłość jest trudna.

Na Czterdziestej Siódmej występował iluzjonista o pseudonimie Bob Wspaniały. Miał w programie ucieczkę, która wprawiła w osłupienie recenzenta „New York Timesa”, więc kupiłem bardzo drogi bilet i poszedłem.

Bob, niski przysadzisty brodaczy w smokingu, zabawiał publiczność zręcznością rąk, karcianymi sztuczkami i wyczarowywaniem gołębi, które pojawiały się nie wiadomo skąd. Radził sobie też dobrze z płonącymi kłębami. Ale przed przyjściem na spektakl przeczytałem książkę Houdiniego

Magik wśród duchów i nie widziałem w tym przedstawieniu niczego, co nasunęłoby mi podejrzenie, że Bob ma zdolności paranormalne.

Jak można było wywnioskować z jego pseudonimu, Bob Wspaniały (w skrócie B.W.) traktował żartobliwie dużą część widowiska. Towarzyszyły mu dwie asystentki, Sara i Vanessa. Rozpoczęły występ w długich sukniach, ale 7. upływem czasu coraz więcej odzieży „pożyczały” swojemu mistrzowi do tej czy innej sztuczki. Do przerwy zostały w jednoczęściowych kostiumach kąpielowych z cekinami i siatkowych pończochach. Coraz bardziej odwracały uwagę publiczności - przynajmniej męskiej - od ruchów rąk Boba.

W przerwie skoczyłem do domu, skorzystałem z łazienki i wypilem colę. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby zapłacić za nią oburzająco wysoką cenę w teatralnym bufecie, ale nie chciało mi się stać w kolejce. Poza tym dawali za małe kubki. Wróciłem na swoje miejsce przed odsłonięciem kurtyny. Bob rozpoczął drugi akt od zaproszenia na scenę kilku osób z widowni. Wyciągał im zwierzęta z uszu, kieszeni i zza dekoltów. Największe wrażenie zrobił na mnie dwumetrowy pyton, którego wyjął z kieszeni żakietu pewnej kobiety. W przeciwieństwie do mnie nie była pod wrażeniem. Przed następną sztuczką Bob chciał, żeby jedna z jego asystentek zniknęła - potrzebował ochotnika do potwierdzenia, że używa zwykłych materiałów. Wybrał mnie.

Zawahałem się, potem wstałem. Wcześniej planowałem skoczyć z powrotem do teatru po spektaklu i znaleźć za kulisami jakąś kryjówkę, z której zamierzałem obserwować jutrzejszą ucieczkę, żeby ustalić, czy Bob się teleportuje. Teraz uznałem, że jeśli zdołam zobaczyć wystarczająco dużą część przestrzeni za kulisami, będę mógł się schować w samą porę, by obejrzeć ten gwóźdź programu już dzisiejszego wieczoru.

- Duże brawa dla naszego ochotnika - powiedział Bob Wspaniały. Mojemu wejściu na scenę towarzyszyły oklaski. Kiedy dotarłem na szczyt schodów, zauważyłem dobre miejsce do skoku z boku sceny.

- Jak się nazywasz, młody człowieku? - zapytał Bob.

- David. - Mrugałem, bo raziły mnie mocne jupitery.

- Po prostu David? Bez nazwiska? - Przysięgłbym, że uśmiechnął się wymuszenie.

Zaczerwieniłem się.

- Po prostu David.

Bob zwrócił się do publiczności.

- Czy to nie smutne, kiedy pobierają się kuzyni? - Rozległ się gromki śmiech. Odwrócił się z

powrotem do mnie i powiedział wolno, jakby mówił do idioty: - Davidzie Przeciętny, jestem Bob

Wspaniały. - Tym razem śmiech był cichy. - Myślisz, że potrafisz sobie przypomnieć, jak to się tutaj

znalazło? - Wziął od swojej asystentki Vanessy zasłonę, która na początku spektaklu pełniła funkcję spódnicy jej długiej sukni. Skinąłem głową.

- Wiedziałem, że tak. - Zrobił przerwę na śmiech. - Przy użyciu tego zwykłego kawałka materiału zamierzam sprawić, że obecna tu Sara zniknie ze sceny. Chcę, żebyś potwierdził, że to rzeczywiście jest zwykły kawałek materiału. Przeciętne zadanie dla przeciętnego faceta. - Urwał. - David Przeciętny.

Zaczęły mnie piec uszy. Bob robił sobie ze mnie żarty i wydawał się coraz mniej wspaniały.

Doszedłem wręcz do wniosku, że to dupek, i miałem nadzieję, że nie jest teleporterem.

Uniosłem zasłonę i strzepnąłem. Welwetowa płachta wystarczyła do przykrycia Sary, bo już nie była zebrana w tali jej sukni.

Publiczność wybuchnęła śmiechem. Zerknąłem na Boba i zdążyłem zobaczyć, że robi głupie miny za moimi plecami. Bardzo śmieszne. Zrzuciłem sobie materiał na głowę, a kiedy osiadł, ukrywając mnie przed widownią i Bobem, skoczyłem ze sceny na upatrzone miejsce.

Welwet opadł na scenę.

Publiczność wstrzymała oddech, potem zaczęła szaleńczo bić brawo. Bob przez chwilę patrzył tępo na zasłonę, w końcu zapytał:

- Gdzie on się podział, do cholery? - Widzowie uznali to za bardzo zabawne. Zaskoczony ich reakcją Bob uklonił się, po czym podniósł płachtę tak delikatnie, jakby mogła go ugryźć. Podszedł tam, gdzie wcześniej stałem, i wymamrotał: - Chyba potrzebujemy innego ochotnika.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy jest oszołomiony z oczywistego powodu, czy dlatego, że wie, kim jestem. Nie posunąłem się naprzód, nie zdobyłem żadnej wiedzy. Żałowałem, że wykonałem skok, ale scena, na której występował magik, była zapewne najbezpieczniejszym miejscem do zrobienia tego.

Cofnąłem się za kurtynę. Mój koniec sceny wydawał się pusty, ale zobaczyłem jakiegoś mężczyznę przy barierze pomostu i drugiego, który obserwował z daleka spektakl. Patrzył tam, gdzie upadła zasłona. Za kulisami panowała ciemność i czułem się stosunkowo bezpiecznie, nie obawiałem się wykrycia.

Bob wrócił do sztuczki ze zniknięciem Sary. Z mojego punktu obserwacyjnego widziałem, jak zjechała w dół na zapadni. Po chwili wyłoniła się z pustej skrzyni zwisającej z sufitu. Robiło to wrażenie, ale widziałem, że weszła do skrzyni z pomostu za kurtyną, przeciskając się bardzo ostrożnie przez szczelinę. To też robiło wrażenie - skrzynia ledwo się poruszyła.

Rozejrzałem się za inną kryjówką. Urządzenie do wielkiej ucieczki stało za kurtyną, więc kiedy ją odsunęli, straciłem moje miejsce. Dostrzegłem

na lewo stos skrzyń ze sprzętem. Przycupnąłem za nimi i ustawiłem jedną mniejszą tak, że mogłem na niej usiąść.

Kiedy to robiłem, Bob wykonywał kolejne numery, nagradzane głośnymi oklaskami widowni.

Potem część kurtyny uniosła się, a światła kilku jupiterów skierowały się na urządzenie do ucieczki, żeby publiczność mogła je zobaczyć.

- Panie i panowie, oto Młoty Śmierci!

Reflektory oświetlały szarą platformę zawieszoną metr nad sceną na czterech grubych linach, które bieging pionowo od uchwytów w podłodze do rogów platformy i dalej w górę do poręczy pomostu.

Po obu stronach platformy były dwa ogromne tłoki, okrągłe stalowe płyty o średnicy około metra i grubości dwudziestu pięciu centymetrów, przyspawane do grubych stalowych prętów, które błyszczwały jak naoliwione. Pręty wychodziły z wielkich stalowych cylindrów zamontowanych na stalowych wspornikach przykręconych do podłogi masywnymi śrubami.

Sara wrzucała szuflę węgla do komory paleniskowej pod kotłem parowym. Wskazówka wielkiego manometru na kotle szła wolno w górę - ciśnienie pary rosło. Zauważyłem rury, które bieging od zaworu z boku kotła do każdego cylindra.

Druga asystentka Boba, Vanessa, wróciła na scenę, pchając przed sobą szpitalne nosze na kółkach. Leżała na nich przykryta postać.

- Zastanawiacie się pewnie, co się stało z Davidem Przeciętnym - powiedział Bob i chwycił brzeg przykrycia. - No cóż, zastanawiacie się dalej. - Zerwał przykrycie i odsłonił manekina, jakich używa się do samochodowych testów zderzeniowych. - Przedstawiam wam Larry'ego. - Podciągnął manekina do pozycji siedzącej. Larry miał wydrążoną w torsie podłużną dziurę o wysokości około sześćdziesięciu i szerokości trzydziestu centymetrów. Tkwił w niej wielki arbuz.

Vanessa i Bob przenieśli Larry'ego na platformę i założyli mu na nadgarstki kajdany, które wisiały na linach na poziomie ramienia. Manekin stanął z rozpostartymi ukośnie ramionami na środku platformy dokładnie między tłokami.

- Sytuacja Larry'ego nie wygląda dobrze, prawda? - kontynuował Bob, schodząc z platformy.

Podszedł do kotła parowego. Wskazówka manometru zbliżała się do czerwonego pola na tarczy. -

Saro, naprawili nam w końcu ten zawór bezpieczeństwa?

Asystentka wzruszyła ramionami, jakby nie wiedziała.

- Mógłbym wam powiedzieć, jaki nacisk w tonach wytwarzają te dwa młoty parowe, kiedy się zderzają, ale lepiej pokażę to na przykładzie graficznym. Proszę opuścić osłonę przeciwrozpryskową!



Między platformę a widownię została spuszczone rama o wymiarach trzy na trzy metry, na której rozpięto przezroczysty plastik. Z głośników dobiegł nagrany tryl werbli. Wskazówka manometru na kotle dochodziła do czerwonego pola. Bob zerwał z Sary część kostiumu, żeby podsycić ogień. Asystentka została w skąym bikini ozdobionym cekinami.

Bob przestawił dźwignię.

Z wylotów w cylindrach buchnęły ogromne kłęby pary, na chwilę zasłaniając platformę, a potem dwa tłoki zderzyły się z potwornym szczękiem i trzaskiem. Miazga ze zgniecionej arbuza ochlapała osłonę przeciwroz-pryskową i spływała po niej jak krew. Nie wyglądało to przyjemnie. Bob pociągnął dźwignię w drugą stronę i tłoki się cofnęły. Część Lar-ry'ego - od ramion w dół - upadła na scenę oderwana przez uderzenie. Głowa zawisała do góry nogami, trzymając się na rozpostartych ramionach.

- Miałeś pecha, Larry - powiedział Bob.

Podniesiono osłonę i asystentki wywiozły szczątki na noszach pod przykryciem poplamionym miazgą z arbuza. Rozległa się nagrana elegia żałobna, a Bob położył rękę na sercu.

Sara sypnęła węgla do komory paleniskowej i wskazówka manometru przesunęła się z powrotem w kierunku czerwonego pola. Bob wrzucił do ognia części kostiumu Vanessy, która została w takim samym skąym stroju jak jej koleżanka. Przyprowadziła na scenę jednego z widzów, żeby założył Bobowi kajdany i sprawdził, czy mocno trzymają.

- Zdenerwowany? - zapytał Bob mężczyznę, który raz po raz zerkał na tłoki po jego obu stronach. - Nie dziwię się. Nasz ostatni ochotnik rozplynał się w powietrzu i zaginął po nim wszelki ślad. Musiałem przyznać, że dobrze znosi moje zniknięcie. Postanowiłem zjawić się z powrotem przed końcem spektaklu.

Gdy Vanessa odprowadziła ochotnika na widownię, Bob oznajmił:

- Jeśli myślicie, że opuszczę osłonę przeciwrozpryskową, to się grubo mylicie. Będę między tymi tłokami, kiedy się zderzą, i... no cóż, powiedzmy po prostu, że mam nadzieję zrobić duże wrażenie na publiczności.

Wskazówka manometru zbliżyła się do czerwonego pola i zaczął się tryl werbli. Vanessa podeszła do startera urządzenia, Sara dołączyła do niej. Obie położyły ręce na dźwigni. Na scenie zapadła ciemność, Boba i platformę oświetlił szerokokątny jupiter. Wąski snop światła z innego reflektora padł na asystentki. Otwarta komora paleniskowa rzucała na scenę pomarańczowy blask. Rozbłysnął trzeci jupiter i został skierowany na manometr.

Wpatrzyłem się w cienie wokół Boba, starając się zobaczyć, czego nie chcą pokazać publiczności. Czuję rosnące napięcie, bo ewentualność zmiążdżenia iluzjonisty wydawała się coraz bardziej prawdopodobna.

Zawieszenie platformy nad sceną wykluczało ucieczkę przez zapadnię. Choć przestrzeń wokół Boba tonęła w mroku, snop światła jupitera nie był tak skupiony, żeby mógł on niepostrzeżenie dać nura w którąś stronę.

Tryl werbli przybrał na sile. Kobiety uniosły palce i bardzo wolno zaczęły je opuszczać. W końcu pchnęły dźwignię.

Nie odrywałem wzroku od Boba. Najpierw zmienił ułożenie rąk i mocno chwycił łańcuchy kajdanów. Gdy to zrobił, rękawy jego smokingu zsunęły się w dół i zobaczyłem, że ma na nadgarstkach metalowe opaski oddzielające skórę od kajdanów. Zauważyłem, że coś się dzieje z linami, do których są przymocowane kajdany - wysunęły się z nich cienkie czarne druty i naprężyły. Końce kajdanów odłączyły się od lin i uniosły do góry, najwyraźniej na drutach.

Bob trzymał ręce sztywno, by wydawało się, że wciąż są ciągnięte przez kajdany. Kiedy kobiety pchnęły dźwignię i przed platformę buchnęła para, druty się napięły i poleciał pionowo w górę tak szybko, że znalazł się w cieniu nad sceną, zanim tłoki uderzyły w siebie.

Kiedy się zwały z przerażającym szczękiem, skoczyłem na nie i usiadłem w miejscu, gdzie się łączyły. Zdażyłem to zrobić, zanim rozwiała się para.

Aplauz był niesamowity.

Bob wyszedł zza kotła parowego i zatrzasnął drzwiczki komory paleniskowej. Na ten sygnał na scenie rozbłysły światła, a on wystąpił naprzód i uklonił się. Dopiero kiedy pokazał asystantkom, żeby zrobiły to samo, zauważył, że wszyscy gapią się na mnie, usadowionego na Młotach Śmierci. Ruszył w moim kierunku z wytrzeszczonymi oczami i zaciśniętymi ustami. Zeskoczyłem na dół, najpierw na platformę, potem na scenę. Brawa się nasiliły, więc skłoniłem się lekko. Bob znów odwrócił się tyłem do widowni i powiedział do mnie:

- Dzięki, że wpadłeś. - Potem skinął prawą ręką i kurtyna opadła. Pomyślałem, że chyba warto się stąd wynieść.

Bob stał przede mną z rękami zaciśniętymi w pięści.

- No dobra, dupku, jak to zrobiłeś? - warknął. Cofnąłem się odruchowo, a on zrobił krok w moją stronę. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że zbliża się do nas czterech członków

obsługi technicznej. Przyglądali mi się i pewnie zastanawiali, kim jestem, do cholery. Mieli groźne miny. Sara i Vanessa obserwowały to obojętnie.

- Jesteś pozerem, Bob - powiedziałem głośno. Podniosłem ręce, strzeliłem palcami i skoczyłem.

Następnego ranka po spotkaniu z Bobem Wspaniałym postanowiłem wybrać się na Florydę i odwiedzić dziadka. Moja agentka w biurze podróży załatwiła mi miejsce w odrzutowcu, który odlatywał z lotniska La Guardia

za niecałe dwadzieścia minut. Wszedłem na pokład, gdy ostatni raz wzywano pasażerów.

W Orlando przesiadłem się do małego samolotu, który kursował do Pine Bluffs. Był głośny, ciasny i podskakiwał w popołudniowych prądach termicznych. Gdy w pewnym momencie wyjątkowo silny prąd zstępujący podrzucił mnie w fotelu tak, że aż poczułem ucisk pasa bezpieczeństwa, o mało nie wyskoczyłem.

Powstrzymała mnie tylko obawa, że nie będę mógł wrócić do ruchomego obiektu poza zasięgiem mojego wzroku. Uznałem, że lepiej poczekać, aż będziemy bliżej ziemi. Lot trwał pół godziny w czasie rzeczywistym i całą wieczność w moim subiektywnym odczuciu. Po wylądowaniu było lepiej.

Budynek terminalu miał powierzchnię niewiele większą niż parter w mojej kamienicy. Jeden człowiek pełnił funkcje obsługi naziemnej, sprzedawcy biletów, bagażowego i ochroniarza. Moich pięciu towarzyszy podróży zabrali przyjaciele lub krewni, a ja zostałem na łasce lotniskowej firmy transportowej w postaci zdezelowanego niebieskiego kombi i kierowcy z twarzą całą w zmarszczkach.

- Dokąd?

- Moment. Zapomniałem, że muszę wziąć adres z książki telefonicznej.

Wróciłem do budynku i podszedłem do automatu w rogu.

Nie znalazłem nazwiska Arthur Niles. Niech to szlag. Rozejrzałem się dookoła. Nikt nie patrzył w moją stronę. Przystudiowałem wygląd kąta, w którym stałem, przyswoiłem go sobie i skoczyłem do mojego dawnego pokoju w domu starego. Kurzu przybyło. Pogrzebałem w biurku i znalazłem jeden z listów od dziadka, kartkę urodzinową w kopercie. Był na niej adres nadawcy. Wetknąłem kartkę do kieszeni i zamknąłem wszystkie szuflady.

W korytarzu rozległy się kroki i ucichły przy drzwiach. Zastygłem jak posąg. Gdyby poruszyła się klamka, mógłbym zniknąć w ciągu paru sekund. Usłyszałem głos starego, a w nim drżenie, którego nie pamiętałem.

- Davy?

Nie wiem dlaczego, po chwili wahania odpowiedziałem:

- Tak, to ja.

Wątpię, żeby spodziewał się odpowiedzi. Wciągnął gwałtownie powietrze. Zaskrzypiała podłoga, jakby przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Potem zaczął majstrować przy kłódce. Kiedy usłyszałem, że ją otworzył, przeskoczyłem z powrotem na lotnisko w Pine Bluffs.

Sprzedawca biletów i bagażowy w jednej osobie podniósł na mnie wzrok zza kontuaru, gdy się oparłem o ścianę. Niech się dziwi, pomyślałem - o starym, nie o nim. Gotowało mi się w żołądku, ale czułem dziwne zadowolenie, jak wte-

dy, kiedy rozbiłem słoik z mąką. Choć tamto nie było tak satysfakcjonujące, jak mogłoby być, bo nie widziałem skutków. Ale też nie zostawiłem śladów stóp. Wyszedłem do taksjarza z kopertą w ręce.

- Pornosa Circle 345 - rzuciłem.

Wsiadłem z tyłu i ruszyliśmy. Patrzyłem w milczeniu, jak zostawiamy za sobą kolejne białe domy otoczone zielenią. Ojciec miał inny głos, głos starego człowieka. Staralem się o tym nie myśleć.

- Jesteśmy na miejscu - usłyszałem głos kierowcy. - Pornosa Circle 345. Cztery dolce.

Zapłaciłem mu i odjechał.

Dom wyglądał mniej więcej tak, jak go pamiętałem - mały biały bungalow wśród palm daktylowych nad kanałem biegnącym za wszystkimi posesjami. Na skrzynce na listy widniało nazwisko „Johnson”.

Kobieta, która otworzyła drzwi, bardzo słabo mówiła po angielsku. Kiedy zapytałem o Arthura Nilesa, powiedziała:

- Un momento, por favor. - Zniknęła w głębi domu.

Zjawiła się inna kobieta, blondynka mówiąca z silnym południowym akcentem.

- Pan Niles? Zmarł jakieś cztery lata temu... Tak, cztery lata temu, w sierpniu. Dostał udaru w najgorszy upał i umarł tego samego dnia. - Położyła palec na ustach, jakby się zastanawiała. -

Mieszkaliśmy wtedy na tej ulicy pod numerem 330. Kupiliśmy ten dom od jego córki.

Zamrugalem.

- Od Mary Rice?

- Tak się chyba nazywała po mężu. W dokumentach było, zdaje się, Mary Niles.

- Mieszka w mieście?

- Nie sądzę. Była na pogrzebie, ale potem reprezentował ją adwokat.

- Pamięta pani jego nazwisko? Spojrzała na mnie.

- A dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?

- Nazywam się David Rice i jestem synem Mary. Zostawiła mnie i mojego ojca. - Poczulem, że się czerwienię i pocał mi się dłonie. Po chwili dodałem nieprzekonująco: - Szukam jej.

- Hm. Poczekaj, zajrzę do dokumentów i sprawdzę, jakie tam jest nazwisko. Wejdz, nie stój na tym słońcu. - Wprowadziła mnie do salonu i wskazała fotel. - Roselinda? Aqua frio, por favor, por el hombre. - Zniknęła w głębi domu.

Po chwili służąca przyniosła mi szklankę wody z lodem.

- Gracias-powiedziałem.

- Por nada - odrzekła z uśmiechem i wyszła.

Pokój wyglądał obco, bo wszystkie meble były inne. Dopiero gdy zerknąłem w okno i zobaczyłem dom po drugiej stronie ulicy, odniosłem wrażenie, że widok jest znajomy. Wtedy napłynęły wspomnienia - wyraźne, żywe i bolesne.

„A niech cię, Davy! Trzeci raz dajesz mi królową pik”.

„Davy, bądź dobry dla dziadka. Jest już stary i słaby”.

„Ale jeszcze mogę wziąć cię na kolano i dać ci klapsa, młoda damo. Bierz to!”

„Oj, tato, tylko nie następny kier! Chyba znów wygra Davy”. Podczas tamtej letniej wizyty często graliśmy w kierki. Rano wędkowałem z dziadkiem, a w niektóre dni chodziłem z mamą na plażę. To był przyjemny pobyt.

- Akt własności jest w banku, więc zadzwoniłam do męża. Zapamiętał nazwisko adwokata. To był Leo Silverstein. - Wróciła do pokoju z książką telefoniczną. - Tu piszą, że ma kancelarię przy Main. To będzie budynek z widokiem na plac, bo adres jest East Main 14.

Podziękowałem jej i pożegnałem się. Kiedy zamknęła drzwi, skoczyłem z powrotem na miejscowe lotnisko i pojawiłem się przy automacie telefonicznym. Zza kontuaru dobiegł głośny wdech, ale po prostu wyszedłem na dwór jakby nigdy nic. Zerknąłem przez ramię na drzwi i zobaczyłem, że sprzedawca biletów idzie za mną.

Cholera.

Skreśliłem za róg i skoczyłem z powrotem do Nowego Jorku.

Choć Millie zabroniła mi dotykać jej ciała częściej niż dwa razy w miesiącu, mogłem dzwonić do niej co wieczór.

- To ja.

- Co się stało?

- A czemu sądzisz, że coś się stało?

- Dzwonisz do mnie co wieczór. Zwykle nie masz takiego głosu jak przedsiębiorca pogrzebowy.

- A, o to chodzi. Próbowałem znaleźć moją matkę. Poleciałem na Florydę zobaczyć się z dziadkiem.

- Co?! Jesteś teraz na Florydzie?

- Nie, nie, już wróciłem. Mój dziadek zmarł cztery lata temu. Na linii na chwilę zapadła cisza.

- I dopiero teraz się o tym dowiedziałeś?

- Tak.

- Ciekawe, czy twój ojciec o tym wiedział.

- Nie mam pojęcia - odrzekłem. - Ale wcale bym się nie zdziwił.

- Byłeś z dziadkiem w bliskich stosunkach?

Zastanowiłem się nad tym. Kierki, wędkowanie i sporadycznie kartka urodzinowa z banknotem dwudziestodolarowym w środku.

- Kiedyś tak.
  - To smutne stracić kogoś bliskiego. Przykro mi.
  - No właśnie...
  - Nie mogłeś wiedzieć. Wpatrzyłem się w telefon.
  - Jak się domyśliłaś?
  - Czego? Że czujesz się winny, bo nie wiedziałaś, że umarł?
  - Powinienem był wiedzieć! Wzięła głęboki oddech.
  - To dobrze, że tak uważasz. Ale nie mogłeś wiedzieć! Wszyscy od czasu do czasu czujemy się winni z powodu czegoś, co nie jest naszą winą. Wierz mi, nie mogłeś nic zrobić.
- Byłem na nią zły za jej przenikliwość, za nazwanie po imieniu uczucia, z którym walczyłem cały dzień.
- Powinienem był się zorientować, kiedy nie dostałem kartki z życzeniami na piętnaste urodziny. Mogłem napisać. Mogłem wysłać list ze szkoły. Stary by go nie przechwycił!
  - Ojciec czytał twoją pocztę?
  - Jestem tego pewien. Mieszkaliśmy na wsi, więc skrytkę pocztową mieliśmy w mieście. Nie miałem do niej klucza. Kiedyś znalazłem w samochodzie kopertę zaadresowaną do mnie, ale bez nadawcy.
  - Chryste! Dlaczego to robił?
  - Nie wiem. Ale nie pozwalał mi pisać do krewnych.
  - Nic dziwnego, skoro tak cię traktował.
- Przez jakiś czas nic nie mówiłem. Millie nie ponaglała mnie. Po prostu została na linii i słyszałem jej kojący, ledwo słyszalny oddech. W końcu przerwałem milczenie.
- Przepraszam, Millie. Nie jestem dziś zbyt dobrą rozmówcą.
  - Nie szkodzi. Przykro mi, że przeżywasz ciężkie chwile. Żałuję, że nie mogę być teraz z tobą. Zamknąłem oczy i po chwili poczułem, że zgriatam w ręce słuchawkę. Mógłbym być w twoich ramionach za parę sekund, pomyślałem. Mógłbym...
  - Ja też żałuję - powiedziałem głośno. - Do zobaczenia w piątek.
  - Na pewno nie chcesz, żebym cię odebrała z lotniska?
  - Nie, nie trzeba. Będę u ciebie przed siódmą. Zaczekaj na mnie z kolacją.
  - Jasne. Śpij dobrze.

- Dzięki. Spróbuję. Aha, Millie...

- Tak?

- Jutro... jutro wracam na Florydę. Ale zadzwonię, okej? Wydawała się lekko rozczarowana.

- Dobrze, Davy. W porządku.

Wróciłem na lotnisko w Pine Bluffs, na chodnik przy narożniku budynku terminalu. Kiedy wyjrzałem zza rogu, zobaczyłem zdezelowane niebieskie kombi ze starym taksjarem w środku.

Wydawał się zaskoczony moim widokiem.

- Jak się tu dostałeś? Samolot z Orlando ląduje dopiero za piętnaście minut.

Wzruszyłem ramionami.

- Muszę pojechać na cmentarz, a potem na East Main Street 14.

- Okej. Wskakuj.

Kilka razy usiłował wciągnąć mnie do rozmowy, ale odpowiadałem na jego pytania monosylabami lub wzruszeniem ramion. Spróbował znowu na długiej, biegnącej łukiem alei cmentarnej.

- Znałem większość ludzi, którzy tu leżą. Szukasz kogoś konkretnego?

- Arthura Nilesa - odparłem.

- Aha. To wyjaśnia twoją wizytę na Pornosa Circle. - Dojechał do krańca cmentarza i zaparkował w cieniu drzewa. - Widzisz ten biały marmurowy nagrobek, czwarty od końca?

- Tak. To ten?

- Ten. Nie spiesz się. Zaczekam. - Wziął gazetę.

- Dzięki.

„Arthur Niles 1922-1989

ukochany mąż, ojciec i dziadek"

Dziadek? Och, mam, dlaczego mi nie powiedziałaś?

Na grobie były stare zwiędłe kwiaty. Tkwiły w zardzewiałej żelaznej obręczy przymocowanej do pręta. Wyciągnąłem je i zebrałem z płyty suche liście.

Przepraszam, dziadku, że cię nie pożegnałem. Chciałbym to zrobić. Było mi smutno, strasznie smutno.

Wyrzuciłem zwiędłe kwiaty i liście do drucianego kosza na śmieci przy alei.

Taksjarski nadal czytał, więc stanąłem za drzewem i skoczyłem na Manhattan na targ kwiatowy przy Dwudziestej Ósmej ulicy. Kupiłem gotową

wiązanek z róż, chryzantem i orchidei. Kosztowała trzydzieści dolców. Skoczyłem z powrotem na cmentarz i włożyłem ją w żelazny uchwyt.

Kiedy wsiadłem na tylne siedzenie, taksjarsz odłożył gazetę. Nie odezwał się, tylko uruchomił silnik i zawiózł mnie do miasta.

- Będziesz jeszcze potrzebował transportu, Davy? - spytał, gdy zatrzymaliśmy się na Main Street. Spojrzałem na niego. Skąd...? No tak.

- Dobrze pan znał mojego dziadka? Skinął głową.

- Dość dobrze. W każdą środę graliśmy u niego w bezika, cała nasza paczka starych przyków. Był porządnym człowiekiem. Kiepskim graczem w bezika, ale porządnym człowiekiem.

Oparłem się wygodnie.

- Wie pan może, gdzie jest moja matka, panie...?

- Steiger. Walt Steiger. Nie wiem, gdzie jest Mary. Po odejściu od twojego ojca spędziła tu jakiś rok.

- Odwrócił na chwilę wzrok. - Art mówił mi, że potem mieszkała, zdaje się, w Kalifornii. Po jakimś czasie znów się gdzieś przeniosła, ale nie pamiętam dokąd. - Poprawił się na siedzeniu. -

Rozmawiałem z nią chwilę na pogrzebie, ale tylko o Arcie.

- Aha. - Nie ruszyłem się jeszcze przez kilka uderzeń serca. - Dzięki za informację. Ile płacę?

Wzruszył ramionami.

- Pięć dolców.

- Ale musiał pan na mnie czekać ponad pół godziny.

- Czytałem. Daj mi pięć dolców. Nie wzięłyby napiwku.

Kancelaria Leo Silversteina była na pierwszym piętrze, nad drogerią. Wspiąłem się po wąskich schodach i wszedłem przez szklane drzwi. Kobieta w średnim wieku stuknęła szybko w klawiaturę komputera. Miała na uszach słuchawki. Stałem w jej polu widzenia. Przerwała pisanie i zdjęła słuchawki.

- Dyktowanie? - spytałem z uśmiechem.

- Grateful Dead - odparła. - Czym mogę służyć?

- Nazywam się David Rice. Chciałbym się zobaczyć z panem Silver-steinem i porozmawiać z nim o mojej matce, Mary Niles.

- Był pan umówiony? - zapytała tonem, który wyraźnie sugerował, że dobrze wie, że nie byłem.

Pokręciłem przecząco głową i przełknąłem ślinę.

- Niestety nie. Przyleciałem z Nowego Jorku tylko na jeden dzień. Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że pan Silverstein prowadził sprawy mojej matki.



Milczała.

- Zajmę mu tylko chwilę - zapewniłem. - A przy okazji, dlaczego to miasto nazywa się Pine Bluffs?\* Odkąd tu jestem, nie widziałem żadnej sosny ani urwiska.

- Urwiska są w górze rzeki - wyjaśniła. - Piętnaście kilometrów od terenu, na którym pierwotnie leżało miasto. A sosny wycięto na początku XIX wieku. Niech pan siada - dodała, wskazując kanapę na wprost jej biurka. - Zapytam pana Silversteina, czy będzie mógł pana przyjąć.

Usiadłem, a ona rozmawiała chwilę przez telefon ze swoim szefem.

Nigdy nie lubiłem poznawać nowych ludzi. A konkretnie, nienawidziłem wyciągać ręki do obcych.

Czego się boisz, Davy? Myślisz, że ci ją utną? Wierciłem się na kanapie i próbowałem odprężyć.

Tak, mogą mi uciąć rękę albo, co gorsza, nie polubić mnie.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich siwy mężczyzna około pięćdziesiątki. Był w spodniach i kamizelce od trzyczęściowego garnituru i miał rozluźniony krawat.

- Pan Rice? Leo Silverstein. Za dziesięć minut mam spotkanie, ale do tego czasu możemy porozmawiać.

Wstałem i uścisnąłem mu dłoń.

- To bardzo uprzejme z pana strony - powiedziałem. Gdy wszedłem za nim do gabinetu, zamknął drzwi i wskazał mi krzesło.

- Więc jest pan synem Mary Niles?

- Tak.

- Czym mogę panu służyć?

- Staram się ją odnaleźć.

- Aha. - Sięgnął po przycisk do papieru na biurku i przełożył go z jednej ręki do drugiej. - Zastanawiałem się, czy o to może chodzić.

Zmarszczyłem brwi. Miękkie siedzisko wydało mi się nagle twarde.

- To znaczy? Wziął głęboki oddech.

- Pańska matka zjawiała się tutaj sześć lat temu w stanie głębokiej depresji. Miała złamane trzy kości twarzy, rany szarpane i siniaki. Była zmaltrretowana fizycznie i psychicznie. Spędziła rok w szpitalu psychiatrycznym i przeszła dwie operacje rekonstrukcji twarzy.

Patrzyłem na niego oniemiały. Gotowało mi się w żołądku. Leo Silverstein przyglądał mi się z przyciskiem do papieru w dłoni, gotowy przerzucić go do drugiej ręki, ale jeszcze nie teraz.

- Jest pan zaskoczony?

\* Sosnowe Urwiska - przyp. tłum.

- Wiem, że mój ojciec pobił ją co najmniej raz - odparłem. - Ale pewnego dnia wróciłem ze szkoły do domu i już jej nie zastałem. Ojciec nie chciał o tym mówić. - Powiniennem być się domyślić! -  
Miałem wtedy tylko dwanaście lat.

Skinał głową.

- Kilka razy próbowałem namówić pańską matkę do wniesienia oskarżenia przeciwko pańskiemu ojcu. Odmawiała. Powtarzała, że nie chce być już nigdy blisko niego, a nawet w tym samym stanie co on. Bała się go panicznie. - Znow zaczął się bawić przyciskiem do papieru. - Myślę, że obawiała się również o pana. Pański ojciec najwyraźniej zagroził, że coś panu zrobi.

Cholerny zakładnik. Staremu się udało z mojego powodu. Chciało mi się rzygać.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytałem. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

- Niestety nie mogę powiedzieć. Moja klientka poleciła mi zachować to w tajemnicy. Nie pozwoliła mi robić żadnych wyjątków.

- Nawet dla mnie? Dla jej syna? Wzruszył ramionami.

- Skąd ma wiedzieć, że nie współdziała pan z ojcem?

- Uciekłem od tego sukinsyna ponad rok temu. Nie współdziałałem z nim!

Poprawił się na krześle i chwycił przycisk do papieru niemal jak broń. Spokojnie, Davy.

Wypuściłem wolno powietrze, oparłem się wygodnie i położyłem ręce na kolanach.

- Nie współdziałałem z nim - powtórzyłem z naciskiem.

- Wierzę panu. - Silverstein rozluźnił chwyt na przycisku do papieru. - Ale to nie ma nic do rzeczy.

Nie mogę panu powiedzieć, gdzie ona jest.

Skrzyżowałem ręce na piersi. Piekły mnie uszy, byłem zły, zawstydzony i czułem, że zaraz zrobię albo powiem coś głupiego.

- Ale mogę jej przekazać wiadomość lub list - dodał adwokat.

Co mógłbym jej przekazać? Jak miałbym napisać list, nie wiedząc, co matka o mnie myśli? Ona chyba tak naprawdę nie chce, żebym się odezwał... Wstałem gwałtownie.

- Muszę się zastanowić - odparłem. Zauważyłem, że Silverstein znow chwycił kurczowo przycisk do papieru. Co go tak przeraża w mojej twarzy? Podszedłem do drzwi, otworzyłem je szarpnięciem i przystanąłem w progu. Byłem wściekły i choć rozumiałem, że to nie jego wina, złość nie mijała. Jak by się panu podobał skok na parking dla ciężarówek w Minnesocie, panie Silverstein? Nie odwracając się, powiedziałem: - Dzięki. Proszę wybaczyć, że mnie poniosło.

Minąłem recepcjonistkę, wyszedłem szklanymi drzwiami i zbiegłem po schodach.

Zobaczyłem, że Walt Steiger wciąż siedzi w swoim samochodzie przed budynkiem i czyta gazetę.

Nie chciałem z nim rozmawiać. Skoczyłem do Brooklynu.

W mieszkaniu nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Próbowałem posiedzieć, ale nie mogłem przestać chodzić. Próbowałem poleżeć, ale nie było mowy, żebym się nie ruszał. Na dole Washburnowie znów się kłócili. Krążąc z kąta w kąt, usłyszałem odgłos tłuczonych naczyń. Wzdrygnąłem się. Dość tego. Chwyciłem mój długi płaszcz z miękkiej skóry i skoczyłem na chodnik na moście Brooklyńskim.

Zegar na Watchtower pokazywał, że jest tylko siedem stopni ciepła. Wiatr od East River przenikał do szpiku kości, wiszące nisko szare chmury pasowały do mojego nastroju.

Postawiłem kołnierz płaszcza, odwróciłem się tyłem do wiatru i zapatrzyłem niewidzącym wzrokiem na port. Przypomniłem sobie, jak stałem nad moim starym z ciężką butelką po szkockiej w ręce. Postanowiłem wtedy, że go nie zabiję.

A może nie potrafiłeś tego zrobić?

Wszystko jedno. Bez względu na to, co mnie powstrzymało przed rozwaleniem staremu łba, żałowałem, że go nie zabiłem.

Zrobić to teraz? Wtuliłem głowę w ramiona. Wiatr wył mi w uszach. Może.

Przez resztę popołudnia wymyślałem sposoby zabicia starego. Większość z nich uwzględniała skakanie. Mógłbym go chwycić, skoczyć z nim na szczyt Empire State Building i zrzucić go stamtąd. Spojrzałem w dół na zimne wody East River. Wrzucenie starego do rzeki też nie byłoby złe. Wyobrażałem sobie różne scenariusze, sto różnych aktów przemocy. Zamiast ostudzić mój gniew, każdy z nich sprawiał, że czułem się coraz bardziej winny, coraz bardziej zawstydzony. W rezultacie byłem jeszcze bardziej zły. Przyłapałem się na tym, że ściskam kurczowo poręcz i zgrzytam zębami. Rozboleła mnie szczeka. Niech to wszystko szlag trafi! To nie ja zmasakrowałem jej twarz!

Kiedy sobie uświadomiłem, że mogę go zabić i wywinąć się z tego, zacząłem się uspokajać. I wtedy dotarło do mnie, że tego nie zrobię.

Ale nadal miałem ochotę dać mu wycisk, poczuć jego ciało pod moimi pięściami, złamać mu kilka kości.

Przypomniłem sobie, co chciałem zrobić z prawnikiem mojej matki. Zamierzałem skoczyć z nim na tamten parking dla ciężarówek w Minneso-

cie, gdzie Topper Robbins, kierowca, który próbował mnie zgwałcić, kupił moje zaufanie za nędzny posiłek.

Topper Robbins. To jest ktoś, kto zasługuje na karę.

Owinałem się szczelniej płaszczem i skoczyłem.

Dowiedziałem się od jednej z kelnerek, że Topper zwykle przyjeżdża na parking dziesięć po dwudziestej drugiej. Tym razem spóźnił się dwadzieścia minut. Mimo mrozu było mi w miarę ciepło dzięki nowo kupionym kałesonom i rękawiczkom.

Czekanie na zimnie skłoniło mnie do ponownego przemyślenia sprawy i już miałem zrezygnować, kiedy się zjawił. Poczułem, że nagle zaciskam pięści i odsłaniam zęby. Powrót do domu nie wchodził w rachubę.

Topper zatrzymał się przy dystrybutorach, zatankował do pełna, wjechał na wydzielony parking dla ciągników siodłowych, zamknął kabinę i wszedł do restauracji. Gdy usiadł w części dla kierowców, poszedłem do jego samochodu.

Kabina była mała. Nie miała żadnej leżanki za siedzeniami, tylko tylne okno dla poprawy widoczności. Wspiąłem się między kabinę a naczepę--cysternę i rozejrzałem. Zobaczyłem zamkniętą skrzynię bagażową i złącza przewodów powietrznych biegnących do hamulców pneumatycznych naczepy. Mogłem tam usiąść z głową poniżej tylnej szyby. Gdybym wszedł na skrzynię, mógłbym zajrzeć przez okno do kabiny. Wybrałem to miejsce do skoku, zapamiętałem szczegóły i poszedłem do tyłu cysterny.

Była tam przyspawana drabinka. Pod logo PetroChemu widniało ostrzeżenie, że pojazd przewozi materiały łatwopalne i wykonuje szerokie skręty w prawo. Wdrapałem się na górę. Na szczycie cysterny nie było się czego trzymać, ale z tyłu naczepy, między drabinką a cysterną, schowki na węże tworzyły półkę. Obróciłem się wokół drabinki i usiadłem tam. Metal był bardzo zimny, ale mogłem tak jechać.

Skoczyłem do Café Borgia w Greenwich Village i wziąłem gorącą czekoladę z bitą śmietaną i cynamonem. Czekolada, ciepło kawiarni i kałesony tak mnie rozgrzały, że prawie się pocilem, kiedy skoczyłem z powrotem na parking dla ciężarówek.

Topper jeszcze jadł.

Zacząłem spacerować tam i z powrotem, deptając cieką warstwę śniegu na trawie. Kiedy robiło mi się zimno, skakałem na kilka minut do mojego mieszkania. Przypomniałem sobie, że nie zadzwoniłem do Millie, ale teraz nie miałem na to czasu. Gdyby Topper odjechał, musiałbym czekać na niego cały następny dzień.

Wreszcie wyszedł z restauracji. Patrzyłem, jak idzie do samochodu, otwiera kabinę i wyjmuje zza siedzenia młotek. Okrążył cały pojazd, uderzając

w koła. Potem wrócił do kabiny, schował młotek, usiadł za kierownicą i włączył silnik.

Zanim ruszył, skoczyłem na skrzynię bagażową. W czasie jazdy mógłbym stamtąd odskoczyć, ale raczej nie zdołałbym wrócić na ciągnik siodłowy. Nie poza polem widzenia.

Topper stopniowo przyspieszał, zza krawędzi kabiny smagał mnie wiatr. Podciągnąłem wyżej kołnierz płaszcza. Kiedy samochód wjechał na autostradę międzystanową, spróbowałem skoczyć na półkę ze schowków na węże z tyłu naczepy. Udało się, ale wiało tam jeszcze bardziej. Skoczyłem z powrotem za kabinę. Też bez problemu.

Miałem nadzieję, że tak będzie. Choć byłem na pojeździe w ruchu, znałem odległość między mną a moim celem. Podejrzewałem, że mógłbym skoczyć na ten ciągnik siodłowy z zewnątrz, nawet gdyby jechał, dopóki bym go widział. Ale gdybym teraz skoczył do mojego mieszkania, na pewno nie udałoby mi się przeskoczyć tu z powrotem.

Zanim zrobiło mi się za zimno, żeby się skoncentrować, zacząłem „grę”.

Stanąłem prosto na skrzyni bagażowej, mniej więcej za siedzeniem pasażera, i złapałem się lewą ręką jednego z przewodów pneumatycznych. Prawą ręką wyjąłem małą latarkę i oświetliłem sobie twarz, patrząc w tylne okno kabiny.

Nie widziałem Toppera, ale moja twarz odbijała się w szybie, jakby unosiła się w powietrzu. Blask z dołu powodował, że padały na nią cienie i wyglądała nienaturalnie blado. Ciemny płaszcz w ogóle się nie odbijał.

Topper dopiero po chwili coś zauważył. Może zerknął w prawe lusterko wsteczne i dostrzegł kątem oka światło tam, gdzie nie powinno go być. Odwrócił więc głowę, żeby się lepiej przyjrzeć. Potem chyba drugi raz i trzeci. Tak się domyślałem, bo nacisnął mocno hamulec.

Zgasilem latarkę i skoczyłem na tył naczepy.

Minęło kilka sekund, zanim cysterna się zatrzymała. W ostatniej chwili Topper zjechał na pobocze. Usłyszałem, że otwiera drzwi kabiny i schodzi na dół. Asfalt omiółtł snop światła i zdałem sobie sprawę, że nie tylko ja mam latarkę.

Warkot diesla tłumił słowa Toppera, ale dosłyszałem przekleństwa, a potem jego kroki. Zbliżał się do tyłu naczepy, poprzedzany przez plamę światła na asfalcie. Zaczekałem, aż będzie tuż-tuż i skoczyłem z powrotem za kabinę.

Tak blisko pracującego silnika przestałem go słyszeć. Drzwi kierowcy były lekko uchylone, więc w kabinie paliło się światło i widziałem jej wnętrze. Wskoczyłem na siedzenie Toppera i wyłączyłem zapłon. Diesel umilkł z łoskotem. Spojrzałem w lusterka wsteczne. Topper biegł po lewej stronie pojazdu do kabiny. Skoczyłem z powrotem na półkę z tyłu.

Usłyszałem, że Topper klnie. Wspiąłem się po drabince na szczyt cysterny i popatrzyłem w przód. Topper stał przy drzwiach kierowcy z latarką skierowaną w dół i gapił się na kluczyki w stacyjce. Zamknął drzwi kabiny, potem schował kluczyki do kieszeni kurtki i ruszył wokół samochodu, oświetlając opony, wnęki błotników i całe podwozie. Gdy był w połowie drogi do tyłu naczepy, wskoczyłem z powrotem do kabiny.

W środku było ciepło.

Po okrążeniu całego pojazdu Topper podszedł do niskich zarośli przy drodze i omiół je światłem latarki. Wrócił, kręcąc głową.

Roześmiałem się. Kiedy otworzył drzwi, skoczyłem na tył naczepy, a gdy odpalił diesla i ruszył, wróciłem na skrzynię za kabiną.

Wszystko jasne?

W ciągu następnej godziny powtórzyłem całą zabawę pięć razy. Nie ujechał nawet dwudziestu kilometrów międzystanową 94. Kiedy obchodził samochód szósty raz, wydyszał:

- Niech to szlag! Kim ty jesteś, do cholery? Czego chcesz?

Zaczekałem, aż będzie z tyłu naczepy, zszedłem z ciągnika siodłowego i pomaszerowałem wzdłuż drogi. Jakies trzydzieści metrów od pojazdu był przepust oznakowany tablicami odblaskowymi. Biegł tuż przy krawędzi pobocza i przechodził pod autostradą. Wybetonowany rów miał ponad metr szerokości i około dwóch głębokości. Poszedłem jeszcze kawałek, wybrałem i zapamiętałem miejsce do skoku przy znaku drogowym i skoczyłem z powrotem do przepustu.

Widziałem z daleka światło latarki przemieszczające się wolno wokół cysterny. Stałem na krawędzi pobocza z podniesionym kołnierzem i rękami w kieszeniach przed pierwszą tablicą odblaskową ostrzegającą o przepuście.

Topper wdrapał się w końcu do kabiny i odpalił silnik. Kiedy włączył reflektory, ich blask padł prosto na moją twarz.

Nawet nie drgnąłem. Samochód stał przez chwilę, potem ostro ruszył. Nie wrócił na jezdnię, tylko jechał poboczem i nabierał prędkości. Patrzyłem na przednią szybę po stronie kierowcy. Cysterna rozpędzała się coraz bardziej. Stałem nieruchomo i czekałem, dopóki nie poczułem ciepła silnika. Wtedy skoczyłem do znaku drogowego.

Prawe przednie koło ciągnika siodłowego wpadło do przepustu i uderzyło w jego przeciwległą krawędź. Rozległ się wystrzał rozerwanej opony. Tył kabiny obrócił się w prawo, popychany przez naczepę-cysternę. Potem cały pojazd przewrócił się wolno na bok. Kabina sunęła wśród snopów iskier po betonowych krawędziach przepustu, w blasku reflektorów migotały rozpryskujące się kawałki rozbitej szyby.

Przygotowałem się do skoku w obawie, że cysterna eksploduje, ale po chwili zatrzymała się. Kabina była pocięta, jeden reflektor zgasł, drugi świecił w niebo. Wydawało się, że cysterna nawet nie przecieka.

Podszedłem bliżej.

Topper miał twarz opryskaną krwią, rękę zaplątaną w kierownicę i zwisał przez dźwignię zmiany biegów na siedzenie pasażera. Patrzył na mnie, kiedy okrążałemabinę, chcąc przyjrzeć się jej z przodu. Wydawał ciche jęki i próbował chwycić kierownicę wolną ręką, żeby odciążyć drugie ramię.

Po drugiej stronie pasa rozdzielającego jezdnie zatrzymywały się samochody. Słyszałem trzaskanie drzwiami i podniesione głosy. Ignorowałem je.

Uśmiechnąłem się do Toppera. Znów jęknął i sięgnął do kierownicy. Kiedy na mnie spojrzał, skoczyłem.

## Rozdział 8

Cześć.

- Która godzina?

- Wpół do dwunastej. Obudziłem cię?

- Zasnęłam na kanapie. Czekałam na twój telefon. Uśmiechnąłem się głupkowato do słuchawki.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Byłem zajęty. - Leżałem w swoim łóżku pod kołdrą i starałem się rozgrzać po mojej małej przygodzie w Minnesocie.

- Szukałeś matki?

- Nie, wyrównywałem stare rachunki.

- Co to znaczy? - Jej głos stał się bardziej czujny, rozbudzony. - Chyba nie zrobiłeś nic swojemu ojcu?

Ścisnąłem mocniej słuchawkę. Na jakiś czas udało mi się o nim zapomnieć.

- Nie. Zasługuje na to, ale nic mu nie zrobiłem. - Urwałem. - Dowiedziałem się dzisiaj o czymś strasznym.

- O czym?

- Moja matka bezpośrednio po odejściu od starego spędziła rok w szpitalu psychiatrycznym. Miała też dwie operacje rekonstrukcji twarzy.

Usłyszałem, jak Millie wciąga gwałtownie powietrze.

- O Boże, Davy, to potworne.

- Tak. I nie chcą mi powiedzieć, gdzie ona jest. Boją się, że przekażą to staremu.
- Uspokój się, Davy. Weź głęboki oddech. Zamknąłem oczy, zrobiłem wdech i wydech.
- Przepraszam - odezwałem się po chwili.
- W porządku, masz prawo być zdenerwowany. Nasłuchałeś się dziś bardzo nieprzyjemnych rzeczy.

Na pewno jest ci ciężko. Ale kto ci nie chce powiedzieć, gdzie ona jest?

- Jej prawnik. Nie pozwoliła mu ujawniać swojego adresu. Nikomu, nawet mnie.
- Och, Davy, to przykre. - Zawahała się. - Żałuję, że nie mogę być z tobą.
- Tęsknię za tobą, Millie.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, ale czułem się prawie tak, jakbym był z nią.

- Co ja mam zrobić, do diabła? Ten prawnik powiedział, że może jej przekazać list.
- O! Więc mógłbyś do niej napisać?
- Chyba tak.
- I co? Nie chcesz?

- Sam nie wiem! Chodzi mi o to, że jeśli ona nie chce mnie widzieć, to po co mam pisać?

Na drugim końcu linii na chwilę zapadła cisza.

- Davy, nie wiesz, czy ona tego nie chce. Myślę, że po prostu boi się twojego ojca. Napisz do niej. Napisz jej, co czujesz, czego pragniesz.

- Nie wiem, czego pragnę. Nie mogę napisać. Millie westchnęła.

- Dlaczego, Davy? Czy rzeczywiste odrzucenie byłoby gorsze od wymyślanego? Dopóki nie napiszesz, będziesz mógł myśleć, że ona chciałaby się z tobą zobaczyć, gdybyś się do niej odezwał. Nie jest tak?

O Chryste! Zacisnąłem mocno powieki. Wypływały spod nich łzy. Nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Jesteś tam, Davy? - spytała łagodnie. - Wszystko w porządku?
- Nie - zdołałem wykrztusić. - Jestem zdołowany. - Miałem ściśnięte gardło i trzymałem słuchawkę tak mocno, że bolała mnie ręka. - Posłuchaj, muszę to przemyśleć. Zadzwoń do ciebie jutro, okej?
- Okej - odrzekła cicho. - Do usłyszenia. Martwię się o ciebie. Rozłączyłem się, przykryłem twarz poduszką i chciałem umrzeć.

Tak dobrze się czułem po wypadku Toppera. Dlaczego więc rano wydawało się to takie żalosne?

Takie podłe? Nie zasłużył na to? Znów zrobiłem



się zły. Wziąłem książkę, którą czytałem poprzedniego dnia, ale nie mogłem się skupić. Tekst się rozpląwał.

Włożyłem płaszcz i skoczyłem do Minnesoty.

- Na zachód stąd widziałem przewróconą cysternę. Paskudny wypadek.

Kelnerka postawiła przede mną kawę.

- Tak, to jeden z naszych stałych klientów. Najwyraźniej zasnął i zjechał z drogi.

- Żyje? - No proszę, zapytałem o to i nie wiedziałem, czy powodowany strachem, czy nadzieją.

- Żyje. Jest trochę poturbowany i chyba ma zwichniętą rękę. Zatrzymali go na noc w szpitalu na obserwację.

Poczułem ulgę i byłem tym zaskoczony. Pomocnik kelnera czyścił sąsiedni stolik.

- Dziś rano wpadło do nas czterech gliniarzy stanowych po pączki - wtrącił się do rozmowy. -

Słyszałem, jak jeden mówił, że zrobili Toppero-wi test anty dopingowy. Topper twierdził, że nie zasnął za kierownicą, tylko ścigał ducha, który go zwabił do rowu.

Kelnerka pokręciła głową.

- Zawsze był jakiś dziwny. Na czym był? Chłopak przestał wycierać blat.

- Na niczym. Mówili, że był czysty. Ale dlatego zatrzymali go na noc. Chcieli zobaczyć, czy nie ma uszkodzonego mózgu. Prześwietlili mu czaszkę, żeby sprawdzić, czy nie jest pęknięta.

- Phi! Też coś. - Kelnerka spojrzała na moją filiżankę. - Jeszcze kawy, złotko?

Uśmiechnąłem się.

- Poproszę.

„Droga Mamo.

Rok i trzy miesiące temu uciekłem z domu. Mieszkam teraz w Nowym Jorku i dobrze mi się powodzi. Chciałbym się z Tobą zobaczyć, choć nie wiem, czy sobie tego życzysz. Tęsknię za Tobą, ale zrozumieć, jeśli nie będziesz chciała spotkać się ze mną. W każdym razie byłbym wdzięczny, gdybyś się do mnie odezwała.

Możesz do mnie zadzwonić pod numer 718-5534465 albo napisać na skrytkę pocztową 62345, Nowy Jork, NY 10004.

Twój syn..."

Wyszło to niezdarnie i naiwnie, ale to było już szóste podejście i nie miałem ochoty pisać tego listu jeszcze raz. Wybrałem polecenie „Drukuj”

i laserowa drukarka cicho zrobiła swoje. Podpisałem kartkę i włożyłem do koperty z panińskim nazwiskiem mamy na wierzchu.

Skoczyłem na schody poniżej kancelarii Leo Silversteina. Na górze dałem list sekretarce i poprosiłem, żeby mu go przekazała. Obiecała, że to zrobi. O nic nie zapytała. Chyba znała sytuację. Nie potrzebuję pani współczucia! Miałem ochotę teleportować się do domu na jej oczach, tylko po to, żeby z jej twarzy zniknął wyraz litości i zrozumienia. Ale zrobiłem już za dużo takich numerów. Podziękowałem jej i skoczyłem bez świadków z klatki schodowej.

Zadzwoniłem do Millie i powiedziałem jej, że wysłałem list.

- Dobrze zrobiłeś, Davy. Wiem, że się denerwujesz, ale przynajmniej będziesz coś wiedział.

- A jeśli nie będzie chciała mnie widzieć? Jeśli nic jej nie obchodzi? Millie nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Nie sądzę, żeby tak było - odrzekła wreszcie. - Ale nawet jeśli tak jest, będziesz przynajmniej o tym wiedział i będziesz mógł dać sobie z tym spokój, zamiast w tym tkwić.

- Tkwić? Hm... chyba tak to można nazwać. Tkwię gdzieś pomiędzy tym, że mam matkę, a tym, że nie mam.

- Davy - odrzekła miękko - ty nie masz matki od sześciu lat. Tak naprawdę tkwisz w niewiedzy pomiędzy tym, czy ona znów będzie częścią twojego życia czy nie.

Pokręciłem ze złością głową.

- Nie widzę różnicy.

- Nie jesteś tą samą osobą, którą byłeś w chwili odejścia matki. Sprawił to sam upływ czasu, nie mówiąc już o agresywnym zachowaniu ojca. Twoja matka też jest teraz inną osobą. Leczenie psychiatryczne może bardzo zmienić człowieka. Żadne z was nie będzie w stanie odbudować waszych dawnych stosunków. Po prostu nie da się tego zrobić. Będziecie tylko udawali.

- Niech to szlag, Millie. To wszystko jest cholernie trudne.

- Wiem. Zmieniłem temat.

- Co chcesz robić w ten weekend?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Może się po prostu powyle-giwać.

Uśmiechnąłem się lekko.

- W łóżku?

- Też - odrzekła. - Ale tylko trochę. Nie cały czas. To prosta droga do zniszczenia związku.

- Co? Seks?

- Sam seks... Niech łączy nas coś więcej niż tylko cienka warstwa wilgoci.

- Nie lubisz tego? Myślałem... no wiesz, wydawałaś się...

- Uwielbiam seks. Do tego stopnia, że czasami z powodu mojego protestanckiego wychowania czuję się grzesznicą. Uwielbiam seks z tobą, Davy, bo... bo cię kocham.

Coś było nie tak z moją głową i gotowało mi się w żołądku. Nie widziałem telefonu, krzesła, półek z książkami. Tylko jej twarz.

- Millie, przylecę do ciebie dzisiaj. - Miałem ochrypy głos i nie mogłem opanować drżenia ręki, w której trzymałem słuchawkę.

Usłyszałem, że westchnęła.

- Nawet gdyby był jakiś lot, mógłbyś się tu zjawić dopiero rano. Mam zajęcia.

Mogłem tam być w ciągu jednego uderzenia serca. W ciszy, która zapadła, były ciepło i wzajemna tęsknota. Czuję się nieszczęśliwy i jednocześnie radosny.

- Ale jeśli chcesz, możesz przylecieć w czwartek.

- Na pewno?

- Kończę zajęcia o wpół do piątej. Mogę być na lotnisku o szóstej. Nie, o wpół do siódmej, bo to godziny szczytu.

- Nie trzeba. Będę u ciebie w mieszkaniu o wpół do piątej w czwartek. - I zanim straciłem odwagę, dodałem: - Ja też cię kocham.

Milczała przez chwilę, potem ledwo słyszalnie powiedziała:

- Och, Davy, zaraz się rozpłaczę.

- Wolno ci.

Pędź do niej. Pędź do niej natychmiast. Tak bardzo chciałem skoczyć, ale inny głos ostrzegł mnie: „Zaczekaj. Ona kocha ciebie, ale czy będzie kochała skoczka?”

Usłyszałem, że Millie wyciera nos.

- Chryste, nie cierpię, jak mi tak leci z nosa, kiedy płaczę.

- Przepraszam, to przeze mnie.

- Oj, zamknij się, idioto. Mówiłam ci, że łyzy to błogosławieństwo. Jestem szczęśliwa, nie smutna.

Łzy nie zawsze oznaczają rozpacz. I nie jesteś idiotą, kocham cię.

Pędź do niej. Nie, zaczekaj. O Boże...

- Ja też cię kocham. Chciałem ci to powiedzieć, kiedy zadzwoniłem do ciebie z wiadomością o śmierci mojego dziadka.

- Zastanawiałam się...

- Ale bałem się. I nadal jestem przerażony.

- Rozumiem - odrzekła poważnym tonem. - Tego się nie mówi łatwo.
- Więc dlaczego chciałbym to wciąż powtarzać?
- Może dlatego, że to naprawdę czujesz. Mam teorię na temat tych słów. Powinno się je mówić, dopóki są prawdą ale nie tak często, że stają się automatyczne, bez znaczenia, pospolite. Nie powinny brzmieć tak jak „dzień dobry”, „przepraszam” czy „podaj mi masło, proszę”. Wiesz, o co chodzi?
- Chyba tak.
- Ale teraz możesz to powiedzieć jeszcze raz, jeśli chcesz.
- Och, Millie. Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Idę teraz do łóżka, ale chyba nie będę mogła zasnąć. Myśl o mnie.
- Nie uwolnię się od tego.

Pędź do niej, pędź do niej, pędź do niej. Roześmiała się.

- Dobrej nocy, skarbie.

- Dobranoc, kochanie.

Rozłączyła się. Przez chwilę patrzyłem z zachwytem na słuchawkę, potem skoczyłem do Stillwater przed jej dom i obserwowałem okno jej sypialni, dopóki nie zgasło światło.

Szukałem jakiegoś prezentu dla Millie i przypomniałem sobie coś, co widziałem w sklepie z pamiątkami w Metropolitan Museum of Art. Spróbowałem skoczyć do schodów muzeum. Szybko, zanim straciłem całą pewność siebie, skoczyłem na Washington Square. Bez problemu.

W muzeum byłem tylko raz, z Millie, i choć potem wybierałem się tam wielokrotnie, nic z tego nie wyszło.

Po prostu za słabo pamiętasz to miejsce, pomyślałem.

W im więcej miejsc skakałem, tym więcej miejsc musiałem pamiętać, jeśli zamierzałem znów tam skoczyć. Czy mam skakać w każde znajome miejsce raz w tygodniu, żeby mieć je świeżo w pamięci?

Uznałem, że czas kupić trochę więcej zabawek.

Na Czterdziestej Siódmej ulicy łatwo wydałem dwa tysiące dolarów na małą kamerę wideo na ośmiomilimetrowe kasety, odtwarzacz do takich kaset, pudełko z dziesięcioma dwudziestominutowymi kasetami, dwa dodatkowe akumulatorki niklowo-kadmowe i szybką ładowarkę do nich.

Godzinę później, po naładowaniu jednego akumulatorka i przeczytaniu instrukcji obsługi kamery, skoczyłem do Central Parku obok boiska do krykieta po jego zachodniej stronie i poszedłem dalej do Osiemdziesiątej Pierwszej ulicy, gdzie jest Metropolitan Museum. Spędziłem kilka minut na filmowaniu z zewnątrz nieuczęszczanej wnęki obok drzwi do muzeum,

później wszedłem do niej i uwieczniłem na kasecie rozciągającą się stamtąd panoramę. Robiąc to, mówiłem do mikrofonu o widokach i zapachach.

Potem skoczyłem do domu, wyjąłem z kamery kasetę i opisałem ją starannie: „Metropolitan Museum of Art, schody frontowe”. Włożyłem kasetę do odtwarzacza i obejrzałem nagranie na dwudziestopięciocalowym ekranie mojego telewizora. Jakość obrazu była doskonała.

Teraz nie będę miał żadnych problemów ze skokiem z powrotem do muzeum. Byłem tam przed chwilą i zwracałem na wszystko uwagę. Miałem nadzieję, że za pół roku, po dłuższej nieobecności w tamtym miejscu, kiedy wspomnienia zblakną, kaseta odświeży mi pamięć.

Zobaczmy.

Kupiłem prezenty dla Millie i przez resztę dnia filmowałem inne miejsca, do których rzadko skakałem. Kiedy gdzieś było za dużo ludzi, robiłem ujęcia jakiegoś nieuczęszczanego kąta. Na Florydzie na przykład wybrałem nowy punkt do skoku na lotnisku w Orlando, zakamarek za dwiema kolumnami. W Pine Bluffs znalazłem przestrzeń między dwoma krzewami na miejskim skwerze na wprost kancelarii Leo Silversteina. W Stillwater natrafiłem na zaułek dwa domy od bloku Millie. W Stanville postanowiłem wykorzystywać teren za śmietnikiem przy Dairy Queen, przesmyk między żywoplotem a budynkiem biblioteki publicznej i ogród za domem mojego starego.

Musiałem kupić jeszcze dwa pudełka kaset i półkę do ich składowania.

To wszystko zajęło mi czas do wtorku wieczorem. W środę rano skoczyłem na lotnisko w Orlando i złapałem autobus do Disney Worldu. Przyjechałem tam dwadzieścia minut przed otwarciem. Znalazłem przestrzeń między dwoma krzakami, zapamiętałem ją, skoczyłem do domu po kamerę, przeskoczyłem z powrotem i sfilmowałem to miejsce. Zrobiłem też ujęcia innego zakątka, wewnątrz parku. Ochrona Disney Worldu jest bardzo dobra, więc uważałem, żeby nie wybrać miejsca monitorowanego przez kamery. Wyobrażałem sobie upiorną scenę, jak podchodzi do mnie Myszka Miki i mówi: „Wydąło się! Wydąło się! Chi, chi! Skuj go, Goofy”.

Byłem ostrożny.

Kilka razy w ciągu tego dnia kusilo mnie, żeby skoczyć gdzieś, gdzie ludzie musieliby mnie zobaczyć, na początek jakiejś długiej kolejki. Nie cierpię stać w kolejkach, ale nie zaryzykowałem. Zawsze mogłem tu skoczyć następnego dnia z samego rana, zanim zbierze się tłum, albo krótko przed zamknięciem, kiedy jest już mało ludzi.

Pomyślałem, że powinna być ze mną Millie. W jej towarzystwie nie miałbym nic przeciwko czekaniu w kolejce.

Wróciło dawno zapomniane wspomnienie. Mama chciała mnie zabrać do Disney Worldu podczas naszej następnej wizyty u dziadka.

Poddałem się około szóstej po południu. Od chodzenia bolały mnie stopy, od upału głowa. Po powrocie do mieszkania zdrzemnąłem się parę godzin, a potem zadzwoniłem do Millie. Rozmawialiśmy ponad godzinę. Później, tak jak w poprzednie noce, skoczyłem do Stillwater i obserwowałem jej okno, dopóki nie zgasło światło.

Północ czasu wschodnioamerykańskiego zastała mnie patrzącego na zdjęcie Millie zrobione w automacie i bijącego się z myślami.

Dlaczego jej nie powiesz?

Czego? Że obrabowałem bank? Że ukradłem ludziom ich ciężko zarobione pieniądze? Że nie robię w życiu nic pożytecznego? Powiedz jej o skakaniu.

Jasne. Jeśli jej o tym powiem, zada mi mnóstwo pytań. Teraz mnie kocha. Nie muszę być dziwolągiem, żeby zdobyć jej miłość. Mogę być sobą.

Czyżby? Ona kocha w tobie to, co zdecydowałeś się jej pokazać. Czy ukrywanie reszty nie jest takim samym oszustwem jak kłamstwo? Im dłużej to przed nią ukrywasz, tym bardziej będzie się czuła oszukana, kiedy się

O tym dowie.

A musi się dowiedzieć? Kochasz ją?

Okej, powinienem jej powiedzieć. Kiedyś. W odpowiednim czasie. Popatrzyłem na zdjęcie Millie i zadrżałem.

O drugiej nad ranem Washburnowie znów zaczęli się klócić, ale tym razem doszło do rękoczynów. W ciągu dwudziestu minut głośne, gniewne komentarze pani Washburn przerodziły się w krzyki strachu, a potem bólu.

Jakbym słyszał mamę.

Wciągnąłem szybko dzinsy, narzuciłem płaszcz na nagie ramiona i skoczyłem na róg przy delikatesach. Zadzwoniłem z automatu pod 911, zgłosiłem awanturę domową i podałem adres.

Kiedy zapytali, jak się nazywam i gdzie mieszkam, odrzekłem:

- Po prostu przechodziłem obok. Nie chcę być w to zamieszany, ale wygląda na to, że on ją może zabić. - Rozłączyłem się.

Nie znoszę wrzasków, więc nie wróciłem do mieszkania, tylko krążyłem boso po zimnym chodniku. Nawet tu docierały przytłumione krzyki.

Szybciej, do cholery.

Policja przyjechała po pięciu minutach, ale nie na sygnale; radiowóz miał włączone tylko koguty. Przestałem słyszeć wrzaski. Dwaj gliniarze wcisnęli dzwonek mieszkania Washburnów i przedstawili się przez domofon. Rozległ się brzęczyk, pchnęli drzwi i weszli do środka.

Stałem przy automacie w cieniu, gdzie nie padało światło lampy ulicznej. Z każdą chwilą było mi coraz zimniej w stopy. Więc skocz w jakieś ciepłe miejsce. Nie ruszyłem się. Nie chciałem wracać do mieszkania i nie chciałem się stąd oddalać. To było coś takiego, jakbym miał ranę w ustach, bolącą przy dotyku, ale wciąż ją naciskał językiem.

Policjanci wyszli z budynku po niecałych dwóch minutach, wsiedli do samochodu i odjechali. Niech to szlag.

Skoczyłem do mieszkania i zacząłem nasłuchiwać. Pani Washburn krzyczała, ale najwyraźniej przestała ją bić. Włączyłem radio, żeby zagłuszyć hałas, i wróciłem do łóżka.

Weekend był cudowny. Przeszkadzało mi tylko, że mój wewnętrzny głos powtarzał w kółko: „powiedz jej, bo będziesz żałował”, i to, że tym razem współlokatorka Millie nie pojechała do domu.

Najpierw dałem jej marmurową głowę.

- O, mój Boże, jaka piękna. Co to jest?

- Kopia fragmentu Piety Michała Anioła. Nazywa się Głowa Maryi Dziewicy. Uważałem, że to będzie odpowiedni prezent.

Zaczerwieniła się i roześmiała.

- Twój drugi dar dziewictwa? Śliczna. Jestem zachwycona. Aż boję się spytać, ile kosztowała.

Wzruszyłem ramionami i wziąłem następne pudełko. Spojrzała na mnie oskarżycielsko.

- Mówiłam ci, że czuję się winna, kiedy wydajesz na mnie pieniądze!

- Więc z góry przepraszam. Zwykle się kontroluję, ale teraz mi się nie udało. Zaslugujesz na więcej, dużo więcej.

Popatrzyła na pudełko.

- Mhm. Nie przymilaj się, nie wykręcisz się tym. - Potrząsnęła pudełkiem, obejrzała je ze wszystkich stron i zważyła na dłoni. - Mam nadzieję, że to książka.

- Nie.

Odpakowała prezent wolno i ostrożnie, żeby nie uszkodzić papieru. Gdy zobaczyła etui od jubilera, znów posłała mi groźne spojrzenie.

- Otwórz.

Zrobiła to i opadła jej szczeka. Była zaskoczona i najwyraźniej sprawiłem jej przyjemność.

- Pamiętałeś.

Kupiłem jej kopię „Naszyjnika Księżniczki”, którego oryginał należał do Sithathoryunet, córki Senusereta II, faraona z XII dynastii. Korale

w kształcie kropki z lazurytu, krwawnika, awanturynu i połączanego srebra przedzielały okrągłe paciorki z ametystu. Oryginał był z pewnością zrobiony ze szczerego złota, nie z powlekanego elektrolitycznie, ale nie można mieć wszystkiego. Zapłaciłem dwieście pięćdziesiąt dolarów plus trzydzieści za kolczyki do kompletu.

- Tak. O mało nie kupiłem ci go wtedy, ale byłaś strasznie drażliwa na punkcie pieniędzy.

Odłożyła pudełko i pchnęła mnie na kanapę.

- I nadal jestem. Przestań mi kupować drogie prezenty. - Pocałowała mnie lekko, nie spiesząc się. - Mówię poważnie. - Znów mnie pocałowała. -1 dziękuję.

Tego wieczoru poszliśmy do najelegantszej restauracji w Stillwater, żeby Millie mogła się wystroić i włożyć naszyjnik i kolczyki. Zapytały o nie trzy różne kobiety, zmuszając ją do przebrnięcia przez krótki wykład o dwunastej dynastii egipskiej. Po ostatnim spotkaniu zmiażdżyła mnie wzrokiem.

- Przestań się śmiać! Studiuję psychologię, nie archeologię. - Ale mimo narzekań uśmiechała się i przez całą kolację bawiła naszyjnikiem.

Przeżyłem trudny moment, kiedy zapytała, jak mi się udało nie pognieść garnituru w mikroskopijnej torbie podróżnej. Wcześniej skoczyłem z jej łazienki do mojego mieszkania i chwyciłem go z wieszaka. Nie miałem go w torbie. W ogóle nie był złożony.

- Wierzysz w zjawiska paranormalne?

- Takie jak prasowanie męskich garniturów siłą woli?

- Taka umiejętność byłaby przydatna, nie uważasz? Teleprasowanie albo psychoprasowanie.

Roześmiała się i zmieniłem temat.

W piątek miała trzy godziny zajęć, więc skoczyłem do Brooklynu i trochę poczytałem, a potem, kiedy otworzyli Disney World, skoczyłem na Florydę i zaliczyłem trzy razy pod rząd Star Tour, symulowany lot statkiem kosmicznym.

Świetna zabawa.

Muszę tu zabrać Millie.

Popołudnie spędziliśmy w jej łóżku, ciepłym i bezpiecznym, fortecy chroniącej nas przed październikowym chłodem. Później przeszliśmy spacerkiem niecały kilometr do kawiarni przy kampusie. Z niektórych kominów unosił się dym i przypominał mi o Stanville.

Przy kolacji zapytała:

- Twoja matka się nie odezwała?

- Nie, jeszcze nie, ale minęły dopiero trzy dni. Sprawdziłem dziś, czy na automatycznej sekretarce nie ma od niej wiadomości, ale nic nie było.



- Można to zrobić przez telefon?

- Tak. Trzeba mieć tylko aparat z klawiaturą. - Nie użyłem tego urządzenia, ale można. Półprawdy i przemilczenia. I ty to nazywasz uczciwym związkiem? Na chwilę zasłoniłem usta serwetką. Potem skontrolowałem:

- A co słycać u twojego byłego?

- Dlaczego o niego pytasz?

- Przepraszam.

- Sissy z nim zerwała. Zamrugalem.

- Co?! Z powodu tamtego numeru na imprezie? - Nie mogłem się oprzeć. Byłem ciekaw, co jej powiedział.

- Po tamtej historii kompletnie ześwirował. Twierdził, że porwało go UFO prosto ze strefy mroku. Sissy tkwi po uszy w New Age, więc to kupiła.

- Millie pokręciła głową. - Kiedy się z nim spotykałam, nie był takim świrem. Ale Sissy opuściła raz zajęcia i zastała go w łóżku z jej współlokatorką.

- Uśmiechnęła się szeroko. - To jest Mark, jakiego znam.

- Co za palant! - Pożałowałem, że go nie przeniosłem do Harlemu albo Central Parku. Nie... to nie Topper Robbins. Mimo to byłem zadowolony z tego, co zrobiłem.

Po kolacji poszliśmy na jakiś kiepski film - tak kiepski, że aż śmieszny. Zabawialiśmy się wymyślaniem własnych dialogów. W drodze powrotnej przez kampus usiedliśmy na ławce i liczyliśmy gwiazdy, dopóki zimno nie wygoniło nas z powrotem do domu i do łóżka. O dziwo, nie uprawialiśmy seksu, tylko spaliśmy wtuleni w siebie.

I tak było dobrze.

Przedłużyłem swój pobyt do poniedziałku rano. Wy tłumaczyłem, że wcześniej nie ma samolotu. Zapytała o rozkład lotów i omal nie powiedziałem jej wszystkiego. Zamiast tego „przypadkowo” wylałem na nas szklankę wody i kiedy się wycieraliśmy, Millie zapomniała, o co pytała.

Po powrocie do Nowego Jorku zobaczyłem, że automatyczna sekretarka sygnalizuje nagranie trzech wiadomości. Cofnąłem taśmę i usiadłem po turecku na podłodze z brodą opartą na rękach.

Pierwsza wiadomość brzmiała: „Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jakie bezpieczeństwo zapewnia ubezpieczenie na życie? Nad problemem...” Reklama z komputera. Wcisnąłem ze złością przycisk przewijania i przeszedłem do następnej wiadomości.

„Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jakie bezpieczeństwo zapewnia ubezpieczenie na życie?

Nad prob...” Znów wcisnąłem przycisk przewijania, klnąc pod nosem. Spodziewałem się, że po raz trzeci usłyszę tę głupią reklamę.

„Wiadomość dla Davy'ego Rice'a. Mówi Mary Niles. Na zachodnim wybrzeżu jest niedzielny wieczór, godzina dwudziesta; u ciebie chyba dwudziesta trzecia. Nie zostawię numeru telefonu, ale zadzwonię jutro, to znaczy w poniedziałek, o tej samej porze”.

Mama.

Jej głos brzmiał tak znajomo, że rozdzierał mi serce; nie postarzał się, był taki, jak pamiętałem.

Najpierw mówiła z wahaniem, potem po prostu rzeczowo.

Co ja jej powiem? Puściłem nagranie jeszcze raz, żeby znów usłyszeć jej głos. Zdałem sobie sprawę, że po twarzy płyną mi łzy i cieknie mi z nosa, ale zamiast wziąć z łazienki chusteczki higieniczne, w kółko odtwarzałem wiadomość.

Czekanie było nie do zniesienia. Przez całe przedpołudnie kręciłem się przy telefonie na wypadek, gdyby mama postanowiła zadzwonić wcześniej. Coraz bardziej narastało we mnie napięcie. W końcu skoczyłem do kina Embassy na Times Square i obejrzałem dwa filmy pod rząd, żeby czymś zająć myśli.

Kiedy wróciłem do domu, automatyczna sekretarka sygnalizowała jedną wiadomość. Zakląłem i włączyłem odtwarzanie, ale okazało się, że to jakiś facet imieniem Morgan pyta o dziewczynę imieniem Sheila - pomyłka. Mieszane uczucia, ulga i jednocześnie rozczarowanie.

O siódmej zadzwoniłem do Millie. U niej była szósta. Wcześniej, ale nie chciałem blokować linii, żeby mama nie usłyszała sygnału zajętości lub automatycznej sekretarki, kiedy zatelefonuje.

Na szczęście Millie właśnie wróciła do domu.

- Odezwała się twoja mama? To wspaniale! Co powiedziała?

- Nagrała się na automatyczną sekretarkę. Nie zostawiła numeru, ale ma dziś zadzwonić. Dlatego telefonuję teraz, żeby później nie blokować linii.

- Aha. Bardzo się cieszę, Davy. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

- Zobaczymy. - Bałem się jak cholera, ale też miałem taką nadzieję. -Gdyby nie ty, Millie, nie napisałbym do niej. Zabrakłoby mi odwagi. Dzięki.

- Hej! Więcej wiary w siebie. Nie oceniaj tak nisko faceta, którego kocham.

- I ja cię kocham. Ale teraz się rozłączam, dobrze?

- Jasne. Ja też cię kocham. Pa.

- Pa. - Odłożyłem słuchawkę delikatnie, wręcz czule. Wiedziałem, że to głupie, ale skoro nie mogłem dotknąć Millie, wyraziłem to tym ruchem. Uśmiełem się z siebie.

Nadal się bałem.

Najgorsze było czekanie od siódmej do jedenastej.

Telefon zadzwonił o ósmej trzydzieści. Chwyciłem słuchawkę.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jakie bezpieczeństwo zapewnia ubezpiec... - Trzasnąłem słuchawką.

Pięć minut później telefon znów zadzwieczał.

- Cześć, mówi Morgan. Zastałem Sheilę?

- Tu nie ma żadnej Sheili. Ma pan zły numer.

- O! Przepraszam. - Rozłączył się. Niemal natychmiast znów zadzwonił.

- Cześć, mówi Morgan. Jest Sheila?

- Pomyłka.

- O! - Irytacja. - Musiałem wybrać zły numer. Była bardzo dokładna, kiedy mi go podawała.

Przepraszam.

Palant. Pewnie nie dała ci swojego prawdziwego numeru. Po dwóch minutach przerwy telefon znowu zadzwonił.

- Cześć, mówi Morgan. Jest Sheila?

Najpierw się nie odezwałem. Potem, z moim najlepszym brooklyńskim akcentem, jedną oktawę niżej niż zwykle, odparłem:

- O, Jezu. Tak mi przykro, człowieku. Sheila nie żyje! - Rozłączyłem się. Nieladnie, Davy.

Poczułem się winny, ale facet więcej nie zadzwonił. O dziewiątej kolejny telefon.

- „Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jakie bezpieczeństwo zapewnia ubezpieczenie na życie? Nad problemem ochrony swoich bliskich przed niepewną przyszłością?”

Tym razem wysłuchałem całej reklamy, żeby zapisać nazwę firmy i numer ich telefonu. Potem rozłączyłem się i miałem brzydkie myśli o niewłaściwym wykorzystywaniu systemu poczty głosowej, kiedy szukałem ich adresu w książce telefonicznej.

Telefon znów się odezwał za pięć jedenasta.

O Boże! O Boże! O Boże!

Podniosłem słuchawkę i oblizałem wargi.

- Halo?

- David Rice? Davy? Wypuściłem z drzeniem powietrze.

- Cześć, mamó - powiedziałem cicho. - Co słyhać?

To był fragment przeszłości, okruch dzieciństwa. Wsiadałem ze szkolnego autobusu, biegłem podjazdem, wpadałem do domu kuchennymi drzwiami i mówiłem: „Cześć, mamó. Co słyhać?” A ona odpowiadała: „Och, niewiele. Co w szkole?”

Głos na drugim końcu linii stał się tak cichy jak mój.

- Och, Davy... Davy. Czy kiedykolwiek będziesz w stanie mi wybaczyć?

Zapiekły mnie oczy i zamrugalem szybko.

- Mamo... wiem, że miałaś zmasakrowaną twarz. Wiem, że spędziłaś rok w szpitalu. Nie miałaś wielkiego wyboru. Wszystko w porządku.

Może będzie w porządku.

Usłyszałem, jak słuchawka otarła się o jej policzek, kiedy pokręciła głową.

- Nie odpowiadałeś na moje listy... Musiałam cię strasznie zranić.

- Nie dostałem od ciebie żadnego listu. Ile ich było? - Poczulem znajomą pustkę w żołądku, jak wtedy, gdy stary zamierzał mnie zbić, i jak wtedy, gdy stawilem czoło Markowi, byłemu chłopakowi Millie.

- Niech piekło pochłonie twojego ojca! Ze szpitala wysłałam tylko kilka długich listów, ale po wyjściu stamtąd przez rok pisałam co miesiąc. Potem, ponieważ nie dostawałam odpowiedzi, już tylko cztery czy pięć razy do roku. Przez kilka ostatnich lat po prostu wysyłałam ci prezenty na urodziny. Dostawałeś je?

- Nie.

- A to kanalia! I ja cię z nim zostawiłam...

Poruszyłem się niespokojnie na kanapie. Chciałem, żeby przestała o nim mówić, przestała mi o nim przypominać. Było mi niedobrze, miałem ochotę uciec, rozłączyć się albo skoczyć. Do Stillwater, na most Brooklyński albo na Long Island i iść plażą gdy piasek zalewają sztormowe fale Atlantyku.

- Wszystko w porządku, mamó - zapewniłem, ale nie zabrzmiało to przekonująco dla żadnego z nas.

Milczała chwilę, potem zapytała łamiącym się głosem:

- Bił cię, Davy?

Nie mów jej. Po co ma się poczuć jeszcze gorzej? Ale część mnie chciała, żeby matka poczuła coś z tego bólu, który czuł dwunastoletni chłopiec.

- Czasami. Tym swoim kowbojskim pasem z dużą kłamrą. Opuściłem kilka dni szkoły. - Mój głos brzmiał rzeczowo.

Załamala się. Zaczęła niekontrolowanie szlochać i pożałowałem, że jej o tym powiedziałem.

Czulem się winny.

- Przepraszam - wykrztusiła między spazmami. - Wybacz mi. - Powtarzała jedno i drugie, dopóki te słowa nie zmieszały się z łkaniem, nie stały się okrzykami bólu i cierpienia, litanią zdającą się nie mieć końca. - Ciii. Już dobrze, mamó, już dobrze. - Nie wiem dlaczego, ale przestało mi się zbierać na płacz. Przepelnil mnie melancholijny smutek, tak głęboki, że niemal słodki, i pomyślałem o Millie tulącej mnie, gdy płakałem. ~ Ciii. Wybaczam ci. To nie twoja wina. To nie twoja wina. Ciii.

W końcu się wyplakała i usłyszałem, że wyciera nos.

- Mam straszne poczucie winy, że cię zostawiłam. Myślałam, że już się z tym uporałam lata temu z pomocą mojego terapeuty. Nie cierpię, jak mi tak cieknie z nosa, kiedy płaczę!

- To musi być dziedziczne.

- Tobie też? Często płaczesz?

- Nie wiem, mam. Chyba trochę, ostatnio. Nie jestem w tym zbyt dobry. Pewnie za mało ćwiczę.

- To miał być żart?

- Coś w tym rodzaju.

- Co robisz, Davy? Jak wiążesz koniec z końcem? Obrobiłem bank.

- Och, prowadzę interesy bankowe. Radzę sobie. Dużo podróżuję. -Kłamstwa. Znowu poczucie winy i pogarda dla samego siebie. - A ty?

- Pracuję w biurze podróży. Też podróżuję. To zupełnie co innego niż być gospodynią domową.

- Podróżowanie to dobra ucieczka, prawda? - powiedziałem. Jak jeden uciekinier do drugiego. Też się teleportujesz? Chciałem o to zapytać, ale gdybym nie trafił, pomyślałaby, że zwariowałem.

- Tak. Czasami wszyscy tego potrzebujemy. Tęskniłam za tobą, Davy. Znowu napłynęły mi łzy do oczu.

- Ja za tobą też, mam. - Odsunąłem słuchawkę, ale usłyszała moje łkanie, choć szybko je stłumiłem.

- Przepraszam cię, kochanie. - Przygnębienie w jej głosie było bardzo wyraźne. - Tak mi przykro.

- Wszystko w porządku. To mi się czasem zdarza. I też nie cierpię, jak mi leci z nosa.

Nerwowy śmiech.

- Wciąż próbujesz mnie rozweselić, Davy. Mój własny nadworny błazen. Jesteś wyjątkowy. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić.

Chciałem o coś zapytać, ale wciąż się bałem odrzucenia. Potem ona o to zapytała i już nie musiałem.

- Możemy się spotkać, Davy?

- Właśnie miałem to zaproponować. Mogę do ciebie przylecieć w tym tygodniu.

- Nie musisz pracować?

- Nie.

- Może innym razem, bo za tydzień wyjeżdżam do Europy. Ale odlatujemy z Nowego Jorku, więc mogłabym być dzień wcześniej i przenocować.

Roześmiałem się.

- Co cię tak bawi?

- Nic. To znaczy... moja przyjaciółka powiedziała, że jeśli wrócisz do mojego życia, nie uda nam się odbudować dawnych stosunków rodzinnych, tylko będziemy musieli zacząć od nowa.

- Mądra dziewczyna.

- Bardzo. Ale jak tylko powiedziałaś, że mogłabyś tu przyjechać, zacząłem się martwić bałaganem w moim pokoju.

Roześmiała się.

- Może pewne rzeczy się nie zmieniają.

Rozmawialiśmy jeszcze godzinę. Opowiedziała mi o mężczyźnie, z którym się spotyka, o swoich kursach w college'u, o pięknie północnej Kalifornii. Ja mówiłem o Millie, moim mieszkaniu, o Millie, Nowym Jorku i o Millie.

- To musi być wspaniała dziewczyna — stwierdziła mama. — Zadzwoń do ciebie, jak będę miała informacje o moim locie. Na pewno masz wystarczająco dużo miejsca? Słyszałam, jakie są mieszkania w Nowym Jorku, i stać mnie na hotel.

- Słyszałaś, jakie są mieszkania na Manhattanie. U mnie jest mnóstwo miejsca. - Pomyślałem, że kupię nowe łóżko. - Jeśli mnie nie zastaniesz, zostaw wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Dobrze, Davy. Bardzo się cieszę, że się odezwałeś.

- Ja też, mamó. Dobrej nocy. Kocham cię. Znów zaczęła płakać. Rozłączyłem się.

## Rozdział 9

Zamówiłem na środę usługę w firmie sprzątającej mieszkania. Tak dawno nie otwierałem swoich drzwi wejściowych, że się zacięły i musiałem powiedzieć ekipie, żeby naparła na nie z zewnątrz. Sprzątaczkę miały dziwne miny, kiedy drzwi w końcu ustąpiły.

- Jezu! - powiedziałem. - Co tak śmierdzi?

W odpowiedzi pierwsza z trzech kobiet wskazała przez ramię za siebie. Spojrzałem tam.

Na korytarzu ktoś zrobił sobie legowisko z gazet i starych poduszek z kanapy. Była tam też puszka po kawie, którą obsiadły muchy. Odór świadczył, że to często używana prowizoryczna toaleta.

- O rany - jęknąłem zażenowany. - Ja tędy nie wchodzę.

- Nic dziwnego - odrzekła kobieta. Była wysoka, czarna i szeroka w ramionach. Nad prawym uchem miała pasmo siwych włosów. - Wynoah Johnson z firmy Pomocne Dłonie. Pan Reece?

- Tak.

- Okej. Jak rozumiem, życzy pan sobie pełny zakres usług. Mamy zacząć od klatki schodowej? To będzie płatne ekstra, bo to nie mieszkanie. Poza tym to jest tak zwana „praca w uciążliwych warunkach”.

Nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się głupio.

- Chyba tak. Nieważne, ile to będzie kosztowało. Naprawdę o tym nie wiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

- W porządku. Powinien pan pogadać z gospodarzem domu. Jest tu dozorca?

Pokręciłem przecząco głową.

- Charlene - Wynoah zwróciła się do koleżanki - wynieś to gówno do śmietnika.

- Dlaczego zawsze ja? - obruszyła się młoda Latynoska. Odstawiła wiadro i szczotkę i zeszła po schodach, trzymając puszkę po kawie w wyciągniętej ręce.

Wynoah mierzyła wzrokiem mój salon. Wskazałem korytarz na zewnątrz mieszkania.

- Często widujecie taki syf?

- Za często. W niektórych z tych budynków nie zamykają się dobrze drzwi, więc kiedy jakieś mieszkanie stoi przez pewien czas puste, wprowadzają się dzicy lokatorzy. Nie mogą korzystać z wody, bo nie mają umowy najmu. Przegania się ich, a potem wzywa nas, żebyśmy posprzątały. - Pokiwała głową na widok sprzętu wideo i stereo, kanapy, fotela wypoczynkowego i półek z książkami. - W porządku. Jak zobaczyłam korytarz, myślałam, że to będzie taka brudna robota, o jakiej mówiłam. A tu nic z tych rzeczy. Obejrzyjmy resztę.

Pokazałem jej pokój gościnny z komputerem na biurku, półkami pełnymi książek i nowiutkim futonem, który kupiłem dzień wcześniej jako łóżko gościnne. Przeszliśmy do mojej sypialni, gdzie też były półki z książkami i staromodny wyściełany bujany fotel, który kupiłem w Soho. Łazienka i kuchnia były maleńkie.

- Widzę mnóstwo kurzu, ale to nic strasznego. Książki tak się kurzą - oświeciła mnie z niesmakiem. Przyszło mi do głowy, że te kobiety są pierwszymi istotami ludzkimi w tym mieszkaniu poza mną. Nawet kiedy je oglądałem przed wynajęciem jednaście miesięcy wcześniej, pośredniczka po prostu dała mi klucze i nie pofatygowała się tu ze mną.

Częściowo była temu winna moja paranoja. Wciąż miałem w schowku trzy czwarte miliona dolarów i nie chciałem, żeby ktoś się zastanawiał, co to za pusta przestrzeń między kuchnią a sypialnią. No i dużo łatwiej było przynieść do domu książkę niż kogoś przyprowadzić. Książkę,

kasetę wideo czy kanapkę z delikatesów. To wszystko były wygodne, niewymagające rzeczy.

Tyle że, w przeciwieństwie do ludzi, nie ożywiały tego miejsca.

Po wyjściu ekipy sprzątającej odwiedziłem firmę ubezpieczeniową Hamilton Insurance Company, która używała reklamy telefonicznej zaczynającej się od zdania: „Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jakie bezpieczeństwo zapewnia ubezpieczenie na życie?” Zajrzałem do ich recepcji, wybrałem i zapamiętałem miejsce do skoku i wyszedłem, z nikim nie rozmawiając.

Później, kiedy wszyscy pracownicy już wyszli, wróciłem tam i zlokalizowałem w narożnym pokoju biurowym zautomatyzowany sprzęt telemarketingowy. W recepcji znalazłem spis telefonów domowych personelu.

Godzinę później automat dzwonił do nich i w kółko odtwarzał nagraną reklamę.

Wróciłem do mieszkania i położyłem się do łóżka z uśmiechem na twarzy.

O jedenastej pan Washburn znów zaczął bić żonę. Eskalacja nie trwała długo. Po zaledwie dwóch gniewnych zdaniach kobieta zaczęła krzyczeć i rozległy się mięsiste, mokre odgłosy uderzeń jego pięści w jej ciało.

Skoczyłem na ich podest i zacząłem łomotać w drzwi.

- Przestańcie! Przestańcie! - wołałem.

Krzyki ucichły i rozległy się ciężkie kroki. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Washburn. Był czerwony na twarzy, mrużył oczy i szczyrzył groźnie zęby. Lewą dłoń miał zaciśniętą w pięść, prawą chował za drzwiami.

- Czego, kurwa, chcesz?

Widziałem go kiedyś na schodach, jak wchodził czy wychodził. Był wyższy ode mnie i gruby. Teraz stał boso w ciemnych luźnych spodniach i białym podkoszulku bez rękawów. Wyjął prawą rękę zza drzwi. Trzymał w niej pistolet.

Zamarłem.

- Czego chcesz? - powtórzył.

W tle usłyszałem jęki jego żony. Poczulem znajomy zapach szkockiej. Rozbolał mnie żołądek. Skoczyłem za niego, chwyciłem go w pasie i dźwignąłem. Był bardzo c'ćzki. Kiedy poczuł, że opasałem go ramionami, natychmiast rzucił się



do tyłu. Straciłem równowagę i zacząłem upadać. Walił się na mnie całym swoim ciężarem. Zanim wylądowaliśmy na podłodze, skoczyłem do Central Parku na plac zabaw blisko Setnej ulicy na West Side.

Wpadliśmy do piaskownicy obok betonowego wzgórza z tunelami. Washburn tak mnie przygniótł, że zabrakło mi powietrza. Obrócił się z szybkością węży, żeby wycelować do mnie z pistoletu.

Odskoczyłem stamtąd odruchowo i potem zrobiłem gwałtowny wdech w bibliotece publicznej w Stanville. Boże, ależ był ciężki. Po pięciu minutach mogłem oddychać bez przeszywającego bólu.

Wróciłem do kamienicy w Brooklynie i zajrzałem przez wciąż otwarte drzwi frontowe Washburnów. Z sypialni doszedł jakiś dźwięk.

- Halo? - zawołałem. - Nic się pani nie stało? Super. Przecież wiesz, że się stało. Idiota!

Wszedłem z wahaniem. Leżała na podłodze przy łóżku i próbowała się podnieść. Zapomniałem, że to wtargnięcie, i podszedłem do niej.

- Niech pani się nie rusza. Wezwę karetkę.

- Nie, żadnej karetki. - Wciąż próbowała wstać, podciągnąć się na łóżko. Pomogłem jej, ale nie chciała się położyć, tylko usiąść. - Gdzie on jest?

- Na Manhattanie.

- Jak długo?

- Jak długo co?

- Jak długo go nie ma?

- Dopiero wyszedł.

Miała spuchniętą twarz i podbite oczy, ale sądząc po kolorze siniaków, od wczoraj. Krwawiła z ust i skaleczenia na czole.

- Moja torebka.

- Słucham?

- Proszę mi przynieść torebkę. Chyba jest w kuchni.

Spojrzałem na nią podejrzliwie. Wyglądało na to, że lada chwila dostanie wylewu krwi do mózgu. Powinna być w szpitalu.

- Proszę... mam tam adres schroniska dla maltretowanych kobiet. Poszedłem, znalazłem torebkę, wróciłem i przeszukałem ją na prośbę

pani Washburn. Adres był zapisany na małym kawałku lawendowego papieru listowego z sercami i kwiatami na górze.

Wezwałem taksówkę i pomogłem jej spakować trochę rzeczy - jakieś ubrania, pieniądze schowane w książce i album ze starymi zdjęciami. Potem sprowadziłem japo schodach do samochodu.

Zanim zeszliśmy na dół, odzyskała częściowo sprawność ruchów i zacząłem mieć nadzieję, że tylko wygląda jak śmierć. Zapłaciłem taksjarsowi z góry - z dużym napiwkiem - i upewniłem się, że wie,

dokąd ma jechać.

Powiedziałem mu też, że gdyby stan pani Washburn się pogorszył, ma ją zawieźć do najbliższego szpitala.

Taksówka ruszyła i pojechała w głąb ulicy. Malowała w oczach. Miałem nadzieję, że pani Washburn wyjdzie z tego. Żeby pomóc, włożyłem jej do torebki dwa tysiące dolarów, kiedy pomagałem jej się pakować.

Bąłem się zostać w mieszkaniu przez czwartek i piątek. Bąłem się, że narobię bałaganu, i bąłem się Washburna.

Pod wpływem impulsu skoczyłem do terminalu Delty w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Dallas-Fort Worth i złapałem samolot do Albuquerque, gdzie przez większość dnia bawiłem się w turystę. Pojechałem nawet tramwajem napowietrznym na szczyt Sandia Mountains. Tak się zmęczyłem, że po powrocie do domu natychmiast zasnąłem.

O dziesiątej zadzwonił budzik i zatelefonowałem do Millie.

- Co dziś robięś? - spytała.

- Obijałem się, bawiłem w turystę, trochę siedziałem przy komputerze. - Uśmiechnąłem się do siebie. - Starąłem się nie myśleć o wizycie mamy.

- Denerwujesz się. Westchnąłem.

- Bardzo. - Ciężar oczekiwania przygniatał mnie jak obowiązek, którego nie miałem czasu wypełnić przed powrotem starego do domu. Nie czułem wcale zapału, tylko lęk.

- Rozumiem cię. Masz prawo być zdenerwowany.

- A co, uważasz, że źle nam pójdzie? Wzięła szybki oddech.

- Nie, skarbie. Myślę, że będzie dobrze, ale nie widziałeś jej tak długo, że nie wiesz, czego się spodziewać. I nic dziwnego, bo od czasu jej odejścia spotkało cię wiele przykrych rzeczy. Na twoim miejscu każdy byłby zdenerwowany.

- Fakt. Zastanawiałem się, czy nie dziwaczę...

- Nie. - Zamilkła na moment. - Czasami, Davy, jestem zaskoczona, jak dobrze wszystko znosisz, zważywszy na to, co przeżyłeś.

Przełknąłem ślinę.

- Nie czujesz tego, co ja, Millie. Chwilami nie wiem, czy zdołam to wytrzymać. To boli.

- Większość ludzi w twojej sytuacji nawet by nie wiedziała, że to boli, Davy. Zbudowali by wokół siebie tak gruby mur nieczulości, że nie mieliby Pojęcia, kiedy są smutni, zrozpaczeni czy nawet szczęśliwi. Cierpienie byłoby tak wielkie i tak blisko, że mogliby się tylko ukryć przed nim i innymi Uczuciami. Żeby sobie z czymś poradzić, ozdrowieć, trzeba najpierw wiedzieć, że to boli. To jedyny sposób.

- Hm. Skoro tak mówisz... Ale wygląda na to, że ci inni ludzie mają dobry pomysł, żeby się odciąć od bólu.

- Posłuchaj mnie, Davidzie Rice! Jeśli pójdziesz tą drogą, nie będziesz czuł również radości ani miłości. To, co jest między nami, nigdy by się nie zdarzyło. Tego chcesz?

- Nie, nigdy - odrzekłem szybko. - Kocham cię. To też czasem boli.

- To dobrze. Powinno. - Wzięła urywany oddech. - Mnie też czasem boli. Ale myślę, że miłość jest tego warta. Mam nadzieję, że też tak uważasz?

- Tak, oczywiście.

- Przylecisz w następny weekend? - zapytała.

- Mogę być u ciebie w czwartek.

- Oj, w piątek mam sprawdzian. Muszę się do niego przygotować. Ale będziesz mógł zostać do wtorku.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją.

- Okej.

Później skoczyłem do Stillwater i przez jakiś czas obserwowałem okno sypialni Millie. Stamtąd skoczyłem na lotnisko w Albuquerque, zaczekałem, aż odetkają mi się uszy, skoczyłem na parking przy stacji napowietrznego tramwaju, znów zaczekałem, aż odetkają mi się uszy, i skoczyłem na taras widokowy na szczycie góry. Tym razem poczułem lekki ból, ale po sekundzie uszy mi się odetkały.

Muszę znaleźć jakieś miejsce w połowie drogi, na wysokości mniej więcej dwu i pół tysiąca metrów, jako drugi punkt etapowy.

Miasto wyglądało z góry jak gwiazdy, które spadły na ziemię - sieć ulic i parkingów poprzerywana słupami świateł budynków. Było tu dwie godziny wcześniej niż w Nowym Jorku, więc na odległym zachodnim horyzoncie żarzył się jeszcze słaby blask, a gwiazd na niebie było niemal tyle, ile świateł miasta.

Choć widok był piękny, czułem wewnętrzny chłód. Takich rzeczy nie powinno się oglądać samotnie, bo ich skala przytłacza człowieka. Złapałem się za nos i skoczyłem etapami do domu.

Czekałem na mamę na lotnisku La Guardia z różami i limuzyną. Przed bramką bezpieczeństwa kłębił się tłum. La Guardia jest tak zatłoczona, że do bramek wpuszczają tylko pasażerów. To mnie, rzecz jasna, nie powstrzymało. Skoczyłem po prostu za ochronę, do miejsca, które zobaczyłem w długim korytarzu, daleko za wykrywaczami metalu i rentgenami do prześwietlania bagażu.

Samolot z Chicago miał dwudziestominutowe opóźnienie, co wzmagało mój lęk. Myślałem o katastrofach lotniczych, pomieszanych sygnałach, zaginionych maszynach. To by dopiero było, gdyby nie przyleciała. Po raz dwudziesty powąchałem róże - miałem wrażenie, że straciły lekki zapach perfum i niemal cuchną. Wiedziałem, że to nie wina kwiatów, tylko mojego strachu.

Więc przestań je wąchać!

Spacerowałem po poczekalni i od czasu do czasu wąchałem róże.

Kiedy samolot wreszcie wylądował, mama wyszła jako jedna z ostatnich. Szła wolno z neseserem w ręce.

Zmieniła się. Nie wiem, dlaczego to mnie zaskoczyło. Przed odejściem miała lśniąco czarne włosy, długie i gęste. Była też pulchna. Ciągłe mówiła

o odchudzaniu, ale nigdy nie odmawiała sobie deseru. Miała też nos, który przyjaciele mogliby nazwać orlim, a wrogowie podobnym do ptasiego dzioba. Odziedziczyłem taki nos po niej i po jej ojcu, więc dobrze wiedziałem, co ludzie mogą o nim mówić.

Teraz włosy miała krótkie, krótsze niż Millie, i jasne. Straciła co najmniej dwadzieścia kilogramów i nosiła sukienkę wciętą w tali. Zauważyłem, że obejrzało się za nią paru facetów. Zmieniła się też na twarzy. Nie aż tak, żebym jej nie poznał, ale dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to ona. Nos miała teraz mniejszy, lekko zadarty, i przez moment czułem żal, że straciłem z nią następną więź. Zastanawiałem się nawet, czy sobie nie wymyśliłem, że mamy podobne rysy. Może wcale nie jestem z nią spokrewniony, tylko obcy - naprawdę obcy, z innego świata.

Potem przypomniałem sobie, że po odejściu od nas była w szpitalu

i przeszła rekonstrukcję twarzy.

Przyglądała się uważnie tłumowi przy bramce. Patrzyła na wszystkich z wyjątkiem mnie. Wreszcie mnie dostrzegła: młodego mężczyznę w (nowym) drogim garniturze. Zatrzymała wzrok i uśmiechnęła się niepewnie.

Ruszyłem w jej stronę, trzymając przed sobą kwiaty prawie jak tarczę.

- Witaj w Nowym Jorku - powiedziałem.

Przeniosła spojrzenie z mojej twarzy na róże i znowu na mnie. Postawiła neseser, wzięła kwiaty i rozpostarła szeroko ramiona. Po jej twarzy spływały łzy... po mojej też. Podeszedłem do niej i przytuliłem ją niemal tak mocno jak ona mnie.

Nie poczułem się dobrze. Była niższa ode mnie i jej uścisk stracił pluszową miękkość, którą pamiętałem z dzieciństwa. Miałem wrażenie, jakbym obejmował Millie. Puściłem ją i cofnąłem się o krok, zmieszany i głęboko zaniepokojony. Kim jest ta osoba?

- Boże, ale urosłeś - stwierdziła i znów wszystko było w porządku, bo usłyszałem głos z mojej przeszłości, który kiedyś mówił: „Och, niewiele.

Co w szkole?" Głos, który mówił: „Tata nie może na to nic poradzić, skarbie, jest chory". Głos się nie zmienił.

- Pewnie tak, minęło sześć lat. - Wziąłem jej neseser i zakląłem w duchu. Ona wie, ile czasu minęło. Po co to powiedziałaś? - Dobrze wyglądasz, mamó. Podoba mi się twoja fryzura i bardzo zeszczuplałaś. - Nie wspominałem o jej twarzy, bo nie chciałem mówić o wypadkach, które zmusiły ją do poddania się zabiegom chirurgicznym, a wcześniej doprowadziły do jej odejścia.

Skinęła tylko głową i ruszyła obok mnie, wachając raz po raz różę. Trzymała je w ramionach jak niemowlę.

Zadzwoiłem z automatu w hali odbioru bagażu na komórkę kierowcy limuzyny. Czekał w samochodzie na Czterdziestej Dziewiątej, naprzeciwko lotniska. Gdy odebraliśmy bagaż mamy i wyszliśmy na ulicę, limuzyna stała już przy krawężniku. Kierowca, niski czarny mężczyzna w czarnym garniturze, opierał się o maskę.

Poznałem go dzień wcześniej w firmie wypożyczającej limuzyny, więc mnie pamiętał.

- Wezmę to, proszę pani - powiedział, podchodząc do mamy. Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Wszystko w porządku - uspokoiłem ją. - To pan Adams, nasz kierowca.

Odrężyła się i podała mu walizkę. Potem znów popatrzyła na mnie.

- Limuzyna? - spytała.

- Chyba tak to się nazywa.

Pan Adams przytrzymał jej tylne drzwi, pochylony troskliwie do przodu, gotów natychmiast pomóc. Kiedy znalazła się w środku, nie ruszył się, tylko spojrzał na mnie.

- A... - Wciąż trzymałem neseser. Postawiłem go obok innych walizek i wsiadłem. Pan Adams zamknął drzwi i włożył walizki do bagażnika.

- Limuzyna?

- Ciągłe to powtarzasz, mamó. Chcesz się czegoś napić? - Otworzyłem małą lodówkę. - Tu jest szampan. - Gdyby miała na niego ochotę, poprosiłbym, żeby sama otworzyła butelkę. Nie zamierzałem już otwierać szampana bez wcześniejszego przeciwiczenia tego na osobności.

Zadowolila się wodą mineralną. Ja wziąłem napój imbirowy. Ale piliśmy w wysokich szampankach. Pan Adams dojechał Van Wyck do Belt--Parkway. W sobotnie popołudnie nie było dużego ruchu, więc limuzyna zatrzymała się przed moją kamienicą już po półgodzinie.

- To właściwy adres? - zapytał z powątpiewaniem kierowca.

- Tak - odparłem i zaczerwieniłem się. Zobaczyłem moją dzielnicę jego oczami: śmieci, graffiti, grupki ponurych Latynosów i Czarnych na ro-

gach ulic. Nigdy tego nie widziałem, bo zawsze skakałem prosto do mojego mieszkania. Gdybym chciał pójść na spacer, skoczyłbym w jakieś mniej stresujące miejsce: do Village, na południowy kraniec Central Parku albo do śródmieścia Stanville w Ohio.

Ale tak naprawdę obawiałem się tego, co zastanę w moim budynku. Miałem nadzieję, że nie wpadniemy na Washburna. Nie spotkaliśmy go.

Pan Adams sprawdził, czy limuzyna jest dobrze zamknięta i ma włączony alarm, zanim wniósł bagaże na górę. Kiedy postawił walizki w pokoju gościnnym, mama chciała mu dać napiwek.

- Nie, nie, dziękuję. Dostałem już więcej, niż się należy za weekend.

- Za weekend?

- Pan Adams będzie nas woził w czasie całej twojej wizyty, mamó. Czasami trudno jest złapać taksówkę.

Zamrugła.

- Ach tak.

Pan Adams uchylił czapkę.

- Lepiej wróć do samochodu. Mogę coś zaproponować? Odjadę, jeśli na razie nie jestem potrzebny, dobrze? Ma pan w mieszkaniu mnóstwo ładnych rzeczy, więc może lepiej, żeby limuzyna nie stała na dole i nie przyciągała uwagi. Złapie mnie pan na telefon w samochodzie.

- Bardzo słusznie. - Odprowadziłem go do drzwi i poradziłem: - Trzy przecznice stąd w kierunku Flatbush Avenue jest posterunek policji. To chyba będzie dobre miejsce do zaparkowania samochodu.

- Na pewno - odrzekł z ulgą. - Mam nadzieję, że to nie będzie dla pana niewygodne.

- Nie - uspokoilem go.

Gdy mama poszła do łazienki się odświeżyć, usiadłem w fotelu wypoczynkowym w salonie i słuchałem szumu wody. Nuciała, kiedy się myła. To było jeszcze jedno przypomnienie przeszłości, uspokajające i niepokojące jednocześnie.

- Widzę, że posprzątałeś swój pokój - powiedziała, kiedy wróciła do salonu.

- Niezupełnie - odparłem. - Wezwałem ekipę sprzątaczek. Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że nadal czytasz. - Spojrzała na regały. - Twój ojciec nigdy nie przepadał za książkami.

Milczałem. Popatrzyła na mnie spod uniesionych brwi.

- Tak, czytanie jest dla mnie bardzo ważne - odezwałem się, żeby przelać krępującą ciszę. -

Gdybym nie czytał, pewnie bym zwariował.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Ucieczka?

- Właśnie, ucieczka i wrażenie, że reszta świata nie jest szalona. Że ludzie naprawdę mogą żyć bez... - urwałem.

Mama wzięła głęboki oddech.

- Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy, Davy. Myślałam o nich przez lata.

Usiadłem prosto i podnózek fotela wypoczynkowego złożył się z cichym trzaskiem. Zaczęło mi się gotować w żołądku.

- Okej.

Usiadła na końcu kanapy bliższym mojego fotela, pochyliła się do przodu, oparła łokcie na kolanach i splótła palce.

- Słyszałeś kiedyś o Alanonie? Pokręciłem przecząco głową.

- Alanon to organizacja podobna do Anonimowych Alkoholików. Ale zajmuje się nie samymi alkoholikami, tylko członkami ich rodzin, głównie współmałżonkami i dziećmi. Kiedy się przenieśli do Kalifornii, zaczęłam chodzić na ich spotkania. - Urwała na chwilę. - Osoba, która żyje z alkoholikiem, na ogół agresywnym, zaczyna mieć takie same zahamowania emocjonalne jak on. Dlatego metody leczenia alkoholików okazują się skuteczne również w przypadku ofiar ich przemocy.

Skinałem głową. Nie wiedziałem, do czego zmierza, i podejrzewałem, że wołałbym nie wiedzieć, ale w końcu była moją matką.

- Obie organizacje stosują metodę zwaną programem dwunastu kroków. Te kroki to coś, co trzeba osiągnąć i zaakceptować, żeby uporać się z tym, co się stało i wyleczyć z tego. Bez przechodzenia przez całą listę chciałabym zrobić z tobą dziewiąty krok.

To nie była moja matka, która żartowała ze mną, pocieszała mnie i o mnie dbała. Nie wiedziałem, kim jest ta poważna, zdeterminowana kobieta.

- Co to jest ten dziewiąty krok? - zapytałem niechętnie.

- Poprawa, zmiana na lepsze. Przyznanie się do wyrządzenia komuś krzywdy.

- Oj, mamó. Ty tego nie zrobiłaś...

- Ciii. To nie jest łatwe. Daj mi dokończyć.

Skuliłem się, skrzyżowałem ręce na piersi i wpatrzyłem się w podłogę między nami.

- Wyrządziłam ci straszną krzywdę, Davy. Zostawiłam cię na sześć lat z człowiekiem, o którym wiedziałam, że jest alkoholikiem zdolnym do znęcania się nad tobą psychicznie i fizycznie. Zanim odeszłam, byłam cichą współsprawczynią maltretowania cię psychicznie. Pozwalałam mu niszczyć

twoje poczucie własnej wartości. Pozwalałam mu „karać” cię za rzeczy, które nie uzasadniały wymierzania kary. Byłam jego cichą współniczką w znęcaniu się nad tobą.

Kuliłem się coraz bardziej, jakbym chciał zwinąć się w kłębek wokół mojego cierpienia i odgrodzić je od świata.

- Nie zdołałam się przeciwstawić maltretowaniu cię - ciągnęła - ze strachu, z niepewności, z powodu zwątpienia. Potem, po porzuceniu cię, nie zrobiłam nic, żeby cię przed nim ochronić, żeby cię od niego zabrać. A najgorsze, że sama cię skrzywdziłam, zostawiając cię z nim, pozbawiając cię mojej miłości i opieki, traktując cię jak zgubiony bagaż, wobec którego nie ma się żadnych zobowiązań, za który nie ponosi się żadnej odpowiedzialności.

Wzięła głęboki oddech. Spojrzałam na nią, nie podnosząc głowy, przez włosy, które opadły mi na czoło. Miała mokre policzki, ale obserwowała mnie i mrugała, żeby pozbyć się z oczu łez.

- Modłę się - powiedziała - żebyś pewnego dnia mi przebaczył.

- Och, mam... to nie była twoja wina. Musiałaś odejść! Pokręciła gwałtownie głową.

- Jestem odpowiedzialna na równi z nim. Przyjmuję na siebie tę odpowiedzialność, nawet jeśli uważasz, że nie powinnam. Pewnego dnia zmienisz zdanie i obawiam się, że będziesz na mnie o wiele bardziej wściekły niż na swojego ojca.

- O nie, nigdy! O nim nie mogę nawet mówić bez... bez... niech to szlag!

Rozpląkałam się. Mama podeszła do mnie i przysiadła na poręczu fotela. Przytuliłam się do niej.

Trzymała mnie w milczeniu, jedną ręką klepiąc niezdarnie po plecach.

Ciekło mi z nosa, więc wymamrotałam „przepraszam”, wstałam i przyniosłam z sypialni pudełko chusteczek higienicznych. Oboje roześmialiśmy się na myśl o naszych nosach.

- Genetyka jest cudowna - zażartowałam.

- Pewnie. - Wydmuchała nos, co zabrzmiało jak buczenie syreny okrętowej. - Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

- Nie ma za co, ale chyba... - Chciałem o tym porozmawiać, jednak nie teraz. - Nie jesteś głodna?

- Trochę.

- Zrobiłem rezerwację w Village na wpół do siódmej. Dojazd zajmie nam jakieś trzy kwadransy, więc musimy wyjść za około pół godziny. I mam bilety do teatru na Grand Hotel.

- Mój Boże. Rujnujesz się na moją wizytę.



Pomyślałem o schowku z pieniędzmi trzy metry za jej plecami.

- Ani trochę, mammo.

- Więc pójdę się przebrać - powiedziała ze sztuczną wesołością.

Pojechaliśmy do I Tre Merli, włoskiej restauracji przy West Broadway. Ludzie się gapili, kiedy wysiadaliśmy z limuzyny. Staralem się zachowywać nonszalancko. Mama podziękowała panu Adamsowi za przytrzymanie jej drzwi. Umówiliśmy się z nim, że zabierze nas o takiej porze, żebyśmy bez pośpiechu zdążyli do teatru.

Nasz stolik był gotowy natychmiast dzięki wczesnej porze, choć hostessa widziała, jak pan Adams pomagał nam wysiąść z limuzyny, co pewnie też zadziało.

Kelner zaproponował do kolacji wino z własnej winnicy restauracji. Mama się zgodziła. Wypiłem kieliszek czerwonego, które pasowało do jedzenia. Zakręciło mi się w głowie i zrobiłem się nerwowy. Powiedziałem jej o tym.

- Dużo pijesz, Davy? - Zerknęła na boki i nachyliła się do mnie. - Jesteś jeszcze nieletni, prawda? Choć wyglądasz poważnie.

Wzruszyłem ramionami.

- To nie problem. Zawsze mogę komuś zapłacić, żeby mi kupił alkohol. Sam nie wiem... to znaczy, ojciec...

- Aha, zastanawiasz się, czy też jesteś alkoholikiem. Nie przejmowałabym się tym zbytnio, jeśli to jest twój pierwszy kieliszek od... kiedy?

- Jakies sześć tygodni temu spróbowałem szampana. Nie smakował mi.

Skinęła głową.

- Trzeba to kontrolować, ale nie wpadaj w paranoję. Ja też się tego obawiałam po przeprowadzce do Kalifornii. Terapeuta przekonał mnie, że moje problemy mają inne podłoże.

Zastanawiałem się, czy istnieje organizacja Anonimowych Telepor-terów. Cześć, nazywam się David Rice i jestem teleporterem. Mama nie wyglądała na teleporterkę. Ale jak wygląda teleporter? Chciałem jej powiedzieć, ale wszystko szło tak dobrze, że wołałem tego nie psuć, ujawniając swoją inność. Albo przyznając się do obrobienia banku. Pamiętałem, że ukarała mnie tylko raz, kiedy ukradłem koledze zabawkę.

Grand Hotel był dobry, doskonale wystawiony, z cudowną muzyką. Najbardziej spodobał mi się pan Kringelein, nieuleczalnie chory żydowski księgowy. Dwóch Jimmiech, kelnerów-artystów, także dobrze grało, niezłe było też zakończenie sztuki, ale jedna rzecz nie przypadła mi do gustu.

Menedżer i przyjaciel starzejącej się baleriny, która spodziewa się, że wyjdzie po nią na dworzec młody i przystojny Baron, nie mówi jej, że ten zmarł poprzedniej nocy. Wydawało mi się to najbardziej okrutnym aktem dobroci, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem, zdradą, manipulacją obliczoną na to, żeby nie zrezygnowała z dalszych występów. Okropne.

Mama wzruszyła ramionami.

- Samo życie - skomentowała.

Poprzednią noc oboje spędziliśmy bezsennie w nerwowym oczekiwaniu na to spotkanie, więc po spektaklu pan Adams odwiózł nas bezpośrednio do mieszkania i poszliśmy spać.

Kiedy następnego ranka wsiadaliśmy do limuzyny, zobaczyłem, że obserwuje nas przez okno Washburn. Zignorowałem go, ale nie mogłem zapomnieć pistoletu w jego ręce. Ciekawe, jak wrócił z Central Parku?

Zjedliśmy śniadanie na Upper West Side, potem pan Adams podrzucił nas do Metropolitan Museum of Art, gdzie obejrzelśmy rosyjską objazdową wystawę obrazów francuskich impresjonistów.

- Często tu przychodzisz? - spytała mama.

- Niezbyt. Ale spędzałem tu trochę czasu, kiedy jeszcze mieszkałem na Manhattanie.

- Aha.

Wystawa nam się podobała, choć w niedzielę w muzeum był straszny tłok.

Jakaś kobieta weszła między nas a obraz, który oglądaliśmy. Mama wzięła mnie na bok i rzekła z uśmiechem:

- Czy ludzie uczą się, jak być nowojorczykami? Bo nie rozumiem, dlaczego są tacy źle wychowani.

- Zmarszczyła brwi. - Ale przecież społeczne postawy wynosi się z domu. To przechodzi z pokolenia na pokolenie. Boże, mam nadzieję, że nie wszyscy nowojorczyki pochodzą z społecznych rodzin.

- Znam mnóstwo przyjaznych nowojorczyków - odparłem. - Na przykład siebie.

- Ty jesteś z importu.

- No to pana Adamsa. Skinęła głową.

- Na pewno jest wielu takich.

Zadzwoniłem z automatu do pana Adamsa, żeby zabrał nas sprzed wejścia i zawiózł na lotnisko Kennedy'ego.

- Wiem, że mamy dużo czasu - powiedziała mama - ale chcę potwierdzić rezerwację miejsca przy przejściu. Nie cierpię siedzieć w środku ani przy oknie.

W drodze na lotnisko próbowała mnie namówić na terapię.

- Twoim zdaniem jestem nienormalny? - spytałem z lekką irytacją. Chciałem powiedzieć jej o teleportacji, zapytać, czy ona lub ktoś w naszej rodzinie ma taką zdolność. Ale skoro już teraz uważała, że potrzebna mi terapia, to...

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu nie potrafisz się uporać z tym, przez co przeszedłeś. Wszyscy nosimy ze sobą ten bagaż, te emocjonalne śmiecie. Musimy się ich pozbyć, bo inaczej przekażemy je naszym dzieciom. - Mówiąc, unikała patrzenia na mnie. - Wizyty u terapeuty nie oznaczają, że jesteś nienormalny czy zły. Terapeuta jest jak przewodnik. Zna drogi, znaki, pułapki. Może ci pomóc znaleźć wewnętrzny ból, ustalić jego przyczyny i przezwyciężyć go.

Wyrząłem przez okno.

- Uciekłeś od ojca i dobrze zrobiłeś - ciągnęła. - Ale masz uraz i od niego nie możesz uciec. Jest częścią ciebie.

Parafrazując Linusa: „Nie ma takiego problemu, od którego nie można by się teleportować”.

Byłem coraz bardziej rozdrażniony. Spokój, Davy. To nie jest tego warte.

- Zastanowię się - skłamałem w końcu, żeby zejść z tego tematu. Przez chwilę miała taką minę, jakby zamierzała kontynuować, ale potem uśmiechnęła się i poprosiła:

- Opowiedz mi o swojej pracy.

Wzruszyłem ramionami. Może trzeba było jej pozwolić mówić dalej o terapii.

- Zwykle interesy bankowe. Nie ma o czym opowiadać. Lepiej ty mi opowiedz o swojej podróży do Europy.

Chyba się zorientowała, że z jakiegoś powodu nie chcę mówić o mojej „pracy”, ale nie naciskała.

- Będziemy cztery dni w Londynie, dwa w Paryżu, trzy w Rzymie, dwa w Atenach i trzy w Stambule. Obłęd, ale to wycieczka tylko dla agentów biur podróży, którzy mają oceniać hotele.

Byłam już na dwóch takich. Człowiek jest ciągle tak zmęczony, że właściwie nie ma pojęcia, co oferują hotele. Ale potem łatwiej wyjaśnić klientowi, jak ma złapać taksówkę w Lizbonie czy wymienić pieniądze w Amsterdamie. Poza tym jeszcze nie byłam w Turcji, więc chętnie ją zobaczę.

- Brzmi wspaniale. Gdybym miał paszport, poleciałbym z tobą. Uśmiechnęła się.

- Chciałabym. Może następnym razem. Mam nadzieję, że przedtem wybierzesz się do Kalifornii.

Skinałem głową.

- Na pewno. Dam ci tydzień na odpoczynek po podróży, a potem się u ciebie zjawię.

Uśmiechnęliśmy się oboje i przez chwilę miałem wrażenie, że dokonaliśmy niemożliwego i znów połączyliśmy nasze życiowe ścieżki. Może nie na tej samej drodze, ale tak, że czasami będą się przecinały lub biegły obok siebie. Czułem, że znów mam matkę.

Przed wejściem do samolotu rozplakała się i przytuliła mnie mocno. Czułem wewnętrzną pustkę, gdy wracałem do limuzyny pana Adamsa czekającej przy krawężniku.

Pan Adams chciał przytrzymać mi drzwi, ale uniosłem rękę.

- Nie, dzięki. Szpan się skończył, wracam do roli kmiota. - Dałem mu sto dolarów i powiedziałem: - Życzę przyjemnej reszty weekendu. Był pan dla nas bardzo miły.

- Na pewno pan nie chce, żebym pana podrzucił do domu?

- Nie, dzięki. Wróć sam. Poważnie - dodałem, kiedy zaczął nalegać. - Jeszcze raz dziękuję.

Skinał głową.

- Gdyby potrzebował pan limuzyny...

- Wiem, do kogo zadzwonić.

Odjechał i włączył się do popołudniowego ruchu - smukły czarny wieloryb sunący gładko przez ławicę śmigających ryb. Skoczyłem do domu.

## Część IV

### Chińska klątwa

#### Rozdział 10

W poniedziałek jak zwykle zebrałem brudne ubrania, przeskoczyłem na aleję na tyłach pralni i zostawiłem je do uprania: po siedemdziesiąt pięć centów za funt, bez krochmalu, koszule na wieszakach. Kiedy wyszedłem na ulicę, słońce jasno świeciło, a powietrze było chłodne i dla odmiany czyste. Czuło się w nim świeżość jak po ugryzieniu pierwszego kęsa niedawno zerwanego i przechowywanego w lodówce jabłka. Postanowiłem przejść sześć przecznic dzielących mnie od mieszkania.

Podczas weekendu, kiedy woził nas pan Adams, zapoznałem się dokładniej z okolicą. Miała swoje dobre strony, ale na początku listopada, gdy na drzewach i na krzakach nie ma liści, wyglądała szaro i ponuro. Zdumiewające, ile znaczy odrobina zieleni. Poza tym, im bardziej zbliżałem się do mojego budynku, tym więcej widziałem bohomazów wymalowanych na ścianach domów i śmieci na ulicy.

Może powinienem się przeprowadzić. Jak bym się czuł, gdyby Millie przyjechała do mnie i musiała tędy chodzić? Zacząłem się przyglądać ludziom siedzącym na platformach schodów przed wejściami do domów i stojącym na rogach ulic. Niektórzy spoglądali na mnie wyzywająco, dopóki nie skierowałem wzroku w inną stronę. Jeżeli Millie mnie odwiedzi, zamieszkamy w jakimś hotelu na Manhattanie, uznałem.

Zauważyłem mężczyzn w samochodzie, zaparkowanym trzy domy od budynku, w którym mieszkałem. Szyby w oknach mieli opuszczone do połowy wysokości i czytali gazety. Na desce rozdzielczej stał papierowy kubek z kawą, zapewne gorącą, bo na powierzchni przedniej szyby utworzył się krąg skroplonej pary. Mijając samochód, usłyszałem nadawany przez radio komunikat, podobny do tych, jakie słyszy się na gangsterskich filmach.

Spojrzałem na mężczyznę na fotelu pasażera. To był Washbum.

Popijał kawę z innego kubka i czytał gazetę, ale na odgłos moich kroków uniósł głowę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, odwrócił głowę tak raptownie, że struga parującej kawy chlusnęła mu na koszulę. Washbum zaklął i zaczął ścierać gorący płyn gazetą. Kiedy to robił, poły jego marynarki się rozchyliły i zobaczyłem w kaburze na piersi wykładaną drewnem kolbę pistoletu.

Boże, czyżby był glina? To by wyjaśniało, dlaczego patrolujący okolicę policjanci nie kiwnęli palcem tamtej nocy, kiedy zadzwoniłem pod 911.

Przeszedłem obok samochodu, nie gubiąc rytmu kroków. Cieszyłem się, że Washbum oblał się kawą, ale nie chciałem mu się przyglądać. Gdy ktoś zachowa się niezdarnie, nic nie wprawia go w większą wściekłość niż osoba, która się na niego gapi.

Dotarłem do tylnej bramy i skoczyłem do mieszkania z ustronnego miejsca obok pojemników na śmieci. Wyjrzałem przez okno. Washbum wysiadł z samochodu, zrobił kilka kroków i stanąwszy pod oknem mojego mieszkania, zerknął za róg w głąb ulicy.

Poszedłem do łazienki, żeby zażyć alka-seltzer.

Zastanawiałem się, o co może mu chodzić.

Chyba nie o obrabowanie banku? Jedynym innym popełnionym przeze mnie przestępstwem było posługiwanie się fałszywym prawem jazdy. A może oszustwem było także założenie konta w banku na podstawie fałszywych dokumentów?

Do diabła, czy to na pewno mnie obserwują? Może zaczynam wpadać w paranoję?

O pierwszej obaj mężczyźni nadal siedzieli w samochodzie.

Przeskoczyłem na Czterdziestą Siódmą, kupiłem statyw, wróciłem, zainstalowałem na nim kamerę wideo i ustawiłem ją w oknie. Poprowadziłem przez cały pokój przewód do telewizora i obserwowałem ich przy największym możliwym powiększeniu na dwudziestopięciocalowym ekranie. Kilka razy jeden albo drugi szedł na róg ulicy do koreańskich delikatesów, żeby napić się kawy lub skorzystać z toalety.

Czy naprawdę mnie obserwują? - zastanawiałem się.

Skoczyłem na półpiętro za drzwiami mojego mieszkania, zbiegłem po schodach i wyszedłem z budynku. Ignorując samochód, ruszyłem w kierunku następnego skrzyżowania. Ulica była stosunkowo cicha, więc bez trudu usłyszałem dobiegający z tyłu odgłos zatraskiwania drzwi i uruchamiania silnika.

Na skrzyżowaniu skręciłem w prawo i przeskoczyłem z powrotem do mieszkania. Wyjrzałem przez okno w samą porę, żeby zobaczyć, jak Washbum idzie szybko chodnikiem. Gdy dotarł do skrzyżowania, spojrzał

w prawo, a później uniósł rękę do ucha i zaczął coś mówić. Usłyszałem pisk opon hamującego samochodu, który przejechał obok mojego budynku i skręcił za róg.

No cóż, chyba teraz mogę być pewny, pomyślałem. Ze smutkiem rozejrzałem się po salonie. Wiedziałem, że nie mogą mnie aresztować. Zniknąłbym, zanim zdążyliby otworzyć drzwi, ale wszystkie moje rzeczy... wszystkie książki...

Stary nie pozwalał mi trzymać książek.

„O co ci właściwie chodzi, przecież je przeczytałeś, prawda?” - zwykł mawiać. A później zanosił książki do antykwariatu i sprzedawał za śmieszne pieniądze. Nigdy nie dostawał za nie nawet małej części tego, ile były warte. Nie lubił, kiedy zaśmiewały mieszkanie czy choćby tylko mój pokój. Postanowiłem, że nie dostaną moich książek.

W kompleksie apartamentowców na obrzeżach kampusu, gdzie mieszkała Millie, były jeszcze wolne miejsca. Zarządcy byli zdumieni, że w środku semestru zgłosił się potencjalny lokator. Opłata za mieszkanie z dwiema sypialniami na pierwszym piętrze była o ponad połowę niższa niż czynsz za moje mieszkanie w Nowym Jorku, a kaucja wynosiła tylko dwieście dolarów. Dla świętego spokoju zapłaciłem za całe osiem miesięcy do końca letniego semestru. Wyjaśniłem, że właśnie zrealizowałem czek mojego stypendium i gdybym nie opłacił czynszu, pewnie wydałbym pieniądze na pizzę. Zarządcy zaakceptowali moje prawo jazdy z Nowego Jorku oraz adres mojego ojca w Ohio i pozwolili mi się od razu wprowadzić.

Zacząłem od salonu mieszkania w Nowym Jorku. Spojrzałem na regał z książkami, przeskoczyłem do apartamentu w Stillwater i wybrałem ścianę, pod którą zamierzałem go ustawić. Wróciłem do mieszkania w Nowym Jorku i podszedłem do regału. Miał prawie metr szerokości i sięgał mi do ramienia. Chwyciłem za jedną z dolnych półek i pociągnąłem regał ku sobie. Ani drgnął. Wypuściłem powietrze z płuc i pociągnąłem jeszcze raz. Regał przechylił się i oderwał od podłogi. Skoczyłem.

Kiedy znalazłem się w Stillwater, szybko pochyliłem się do przodu. Regał uderzył o ścianę i na podłogę spadło siedem książek z najwyższej półki.

Regał oderwał się od podłogi tylko na sekundę, ale przeskoczył razem ze mną. Ciekawe.

Powinienem się nad tym zastanowić, najpierw jednak chciałem dokończyć przeprowadzkę.

Z pozostałymi regałami poszło mi łatwiej, choć kiedy skończyłem, czułem ostry ból w mięśniach ramion. Przeniosłem sprzęt audiowizualny - już

bez trudu, bo każda część ważyła znacznie mniej niż regały z książkami. Równie łatwo poradziłem sobie z biurkiem i komputerem, natomiast z komody wyjąłem wszystkie szuflady i przeskakiwałem z nimi, biorąc po jednej naraz. Przeniosłem osobno szafę i wiszące w niej ubrania i już zabierałem się do rozkręcenia łóżka, kiedy przypomniałem sobie o pieniądzach.

Wybuchnąłem śmiechem. Im dłużej się śmiałem, tym bardziej zabawna wydawała mi się ta sytuacja. Miałem ukryte ponad siedemset tysięcy dolarów, a zawracałem sobie głowę książkami. Oparty o ścianę, trząsałem się ze śmiechu, a po moich policzkach płynęły łzy. Prawie zapomniałem o oddychaniu. Jeszcze nie wszystko dla ciebie stracone, Davy, pomyślałem.

Przeskoczyłem do Stillwater i znalazłem w holu zgrabną wnękę. Miała półki, ale nie była wystarczająco duża. Zastanawiając się, czy nie zainstalować jeszcze jednej półki na samej górze, spojrzałem na sufit i zobaczyłem klapę wjazdu na poddasze. Z mieszkania na Brooklynie zabrałem stołek, drabinkę i latarkę. Wszedłem na poddasze i stwierdziłem, że między dachem budynku a sufitem mojego mieszkania jest pomieszczenie mniej więcej metrowej wysokości.

Dostęp do poddasza z innych apartamentów uniemożliwiały mury przeciwpożarowe, znalazłem więc świetny schowek. Przeniosłem do niego pieniądze w kilku skokach.

Co pomyślą, gdy odkryją mój pozbawiony drzwi schowek na Brooklynie? Kiedyś oglądałem w telewizji program o „tajemniczej” piwnicy chicagowskiego hotelu. Rozgorączkowany reporter sądził, że odnalazł zaginiony sejf Ala Capone'a. Ciekawe, jak zareagują, kiedy się włamią do mojego schowka? Może powinienem był zostawić trochę pieniędzy, choćby po to, żeby ich zmylić? W końcu zrobiłem przerwę i zjadłem kolację w Fraunces Tavern w dzielnicy finansowej. To był błąd. Kelnerzy się nie spieszyli, więc kiedy jadłem deser, plecy mi zeszywniały, a w całym ciele - począwszy od szyi, a skończywszy na łydkach - pulsował tępy ból.

Chciałem przejść wzdłuż rzeki do Battery Park, żeby się odprężyć, ale chłodny wiatr sprawił, że do poprzednich dolegliwości dołączył jeszcze ból głowy.

Cholerne gliny!

Skoczyłem do łazienki mieszkania na Brooklynie, żeby wziąć ibupro-fen. Już wyciągałem rękę, żeby zapalić światło, ale zamarłem. W mieszkaniu ktoś był. Jak pokonali instalację antywłamaniową?

Stałem za uchylonymi drzwiami łazienki i zerknąłem przez szczelinę obok zawiasów. Frontowe drzwi były otwarte, a w stalowej płycie widniał



nieregularny otwór o osmalonych brzegach. Na podłodze leżał zestaw ace-tylenowo-tlenowy, w którego skład wchodziły niewielkie butle i palnik. Na butli z tlenem widniała nalepka z napisem: „Własność Wydziału Policji Nowego Jorku”.

Nieco dalej w holu umundurowany policjant pomagał mężczyźnie w garniturze badać moje łóżko. Obaj nakłuwali materac czymś, co wyglądało jak piętnastometrowe szpilki do kapelusza. Z kuchni dochodził szcęk garnków, które ktoś przestawiał z miejsca na miejsce.

Zastanowiłem się, czy mają nakaz rewizji.

Może warto ich o to zapytać. „Bardzo przepraszam, panie władzo, ale czy ma pan kawałek papieru pozwalający panu poddawać moje łóżko zabiegowi akupunktury?”

Postanowiłem zaopatrzyć się w ibuprofen gdzie indziej. Stałem jednak, perwersyjnie zafascynowany. Czułem się, jakbym oglądał gwałt na samym sobie. Gdy usłyszałem szcęk uderzających o siebie talerzy, zacisnąłem pięści. Za ręcznie zdobiony serwis fajansowy zapłaciłem pięćset dolarów.

Dobrze chociaż, że nic nie grozi moim książkom. Usłyszałem dzwonek telefonu i spojrzałem na zegarek. To Millie! - uświadomiłem sobie.

Nie przeniosłem telefonu ani automatu do odbierania rozmów. Nie było powodu... w apartamencie w Stillwater nie miałem nawet elektryczności.

Aparat stał w sypialni na stoliku obok łóżka. Mężczyzna w garniturze podniósł słuchawkę, zanim zdążyła się włączyć automatyczna sekretarka.

- Halo? - rzucił, kiwając głową w stronę holu. Zorientowałem się, że to Washburn, który zdążył zmienić poplamioną kawą koszulę.

- Nie, wybrała pani właściwy numer - powiedział. - To mieszkanie Davida. Mówi sierżant Washburn z nowojorskiej policji. Z kim rozmawiam?

- Zakrył dłonią mikrofon i odwrócił się do umundurowanego funkcjonariusza. - Połącz się z centralą i każ im ją namierzyć.

Gliniarz w mundurze odczepił od pasa nadajnik i poszedł do salonu. Washburn odsłonił mikrofon.

- O ile wiem, David miewa się doskonale - powiedział. - Opuścił to mieszkanie dzisiaj rano i od tamtej pory nie wrócił. Od dawna go pani zna?

- Umilkł i jakiś czas tylko słuchał. - Kłopoty? - spytał w końcu. - No cóż, to się jeszcze okaże.

Chcemy porozmawiać z panem Reece o kilku sprawach.

- Znów jakiś czas słuchał. - Bo mamy nakaz rewizji, oto dlaczego. Czy mogę prosić o pani adres i numer telefonu, pani Harrison? - Wyjął z kieszeni notatnik i coś w nim zapisał. - Oklahoma? Ale w tej chwili przebywa pani w naszym mieście... Nie? No cóż, jeżeli pan Reece się odezwie, proszę mu

powiedzieć, żeby zadzwonił do sierżanta Washburna z siedemdziesiątego drugiego komisariatu. Umundurowany glina wrócił do sypialni i pokazał Washburnowi coś, co zapisał w swoim notesie. Washburn porównał to z zapiskami w swoim notatniku i kiwnął głową.

- Połączyła się pani z właściwym apartamentem - podjął po chwili. - Z umowy najmu wynika, że David nazywa się Rice, ale ma konto w banku na nazwisko Reece. Nie wiemy, które z tych dwóch nazwisk jest prawdziwe. To jedna z rzeczy, o których chcemy z nim porozmawiać. Proszę mu powiedzieć, żeby do nas zadzwonił. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. W tej samej chwili z kuchni wychylił głowę inny gliniarz w cywilu.

- No i? - zapytał.

- Prawdopodobnie jego dziewczyna. Dzwoniła z Oklahomy - odparł Washburn. - Była zaniepokojona i zaskoczona. Chyba nie miała pojęcia, że David używa nazwiska Reece. Podała nam właściwy numer.

- Ciekawe, czy wie, skąd on ma tyle forsy.

- Możemy ją zatrzymać i zapytać, jeżeli tu się tego nie dowiemy - stwierdził Washburn.

- Jesteś pewny, że warto zadawać sobie tyle trudu? Jedyne, co mamy na tego chłopaka, to nielegalne dokumenty.

- Do cholery, Baker! - wybuchnął Washburn. - A co z tamtym napadem? Skąd on ma tę forszę? Podał nam numer ubezpieczenia, który należy do jakiejś staruszki ze Spokane w stanie Washington. Interesuje się nim także Urząd Skarbowy. Żaden David Rice czy David Reece z ich kartotek nie ma tego adresu, więc nasz ptaszek pewnie nigdy nie płacił podatków. Pachnie mi to narkotykami i forszą z handlu nimi.

- W tym materacu niczego nie znalazłem - wtrącił się umundurowany gliniarz. - Dlaczego właściwie interesujecie się tym gościem?

- Zamknij się i szukaj dalej - burknął Washburn.

- O rany, sierżancie, o co tyle hałasu? Baker wychylił głowę z kuchni.

- Sierżant zajmuje mieszkanie piętro niżej - wyjaśnił. - Obserwuje tego Reece'a czy Rice'a od czasu, kiedy on i kilku jego kumpli napadli na sierżanta, pobili go i zostawili w Central Parku.

- O kurczę, sierżancie, dlaczego pan tego nie zgłosił? Bo coś takiego nigdy nie miało miejsca, pomyślałem. Washburn wzruszył ramionami.

- Bo wolę, żeby go oskarżono o coś poważniejszego - odparł. - Poza tym nie było świadków, a ja nie widziałem, czy chłopak nie próbował mi

pomóc. Napadli na mnie od tyłu. Ale jestem pewien, że dzieje się tu coś dziwnego. Rozmawiałem z właścicielem domu. Chłopak zapłacił kaucję i czynsz za kilka pierwszych miesięcy przekazami pocztowymi. Później zaczął płacić czekami, ale nazwisko na nich różni się od tego, na jakie opiewała umowa wynajmu. W ostatnią sobotę właściciel widział, jak chłopak i jakaś babka podjechali pod dom limuzyną. Limuzyna w tej okolicy? Sprawdziliśmy numer prawa jazdy na czeku chłopaka i stwierdziliśmy, że nie zgadza się z adresem na samym prawie jazdy.

Sprawdziliśmy ten adres i znaleźliśmy pod nim innego Davida Reece'a... o innym wyglądzie, ale o tym samym numerze prawa jazdy. Zaczęliśmy go śledzić, ale zgubił nas na lotnisku Kennedy'ego. Już myśleliśmy, że się nam wymknął, tymczasem w poniedziałek rano wrócił do mieszkania. Tego samego dnia po południu wyszedł z domu, skręcił za róg i znów zniknął.

- Następnym razem, kiedy go zobaczymy, powinniśmy go aresztować -wtrącił Baker. - Zbyt dobrze sobie radzi z gubieniem ogonów. Właśnie dlatego Ray i twój partner zostali piętro niżej. - Odwrócił się i zniknął w kuchni.

- Kim była ta kobieta? - zainteresował się mundurowy.

- Jego matką - odparł Washburn. - Przynajmniej tak powiedział nam kierowca limuzyny. Chłopak zapłacił gotówką za cały tydzień z góry, a na koniec dał kierowcy sto dolarów napiwku. Zabrali ją z La Guardii, a odwieźli na lotnisko Kennedy'ego. Kierowca nie zna jej imienia ani numeru żadnego lotu. Chłopak podał mu tylko numer terminala i godzinę. Prawdopodobnie to ona przewoziła jego narkotyki.

Zostawcie moją matkę w spokoju! - pomyślałem. Zastanowiłem się, czy nie skoczyć na ulicę i nie podpalić ich radiowozów. A przynajmniej wybić w nich szyby. Ze złości jeszcze bardziej rozboleła mnie głowa.

Skoczyłem do Stillwater, w sklepie całodobowym kupiłem ibuprofen i popiłem go 7UP.

Jak mam się zachować podczas rozmowy z Millie?

Drzwi otworzyła mi współlokatorka Millie, Sherry. Wyraz jej twarzy ujawnił mi więcej niż jakiegokolwiek słowa.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała. Nie zaprosiła mnie do środka, nie przywitała się ze mną ani nie zapytała, jak się miewam. Po prostu zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wrócił gniew, a wraz z nim ból głowy. Kiedy w końcu w drzwiach stanęła Millie, miałem czerwoną twarz, a krew szumiała mi w uszach. Millie wyglądała na wystraszoną.

- Davy? Co ty tu robisz? - zapytała. Wzruszyłem ramionami.

- Muszę z tobą porozmawiać. A skoro nie jestem mile widzianym gościem, może poszlibyśmy na spacer?

Przełknęła ślinę.

- Nie jestem pewna, czy chcę pójść z tobą na spacer - oznajmiła.

- Och, na miłość boską! - wybuchnąłem, a kiedy Millie się skrzywiła, dodałem ciszej: - Sierżant Washburn nie powiedział, że jestem niebezpieczny, prawda? Na pewno by tego nie ukrywał, gdyby podejrzewał, że kogoś zamordowałem czy coś w tym rodzaju.

- Skąd wiesz, że... - zaczęła Millie i urwała. - No dobrze, niech ci będzie. Tylko wezmę płaszcz. Minutę później przysłała do mnie na ganek. Wsunęła ręce głęboko do kieszeni płaszcza i patrzyła chyba na coś w oddali.

Ruszyliśmy powoli chodnikiem. Niebo było zachmurzone, temperatura spadła do stopnia czy dwóch powyżej zera, a z powodu rzadkiej mgiełki chodnik był wilgotny i śliski. Czułem zapach dymu z płonącego drewna.

Millie pierwsza przerwała ciszę.

- Dlaczego tak dziwnie idziesz? - zapytała. - Coś ci dolega?

- Dźwigałem meble - powiedziałem. - Przeceniłem swoje siły, ale spieszyłem się.

- Akurat...

Ton jej głosu mnie uraził.

- To prawda! - wykrzyknąłem. Odwróciła raptownie głowę.

- Prawda? - wycodziła przez zęby. - To ciekawy temat. Porozmawiajmy o tym, co jest prawdą.

Wpuściłem powietrze z płuc.

- Świetnie - oznajmiłem. - Dlaczego nie mielibyśmy o tym porozmawiać?

- Zacznijmy od nazwiska, panie Rice. A może powinnam się do pana zwracać Reece? Jak naprawdę się pan nazywa?

- Rice - odparłem. - Nigdy cię nie okłamałem.

- Ach, tak? W takim razie kogo okłamujesz? Czy swoje łgarstwa rezerwujesz tylko dla urzędników bankowych? Twoje dziewczyny nie muszą się obawiać, że je okłamiesz?

Spuściłem głowę.

- Nigdy cię nie okłamałem - powtórzyłem. - Wszystko, co kiedykolwiek ci mówiłem, było prawdą.

Widziałem, że Millie mi nie wierzy.

- Są kłamstwa i kłamstwa - powiedziała. - Czy wiesz, że kłamstwem jest zatajenie prawdy? Że jest nim pozostawianie czegoś domysłem? Czego

chce od ciebie policja? Co właściwie zrobiłeś? Dlaczego to przede mną zataiłeś?

- Bo chciałem, żebyś mnie kochała! - krzyknąłem.

Cofnęła się, jakbym ją uderzył, a na jej twarzy znów pojawił się lęk.

- Bo chciałem, żebyś mnie kochała... - powtórzyłem ciszej. - Och, niech to wszyscy diabli! -

Stanąłem, uniosłem głowę i spojrzałem na chmury. Poczułem, że łzy z moich oczu mieszają się z mgiełką.

Millie odwróciła głowę, jakby nie chciała na mnie patrzeć.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytałem. - Co mogę zrobić, żeby wszystko naprawić?

- Okłamałeś mnie. Zawiodłam się na tobie - odparła. - Powiedziałam ci, co to znaczy.

- Powiedziałas, że jeżeli kiedykolwiek przyłapiesz mnie na kłamstwie, koniec z nami - sprostowałem. - Czy właśnie tego chcesz? Mam po prostu sobie pójść i nigdy więcej nie zawracać ci głowy?

Spojrzała na mnie, zmrużyła oczy i zacisnęła wargi w cienką linię.

- Tak - oznajmiła.

Nie mogłem znieść jej obrzydzenia, gniewu i nienawiści.

- A zatem do widzenia - rzuciłem.

Jeszcze na mnie patrzyła, kiedy skoczyłem, żeby uciec. Nie zastanawiałem się nad tym, dokąd.

Wylądowałem w bibliotece publicznej w Stanville, położyłem się na podłodze, zwinąłem w kłębek i płakałem, płakałem, płakałem.

Spędziłem tę noc na leżance w apartamencie w Stillwater, przykryty długim skórzanym płaszczem zamiast koca. W mieszkaniu nie było światła ani ogrzewania, bo jeszcze ich nie włączyłem. Śniło mi się, że stary zbił mnie za to, że płaczę. Obok stała Millie i kiwała głową po każdym jego słowie. Obudziłem się bladym świtem zziębnięty i obolały. Postanowiłem dłużej nie spać.

Włożyłem buty i skoczyłem na półpiętro przed drzwiami mojego apartamentu na Brooklynie. Na drzwiach zobaczyłem nową zasuwę, kłódkę i kartkę z napisem: „Zamknięte przez policję Nowego Jorku. Wszelkich informacji udziela D. Washburn z siedemdziesiątego drugiego komisariatu”.

Przeskoczyłem do sypialni. Łóżko było niezaścielone, a pościel ktoś rzucił do kąta. Ostrożnie sprawdziłem całe mieszkanie.

Podczas rewizji gliniarze najwyraźniej zorientowali się, że między kuchnią a salonem jest zbyt dużo wolnej przestrzeni, bo wyważyli zamaskowane drzwi do schowka, w którym trzymałem pieniądze.

Ale niczego tam nie znaleźli.

Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Naczynia stały na chwiejnych stosach w kątach, kilka talerzy odstawiono na bok i pokryto proszkiem do wykrywania odcisków palców. Śmieci wysypano do zlewu i starannie zbadano.

Zignorowałem bałagan i zacząłem przeskakiwać z naczyniami do apartamentu w Stillwater, gdzie wstawiałem talerze, kubki i garnki do szafek. Ze zdumieniem stwierdziłem, że policjanci niczego nie stłukli, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Nic nie miało znaczenia.

Mimo to obchodziłem się z fajansowymi naczyniami bardzo ostrożnie. Każde wycierałem z kurzu, zanim wstawiłem do szafki. Kupiłem ten serwis z pomocą Millie pod koniec lata. Mamie bardzo się spodobał.

W ciągu kilku godzin przeniósłem wszystkie rzeczy z kuchni i łazienki, a także łóżko z materacem. Z przedmiotów, na których mi zależało, zostawiłem tylko zasłony w oknach i miniaturowe żaluzje. Mieszkanie na pewno było pod obserwacją policji, a ja nie chciałem, żeby gliny się dowiedziały, że dostałem się do środka.

Kiedy wróciłem do Stillwater, zatroszczyłem się o podłączenie wody, elektryczności, kabłówki i gazu. Postanowiłem nie otwierać nowego konta w banku. Nie zamierzałem kupować niczego, za co nie mógłbym zapłacić przekazem pocztowym albo gotówką.

Żaden przedstawiciel firm dostarczających media nawet nie mrugnął, gdy płaciłem kaucję gotówką. Może w miastach uniwersyteckich inaczej patrzy się na te sprawy niż gdzie indziej. Kiedy wyszedłem na spacer, natknąłem się na firmę telekomunikacyjną ale postanowiłem nie zakładać telefonu. Nie byłem usposobiony towarzysko.

Jedno z moich okien wychodziło na ulicę między kampusem a kompleksem apartamentowców. Patrzyłem przez nie przez większość popołudnia, obserwując ludzi idących ulicą. Pod wieczór skoczyłem do delikatesów na Manhattanie na kawę i kanapkę, ale zjadłem ją stojąc w oknie apartamentu w Stillwater.

Piętnaście po czwartej, kiedy było jeszcze widno, zobaczyłem Millie, która wyszła z kampusu i ruszyła ulicą. Szła wolniej niż inni, ze wzrokiem wbitym w chodnik i nieobecny wyrazem twarzy. Trzymała parasolkę, którą kupiła od ulicznego sprzedawcy w Nowym Jorku tego dnia, kiedy pierwszy raz się z nią spotkałem.

„Cztery dolary, panienko, tylko cztery dolary”, zażądał sprzedawca. Millie pokręciła głową. „Trzy dolary”, powiedział sprzedawca. W końcu zgodził się sprzedać parasolkę za dwa pięćdziesiąt. Stwierdziłem wówczas, że pewnie parasolka roztopi się na deszczu, ale nic takiego się nie stało, więc Wyszło na to, że jednak jestem kłamcą.

Chciałem skoczyć na chodnik i stanąć przed nią, ale nie mogłem znieść zapamiętanego z poprzedniego wieczora wyrazu jej twarzy. Obserwowałem, jak Millie powoli znika mi z oczu. Chciałem napisać do niej list, żeby wytłumaczyć, dlaczego policja chce ze mną rozmawiać. Zamierzałem wyjaśnić, że kupiłem fałszywe dokumenty za pieniądze, które zrabowałem z banku dzięki zdolności, jakiej nie mają inni ludzie. Ale za każdym razem, kiedy widziałem słowa na ekranie, kasowałem cały dokument. Do diabła, sam zaczynałem powątpiewać w tę historię, więc jak mogłem się spodziewać, że uwierzy w nią Millie?

Miałem ochotę się gdzieś zaszyć, skulić i przeczekać burzę. Odwiedziłem biuro Serendipity Travel i przejrzałem broszury reklamowe. Zignorowałem wszystkie miejsca, w których ludzie się uśmiechali i dobrze bawili. Uśmiechy nie pasowały do mojego nastroju. W końcu znalazłem odpowiednie miejsce w zachodnim Teksasie. Z broszury wynikało, że to miejsce odosobnione i dzikie, dobre do oddawania się medytacjom. Dla moich potrzeb było idealne.

Większość dnia straciłem na dostanie się do El Paso. Wsiadłem do autobusu tuż przed odjazdem i zająłem miejsce z przodu, z dala od części dla palących. W jednym z plecaków kupionych za pieniądze zrabowane w Chemical Bank miałem aparat fotograficzny, a w kieszeniach płaszcz lekarstwa na uczulenie, ibuprofen i chusteczki.

Byłem przeziębiony.

Pojechaliśmy na wschód szosą I-10 wijącą się wzdłuż brzegu Rio Grande. Po drodze natknęliśmy się na burzę piaskową z piorunami. Próbowałem się zdrzemnąć, ale męczyły mnie jakieś majaki. Na przystanku, zanim skręciliśmy w Van Horn na południe, wysiadłem z autobusu, żeby kupić coś do picia. Miałem wyschnięte usta, gorączkę i czułem ból, kiedy cokolwiek przełykałem.

Burza przybrała na sile, więc pokonanie następnego odcinka trasy zajęło kierowcy cztery godziny. Moja gorączka rosła, ale nie chciałem tracić czasu, który już poświęciłem na podróż. Gdybym teraz skoczył, musiałbym ją zaczynać w miejscu niedaleko Van Horn, gdzie zatrzymaliśmy się na odpoczynek.

W Marfa autobus skręcił na południe na drogę numer 67, która przecina pustynię, biegnie przez góry Cuesta Del Burro i Chinati, a później łagodnie opada do Rio Grande w Presidio. Kierowca zatrzymał się w Tastee-Freez w Presidio na posiłek, ale ja skoczyłem do Greenwich Village na falafel pita. Zjadłem tylko trochę, bo nie miałem apetytu. Przeskoczyłem z powrotem na ostatni odcinek podróży, wzdłuż Farm drogą 170.

Było późne popołudnie i niebo było zachmurzone, ale mimo to w Red-ford panował upał.

Podziękowałem kierowcy, dokładnie obejrzałem miejsce lądowania i skoczyłem bezpośrednio do apartamentu w Stillwater tylko z lekkim bólem ucha.

Rzuciła mnie dziewczyna, byłem ścigany przez policję i miałem temperaturę prawie trzydzieści dziewięć stopni. Prawe ucho cały czas mnie bolało i oddychałem z trudem. Czułem wyrzuty

sumienia na myśl o tym, że użalam się nad sobą.

Łatwo było powiedzieć: „Hej, Davy, masz do tego prawo. Masz wszelkie powody do użalania się nad sobą”. Uświadomienie sobie tego ani trochę nie poprawiło sytuacji. Prawdę mówiąc, poczułem się jeszcze gorzej, bo z powodu wyrzutów sumienia zacząłem być wściekły na samego siebie, a zarazem bezbronny. Użalałem się więc nad sobą, czułem wyrzuty sumienia i byłem wściekły.

Bo w głębi duszy wiedziałem, że na wszystko to zasłużyłem.

O ósmej rano skoczyłem do otwartej całą dobę kliniki w centrum Manhattanu. Podałem fałszywe nazwisko i adres do formularza zgłoszenia i oznajmiłem, że zapłacę gotówką. Lekarz, Hindus nazwiskiem Patel, zmierzył mi temperaturę, zajrzał do uszu i osłuchiwał płuca.

- O rety - powiedział.

Zacząłem spazmatycznie kasłać. Patel odsunął stetoskop od mojej klatki piersiowej, a kiedy napad kaszlu minął, ponownie go przyłożył i zaczął osłuchiwać płuca.

- O rety - powtórzył.

Wyjął z lodówki jakąś buteleczkę i wbił w korek igłę niepokojąco dużej strzykawki.

- Nie jest pan na nic uczulony? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem.

- W takim razie proszę opuścić spodnie.

- Co to jest? - spytałem.

- Antybiotyk. Ampicyllina - odparł. - Grozi panu zapalenie płuc. Zrobię panu ten zastrzyk i wypiszę receptę na doustne antybiotyki, środek wy-krztuśny i krople do uszu. Gdyby miał pan chociaż trochę bardziej zajęte płuca albo trochę wyższą temperaturę, kazałbym pana hospitalizować. Mimo to pana stan jest poważny, więc proszę iść prosto do apteki i wykupić lekarstwa, a później wrócić do domu i położyć się do łóżka.

Wbił igłę w górną część mojego prawego pośladka. Z początku nie bolało, ale kiedy naciskał tłoczek strzykawki, moje mięśnie raptownie się skurczyły.



- Auu! - zawyłem.

- Niech pan nie chodzi - ciągnął lekarz. - Proszę wziąć taksówkę. I żadnego wysiłku fizycznego.

Musi pan pić dużo płynów. Co najmniej trzy litry dziennie.

Kiwnąłem głową i zacząłem trzeć pośladek poniżej miejsca, w które wbił igłę.

Patel zmrużył oczy i spojrzał na mnie.

- Na pewno dobrze mnie pan zrozumiał? - zapytał.

- Czy wyglądam aż tak źle? - zażartowałem.

- Tak - odparł lekarz. - Bardzo źle.

- No dobrze. - Spowaźniałem. - Apteka, dom, łóżko, mnóstwo płynów, mnóstwo odpoczynku.

Wezwać taksówkę. Coś jeszcze?

Lekarz trochę się odprężył.

- Proszę przyjść do mnie za dwa dni - polecił. - Niech pan usiądzie, a ja wypiszę receptę.

- Wolałbym stać - oznajmiłem, rozcierając pośladek. Patel wskazał kanapę.

- W takim razie niech się pan położy.

Kiedy skończył wypisywać receptę, zapytał mnie, jak się czuję.

- Boli mnie pośladek - przyznałem.

- Nic pana nie swędzi ani nie piecze? Nie ma pan spuchniętych powiek, warg, języka, dłoni, uszu albo stóp?

- Nie. Dlaczego pan pyta?

- Chcę się tylko upewnić, że nie wystąpiła u pana reakcja alergiczna na zastrzyk - wyjaśnił. -

Dobrze. Może pan iść, ale proszę nie zapomnieć przyjść pojutrze.

Zapłaciłem gotówką, przeskoczyłem do czynnej całą dobę apteki na Brooklynie i podałem mężczyźnie w okienku receptę. Zniknął na zapleczu i długo nie wracał. Rozejrzałem się, ale nie było gdzie usiąść, więc oparłem się o kontuar i zacząłem kasłać. Gdy w końcu aptekarz przyniósł leki, zapłaciłem i pokuśtykałem do drzwi. Skoczyłem, nie myśląc o niczym innym oprócz łóżka. Pojawiłem się w pustym, ciemnym pokoju, pozbawionym wszelkich mebli i sprzętów z wyjątkiem miniaturowych żaluzji w oknach. Uświadomiłem sobie, że jestem w mieszkaniu na Brooklynie, zabezpieczonym przez policję.

Co za głupota! Skupiłem się i przypomniałem sobie apartament w Stillwater, a zwłaszcza widok kampusu z okna, przez które obserwowałem Millie. Skoczyłem ponownie i tym razem trafiłem we właściwe miejsce.

Wziąłem wszystkie przepisane leki, dwa razy sprawdzając, czy dawki są odpowiednie. Czuję się tak paskudnie, że przez pomyłkę mogłem przedawkować. Najgorsze, bo potwornie duże, były antybiotyki. Musiałem je popić dwiema szklankami wody, żeby przeszły mi przez gardło.

Potem zmobilizowałem całą siłę woli, żeby się rozebrać, i wreszcie położyłem się do łóżka. Następne trzydzieści sześć godzin pamiętam jak przez mgłę. Wciąż miałem gorączkę, a ilekroć zapadałem w sen, dręczyły mnie koszmary. Kiedy nie spałem, myślałem o Millie i - jeżeli jakimś cudem o niej zapomniałem - o policji. Po każdym dźwięku zza drzwi czy zza okna wydawało mi się, że zaraz wpadną gliniarze, żeby mnie aresztować.

Gorączka ustąpiła dopiero w czwartek po południu. Zapadłem w głębszy sen, bardziej kojący, chociaż niepozbawiony koszmarów.

W piątek rano wziąłem prysznic, ubrałem się i ponownie skoczyłem do kliniki na Manhattanie. Przeżyłem chwilę zakłopotania, bo nie pamiętałem, jakie nazwisko podałem podczas poprzedniej wizyty. Na szczęście w końcu je sobie przypomniałem.

- No cóż - rzekł doktor Patel, osłuchawszy moje płuca - jest o wiele lepiej. Jak się pan czuje?

- Bardzo słaby, ale ucho już mnie nie boli - odparłem.

- Czuje pan ból w klatce piersiowej?

- Nie.

- Proszę nadal regularnie przyjmować antybiotyki, aż do ostatniej dawki. Może pan brać lekarstwo przeciwko kaszlowi albo z niego zrezygnować, w zależności od objawów, ale na wszelki wypadek niech pan jeszcze dwa dni wpuszcza krople do ucha.

Podziękowałem mu i zapłaciłem za wizytę.

Wróciłem do Stillwater i zacząłem się przechadzać bez celu po mieszkaniu. Sięgnąłem po kilka książek, ale nie potrafiłem się skupić na tym, co czytam. W końcu zabrałem się do uruchomienia sprzętu audiowizualnego. Połączyłem kablami magnetowid z telewizorem, zestawem stereo i odtwarzaczem nagrań z kamery wideo, a potem podłączyłem wszystkie urządzenia do gniazdka w ścianie.

Obejrzałem końcówkę jakiegoś starego filmu, a później zacząłem zmieniać kanały, w nadziei że znajdę coś ciekawego. Znalazłem kilka oper mydlanych, teleturniejów i filmów, które albo już widziałem, albo uznałem za głupie. W końcu trafiłem na kanał CNN i postanowiłem obejrzeć wiadomości.

- „Kryzys związany z porwaniem zakładników dobiegł końca na lotnisku w Algierze” - usłyszałem.

- „Jedna osoba zginęła, a kilka innych zostało rannych. Trzech porywaczy i czternaścioro zakładników przewieziono

ciężarówkami przez punkty kontrolne algierskiej armii. Pięć godzin później autobus z zakładnikami zatrzymał się przed budynkiem szwajcarskiego konsulatu. Uwolnieni zakładnicy to jedyni obywatele Stanów Zjednoczonych, którzy zostali na pokładzie po śmierci Mary Niles". Co takiego?!

- „Nie wiadomo, czy rząd Algierii spełni żądania Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, które domagają się aresztowania i osądzenia porywaczy. Przenosimy się teraz na lotnisko w Atenach, gdzie doszło do porwania samolotu Pan Am lot 932".

Na ekranie pojawił się jasnowłosy reporter stojący w hali odpraw.

- „Pracownicy personelu naziemnego ładujący bagaże zauważyli, że na pokład boeinga 727 linii Pan Am weszło trzech mężczyzn niosących płócienne worki. Wysiedli z ciężarówki firmy cateringowej i dostali się na pokład tuż przed tym, zanim samolot zaczął kołować. Jeden z brytyjskich pasażerów powiedział, że mężczyźni ukryli się w tylnych toaletach i wkrótce po starcie wybiegli stamtąd, wymachując granatami i pistoletami maszynowymi typu Uzi. Kazali wszystkim pasażerom założyć ręce na karki i pochylić się do przodu, żeby głowa znalazła się między kolanami. Jeden z porywaczy zagroził, że zacznie zabijać pracowników personelu pokładowego, jeżeli nie otworzą kabiny pilotów. Lawrence Johnson, kapitan lotu 932, zameldował kontroli radarowej w Atenach o porwaniu samolotu i zmienił kod pokładowego transpondera na 7500, międzynarodowy sygnał porwania. Później kazał drugiemu pilotowi otworzyć drzwi kokpitu".

Na ekranie pojawiło się pomieszczenie kontroli lotów. Przez szum zakłóceń przedarł się męski głos:

- „Tu Pan Am 932. Zostaliśmy porwani. Zmieniamy kurs i lecimy do Bejrutu".

Na dole ekranu widniał napis: „Nagranie zarejestrowane". Obraz wrócił do studia, gdzie relację kontynuowała prezenterka wiadomości.

- „Cztery godziny później kapitan Johnson podjął próbę lądowania w Bejrucie, ale kontrolujący zachodni Bejrut żołnierze armii syryjskiej zablokowali pas startowy wozami straży pożarnej i autobusami linii lotniczych. Kiedy kapitan oznajmił, że rozbije samolot albo wyląduje na powierzchni morza, usłyszał w odpowiedzi: „Nic nas to nie obchodzi. Tutaj pan nie wyląduje".

- „Porywacze skierowali samolot na lotnisko w Nikozji na Cyprze. Tam również odmówiono zgody na lądowanie, ale z uwagi na kończące się paliwo władze cypryjskie pozwoliły porywaczom wylądować w Larnace. Gdy terroryści zażądali uzupełnienia zapasów paliwa, władze Cypru początkowo

odmówiły, ale ugięły się, bo porywacze zagrozili, że będą zabijali pasażerów, jednego po drugim, dopóki samolot nie zostanie zatankowany. Podczas tankowania przebrani za pracowników sekcji paliwowej funkcjonariusze jednostki antyterrorystycznej lotniska przytwierdzili do opon sterowane falami radiowymi niewielkie ładunki wybuchowe".

Kamera pokazała, jak samolot oddala się od cystern z paliwem. Kiedy znalazł się na pasie dojazdowym w pobliżu miejsca, w którym miał skrócić na pas startowy, przy każdym kole pojawił się niewielki obłoczek dymu. Samolot zatrząsł się i znieruchomiał.

Następne ujęcie przedstawiało kobietę na szpitalnym łóżku. Miała spuchniętą twarz i obandażowany policzek. Głos zza kadru wyjaśnił, że to Linda Matthews, stewardessa lotu Pan Am 932.

- „Kiedy eksplodowały opony, porywacze wpadli w szal” - opowiadała kobieta. - „Zaczęli bić drugiego pilota i wrzeszczeć do kapitana Johnsona: »Startuj, startuj!« Kapitan dwukrotnie próbował wjechać na pas startowy, ale za każdym razem samolot tylko się trząsł. W końcu kapitan powiedział: „Nie mogę. Mamy uszkodzone podwozie”. Porywacze otworzyli drzwi, a jeden z nich kazał kilku pasażerom mnie trzymać. Wychyliłam się, żeby obejrzeć podwozie. Gdy powiedziałam porywaczom, że wszystkie opony są przebite i samolot nie może wystartować, zaczęli mnie bić kolbami pistoletów. Pobili też kapitana Johnsona”.

Na ekranie ukazała się twarz prezenterki.

- „Porywacze zażądali natychmiastowego podstawienia innego samolotu. Władze cypryjskie odmówiły. Negocjacje trwały siedem godzin. Porywacze domagali się uwolnienia kilku szyickich muzułmanów przetrzymywanych w Jordanii, Arabii Saudyjskiej i we Włoszech. Kiedy wydawało się, że wstępne porozumienie zostanie wkrótce zawarte, oświadczyli, że za podstawienie innego samolotu uwolnią wszystkich pasażerów z wyjątkiem obywateli Stanów Zjednoczonych. Władze zgodziły się podstawić samolot, ale w zamian żądały uwolnienia wszystkich zakładników.

Porywacze kazali czekać na odpowiedź”.

Kamera przeniosła się do szpitalnej sali.

- „Podczas lotu z Aten” - mówiła Linda Matthews - „kazali wszystkim pasażerom pierwszej klasy przejść do klasy ekonomicznej. W samolocie było sporo wolnych miejsc, więc nie było z tym problemu. Przywódca Porywaczy, który zgłaszał wszystkie żądania, wyszedł z kabiny pilotów. Był wściekły. Ja siedziałam z tyłu pierwszej klasy i udawałam nieprzytomną, bo me chciałam, żeby mnie znów pobili. Przywódca zawołał coś po arabsku do porywacza stojącego w klasie ekonomicznej, a on ruszył w jego stronę z jakąś teczką. Usłyszałam, że bije nią wszystkich, którzy nie byli pochyleni

do przodu i nie trzymali głowy między kolanami. Później porywacze kazali wstać pasażerze siedzącej przy przejściu z przodu klasy ekonomicznej i kajdankami przypięli teczkę do jej nadgarstka. Przywódca polecił jej: „Zanieś tę wiadomość Amerykanom”. Kobieta, której kazali wstać, była przerażona. Wyglądała, jakby z trudem trzymała się na nogach. Przywódca porywaczy powiedział jej: „Masz dużo szczęścia. Opuszczasz samolot”.

Kolejne ujęcie przedstawiało widok samolotu z boku. Zobaczyłem otwarte drzwi, z których ktoś wyrzucił nadmuchiwaną zjeżdżalnię awaryjną. Później przez drzwi wypchnięto kobietę. Upadła bokiem na zjeżdżalnię, ześlizgnęła się i rozciągnęła jak długa na betonie.

To była moja mama.

Wstała z wysiłkiem i kuśtykając, zaczęła się oddalać od samolotu. Teczka musiała być ciężka, bo próbowała ją przełożyć do drugiej ręki. Nie pozwoliły jej na to kajdanki, więc trzymała teczkę przed sobą oburącz w taki sposób, że objęła się o jej kolano.

Na ekranie jeszcze raz pojawiła się leżąca w szpitalnym łóżku Linda Matthews.

- „Wszyscy trzej terroryści wyglądali przez okna. Ich przywódca trzymał jakieś pudełko. Sądziłam, że to radio, bo miało antenę. W pewnej chwili wcisnął guzik na obudowie”.

Na kolejnym ujęciu płyty lotniska zobaczyłem mamę, która zdążyła się oddalić jakieś sto metrów od samolotu. Lotniskowy dżip już jechał, żeby ją zabrać, gdy nagle walizka w jej dłoniach eksplodowała w kuli ognia i dymu.

Siła wybuchu uniosła mamę na wysokość kilku metrów i rzuciła na płytę lotniska niczym szmacianą kukłę. Zanim na ekranie pojawiła się prezenterka wiadomości, usłyszałem głos zza kadru, który wykrzyknął: „O Boże! O Boże!”

- „Po śmierci Mary Niles władze Cypru zgodziły się udostępnić terrorystom innego boeinga 727. Prowadząc przed sobą czternastu amerykańskich pasażerów i członków załogi poprzedniego samolotu, porywacze weszli na pokład i odlecieli do Algierii. Tam przez kilkanaście godzin prowadzili z przedstawicielami władz negocjacje, które zakończyły się sukcesem. Terroryści uwolnili zakładników i zostali zabrani z lotniska pod eskortą żołnierzy algierskiej armii”.

Prezenterka przeszła do następnych informacji.

- „W siedzibie władz Unii Europejskiej trwają rozmowy...” - zaczęła. Wyłączyłem telewizor. Nie wytrzymam, jeżeli będę musiał siedzieć w pokoju albo stać przy oknie, uświadomiłem sobie.

Pilot wyslizgnał się z moich zwiotczających palców. Mama nie mogła się teleportować, pomyślałem. Szkoda, że mnie tam nie było. Może zdołałbym ją uratować.

I tyle ci przyszło z miejsca przy przejściu, mamó.

Usiadłem na podłodze, wciśnięty między bok kanapy a regał z książkami, i starałem się dojść do siebie. W pewnej chwili zauważyłem, że obok mnie leży jakaś książka. Połowę stron wydarto, jedną po drugiej, i każdą zmięto w niewielką kulę. Zorientowałem się, że to moja dłoń wyrywa następną stronę, i w końcu uświadomiłem sobie, co robię.

Mamo...

Spojrzałem na tytuł. Pudd'nhead Wilson, jedna z powieści Twaina, którą dostałem w prezencie od mamy. Poczuję się okropnie. Książki miał zwyczaj drzeć mój stary, a ja nie chciałem być taki jak on. Rzuciłem książkę w przeciwległy kąt salonu i podciągnąłem się na podłokietnik kanapy.

Czułem, że powinienem się rozplakać, ale łzy nie chciały płynąć z moich oczu.

To się nie wydarzyło, pomyślałem. To wszystko przez tę gorączkę. Majaczę.

Włączyłem ponownie telewizor i zobaczyłem te same ujęcia, tym razem na kanale ABC.

Wyłączyłem szybko odbiornik, zanim na ekranie pojawiła się scena eksplozji.

Millie, pomyślałem. Ona musi mi pomóc.

Poproszę Millie, żeby mnie wysłuchała. Opowiem jej o śmierci mamy. Wszedłem z budynku i skręciłem za róg, ale tam przystanąłem, jakbym nie mógł się zdecydować.

W mojej głowie kołatały się dwa obrazy... eksplozji i twarzy Millie, która powiedziała, żebym dał jej spokój. Walczyły ze sobą, jakby usiłowały przyciągnąć moją uwagę, a czasami się stapiały, jakby chciały mi sprawić dwukrotnie silniejszy ból.

Zewnętrzne ściany mojego budynku obłożono czerwonymi cegłami. Przytuliłem się do nich i poczułem, że mój policzek styka się z chłodną, chropowatą powierzchnią. Z północy wiał przejmujący wiatr, a na bezchmurnym niebie świeciły mikroskopijne gwiazdy, podobne do okruchów krzemienia albo odłamków rozbitej szyby.

Usłyszałem odgłos kroków. Odwróciłem się i ukryłem w cieniu żywopłotu rosnącego wzdłuż chodnika. Obok mnie przeszedł jakiś mężczyzna. Skierował się w stronę budynku, w którym mieszkała Millie. Zobaczyłem jego twarz, kiedy przechodził pod latarnią.

To był Mark, dawny chłopak Millie, którego przeniosłem i zostawiłem na tarasie widokowym lotniska Willa Rogersa. Czyżby wrócił, żeby ponownie zawracać Millie głowę?

Mogłem znów być bohaterem - zaczekać, aż zacznie się narzucać, i przenieść go na Brooklyn albo do Minnesoty... gdzieś daleko, gdzie nie będzie mógł się jej naprzykrzać. Tylko czy Millie zechce mnie później wysłuchać?

Mark zapukał energicznie do drzwi. Przeskoczyłem na skraj chodnika i ukryłem się za sięgającym mi do piersi krzakiem. Zacząłem zaciskać i rozkurczać palce dłoni, jakbym chciał coś nimi chwycić albo kogoś uderzyć. Pomyślałem o ścieżce w Bartery Park i o metalowej poręczy oddzielającej ład od zimnej, bardzo zimnej wody.

Jak łatwo byłoby go przenieść na tamtą poręcz...

Drzwi się otworzyły. Spodziewałem się, że usłyszę gniewny ton, ale w głosie Millie nie było cienia irytacji.

- Cześć, Mark. Dzięki, że przyszedłeś - powiedziała.

Mark wszedł do środka i drzwi się zamknęły. Drzwi się zamknęły. Drzwi się zamknęły.

O Boże! Poczułem się jak głupiec. Kucnąłem i przeskoczyłem kilkaset metrów, jakie dzieliły mnie od mojego mieszkania. Zobaczyłem lekarstwa na komodzie i odruchowo zerknąłem na zegarek.

Pora połknąć kolejną pigułkę i wpuścić krople do uszu. Oparłem się o komodę i zacisnąłem powieki. Gdzie są łyzy? Gdzie są te cholerne łyzy?

Otworzyłem buteleczkę z antybiotykiem, wyjąłem pastylkę i połknąłem bez popijania. Uwięzła mi w gardle niczym kawałek kości albo zeschnięta skórka chleba.

Wyjąłem z szafki kubek, nalałem do niego trochę wody z kranu i popiłem pigułkę. Przesuwała się w głąb gardła, ale nie dość głęboko. Nadal gdzieś tkwiła, prawdopodobnie w dolnej części przełyku.

Czułem się z tym paskudnie. Ponownie nalałem wodę do kubka, wściekły na pastylkę, wściekły na Millie, wściekły na Marka, wściekły na samego siebie.

Drugi łyk popchnął pastylkę jeszcze głębiej, a ja bezmyślnie odstawiłem kubek na skraj zlewu.

Przewrócił się i upadł. Ucho oderwało się z trzaskiem podobnym do odgłosu łamania suchej szczapy.

Niech to wszyscy diabli!

Wyjąłem ze zlewu oba kawałki kubka i usiłowałem je złączyć, ale moje starania nie miały sensu.

Wrzuciłem kubek z powrotem do zlewu z taką siłą, że roztrzaskał się na kawałki. Dźwięk mnie zaskoczył, ale zarazem sprawił mi przyjemność. Kawałek fajansu przeleciał obok mojego ucha i uderzył w lodówkę.

Wyjąłem z szafki inny kubek i roztrzaskałem go z jeszcze większą siłą niż poprzedni.

Dopiero wtedy z moich oczu popłynęły łzy, a ciałem zaczęły targać spazmatyczne dreszcze. Nie przestały, dopóki nie rozbiłem wszystkich naczyń z kompletu.

Rozdział 11

Leo Silverstein obiecał mi, że trumna będzie zamknięta, i dotrzymał słowa.

Godzinę wcześniej skoczyłem na lotnisko i wynająłem jedną z luksusowych limuzyn Walta Steigera. Kierowca był młodszy niż właściciel firmy przewozowej.

- Gdzie jest Walt? - zapytałem go.

- Ma pogrzeb - usłyszałem w odpowiedzi.

W domu pogrzebowym podszedł do mnie cicho jak duch siwowłosa mężczyzna w ciemnym garniturze i zapytał, jakie pokrewieństwo łączy mnie ze zmarłą.

- Jestem jej synem - odpowiedziałem.

- Ach, to pan jest David Rice? - domyślił się. - Pan Silverstein uprzedził nas, żebyśmy się pana spodziewali. Nazywam się Jones. Tędy, proszę.

Poprowadził mnie przez dwuskrzydłowe drzwi do przypominającej wnętrze kościoła sali z witrażami w oknach. Trumna mamy spoczywała w przedniej części pomieszczenia. Stał przed nią mężczyzna z pochyloną głową. Kiedy usłyszał odgłos naszych kroków, wyjął chusteczkę, wydmuchał nos i odwrócił się. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Spoglądał na nas chwilę, jakby zdezorientowany, a później zwrócił się do mnie.

- Davy...?

Kiwnąłem głową, nie patrząc mu w oczy. Miałem ochotę uciec i gdzieś się ukryć.

- Bardzo mi przykro - zacząłem - ale nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - odparł. - Nazywam się Lionel Bispeck.

- Więc to pan jest... hm... chłopakiem mamy - powiedziałem i poczułem się jak idiota. Właśnie nazwałem „chłopakiem” czterdziestopięcioletniego mężczyznę.

Bispeck odwrócił się niespodziewanie i znów wydmuchał nos.



- Przepraszam - rzekł. - O Boże, skończyły mi się chusteczki.
- Proszę - zaoferowałem, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki nowiutką lnianą chustkę. - Wziąłem cztery.

Pan Jones chrząknął.

- Pierwsze dwa rzędy są zarezerwowane dla członków najbliższej rodziny - oznajmił, wskazując ławki najbliższej trumny. Na obu końcach każdej przylepiono kartki z napisem: „Dla członków najbliższej rodziny”.
- Ja jestem jedynym bliskim członkiem rodziny, panie Jones - zauważyłem.

Przedsiębiorca pogrzebowy uniósł brwi.

- Zadzwoił do nas niejaki Carl Rice i zapytał, kiedy i gdzie odbędzie się ceremonia - rzekł.

Przełknąłem ślinę.

- Nie spodziewałem się, że w ceremonii zechce wziąć udział mój ojciec - odparłem. - Tak czy owak - dodałem - mama rozwiodła się z nim kilka lat temu, więc nie jest członkiem rodziny.

Na twarzy pana Jonesa odmalowało się ubolewanie.

- Postaram się posadzić pańskiego ojca gdzieś indziej, ale nie jestem pewny, czy zdołam go do tego namówić - rzekł.

- Rozumiem. Czy Leo Silverstein wie, że mój ojciec zamierza przyjechać?

- Raczej nie, chyba że pański ojciec zadzwonił do niego, żeby mu to powiedzieć - odparł Jones.

- Czy pan Silverstein się pojawi?

- Z całą pewnością.

- Kiedy go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć o moim ojcu, dobrze?

- Oczywiście. - Jones odwrócił się i rozpląnął niczym siwowłosa zjawa.

Wzdrygnąłem się.

Z twarzy Lionela Bispecka zniknął smutek, a pojawił się na niej wyraz gniewu.

- Więc wiesz o moim ojcu - stwierdziłem.

Przytaknął i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił gniewnie głową.

- Usiądź obok mnie - zaproponowałem. Bispeck się zawahał.

- To niestosowne - odparł.

- Racja - przyznałem. - Mój stary nie powinien tu przychodzić.

- Miałem na myśli to, że będę siedział z przodu. Spojrzałem na sklepienie sali.

- Kochałeś ją? - zapytałem.

- Tak.

- Więc powinieneś siedzieć obok mnie - zdecydowałem. - Nie sądzisz, że moja mama by chciała, aby ci, którzy ją kochali, siedzieli koło siebie? A poza tym, jeżeli pojawi się mój tata, będę potrzebował twojego wsparcia.

- Och... W takim razie w porządku. - Bispeck o mało się nie uśmiechnął.

- O co chodzi? - rzuciłem. Bispeck wzruszył ramionami i usiadł.

- Jesteś do niej bardzo podobny - ocenił. - Ona także zmuszała mnie do robienia różnych rozsądnych rzeczy.

Zacisnąłem usta.

- Zmuszała? - powtórzyłem. - Nie masz pojęcia, co to słowo znaczy. Jeszcze się nie spotkałeś z moim ojcem.

Bispeck spoważniał.

- Nie... Ale chciałbym mu rozkwasić gębę. Kiwnąłem głową.

- Może w ogóle nie będziesz musiał go poznawać - powiedziałem. - Mimo wszystko jest aniołem w porównaniu z tamtymi terrorystami.

- Niech to diabli! - Lionel zaczął skręcać chustkę w zaciśniętych pięściach. - Uważałem się za pacyfistę. Podczas wojny w Wietnamie sprzeciwiałem się poborowi ze względu na konflikt sumienia, ale z radością pociągnąłbym za spust, gdybym dostał tych sukinsynów w moje ręce. - Uderzył pięściami w kolana. - Nie widzę jednak większej różnicy między nimi a twoim ojcem. Terrorysty zawsze biorą na cel niewinne osoby.

Odetchnąłem głęboko, bo poczułem, że sala wokół mnie zaczyna wirować. Ja też chciałem ich zabić. Wściekłość przyprawiała mnie o mdłości, skręcała żołądek i przyspieszała tempo bicia serca.

- Spokojnie - odezwałem się bardziej do siebie niż do Lionela. - Uspokój się.

Bispeck znów wysiakał nos.

- Przepraszam - rzekł cicho.

- Do diabła, przestań ciągle przepraszać! Nie zrobiłeś nic złego. - Przypomniałem sobie, że to samo mówiła mi Millie, i musiałem odwrócić głowę, żeby Lionel nie zobaczył, że staram się powstrzymać łzy. Wyjąłem następną lnianą chustkę.

Właśnie wtedy podszedł do nas Leo Silverstein. Przedstawiłem go Lionelowi.

- Czy mógłbym porozmawiać z tobą chwilę, Davidzie? - zapytał Leo. Poprowadził mnie na tył sali, do wnęki z wieszakami na płaszcze.

- Chodzi o tatę? - zagadnąłem.  
- Och. Nie... nie mam pojęcia, co zrobić z twoim ojcem - przyznał Silverstein. - Chciałbym kazać go aresztować, ale główny świadek jest...  
- Martwy - dokończyłem. - Moja matka nie żyje. No dobrze, w takim razie o co ci chodzi?  
- Zanim wczoraj do mnie zadzwoniłeś, próbowałem cię złapać pod twoim numerem w Nowym Jorku - odparł.

- Skąd znasz ten numer?  
- Kiedy dałeś mi tamten list do mamy, zadzwoniłem do niej, a ona poprosiła, żebym go otworzył i przeczytał - wyjaśnił Silverstein.

- Aha. Więc o co chodzi?  
- Telefon odebrał operator nowojorskiej policji. Zapytał mnie, gdzie jesteś. Powiedziałem mu o pogrzebie.

Wspaniale, pomyślałem, ale wzruszyłem ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

- W porządku - oznajmiłem. - Coś jeszcze? Leo patrzył na mnie chwilę.

- Dlaczego się tobą interesują? - zapytał w końcu.

- To nie twój interes.

Odwróciłem się i chciałem odejść, ale Silverstein chwycił mnie za rękę.

- Zaczekaj chwilę - rzucił. - To mój interes. Twoja matka ustanowiła mnie wykonawcą swojego testamentu. Jesteś beneficjentem.

Majątki. Zmarli zostawiają majątki. Mama nie żyła. O to właśnie chodziło... Nieustannie zapominałem, że mama nie żyje. Och, mamó... Dlaczego zawsze mnie opuszczasz? Oczyma wyobraźni zobaczyłem ponownie sceny z ekranu telewizora. Odwróciłem się i spojrzałem na Silversteina.

Puścił moją rękę, jakby była rozgrzana do czerwoności, i cofnął się.

- Coś jeszcze? - powtórzyłem.

- Na zewnątrz roi się od reporterów z telewizji i z prasy. Pan Jones nie wpuszcza tu kamerzystów, ale nie da rady powstrzymać dziennikarzy przed udziałem w pogrzebie. Jeżeli jednak któryś będzie chciał przeprowadzić tu wywiad z tobą, zostanie wyprowadzony z sali pod eskortą policji.

- Są tu policjanci?

- Tylko ci, co zwykle... dwaj funkcjonariusze na motocyklach, którzy mają eskortować kondukt pogrzebowy. Będą mieli oko na reporterów.

- Och... dziękuję, panie Silverstein - powiedziałem. - Bardzo pan pomógł. Przepraszam, że ciągle na pana naskakuję.

Wzruszył niepewnie ramionami i odszedł.

W sali gromadziło się coraz więcej ludzi. Walt Steiger, właściciel taksówki, klepnął mnie po

ramieniu, a później odwrócił się i usiadł w jednym z dalszych rzędów. Pani Johnson, która mieszkała w domu dziadka, podeszła do mnie, złożyła krótkie kondolencje i przedstawiła swojego męża, a później także usiadła w jednym z dalszych rzędów.

Po jakimś czasie wrócił Leo Silverstein w towarzystwie mężczyzny w ciemnym garniturze.

- Davidzie, to pan Anderson z Departamentu Stanu - przedstawił go. Wstałem i potrząsnąłem jego ręką.

- Chciałem panu podziękować, że kazał pan odesłać do domu jej ciało - rzekłem.

- Nie musi mi pan za nic dziękować - odparł. - Na tym polega moja praca, chociaż zazwyczaj odsyłam do domu zwłoki turystów, którzy zmarli na zawał serca albo zginęli w wypadku.

Pokiwałem głową.

- To nie jest odpowiednia pora, ale gdyby miał pan jakieś pytania, oto moja wizytówka - podjął po chwili pan Anderson.

Podziękowałem mu jeszcze raz i mężczyzna odszedł. Lionel poruszył się niespokojnie na sąsiednim krześle.

- O Boże, przyszły Sylwia i Roberta, i... całe biuro!

Kilka kobiet, które właśnie weszły do sali, zobaczyło go. Podeszły cicho bocznym przejściem, pochyliły się i przyjęły pozę, jaką zwykle przyjmują ludzie w kościele, kiedy zwracają się do kogoś pogrążonego w żałobie. Lionel je przedstawił.

- To Sylwia, Roberta, Jane, Patricia i Bonnie - powiedział. - Są pracownicami biura podróży Fly-Away. Sylwia była przełożoną twojej matki. Patricia i Bonnie leciały tym samym samolotem.

Były w różnym wieku i różnej tuszy, od szczupłych po lekko otyłe. Przywitałem się ze wszystkimi, chłonąc niczym gąbka ich wyrazy współczucia i pociechy.

- Bardzo miło z waszej strony, że przyleciałyście z tak daleka - oznajmiłem.

Sylwia mruknęła coś o agentach biur podróży i tanich biletach lotniczych.

- Posłuchajcie - zacząłem. - Czy nie mogłybyście usiąść tu, obok nas? Właściciele zakładu pogrzebowego zarezerwowali dwie długie ławki dla członków rodziny, a ja wolałbym nie siedzieć w nich sam.

Nie miały nic przeciwko temu. Zająły wszystkie wolne miejsca w pierwszej ławce i siedziały w milczeniu, wodząc wzrokiem po sali.

Ich obecność przyniosła mi ulgę. Poczulem, że nie jestem już sam. Tych sześć lat, które mama spędziła z daleka ode mnie, zaczęło mi się wydawać nie całkiem stracone. Te kobiety ją kochały i troszczyły się o nią.

Dziesięć minut przed ustaloną godziną rozpoczęcia ceremonii zobaczyłem sierżanta Bakera i sierżanta Washburna. Weszli do sali, stanęli z tyłu i zaczęli omiatać spojrzeniami tłum. Byli ubrani w ciemnobrązowe garnitury i krawaty w stosownych spokojnych barwach.

Patrzyłem przed siebie, jakbym ich nie widział. Mięśnie mojej twarzy dziwnie skamieniały.

Spoglądając na trumnę mamy, czułem burzę gwałtownych emocji.

Pięć minut przed rozpoczęciem ceremonii pojawił się mój stary. Przy drzwiach powitał go pan Jones i poprosił, żeby wpisał się do księgi. Ojciec napisał w niej kilka słów, po czym pan Jones poprowadził go środkowym przejściem i spróbował namówić, żeby zajął miejsce w pustej ławce.

Stary coś powiedział, ale pan Jones pokręcił głową, cały czas pokazując pustą ławkę. Ojciec obszedł go i ruszył dalej środkowym przejściem sali. Pan Jones spojrzał na mnie i rozłożył ręce w geście bezradności.

Wstałem i opuściłem moje miejsce. Lionel także chciał wstać, ale spojrzałem na niego, uśmiechnąłem się z przymusem i pokręciłem głową. Na mój widok ojciec stanął jak wryty i zbladł jak ściana. Kiwnąłem na niego i ruszyłem do widocznych obok trumny dwuskrzydłowych drzwi, za którymi czekał karawan. Otworzyłem je i stanąłem na progu, a ojciec ruszył niepewnie za mną.

Wyszedłem na dwór i skierowałem się w lewo, żeby oddalić się od grupy czekających przed budynkiem reporterów i dwóch pomocników opartych o bok karawanu.

Skręciłem za róg i znalazłem się poza zasięgiem ich wzroku. Wybrałem miejsce lądowania, przeszedłem jeszcze parę metrów i odwróciłem się.

Stary szedł wolno, jakby coś podejrzewał. Na dworze było chłodno, ale mimo to bardzo się poccił.

Stanął mniej więcej dwa metry ode mnie.

Jakiś czas patrzyłem na niego w milczeniu. Czułem, że coś gotuje się w moim żołądku, i przypominałem sobie rzeczy... paskudne rzeczy. Ojciec był ubrany w garnitur, kowbojskie buty i krawat ze sznurka. Kiedy rozchylił poły marynarki, zobaczyłem sprzączkę pasa, jakie noszą jeźdźcy podczas rodeo.

- Niech cię diabli! Powiedz coś! - zawołał. Podmuch wiatru przyniósł do mnie woń jego potu i alkoholu.

Nie poruszyłem się. Patrzyłem na niego i myślałem o tej nocy, kiedy stałem nad nim z ciężką butelką w ręce.

- Myślałem, że cię zabiłem - odezwał się w końcu. - Myślałem, że cię zabiłem.

O mało się nie uśmiechnąłem. Pewnie wydaje mu się, że jestem duchem, który go straszy, pomyślałem.

- Dlaczego myślisz, że mnie nie zabiłeś? - zapytałem i skoczyłem za niego. - Może rzeczywiście mnie zabiłeś?

Skulił się, odwrócił i zobaczył mnie za swoimi plecami. Zbladł jeszcze bardziej i otworzył szeroko oczy. Skoczyłem znowu za niego, objąłem go w pasie - Boże, jaki jest lekki, pomyślałem - i przeskoczyłem do salonu jego domu w Stanville. Kiedy zaczął wymachiwać rękami i nogami, puściłem go i pchnąłem. Potknął się o otomanę i upadł, ale zanim runął na podłogę, przeskoczyłem z powrotem na Florydę, na tyły zakładu pogrzebowego Callowaya-Jonesa.

Gdy skręciłem za róg, żeby wejść do środka, zobaczyłem sierżanta Bakera. Oparł się barkiem o ścianę i zaczął gmerać w kieszeni, jakby szukał papierosów. Zastanowiłem się, czy sierżant Washburn nie idzie w moją stronę po drugiej stronie budynku.

Wszedłem do sali i usiadłem obok Lionela.

- Co się stało? - zapytał szeptem z zaniepokojoną miną.

- Stary wrócił do domu - wyjaśniłem.

- Och.

Sierżanci Baker i Washburn wrócili do sali i stanęli na poprzednich miejscach z tyłu. Sprawiali wrażenie zdezorientowanych.

Ceremonia była okropna. Kaznodzieja z kościoła metodystów nigdy nie spotkał się z mamą i nigdy nie rozmawiał z osobami, które ją kochały, więc nie miał pojęcia, jaka była. Mówił coś o bezsensownej tragedii i o tym, że Bóg działa w tajemniczy sposób. Słuchając go, miałem ochotę spowodować następną bezsensowną tragedię, uśmiercając pastora. Bredził o głębokiej, niewzruszonej wierze mamy, a ja wiedziałem, że to bzdury. Po tym, jak mama przeszła przez Alanon, rzeczywiście osiągnęła pewien stopień uduchowienia, ale kiedyś zwierzyła mi się, że wcale nie jest pewna, jaką formę czy kształt przyjęła jej „wyższa potęga”.

Jedyną pociechą było dla mnie to, że nie jestem odosobniony w mojej opinii. Gdy pastor podszedł później do mnie, żeby mnie pocieszyć, tylko pokręciłem głową.

Lionel zachował się mniej uprzejmie. Kiedy rozchodziliśmy się do samochodów, zapytał:

- Skąd go wytrzasnęli?

- Silverstein powiedział, że ten pastor wygłaszał kazanie na pogrzebie mojego dziadka - odparłem. - Prawdopodobnie uznał, że się nada i tu.

- Był w błędzie.

- Tak - mruknąłem.

Kiedy wyszliśmy na dwór, wśród przedstawicieli mediów zapanowało poruszenie. Aparaty fotograficzne zaczęły trzaskać i błyskać, a reporterzy zaczęli mówić do mikrofonów i miniaturowych dyktafonów. Na razie jednak żaden dziennikarz do nas nie podchodził.

Organizatorzy pogrzebu wskazali mi limuzynę tuż za karawanem. Siedziałem w niej sam, jeżeli nie liczyć milczącego kierowcy. Uznałem, że limuzyna pana Adamsa była o wiele ładniejsza, ale nie wyraziłem głośno mojej opinii. Co tu właściwie robię? - zastanawiałem się. Jestem tu dla mamy. Jestem tu dla mamy.

Sam pogrzeb trwał krótko. Uczestniczyli w nim Lionel, jakaś kobieta z biura podróży Fly-Away, Leo Silverstein oraz sierżanci Baker i Washburn. Byli także przedstawiciele prasy, ale zostali na skraju cmentarza. Relacjonowali przebieg pogrzebu dzięki teleobiektywom i mikrofonom kierunkowym. Kusilo mnie, żeby przeskoczyć przed ich grupę i dać im naprawdę coś podniecającego do zrelacjonowania.

Stypę zorganizowano w miejscowym hotelu. Kiedy żałobnicy wsiadali do samochodów, w końcu podeszli do mnie Washburn i Baker.

- Ach, sierżant Baker i sierżant Washburn - odezwałem się na ich widok. - Jak to miło, że przyszliście na pogrzeb - dodałem z goryczą.

Zamarli w pół kroku, zdezorientowani i zaskoczeni. Nie wiedzieli, że podsłuchiwałem ich tamtego wieczoru w apartamencie. Mimo to wyciągnęli odznaki, jak automaty zaprogramowane do zachowywania się w określony sposób.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, panie Rice. A może nazywa się pan Reece? - zaczął Washburn.

Wyjąłem prawo jazdy i rzuciłem je w Washburna.

- Proszę. Ma pan na nim nawet moje odciski palców. Może ktoś dopasuje je do tych, które zdjęliście w moim mieszkaniu. Jakże się miewa pańska żona, sierżancie Washburn? Czy ostatnio nie nabawiła się kilku ładnych siniaków?

Wirujący w powietrzu kartonik odbił się od klatki piersiowej policjanta i upadł na trawę. Washburn schylił się, chwycił go ostrożnie za krawędzie i podniósł. Zaczął się czerwienić, więc Baker spojrzał na niego z ukosa.

Podszedł do nas Silverstein. Miał zdezorientowaną minę. Zwróciłem się do niego.

- To sierżanci Washburn i Baker z nowojorskiej policji - przedstawiłem funkcjonariuszy. - Załatwili sobie wakacje na Florydzie, żeby zadać kilka pytań notorycznemu przestępcy... to znaczy mnie.

- Jesteś przestępcą, Davidzie? - zapytał Silverstein. Postanowiłem w końcu dać upust trawiącej mnie wściekłości.

- Do diabła, tak! - wybuchnąłem. - Jestem winny tego, że uciekłem z domu, z rozpaczy kupiłem fałszywe dokumenty i wykorzystałem je do otworzenia konta w banku. A najgorsze ze wszystkiego było to, że inter-

weniowałem, kiedy policjant o mało nie zatłukł na śmierć swojej żony. To równie niebezpieczne jak akt terroryzmu.

Leo zamrugał i spojrzał na Washburna jak na robaka, którego znalazł pod kamieniem.

- No cóż, to wcale nie wygląda na pościg za przestępcą - zawyrokował.

- Dlaczego tu przyszliście, panowie? Dlaczego nie zwróciliście się do władz Florydy, żeby go zatrzymały?

- Mamy wątpliwości co do jego tożsamości - odparł gniewnym tonem Washburn.

- Już nie-przypomniałem. Sierżant pokiwał głową.

- To prawda - przyznał. - Już nie.

Silverstein przeniósł spojrzenie z twarzy policjanta na moją.

- No cóż, chyba znaleźliście się na terenie, którego nie obejmuje zasięg waszej jurysdykcji - powiedział. - Czy już rozmawialiście z szeryfem Thatcherem?

- Jeszcze nie.

- W takim razie chodź ze mną, Davidzie. W Holiday Inn zaraz zaczyna się stypa. Wątpię, żeby było na niej wielu przyjaciół twojej matki, ale na pewno będzie wielu przyjaciół twojego dziadka, którzy zechcą ci złożyć kondolencje.

Wyraźnie zirytowany Washburn stanął w taki sposób, żeby zagrozić nam drogę do samochodu.

- Nadal mamy kilka pytań - zaprotestował.

- Davidzie, jeżeli chcesz znać moją radę, nie odpowiadaj na te pytania

- rzekł Silverstein. - Mówię to jako twój prawnik... - spojrzał nad górną krawędzią okularów na Washburna - ...i jako funkcjonariusz, ipso facto, sądu, który sprawuje władzę w tym hrabstwie.

Chodźmy już, bo inaczej spóźnimy się na stypę.

Rozłożyłem ręce w geście bezradności, a później wzruszyłem ramionami i spojrzałem na

Washburna. Podążyłem za Silversteinem, który ruszył w kierunku limuzyny. Kiedy oddaliliśmy się na wystarczająco dużą odległość od sierżantów, szepnąłem:

- Nie jesteś moim prawnikiem.

- No cóż, jak wcześniej wspomniałem, jestem wykonawcą testamentu twojej matki, a z wyjątkiem kilku klauzul na korzyść jej przyjaciółek z biura podróży i pana Bispecka, jesteś beneficjentem większej części jej majątku. Zatem w pewnym sensie jestem twoim prawnikiem. A poza tym uważam się za prawnika twojej rodziny, chociaż może to się wydawać trochę staromodne. Ty zaś jesteś jedynym pozostałym przy życiu jej członkiem. A przy



okazji - dodał, otwierając drzwi limuzyny - co takiego powiedziałeś swojemu ojcu, że postanowił wyjechać? Wsiadłem do limuzyny.

- Prawdę mówiąc, wolałbym tego nie powtarzać - mruknąłem. Silverstein wzruszył ramionami.

- Zmywamy się stąd - zdecydował. - Nie powinienem cię zostawiać samego, kiedy po okolicy kręcą się ci dwaj sierzanci. Zdumiewające, jaki zbawienny wpływ wywiera prawnik na zachowanie policjantów, zwłaszcza gdy znajdują się poza obszarem swojej jurysdykcji. Wrócę tu później po mój samochód.

W drodze do hotelu zapytał:

- Masz może dolara, Davidzie? Zajrzałem do portfela.

- Bardzo mi przykro - odparłem. - Niezbyt jasno myślało mi się dzisiaj rano. Kiedy wychodziłem z mojego... pokoju, nie zabrałem niczego mniejszego niż setka.

Zerknąłem na Silversteina. Patrzył na mój otwarty portfel, w którym miałem mniej więcej dwadzieścia banknotów studolarowych.

- Uhm... jak właściwie zarabiasz na życie, Davidzie? - zapytał w końcu.

- Dzięki bankom... bankowym spekulacjom. - Uśmiechnąłem się z przymusem. Spekuluję, kiedy w jakimś banku są pieniądze, a później je zabieram, pomyślałem.

- No cóż, w takim razie daj mi sto dolarów.

Przeczytałem wystarczająco dużo kryminałów z Nero Wolfe'em, żeby zorientować się, o co mu chodzi.

- No tak, przekręt dotyczący zaufania między prawnikiem a klientem - powiedziałem. - Chcesz mi zadać kilka pytań, ale nie chcesz być później zmuszony do wyjawienia policji moich odpowiedzi.

Silverstein się zarumienił.

- No cóż... powiedzmy, że chcę zastrzec sobie możliwość odmówienia odpowiedzi na ich pytania - odparł.

Wyjąłem z portfela pięć banknotów studolarowych.

- Równie dobrze mogę ci zapłacić przyzwoite honorarium - powiedziałem.

- Stać cię na to?

- Bez problemu.

Silverstein wyjął notatnik z kieszeni marynarki.

- Wypiszę ci pokwitowanie - zaproponował.

- Ufam ci - odparłem.

- Dzięki za zaufanie, ale takie pokwitowanie będzie chroniło nas obu - powiedział. - Zapewni ślad w dokumentacji, jak to się mówi w naszym zawodzie. - Oderwał papierek i wręczył mi. - Nie zgub go - ostrzegł. Schował do kieszeni notes i pieniądze. - A teraz zadam ci pytanie, które zadałem już wcześniej. Dlaczego chcą z tobą porozmawiać?

- Washburn był moim sąsiadem w Nowym Jorku - zacząłem. - Mieszkał piętro niżej. Bił swoją żonę, a ja pomogłem jej dostać się do schroniska. Zaczął mnie śledzić i dowiedział się, że kupiłem i wykorzystałem sfalszowane prawo jazdy.

Silverstein uniósł brwi.

- Dlaczego, na miłość boską, to zrobiłeś? - spytał.

- Byłem uciekinierem w Nowym Jorku i nie mogłem dostać pracy bez dokumentów - odparłem. - Oto dlaczego.

- Nie miałeś prawa jazdy wydanego w Ohio?

- Nie. Nie miałem także numeru ubezpieczenia społecznego. Najgorsze jednak, że nie miałem aktu urodzenia, a bez niego nie mogłem wyrobić pozostałych dokumentów.

- Dlaczego nie złożyłeś podania o wydanie kopii aktu urodzenia?

- A można to zrobić?

Silverstein roześmiał się, ale spoważniał, kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy.

- Przepraszam - powiedział. - Nie znałem twojej sytuacji, ale wydaje mi się ironią losu, że złamałeś prawo, bo nie wiedziałeś o istnieniu legalnej alternatywy. Czy tylko za to cię poszukują?

- Tylko to na mnie mają, ale... jestem prawie pewny, że Washburn uważa mnie za kogoś w rodzaju handlarza narkotykami.

Po twarzy Silversteina przemknął wyraz obrzydzenia.

- A handlujesz nimi? - zapytał.

- Niech to diabli! - wybuchnąłem. - Mój ojciec jest alkoholikiem. To jedyne, co można mi zarzucić w związku z używkami. Nie, nie handluję nimi. Nie jestem nawet ćpunem.

- Uspokój się. Cieszę się, że nimi nie handlujesz, ale musiałem zapytać. Nie ujawniłbym treści naszej rozmowy, ale zwróciłbym ci honorarium. - Spojrzał przez przyciemnioną tylną szybę limuzyny. - Ci dwaj nadal za nami jadą. Spodziewałem się, że się rozdzielią. Jeden będzie nas śledził, a drugi pojedzie do szeryfa Thatchera.

- Mają tylko jeden samochód - przypomniałem. - Może zadzwonią do Thatchera z hotelu.

- Hm. No cóż, na twoim miejscu starałbym się nie dać aresztować - doradził Silverstein. - Ekstradycja to zawiła procedura, więc możesz spędzić w celi na Florydzie sporo czasu, zanim cię z niej wyciągnę.

- Radzisz mi, żebym uciekał? Wzruszył ramionami.

- Wyjedź na wakacje - powiedział. Pokręciłem głową.

- Jesteś tak samo pokręcony jak ja - oznajmiłem. Silverstein znowu wzruszył ramionami.

- Może zgubimy ich w hotelu - rzekł. - Wpadniesz tam na chwilę i podejdziesz do recepcji, a ja poproszę, żeby Walt Steiger czekał na ciebie na tyłach. Obok męskiej toalety jest wyjście.

Wymykałem się przez nie kilka razy, żeby uniknąć spotkania z Kiwanisem.

- To miło z twojej strony, ale mam inne plany.

- Żeby się zmyć?

Limuzyna wjechała na hotelowy podjazd i zatrzymała się przed wejściem.

- Nie, to tylko plany dotyczące podróży, ale dla moich potrzeb wystarczą - odparłem. - Nie mam zamiaru dać się aresztować.

Ucisnąłem więcej dłoni, niż to było możliwe, biorąc pod uwagę liczbę osób w sali. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy przypadkiem ktoś nie jest przebraną ośmiornicą.

- Tak, proszę pani. To miło z pana strony. Tak, bardzo będzie mi jej brakowało. Dziękuję, że zechcieli państwo przybyć. Moja mama bardzo by się ucieszyła, gdyby was tu zobaczyła.

Boże, czy to się nigdy nie skończy?

Po czterdziestu pięciu minutach wybawiła mnie zgraja osób z Sacra-mento.

- Wiesz, Mary zadzwoniła do mnie z Londynu, żeby opowiedzieć, jak przebiegło jej spotkanie z tobą - odezwał się z uśmiechem Lionel. - Boże, jak była przerażona na myśl o tym, że cię zobaczy.

Przełknąłem ślinę.

- I nawzajem - stwierdziłem. - Czy powiedziała, że jest zadowolona z naszego spotkania?

- O tak - odparł Lionel. - Twoja matka była szczęśliwa, że cię zobaczyła.

Patrycja pokiwała energicznie głową.

- Przez całą podróż opowiadała o tym, jak spędziliście weekend - dodała. - Nawet w samolocie, kiedy pojawili się terroryści, powiedziała: „Dobrze chociaż, że widziałam się z Davym”.

Poczułem, że mam dosyć.

- Bardzo przepraszam - wyjąkałem. Ruszyłem na oślep w kierunku męskiej toalety, wszedłem do kabiny i oparłem się o wyłożoną płytkami ścianę. Po moich policzkach płynęły strumienie łez, a wewnątrz jakiś głos krzyczał coś nieartykułowanego, ale przeszytego na wskroś bólem.

Po kilku minutach, kilkunastu głębokich oddechach i kilkakrotnym wydmuchaniu nosa wyszedłem z kabiny, opłukałem twarz i poprawiłem krawat. Najwyższy czas się pożegnać i stąd wynieść, pomyślałem.

Obok tylnych drzwi, z których korzystał Silverstein, żeby unikać spotkania z Kiwanisem, stał umundurowany policjant. Wróciłem do sali recepcyjnej i uśmiechnąłem się uspokajająco do Lionela i dziewcząt z Fly-Away.

- Przepraszam - mruknąłem.

Powiedzieli coś na temat tego, że mnie rozumieją. Obok głównego wejścia stali sierżanci Baker i Washburn z kimś, kto wyglądał jak starsza wersja funkcjonariusza miejscowej policji w holu.

Rozmawiał z nimi Leo Silverstein, żywo gestykułując. W pewnej chwili policjant z Florydy uniósł ręce, jakby próbował go uspokoić. Washburn wyglądał na rozgniewanego, a Baker spoglądał raz po raz na niego z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

Wygląda na to, że Baker zaczyna się orientować, pomyślałem. Jane, jedna z agentek biura podróży Fly-Away, podeszła do mnie i powiedziała:

- Wiem, że to nieodpowiednia chwila, ale chciałabym ci zrobić zdjęcie, żeby stało obok fotografii Mary.

- No cóż, zawrę z tobą układ - zaproponowałem. - Nie mam aktualnej fotografii mamy. Jeżeli prześlesz mi odbitkę, zapłacę ci za nią.

Spojrzała na mnie, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Och... oczywiście - powiedziała. - I nie musisz za nią płacić. Chciałabym...

Dałem jej numer mojej skrytki pocztowej w Nowym Jorku, którego prawdopodobnie nie znali funkcjonariusze nowojorskiej policji. Rachunki za światło, gaz i telefon przesyłano na adres mieszkania, ale do skrytki pocztowej przychodziły listy od Millie.

- A może zrobimy sobie grupowe zdjęcie, na którym będziemy ja, Lionel i dziewczęta z Fly-Away?

- zaproponowałem. - Możemy stanąć pod tamtą ścianą.

Zacząłem wszystkich kierować, popychać i prosić i w końcu ustawiłem ich pod ścianą. Pośrodku grupy stanęła Sylvia, obok niej Lionel, Jane i Patricia, a po drugiej stronie ja, Bonnie i Roberta.

Aparat trzymał pan Steiger, który zrobił nam dwa zdjęcia.

- Wspaniale. Uwaga, wszyscy jeden duży krok do przodu - powiedziałem, delikatnie odpychając ich od ściany. Zbliżyłem usta do ucha Bonnie. - Zaraz stąd zniknę - szepnąłem. - Czy mogłabyś stanąć w luce, kiedy to zrobię?

Spojrzała na mnie ze zdezorientowaną miną.

- Dlaczego? - zapytała.

Wymownym ruchem głowy wskazałem policjantów.

- Możesz to zrobić? - powtórzyłem.

- W porządku - odparła nerwowo.

Kiedy się cofnąłem, Bonnie stanęła w luce i przyciągnęła do siebie Robertę. Obie skutecznie zasłoniły mnie przed spojrzzeniami wszystkich w sali.

Skoczyłem.

## Rozdział 12

Trzeciego dnia moich krótkich spacerów i dziesiątego od zamieszkania w Serenity Lodge, kiedy jadłem śniadanie w zacisznej jadalni, do mojego stolika podeszła pani Barton.

- Wszystko w porządku, panie Rice? - zagadnęła.

- Po prostu Davy, pani Barton - odrzekłem. Właśnie tak mówiła do mnie mama, przypomniałem sobie.

- Dobrze, Davy - powiedziała. - Jak ci się podoba domek? Może czegoś potrzebujesz?

Pokręciłem głową.

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Pani Barton miała pięćdziesiąt sześć lat i była wdową, bo przed dziesięcioma laty jej mąż zmarł na raka. Jeśli ktoś sobie tego życzył, niosła pociechę w żałobie, ale rozmawiałem z nią o mamie tylko raz, kiedy się wprowadzałem. Nie opowiedziałem jej, jak mama zginęła.

- No cóż, lubimy to sprawdzać - oznajmiła pani Barton. - Co porabiasz we dnie?

- Chadzam na spacer. Na długie spacer.

- Jeżeli będziesz czegoś potrzebował...

- Oczywiście. Dziękuję.

Pani Barton odeszła, żeby przystanąć na krótko przy innych stolikach. Większość pozostałych gości była emerytami, ale na szczęście zostawiali

mnie w spokoju. Na tym polegała jedna z reguł pani Barton. Goście, którzy szukali towarzystwa, zbierali się w świetlicy między posiłkami. Wszyscy wiedzieli, że nie należy rozmawiać z obcymi osobami gdzie indziej. Trzymałem się z daleka od świetlicy, sali z telewizorem i stolików, przy których grano w karty.

Prawdopodobnie pani Barton obawiała się, że zamierzam popełnić samobójstwo.

Wracając do mojego domku, przystanąłem przed biurkiem w recepcji i spojrzałem na wielką topograficzną mapę hrabstwa Presidio. Hrabstwo obejmowało ponad siedem tysięcy kilometrów kwadratowych pustyni z łańcuchami gór, ale mieszkało w nim mniej osób niż w dużym mieście. Położone na wschód hrabstwo Brewster było jeszcze większe, a także gęściej zaludnione, bo w jego obrębie mieścił się park narodowy Big Bend. Teren leżał dokładnie pośrodku północnej chihuahuńskiej pustyni.

Najbliższe miasto, Redford, było położone nad Rio Grandę, trzydzieści kilometrów od miasta Presidio i pięćdziesiąt pięć kilometrów od Lajitas na zachodnim skraju parku Big Bend. Na południowy wschód od Redford ciągnęło się El Solitario, półkolisty łańcuch górski. Góry były wprawdzie niewysokie, ale rejon uchodził za jedno z najdzikszych i najbardziej niegościnnych miejsc na ziemi.

Zabrałem się do Serenity Lodge samochodem dostawcy artykułów spożywczych, który jeździł tam co tydzień. Powiedział mi, że wioził kiedyś do El Solitario grupę geologów. Naukowcy mieli pojazdy z napędem na cztery koła, ale mogli mówić o szczęściu, kiedy udawało się im pokonać dwanaście kilometrów dziennie.

Jeżeli sugerować się mapą, moje dotychczasowe postępy należało uznać za żałosne.

Wszedłem do domku i skoczyłem.

Pierwszego dnia przeszedłem mniej więcej dwanaście kilometrów po pofałdowanej pustyni.

Zacząłem o szóstej czterdzieści, tuż przed świtem, i zatrzymałem się na odpoczynek mniej więcej w południe, kiedy zrobiło się gorąco. Zarejestrowałem kamerą wideo wydmy, skały i kaktus ocotillo i przeskoczyłem z powrotem do mojego domku.

Zjadłem obiad, wróciłem do domku i całe popołudnie drzemałem. Pani Barton twierdzi, że to normalna reakcja na depresję i smutek. W ciągu pierwszego tygodnia w Serenity Lodge sypiałem od siedemnastu do dwudziestu godzin na dobę.

O piątej po południu, z mięśniami obolałymi po porannym spacerze, udałem się do jadalni, zjadłem samotnie kolację i wróciłem, żeby obejrzeć nagranie wideo zarejestrowanego wcześniej miejsca.

Później skoczyłem na

pustynię i szedłem dalej mniej więcej godzinę do zachodu słońca. Mogłem iść dalej nawet po zmroku, ale musiałem mieć dość światła, żeby zarejestrować kamerą miejsce następnego lądowania.

Pustynia wyglądała właściwie wszędzie tak samo, więc trudno było w inny sposób zapamiętać konkretne miejsce. Istniały wprawdzie między nimi różnice, lecz bardzo subtelne... tu leżąca w specyficzny sposób uschnięta gałąź jadłoszynu, gdzie indziej dziurawa skała albo plama krzewów w kształcie jeziora Ontario.

Drugiego dnia dotarłem do stóp wzgórz i wędrówka stała się trudniejsza. Pokonałem niespełna osiem kilometrów, pnąc się mozolnie pod górę. Po wyprawie poprzedniego dnia wciąż miałem zeszywniałe mięśnie.

Pierwszego dnia przeciąłem kilka terenowych dróg ze świeżymi śladami opon i przeskoczyłem nad kilkoma ogrodzeniami z drutu kolczastego. Drugiego dnia przeskoczyłem tylko nad jednym takim ogrodzeniem, ale przedarłem się przez parę innych z połamanymi palikami i zardzewiałym drutem. Zauważyłem, że drut jest inny, solidny, stary. Paliki sporządzono z poskręcanych i wyschniętych jadłoszynowych kołków. W okolicy widziałem coraz więcej skał różnych rozmiarów, począwszy od żwiru wielkości grochu, a skończywszy na częściowo zakopanych w piasku wielkich głazach. Terenowe drogi, które przeciąłem, były zarośnięte i kiepsko utrzymane. Nie zauważyłem na nich świeżych śladów.

Piątego dnia, próbując pokonać skalną półkę na wysokości trzech metrów nad najbliższym płaskim miejscem w dole, skręciłem nogę w kostce. Poczulem ostry ból, straciłem równowagę i spadłem.

Nie zaszedłem wysoko, więc mogłem wylądować na obu stopach, ale na myśl o tym, że miałbym choć na chwilę oprzeć część ciężaru ciała na nodze ze skręconą kostką, wzdrygnąłem się.

W rezultacie zorientowałem się, że zamiast wylądować na osypisku w dole, stoję na jednej nodze w bibliotece publicznej w Stanville, oparty ramieniem o regał z książkami.

Zaraz, zaraz, pomyślałem. Czy coś takiego nie stanowi przypadkiem pogwałcenia jakiegoś prawa fizyki, na przykład zasady zachowania momentu albo czegoś w tym rodzaju? Pokuśtykałem do działu czasopism i usiadłem na kanapie. Biblioteka była otwarta, ale chyba nikt nie zwrócił uwagi, że mam na sobie ubranie odpowiednie do przebywania w znacznie wyższej temperaturze niż ta, jaka panowała na dworze.

Przyszło mi do głowy, że samo teleportowanie się może stanowić pogwałcenie kilku praw fizyki. Potarłem obolałą kostkę i zacząłem się nad tym zastanawiać.

Dlaczego, kiedy przeskoczyłem z Florydy do Nowego Jorku, nie roztrzaskałem się o mur albo coś w tym rodzaju? Przecież na Florydzie znajdowałem się bliżej równika, a w Ohio bliżej bieguna. Na równiku Ziemia wiruje z prędkością ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Nie znałem prędkości wirowania w Nowym Jorku i na Florydzie, ale różnica musiała wynosić ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Dlaczego więc, ilekroć wyskakiwałem w Nowym Jorku, nie leciałem na wschód z taką prędkością?

W pierwszej chwili byłem przekonany, że to możliwe i gdy następnym razem tam przeskoczę, rozplaszczę się na najbliższym murze, zupełnie jakbym został potrącony przez samochód.

Odpręż się, powiedziałem sobie. Nic takiego się jeszcze nie stało, a przecież przeskakujesz od ponad roku.

W takim razie, co się dzieje, kiedy przeskakuję? Dlaczego nie mam żadnej pieprzonej instrukcji takiego przeskakiwania?

Po przeskoczeniu z Teksasu nie roztrzaskałem się o podłogę biblioteki, co oznaczało, że moja względna prędkość nie ma żadnego znaczenia.

Przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem książkę na temat teorii względności Einsteina.

Wyjaśniono w niej zasady względnego ruchu. Zgodnie z nimi, nawet kiedy przebywałem w Teksasie, podróżowałem ze wschodu na zachód z inną prędkością, niż podróżowałbym w Ohio, i opadałem z prędkością ośmiu metrów na sekundę. Oznaczało to, że podczas skoku musiałem doprowadzić do zrównania obu ram odniesienia, żeby nie było różnicy prędkości ani różnicy momentu pędu.

Wynikały stąd ciekawe wnioski.

Skoczyłem z powrotem do Teksasu na półkę, na której skręciłem nogę w kostce. Nie zarejestrowałem tego miejsca kamerą, ale i tak wryło mi się w pamięć.

Znajdowałem się w wąwozie bez wylotu, a półka wystawała z jego ściany. Starłem się nie cofać po swoich śladach, a półka prowadziła chyba na sam wierzchołek. W wąwozie było stosunkowo chłodno, nie więcej niż osiemnaście stopni, bo wierzchołek wzgórza wciąż jeszcze przesłaniał słońce.

Spojrzałem na skalne osypisko trzy metry niżej i wybrałem płaskie miejsce z boku. Skoczyłem tam i się zachwiałem, gdyż starałem się jak najmniej obciążać kontuzjowaną kostkę. Miejsce było charakterystyczne, bo ze szczeliny w skale wyrastał dziwny kaktus. Przeskoczyłem z powrotem na półkę i odwróciłem się tyłem do skalnej ściany.

Jeżeli mi się nie uda, będzie bolało jak diabli, pomyślałem.

Zeskoczyłem z półki, ale zanim wylądowałem na osypisku, przeskoczyłem na płaskie miejsce obok kaktusa. Nie poczułem bólu ani nie usłyszałem



głuchego huku. Kostka mnie zabolęła, ale od stania, nie z powodu impetu podczas lądowania. Skoczyłem z powrotem na półkę i ruszyłem pod górę. Po minucie dotarłem na wysokość sześciu metrów nad dnem wąwozu, bo osypisko opadało całkiem stromo. Czułem przyspieszone bicie serca i oddychałem z wysiłkiem. Skoczyłem z półki i poczułem strumień omywającego mnie powietrza. Ulegając ogarniającej mnie panice, przeskoczyłem na płaskie miejsce obok kaktusa, jeszcze zanim zdążyłem przelecieć w powietrzu półtora metra.

Niech to diabli!

Skoczyłem jeszcze raz na półkę.

- A teraz, Davy - powiedziałem na głos - będziesz opadał całą sekundę, zanim wylądujesz obok tego kaktusa. W ciągu tej sekundy przeleczysz tylko pięć metrów. Przekonaj się sam, że to prawda.

Zeskoczyłem z półki i powiedziałem szybko:

- Sto dwadzieścia jeden.

Powietrze przelatywało ze świstem obok moich uszu. Kiedy wzdrygnąłem się na widok błyskawicznie zbliżającego się osypiska, stwierdziłem, że kucam na płaskim terenie obok kaktusa. Kolejny raz nie zarejestrowałem żadnej różnicy w porównaniu z poprzednimi skokami. Żadnej różnicy prędkości ani żadnego bólu.

Skoczyłem znów na półkę i spróbowałem jeszcze raz, wciąż trochę zdenerwowany, ale już bardziej pewny siebie. Zeskakiwanie z półki stało w sprzeczności ze wszystkimi moimi instynktami, lecz za każdym razem przeskakiwałem na płaskie miejsce obok kaktusa, kiedy znajdowałem się bliżej osypiska. Nie napotkałem żadnych problemów.

Czułem natomiast coraz silniejszy ból w kontuzjowanej kostce, więc zarejestrowałem kamerą to miejsce i przeskoczyłem do Serenity Lodge.

Po lunchu stwierdziłem, że pierwszy raz od wielu dni nie mam ochoty na drzemkę. Może dlatego, że skróciłem poranną wycieczkę, a może dlatego, że pierwszy raz od pogrzebu mogłem myśleć o mamie bez bólu. Uświadomiłem sobie, że przez ostatnie dwa tygodnie żyłem jak we mgle.

Przechadzając się po domku, zacząłem wracać pamięcią do przeszłości. Przypomniałem sobie podróż z mamą do Nowego Jorku, a także wizytę, jakami złożyła, zanim wyjechała do Europy.

Przypomniałem sobie wystawę w Metropolitan Museum i kolację w Village.

Mogłem oddawać się wspomnieniom, zamiast zamykać się w sobie i uciekać w sen. Wciąż płakałem, a na wszystko kładło się cieniem wspomnienie tamtej transmisji telewizyjnej, ale przynajmniej mogłem myśleć o mamie.

Mogłem myśleć o głupim kazaniu wygłoszonym podczas jej pogrzebu, czując tylko umiarkowany gniew.

Przypomniałem sobie o Jane, która obiecała mi przesłać zdjęcie mamy. Ciekawe, czy fotografia już na mnie czeka w skrytce na Manhattanie.

Czekała... miała format pocztówki i znajdowała się w kopercie ze sztywnego kartonu. W skrytce znalazłem także list od Millie. Przeskoczyłem z powrotem do mojego domku w Serenity Lodge i położyłem list na stole, ale go nie otworzyłem. Czulem, że coś gotuje się w moim żołądku, i miałem ochotę znów się rozplakać.

Zdjęcie mamy wsunąłem za framugę lustra serwantki. Spoglądała na mnie z łagodnym uśmiechem. Miała znajomą twarz, ale nos obcej osoby.

„To wspaniale”.

Właśnie tak zareagowała, kiedy powiedziałem jej o Millie. Otworzyłem list.

„Drogi Davy!

Długo trwało, zanim zdecydowałam się na napisanie tego listu. Nie jestem pewna, co czuję ani czego pragnę. Gdybyś tak nagle mnie nie zostawił, prawdopodobnie bym powiedziała: „Nie. Nie chcę, żebyś odchodził”. Kiedy jestem zirytowana, jak każda inna osoba mówię albo robię rzeczy, których później żałuję. Zamierzałam sprawić ci ból, ale chyba nie chciałam, żebyś odszedł.

Chociaż teraz nie jestem tego pewna. Przerażasz mnie, Davy, i sprawiasz, że wątpię w to, czy jestem przy zdrowych zmysłach. To niedobrze. Przez Ciebie wątpię także w moją szczerść.

Uciekłeś ode mnie, a ja pomyślałam, że mógłbyś chociaż zadzwonić, ale od tamtego czasu minęły już dwa tygodnie.

Nie jestem pewna, czy chcę, żebyś mnie odwiedził, ale chyba chcę, żebyś do mnie napisał.

Millie”

Poczułem ulgę i zarazem gniew. Sięgnąłem po firmowy papier listowy i napisałem:

„Millie!

Moja mama nazywała się Mary Niles. Na pewno ostatnio dużo słyszałaś o niej w wiadomościach.

Byłem zajęty.

Davy”

Wsunąłem kartkę do koperty, napisałem na niej imię i nazwisko Millie, a później skoczyłem do Stillwater i wsunąłem kopertę pod drzwi jej mieszkania.

Następnego dnia, po pierwszej od dawna dobrze przespanej nocy, skoczyłem na półkę wiodącą na wierzchołek wąwozu. Oceniałem, że znajduję się jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Redford, prawie na skraju El Solitario.

Bardzo ostrożnie ruszyłem półką pod górę. Kiedy w końcu wydostałem się z wąwozu, ból w kostce tak się nasilił, że właściwie nie mogłem dalej iść. Słońce prażyło niemiłosiernie, a najbliższy cień znajdował się jakieś trzydzieści metrów dalej. Pokuśtykałem w tamtą stronę, ale nagle stanąłem.

- Pieprzyć to! - zakląłem.

Nie widziałem cienistego miejsca na tyle wyraźnie, żeby tam przeskoczyć, ale wystarczająco wyraźnie widziałem miejsce w połowie odległości. Skoczyłem piętnaście metrów w stronę cienia. Dostrzegłem stamtąd odpowiednie miejsce pod skałą o rozmiarach domu. Leżał tam także niewielki głaz, na którym mógłbym usiąść. Przeskoczyłem resztę odległości.

- Dlaczego w ogóle chodzę? - zawołałem, uderzając otwartą dłonią w czoło. Gdybym wystarczająco dobrze widział miejsce lądowania i znał swoje położenie względem niego, mógłbym tam od razu przeskakiwać.

W ciągu kilku ostatnich dni kierowałem się w stronę wyraźnie widocznego punktu orientacyjnego - mierzącego tysiąc czterysta metrów szczytu La Mota. Teraz jednak zacząłem zwracać uwagę na najbliższą okolicę. Najlepszym sposobem dotarcia do góry wydawało się obejście widocznego na wprost grzbietu, a później... Nie, to nie był najlepszy sposób. Powinienem iść prosto ku grzbietowi, a potem w górę zbocza, które wyglądało jak urwisko.

Zbadałem teren między mną a ścianą urwiska i pokonałem go w trzech małych skokach, po dziesięć metrów każdy. Później zacząłem skakać na ukos ściany, za każdym razem wybierając miejsce mniej więcej trzy metry wyżej niż poprzednie. W ciągu niespełna minuty dotarłem na grzbiet, na który wspinaczka zajęłaby mi pół dnia - pod warunkiem, że nie miałbym skręconej kostki.

Ze szczytu rozciągał się malowniczy widok. Stałem w najwyższym punkcie, jaki osiągnąłem podczas moich wypraw. Spojrzałem do tyłu w stronę Redford i zauważyłem budynki skupione wzdłuż drogi. Nie widziałem wprawdzie płynącej za miastem Rio Grandę, ale dostrzegłem krawędź jej wąwozu.

Odwróciłem się i spojrzałem w kierunku El Solitario. Widok zapierał dech w piersi. Od góry La Mota dzieliło mnie wprawdzie niespełna piętnaście kilometrów, ale każdy następny skrawek terenu między mną a szczytem wyglądał bardziej dziko i ponuro niż poprzedni.

Szkoda, że nie widzę go dokładniej, pomyślałem. Może mógłbym od razu tam przeskoczyć? Widzieć dokładniej? Zarejestrowałem grzbiet i skoczyłem na skrzyżowanie Piątej Alei i Pięćdziesiątej Szóstej na Manhattanie. Dwadzieścia minut później wyszedłem ze sklepu z wiszącym na ramieniu futerałem z lornetką. Padało, a temperatura spadła poniżej czterech stopni. Drżąc z zimna, przeskoczyłem z powrotem do Teksasu, na grzbiet wzgórza usytuowanego dwadzieścia pięć kilometrów od Redford.

W południe stałem na wierzchołku La Mota, tysiąc czterysta metrów nad poziomem morza. Wokół mnie El Solitario ciągnęło się niczym krajobraz księżycowy.

Wróciłem na lunch. W ponury nastrój nie wprowadziłby mnie nawet widok listu od Millie.

No cóż, przynajmniej nie do końca.

Dwa dni później w skrytce znalazłem kolejny list, tym razem przesłany pocztą ekspresową.

„Drogi Davy!

W pierwszej chwili nie chciałam uwierzyć, kiedy się dowiedziałam, kim była Mary Niles. Nie oglądałam wiadomości w telewizji, bo przygotowywałam się do egzaminów, ale kiedy sprawdziłam w bibliotece, znalazłam wszystko, łącznie z relacjami reporterów. Dlaczego los bywa taki okrutny, tak złośliwie mściwy? Nie jestem pewna, czy w tej sytuacji wystarczą jakiegokolwiek słowa.

Szkoda, że do mnie nie przyszedłeś, kiedy się to wydarzyło. Nie mam pojęcia, jak robisz to, co robisz, ale wygląda na to, że mógłbyś przyjść... Przykro mi, że nie chciałeś się ze mną zobaczyć. Z radością zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, byle tylko Ci pomóc.

Millie

PS Skoro możesz wsuwać listy pod moje drzwi, to dlaczego nie możesz mi podać adresu bliższego miejsca, żebym mogła wysłać tam moje listy?"

Odpisałem:

„Millie!

Dzięki za wyrazy współczucia.

Zaraz po tym, jak to się stało, przyszedłem, żeby się z Tobą spotkać. Pojawiłem się w samą porę, żeby zobaczyć, jak zapraszasz Marka do swojego mieszkania. O ile dobrze pamiętam, powitałaś go słowami: »Dzięki, że przyszedłeś, Mark«.

Chyba nie mogę Cię za to winić, przecież powiedziałeś mi, żebym sobie poszedł. Ale sądząc z tego, co mi mówiłaś przedtem, spodziewałem się, że masz lepszy gust.

Davy

PS Listy możesz wsuwać pod drzwi mieszkania numer 33. Nie mieszkam tam, ale wpadam codziennie albo co drugi dzień. Oczywiście jeżeli naprawdę chcesz nadal ciągnąć tę korespondencję".

Skoczyłem do Stillwater i wsunąłem moja odpowiedź pod jej drzwi. Zanim zdążyłem się wyprostować, usłyszałem, że ktoś kładzie dłoń na klamce. Przeskoczyłem do mojego mieszkania i zadrżałem.

Oparłem się o ścianę obok frontowego okna i zacząłem obserwować schody.

Po chwili zza rogu wyszła Millie i zaczęła omiatać spojrzeniem numery apartamentów. Spojrzała na moje okno, ale w mieszkaniu było ciemno, a na dworze świeciło słońce, więc nie zobaczyła mnie i poszła dalej. Usłyszałem odgłos jej kroków na schodach. Kiedy dotarła na górę, przycisnęła guzik dzwonka.

Och, Millie...

Podszedłem do drzwi i chwyciłem za klamkę, ale nie otworzyłem. Zadzwonila ponownie.

Wzdrygnąłem się i puściłem klamkę, jakby była rozgrzana do czerwoności. Przeskoczyłem do mojego domku w Serenity Lodge, padłem na łóżko i przycisnąłem twarz do poduszki.

Ledwie zdążyłem dojść do wniosku, że El Solitario idealnie odzwierciedla mój posępny, złowieszczy nastrój, natknąłem się na pierwszą oazę.

Znalazłem wąwóz otoczony ze wszystkich stron wzgórzami. W dalszym, wyższym krańcu zablokowało go prastare osypisko, a bliższy i niższy kończył się stromym urwiskiem wysokości mniej więcej dwudziestu pięciu metrów. W pobliżu dalszego krańca tryskało źródło. Woda spływała wąwozem do małego stawu w pobliżu niższego krańca, ale nigdzie nie zauważyłem odpływu.

Brzegi stawu, porośnięte trawą, były pogrążone w cieniu rzucanym przez podobne do drzew krzewy jadłoszynu. W wąwozie żyły kozice, wielkouche zające i kilka gatunków ptaków.

Spędziłem cały dzień, siedząc obok źródła. Czytałem, trochę spałem i słuchałem szmeru wody, w której moczyłem skręconą kostkę.

Pośrodku pustyni znalazłem dwie inne oazy zieleni. W jednej, niecko-watej dolinie drugiej na ponad trzy kilometry, płynęło kilka strumieni. Zobaczyłem tam odchody jeleni, ślady łap pumy i - co mnie rozgniewało - porzucone puszki po piwie. Puszek nie było wiele, ale ich widok oznaczał, że

dolinę odwiedzają ludzie. Spędziłem kilka godzin, zbierając puszki i inne śmieci. Od czasu do czasu przeskakiwałem do zakładu utylizacji odpadków w Stanville, żeby się pozbyć śmieci.

Może i jestem rabusiem banków, ale nie śmieciarzem.

Trzecią oazą był dół utworzony przez skalne osypisko, na tyle głęboki, że na dno nie docierały promienie słońca, chyba że w południe. Dno było większe niż otwór w górze i wypełnione wodą, pośrodku której widniała zielona wysepka długości sześciu i szerokości dwóch metrów. Nie dostrzegłem tam żadnych porzuconych puszek.

Ściany miały wysokość mniej więcej trzydziestu metrów, więc poświęciłem kilka minut, aby zdobyć wystarczająco dużo informacji i skoczyć na wysepkę w dole. Panował na niej przejmujący chłód, a piętzące się dokoła skalne ściany przyprawiały mnie o dreszcze. Pewnie czułbym się tu lepiej latem, kiedy wszędzie wokół było gorąco jak w piekle.

„Davy!

Czy naprawdę nie domyśliłeś się, że zaprosiłam Marka tylko po to, żeby poznać jego wersję wydarzeń z tamtego wieczoru, kiedy Ty hm... usunąłeś go z przyjęcia? Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów, ale co miałam zrobić, gdy tak niespodziewanie zniknąłeś?

Nie wiem nawet, czy jesteś istotą ludzką. Może podróżujesz latającym spodkiem i porywasz ludzi. Jeżeli Ci się nie podobają moje wnioski, przypomnij sobie, że nie przedstawiłeś mi żadnego innego wyjaśnienia.

Jesteś w żałobie i rozumiem, że poczułeś się jeszcze gorzej, kiedy pomyślałeś, że ponownie związałam się z Markiem, ale przecież sam nie jesteś bez winy.

Millie

PS Nadal nie mam pojęcia, czy jesteś człowiekiem, ale zależy mi na Tobie do tego stopnia, że możesz mi sprawić ból. Już sprawiłeś".

Na biurku leżało kilka kartek zgniecionych w niewielkie kulki. Na każdej skreśliłem dwie czy trzy linijki, zanim je zmiąłem. Chociaż bardzo się starałem, nie byłem w stanie napisać odpowiedzi, która oddawałaby moje uczucia. Wyrzuciłem kulki do kosza na śmieci.

Przez chwilę miałem ochotę pójść do Millie, ale zmieniłem zdanie. Naprawdę nie chciałem się z nikim widzieć.

Wcześniej tego dnia, jeszcze zanim odebrałem list od niej, niemal w samym środku El Solitario dostrzegłem skalną półkę zwróconą na południe. Przeskoczyłem tam. Wnęka za półką wyglądała jak jaskinia. Półka była szeroka, a od góry osłaniał ją skalny nawis. Dzieliło go od grzbietu Wzgórza piętnaście metrów pionowej ściany, więc do jaskini mógłby się

dostać tylko doświadczony wspinacz albo osoba obdarzona umiejętnością teleportacji.

Jaskinia miała głębokość dziesięciu metrów i stosunkowo płaskie dno. Stałem na krawędzi półki i uświadomiłem sobie, że o moją koszulę uderzają podmuchy suchego wiatru. Gdybym zeskoczył i poleciał na samo dno, na pewno bym się zabił. Oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca chmury płonęły pomarańczowym blaskiem. Skalna ściana nad moją głową wystawała jeszcze dalej niż półka. Musiała być ciężka, bardzo ciężka.

Jaskinia wyglądała jak szeroko otwarta paszcza giganta. Masywne zęby trzonowe mogły w każdej chwili opaść i pozbawić mnie życia. Spodobało mi się to miejsce.

W nocy zacząłem przenosić różne rzeczy ze składu materiałów budowlanych w Yonkers - tego samego, z którym miałem do czynienia wcześniej. Pilnował go wprawdzie strażnik, ale stał obok frontowej bramy i pokładał zaufanie w alarmach. Wziąłem zaprawę murarską, barwniki do betonu, a także kilka koryt do mieszania, kielni i traserskich sznurków do odbijania linii na ścianach.

W samouczku na temat prac murarskich przeczytałem, że obrabianie naturalnego kamienia jest bardzo trudne i najlepiej zaczynać od stawiania murów ze zwykłych cegieł. Zignorowałem tę radę i przeczytałem dokładnie resztę książki.

W nocy na półce zrobiło się zimno, więc postanowiłem zostawić materiały w głębi jaskini, gdzie nie mógł ich zobaczyć nikt z wyjątkiem przelatujących w pobliżu sępów.

Kiedy wróciłem do domku, ponownie przeczytałem list od Millie. Wciąż byłem zdezorientowany i wściekły, ale wiedziałem, że to nie z jej powodu. Napisałem krótki list:

„Droga Millie!

Przepraszam. W tej chwili czuję zbyt silny ból, żeby rozsądnie myśleć. To, co napisałaś o troszczeniu się i sprawianiu przykrości, ma sens. Gdybym nie troszczył się o mamę, jej śmierć tak by mnie nie zabolęła. Gdyby nie zależało mi na Tobie, nie zabolęłyby mnie to, że mnie odepchnęłaś.

Nie będę do Ciebie pisał, dopóki się nie pozbieram, ale wrócę. Mam nadzieję, że ta wiadomość sprawi Ci więcej radości niż smutku. Nie mogę z Ciebie zrezygnować, nie rezygnując z samego siebie.

Kocham Cię

Davy"

Wysiłek fizyczny pozwala zapomnieć, uciec od rzeczywistości.

Zbierałem odłamki skał z osypiska u stóp urwiska. Miały jednakowy kolor i konsystencję, więc musiały oderwać się od ściany w wyniku oddziaływania czynników atmosferycznych i upływu czasu.

Miałem spore kłopoty z uzyskaniem odpowiedniego koloru zaprawy murarskiej i zmarnowałem kilka partii, zanim dobrałem właściwe proporcje. Mój problem wynikał po części z faktu, że wilgotna zaprawa jest ciemniejsza niż sucha. Zacząłem budować mur w szerszym miejscu półki w odległości trzech metrów od jej krawędzi i pociągnąłem go dwanaście metrów, mniej więcej do połowy długości półki.

Późnym popołudniem zacząłem odczuwać ból w plecach i mięśniach rąk, ale miałem mur sięgający do kolan. Na otwartym końcu zostawiłem lukę, w której zamierzałem wstawić drzwi, a drugi koniec dociągnąłem do ściany. Kiedy na najniższym poziomie wyschła zaprawa, nawet z odległości kilku metrów trudno było rozpoznać, gdzie kończy się lita skała, a zaczyna mur.

Popływałem kwadrans w stawie na dnie wąwozu, a później wróciłem do pracy i budowałem mur, dopóki nie zaszło słońce.

W nocy znów odwiedziłem skład materiałów budowlanych w Yonkers. Tym razem zabrałem okna z podwójnymi szybami, drzwi z szybą, materiały na framugi i farbę. Wziąłem też jeszcze trochę zaprawy murarskiej, opalany drewnem piecyk, rurę do niego i odpowiednie metalowe elementy konstrukcyjne.

Kiedy przeskoczyłem ze wszystkim na półkę - piecyk był tak ciężki, że z trudem dałem radę go dźwignąć - wróciłem do składu i spędziłem trochę czasu przy kasie, sumując wartość zabranych towarów. Zostawiłem na kontuarze taśmę z obliczeniami i tysiąc dwieście dolarów.

Może i jestem rabusiem banków, ale nie pospolitym złodziejaskiem.

- Nie byłeś wczoraj na lunchu, Davy - powitała mnie pani Barton.

- Przechadzałem się po okolicy - odparłem. - I za bardzo się oddaliłem, żeby zdążyć.

Pani Barton się uśmiechnęła.

- No cóż, to chyba dobrze, że zażywasz ruchu. Cieszę się także, że dopisuje ci apetyt.

Spojrzałem na widelec w dłoni. Nie zastanawiałem się nad tym, co jem, pogrążony w myślach o ramach okiennych i klimatyzacji mojej ukrytej fortecy, którą nazwałem „samotnią w górach”.

Kiedy uświadomiłem sobie, że trzymam na widelcu jajko, jedzenie w moim żołądku zakrzepło w ciężką, niestrawną kulę.



Pani Barton przeszła do innego stolika. Odłożyłem widelec na talerz i odepchnąłem go od siebie. Zanim wróciłem na półkę, skoczyłem do Nowego Jorku, żeby sprawdzić skrytkę pocztową. Pojawiłem się w wąskim przejściu między budynkami, a później skręciłem za róg na Broadway i udałem się do urzędu pocztowego Bowling Green.

W skrytce znalazłem list od Leo Silversteina z prośbą, żebym do niego zadzwonił. Przeskoczyłem na lotnisko Pine Bluffs i skorzystałem z płatnego telefonu.

- Panie Silverstein, tu David Rice - powiedziałem.

- Dostałeś mój list? - spytał prawnik.

- Tak.

- Więc domyślam się, że wróciłeś do Nowego Jorku.

- Nie. - Nie widziałem powodu, dla którego miałbym go okłamywać. - W tej chwili jestem w Pine Bluffs.

- Ach tak? No cóż, chciałbym z tobą porozmawiać o pewnej transakcji. Jak pewnie pamiętasz, figurujesz w testamencie swojej mamy.

Przełknąłem ślinę.

- Niczego nie chcę - oznajmiłem.

Przed moimi oczami przemknęły zapamiętane sceny... Eksplozja, jej ciało odrzucone na bok niczym szmaciana kukła, krew i dym. Silverstein odkaslnął.

- No cóż, naprawdę powinieneś do mnie wpaść i przynajmniej wysłuchać warunków testamentu - orzekł.

- Do pańskiego biura? No, nie wiem. Czy policja nadal mnie poszukuje?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Przeszukiwali okolicę przez kilka dni, ale szeryf Thatcher nie zamierza poświęcać więcej czasu na poszukiwania osoby, której jedynym przestępstwem jest posiadanie fałszywego prawa jazdy.

- W takim razie zaraz do pana wpadnę - postanowiłem.

Jakiś czas przechadzałem się po hali lotniska i obserwowałem, jak startują niewielkie jednosilnikowe samoloty. Później skoczyłem na schody wiodące do gabinetu Silversteina. Zobaczyłem jakiegoś mężczyznę, który na szczęście schodził i był odwrócony plecami do mnie. Poczekałem, aż wyjdzie z budynku, po czym ruszyłem schodami w górę. Silverstein stał w poczekalni i patrzył przez okno na plac. Kiedy wszedłem, odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Zapomniałeś czegoś, Joe... Och, Davy! Nie widziałem cię na ulicy Jak to zrobiłeś?

- Co zrobiłem?

Silverstein przestąpił z nogi na nogę, jakby poczuł się nieswojo.

- Wejdz - powiedział.

Kiedy znalazłem się w jego gabinecie, wręczył mi plik papierów zatytułowany „Ostatnia wola i testament Mary Agnus Niles”.

Spojrzałem na nie i poczułem, że mój ból wypłynął na powierzchnię, ostry i szarpiący.

Uświadomiłem sobie, że ziewnąłem, jakbym był senny, a mój umysł ogarnęło odrętwienie.

Cholera. Sądziłem, że to już minęło.

Położyłem papiery na biurku.

- Co w nich jest? - zapytałem.

- Jeżeli nie liczyć dziesięciu tysięcy dolarów zapisanych różnym osobom, jesteś jedynym beneficjentem jej majątku, szacowanego w przybliżeniu na sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów w bankowych depozytach i oszczędnościach. Jest także kamienica w Kalifornii.

Zamrugalem.

- Wygląda na to, że nieźle zarabiała jako agentka biura podróży. Silverstein pokręcił głową.

- Twój dziadek zostawił jej sporą sumę, którą uzyskano głównie ze sprzedaży domu.

- Aha.

- Nie musisz tego komentować i jeżeli mam być całkiem szczerzy, wolałbym, żebyś tego nie robił - stwierdził Silverstein. - Odnoszę jednak wrażenie, że twoje obecne źródło zarobków nie wytrzymałoby szczegółowego badania.

Spojrzał na mnie, żeby się przekonać, czy go dobrze zrozumiałem. Poczułem, że płoną mi uszy.

- Tak czy owak spadek zapewni ci niekwestionowane źródło dochodów - podjął po chwili. -

Będziesz miał szansę wyjść z szarej strefy, w której znajdujesz się w tej chwili.

- Co będę musiał zrobić? - zapytałem.

- No cóż, przede wszystkim musisz mieć odpis aktu urodzenia - odparł Silverstein. - Jeżeli chcesz, mogę się tym zająć. Później złożymy podanie o wydanie numeru ubezpieczenia i wyrobimy ci prawdziwe prawo jazdy. Zadbam także o wypełnienie formularzy zeznań podatkowych za okres, odkąd opuściłeś ojca. Czy po twoim odejściu ojciec nadal zgłaszał cię jako osobę pozostającą na jego utrzymaniu?

- Nie wiem, ale to byłoby do niego podobne... - umilkłem na chwilę. - Nie umiem prowadzić samochodu, panie Silverstein, więc prawo jazdy...

- W takim razie załatwię ci inny dokument potwierdzający twoją tożsamość - przerwał mi. - Nie musisz się o to martwić.

- A co z nowojorską policją?

- No cóż, to bardzo zabawne. Kiedy wyszedłeś wtedy ze stypy, szeryf Thatcher oświadczył, że nie zamierza się zajmować tą sprawą, dopóki nie otrzyma oficjalnej prośby z Wydziału Policji Nowego Jorku. Sierżant Washburn okropnie się wkurzył, ale o ile wiem, do tej pory żadna taka prośba nie wpłynęła. - Urwał, przeciągnął się i wyjrzał przez okno. - Z tego, co mi powiedziałeś, a także z reakcji sierżanta Bakera wnioskuję, że przyjeżdżając na Florydę, sierżant Washburn przekroczył zakres swoich uprawnień.

Odetchnąłem z ulgą.

- Rozumiem - podjął Silverstein - że chciałbyś dostać ten akt urodzenia i wszystkie inne dokumenty?

Pokiwałem energicznie głową.

- O, tak. Czy mógłbym także wystąpić o wydanie paszportu? Silverstein zamrugał.

- Nie widzę przeciwwskazań - powiedział. - Ale po co ci paszport? Czyżbyś zamierzał wyjechać za granicę?

Wyjrzałem przez okno, ale nie zobaczyłem miejskiego placu. Zobaczyłem eksplozję, w której zginęła moja mama. Eksplozję powtarzaną raz po raz, bez końca. Miałem wrażenie, że czekam na coś, co jeszcze się nie spełniło. Zamknąłem oczy, żeby usunąć obrazy podsuwane mi przez wyobraźnię, a później spojrzałem na Silversteina.

- Chcę polecieć do Algierii - odparłem.

## Część V

### Poszukiwania

#### Rozdział 13

Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że terroryzm nie jest związany z żadną kulturą. Nie jest częścią ani kultury arabskiej, ani muzułmańskiej. Wielokrotnie powtarzałem to kongresmanom i senatorom, którzy najwyraźniej sądzą, że każdy, kto „owija głowę ręcznikiem”, nosi przy sobie granat i pistolet. Jeżeli nie potrafi się pan uwolnić od tego stereotypu, równie dobrze możemy zakończyć naszą rozmowę w tej chwili.

Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym, ale chyba właśnie tak mi się wydawało. Poczulem się paskudnie. Przypomniałem sobie, że mój stary sądził ludzi po kolorze skóry.

- Potrafię - zapewniłem. - Muszę przyznać, że jestem do nich wrogo nastawiony, ale dołożę wszelkich starań, by nie pozwalać sobie na uogólnienia.

Mój rozmówca pokiwał głową. Siedział za biurkiem w małym gabinecie. Kiedy oparł łokcie na blacie i pochylił się w moją stronę, watowane ramiona jego tweedowej marynarki dziwnie się uniosły. Jedną ręką wygładził czerwony krawat, który założył do szarej koszuli.

Wyjechałem wcześniej rano pociągiem z Penn Station w Nowym Jorku do Union Station w Dystrykcie Kolumbii. Na spotkanie umówił nas pan Anderson z Departamentu Stanu. Mężczyzna w krawacie nazywał się Per-ston-Smythe, miał tytuł doktora i był adiunktem na wydziale arabistyki Uniwersytetu Georgetown.

- Nie dziwi mnie pańska wrogość - stwierdził. - Nie pojmie pan jednak Arabów ani terroryzmu, dopóki nie pozbędzie się pan stereotypów.

Pokiwałem głową.

- Rozumiem.

- Warto sobie uświadomić - podjął Perston-Smythe - że w okresie między 1980 a 1987 zginęło ponad czterdzieści tysięcy Libańczyków, a w tym samym czasie na Bliskim Wschodzie zginęło z rąk terrorystów niespełna pięciuset Amerykanów, uwzględniając ofiary eksplozji ciężarówki w koszarach piechoty morskiej w Bejrucie, których ja nie liczę.

- Dlaczego nie? - zapytałem.

- Jednym z założeń naszej polityki wewnętrznej w zakresie terroryzmu jest zacieranie różnic między atakami uzbrojonych powstańców na oddziały i obiekty wojskowe a atakami na niewinnych cywilów. Mianem terroryzmu niewątpliwie należy określić atakowanie bezbronnych cywilów, którzy nie biorą udziału w konfliktach politycznych. Ale czy za akt terroryzmu można uznać atak na oddziały wojskowe okupujące czyjaś ojczyznę? Nie zamierzam rozstrzygać, czy takie ataki są dobre czy złe. Twierdzą jedynie, że gdyby uznać je za akty terroryzmu, okazałyby się, że Stany Zjednoczone finansują terrorystów w Afganistanie i w Ameryce Środkowej. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak - mruknąłem.

- Staram się wykazać, że liczba Amerykanów, którzy zginęli z rąk terrorystów, stoi w jaskrawej dysproporcji do oddźwięku, jaki wywołuje ich śmierć. Nie zrobiliśmy nic, co mogłoby przyspieszyć koniec wojny między Irakiem a Iranem, bo uważaliśmy za korzystne, jeżeli oba te kraje poniosą straty. Przywódcy Iraku i Iranu żywili do siebie urazy osobiste, ale to obywatele tych krajów zapłacili straszliwą cenę.

- Nie wiedziałem, że w grę wchodziły urazy osobiste - zauważyłem.

- Ależ tak! - zapewnił Perston-Smythe. - W 1975, kiedy Husajn załagodził spór z szachem Iranu o wschodni brzeg Shatt-al-Arab, jeden z niepisanych warunków ugody przewidywał, że Saddam powstrzyma Chomeinie-go przed prowadzeniem działalności politycznej.

- I szach uwierzył, że Husajn dotrzyma słowa? - spytałem. Perston-Smythe spojrział na mnie jak na idiotę.

- Chomeini przebywał w Iraku - wyjaśnił. - Kiedy został wygnany z Iranu, udał się do szyickiego świętego miasta An Najaf. Husajn kazał Chomeiniemu nie wtrącać się do polityki, a gdy ten odmówił, wyrzucił go do Kuwejtu, którego władze szybko wysłały go do Francji. W ciągu piętnastu lat Irak opuściło siedemset tysięcy szyitów. Zawsze było tam mnóstwo zadawnionych uraz, a od czasu wojny jest ich jeszcze więcej.

- Stara się pan przedstawić ogólny obraz, ale co z tymi konkretnymi terrorystami? - spytałem.

- Zaraz do nich dojdziemy - obiecał Perston-Smythe. - Wybrałem określną drogę, bo uważam ją za korzystniejszą z punktu widzenia na-

szej podróży. Co pan wie o różnicach między zasadami wiary sunnitów i szyitów?

Popołudniami w mojej górskiej samotni w El Solitario dużo czytałem.

- Wiem, że mniej więcej dziewięćdziesiąt procent muzułmanów to sun-nici - zacząłem - którzy wierzą że prawowitymi następcami Mahometa byli kolejni kalifowie. Według szyitów prawowici następcy wywodzą się od kuzyna Mahometa, Alego, nie od jego najlepszego przyjaciela Abu Bakra. Twierdzą że to prawowici potomkowie Alego byli prześladowani i mordowani. Sunnici są bardziej konserwatywni i nie wierzą w duchowieństwo ani w liturgię. Jedyne kraje muzułmańskie, w których szyici stanowią większość, to Iran, Irak, Liban i Bahrajn.

- Zgadza się. - Perston-Smythe wyglądał na zaskoczonego moją wiedzą po wcześniejszej ignorancji. - Ale nawet szyici uważają terroryzm za coś odrażającego. Jedno z przykazań Mahometa nawołuje do chronienia kobiet, dzieci i osób w podeszłym wieku. A jednym z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha jest „Miłosierny”.

- No dobrze - powiedziałem. - Zgadzam się, że większość muzułmanów nie ucieka się do aktów terroryzmu. Chcę jednak się dowiedzieć, kim są mężczyźni, którzy to robią. Interesują mnie zwłaszcza ci, którzy zabili moją matkę.

Perston-Smythe wyprostował się.

- W porządku - rzekł i otworzył teczkę leżącą przed nim na biurku. - Wszystko wskazuje na to, że porywaczami samolotu 932 byli szyiocy ekstremiści z Islamskiego Jihadu, terrorystycznej organizacji związanej z Hezbollahem, „Partią Allaha”. Nie znamy tożsamości dwóch porywaczy, ale ich przywódcą był prawdopodobnie Rashid Matar, libański szyita, który współpracował z Mohammedem Abbasem, organizatorem porwania statku „Achille Lauro”. Sądzymy, że to Matar, bo wybrał pańską matkę jako ofiarę. Kobiety przetrzymywane na pokładach porywanych samolotów bywają zazwyczaj pierwsze uwalniane. W 1987 Matar był zamieszany w pobicie kilku włoskich prostytutek w Weronie. Kiedy policja zaczęła deptać mu po piętach, uciekł z Włoch, ale w mieszkaniu, które musiał pospiesznie opuścić, znaleziono automatyczną broń i dokumentacje techniczne różnych typów samolotów. Na początku osiemdziesiątego dziewiątego został zmuszony do opuszczenia Kaim po tym, jak zatłukł na śmierć szwedzką turystkę. Dzień przed porwaniem zarejestrowała go kamera systemu bezpieczeństwa lotniska w Atenach. To zbyt wiele, żeby można było mówić o zwykłym zbiegu okoliczności. - Perston-Smythe wręczył mi fotografię formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

Było to powiększenie zdjęcia z gazety, które przedstawiało fotografię z paszportu. Podpis pod zdjęciem był po włosku, więc zrozumiałem tylko

dwa słowa: Rashid Matar. Ponieważ skutek dużego powiększenia uwidoczniły się poszczególne kropki, musiałem odsunąć zdjęcie, żeby zobaczyć rysy twarzy. Mężczyzna był młodszy, niż się spodziewałem, miał gładko ogoloną twarz, czarne krzaczaste brwi i ciemną karnację, ale nie pasował do mojego wyobrażenia Araba. Jego nos był nieduży i kształtny, twarz szczupła i pociągła, uszy przylegały płasko do głowy, a oczy były bez wyrazu.

- Fakt, że terroryści nie tylko nie uwolnili zakładniczek, ale wybrali jedną jako ofiarę, sugeruje, że sprawcą był Matar, znany wróg kobiet - podsumował Perston-Smythe.

Pomachałem fotografią.

- Mógłbym dostać odbitkę? - spytałem.

- To już jest odbitka. Może pan ją zatrzymać - usłyszałem w odpowiedzi.

- Gdzie przebywa w tej chwili Matar?

- Nie wiemy. Mogę się domyślać, ale nie jestem pewny. Zgrzytnąłem zębami i czekając na ciąg dalszy, uzbroiłem się w cierpliwość.

Perston-Smythe wzruszył ramionami.

- Rozumie pan, że to tylko domysły?

- Uzasadnione domysły - odparłem.

- No cóż, to prawda. - Perston-Smythe pochylił się raptownie i splótł palce na blacie biurka. -

Wkrótce po uwolnieniu zakładników wystartował z Algierii odrzutowiec jakiejś korporacji.

Wylądował w Damaszku w Syrii. Wprawdzie nikogo nie poinformowano, kim byli pasażerowie, ale przedstawicielom algierskiej prasy pozwolono obserwować start tego odrzutowca. Prawdopodobnie po to, by zasugerować, że po pierwsze, algierskie władze obiecały porywaczom bezkarność, jeżeli ci uwolnią zakładników, i po drugie, że porywaczy przetransportowano do Syrii. Właśnie tak zrobiono w 1988 po porwaniu samolotu rejsowego kuwejckich linii lotniczych.

- A zatem twierdzi pan, że porywacze są w tej chwili w Syrii?

- W przypadku porwania samolotu kuwejckich linii lotniczych porywacze wrócili drogą lądową z Damaszku do Libanu. Schronili się w dolinie Baka, która jest uważana za twierdzę Hezbollahu.

- Czyli są w Libanie?

- Tak mieliśmy myśleć, ale osobiście nie sędzę, żeby w ogóle opuścili Algierię - stwierdził Perston-Smythe. - Mam przyjaciela w agencji Reutersa, który twierdzi, że w tym samym czasie, kiedy reporterom pozwolono obserwować start tamtego odrzutowca, funkcjonariusze Darak al Watani bardzo pieczołowicie strzegli jakiegoś terenu. Mój przyjaciel jest z natury podejrzliwy, więc ilekroć jakiś przedstawiciel władz pokazuje w jedną stro-

nę, on patrzy w przeciwną. Tylko dzięki temu zobaczył trzech nieogolonych mężczyzn w źle dopasowanych wojskowych mundurach. Wszyscy wsiedli do ciężarówki, która opuściła teren lotniska pod eskortą policji. Mój przyjaciel przypuszcza, że jednym z tych mężczyzn był Matar, ale nie miał czasu mu się dobrze przyjrzeć. Moim zdaniem wszyscy trzej terroryści nadal przebywają w Algierii.

Skręciłem za róg i podszedłem do jej drzwi. Byłem zdenerwowany i oddychałem z wysiłkiem, jakby ktoś uderzył mnie z całej siły w brzuch. Sięgnąłem do dzwonka, ale dłoń tak mi drżała, że opuściłem rękę i próbowałem się uspokoić. Kiedy zbierałem siły, żeby spróbować jeszcze raz, drzwi otworzyła Millie.

- Cześć - odezwała się na mój widok. - Obawiałam się, że zmienisz zdanie - dodała spokojniej. - Na pewno jesteś na to gotowy?

- No cóż, minęły dwa tygodnie - odparłem. Dwa tygodnie od mojego ostatniego listu, uświadomiłem sobie.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś, ale twój głos nie brzmiał przekonująco - stwierdziła.

Wzruszyłem ramionami.

- Może i nie - przyznałem. - Chodzi o to, że... no cóż... byłem przerażony.

Nie wyciągnąłem ręki, żeby jej dotknąć, ani nie podszedłem bliżej. Nadal byłem przerażony.

Millie wskazała otwarte drzwi.

- Może wejdziesz i zaczekasz, aż włożę płaszcz? - zaproponowała.

- Zaczekam tutaj - zdecydowałem. - Naprawdę. Nie zniknę. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dobrze - powiedziała. Po minucie wróciła ubrana w długi szary płaszcz. - Dokąd chcesz pojechać? - spytała, wyjmując z torebki kluczyki do samochodu.

Nie byłem głodny.

- Nie wiem. Dokądkolwiek. Spojrzała na mnie.

- Dokądkolwiek? - powtórzyła.

- Dokądkolwiek zechcesz.

Patrzyła chwilę na chodnik, po czym uniosła głowę i spojrzała na mnie między kosmykami grzywki. Wrzuciła kluczyki z powrotem do torebki.

- Mam ochotę zjeść coś z Waverly Inn - oznajmiła.

Tym razem ja spojrzałem na nią. Waverly Inn znajdowała się w West Village na Manhattanie.

Zerknąłem na zegarek. Była szósta, więc w Nowym



Jorku jest siódma. Nie znałem miejsca do lądowania w pobliżu Waverly Inn, ale mogłem się pojawić w odległości dziesięciominutowego spaceru.

- Będę musiał cię chwycić - powiedziałem. Millie zamrugła i chwilę ssała górną wargę.

- Dobrze - odezwała się w końcu. - Co mam zrobić?

- Nic. Po prostu stój tam, gdzie stoisz.

Podszedłem do niej od tyłu i objąłem ją w pasie. Jej włosy połaskotały mnie w twarz i poczułem ich zapach. Stałem nieruchomo, dopóki Millie nie zaczęła kręcić się niecierpliwie. Wtedy uniosłem ją i skoczyłem na Washington Square, obok łuku. Puściłem ją, ale zaraz chwyciłem znowu, bo ugięły się pod nią kolana.

- Nic ci nie jest? - zapytałem, pomagając jej podejść do oddalonej o kilka metrów ławki.

- Przepraszam - odezwała się. Miała szeroko otwarte oczy i kręciła głową, przenosząc spojrzenie z łuku na budynki i ulicę. - Wiedziała, że umiesz to robić, ale nie byłam tego pewna. Mam nadzieję, że wiesz, co chcę powiedzieć.

- Teoretyczna wiedza kontra pewność - odparłem. - Wiem. Tak jak to, że później będziesz w to wątpiła, chociaż sama tego doświadczyłaś.

W Nowym Jorku było chłodniej niż w Stillwater, temperatura spadła poniżej zera. Ale w piątkowy wieczór wszędzie w Village panował ożywiony ruch. Millie powoli wstała z ławki.

- Którędy teraz? - zapytała.

Poprowadziłem ją skrajem parku. Po drodze zagadnęła mnie o pogrzeb, a ja odparłem, że wszystko w porządku. Opowiedziałem o pożalowania godnym kazaniu pastora i o przyjaciółkach mamy. Na koniec wyznałem, co zrobiłem ojcu, kiedy pojawił się w domu pogrzebowym.

- Mam z tego powodu wyrzuty sumienia - powiedziałem.

- Dlaczego? Pokręciłem głową.

- Po prostu mam. Skręciliśmy na Waverly Place. Millie milczała dłuższą chwilę.

- Twój ojciec krzywdził was oboje, ale chyba wiesz, że jest zdolny do odczuwania bólu po jej stracie - odezwała się w końcu. - W pewnym sensie ją kochał. Rzecz jasna nie był to zdrowy związek, ale może masz poczucie winy, bo pozbawiłeś go szansy okazania smutku.

- Niech okazuje swój smutek z daleka ode mnie! - burknąłem. - Może masz rację - dodałem ciszej po chwili. - A może mam wyrzuty sumienia, bo mu się przeciwstawiłem.

Millie pokiwała głową.

- To możliwe - przyznała.

W restauracji nie było miejsca, więc czekaliśmy jakiś kwadrans tuż za drzwiami, z dala od ulicznego chłodu, starając się usuwać z drogi przechodzącym obok nas kelnerom. Kiedy ostatnio tu jedliśmy, siedzieliśmy na tarasie, ale wtedy było lato.

Opowiedziałem Millie o sierżantach Washburnie i Bakerze i wyjaśniłem, dlaczego mnie ścigają.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie z naganą.

- Powinieneś był mi to powiedzieć.

Odwrociłem głowę i przełknąłem ślinę. Nie chciałem się z nią sprzeczać.

Wzruszyła ramionami.

- No dobrze - podjęła po chwili. - Może rzeczywiście nie dałam ci szansy.

O mało się nie uśmiechnąłem.

- Tamto spotkanie niezbyt dobrze świadczy o nas obojgu - powiedziałem.

Hostessa zaprowadziła nas do dwuosobowego stolika w kącie sali. Przytrzymałem Millie krzesło, kiedy siadała.

- Jak to robisz? - spytała, obejmując świecznik, żeby ogrzać zziębnięte dłonie.

Wydąłem wargi.

- Po prostu chwytam krzesło za oparcie i odsuwam od stołu - odparłem. - A kiedy zaproszona osoba usiądzie, popycham je, aż się znajdzie przy stole.

- Cha, cha. Tres amusant\*. - Millie wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- Jak co robię? - zapytałem, chociaż wiedziałem, o co jej chodzi.

- Jak się... teleportujesz.

Z cichym świstem wypuściłem powietrze z płuc.

- Nazywam to przeskakiwaniem, ale nie mam najmniejszego pojęcia, jak to robię - rzekłem. - Po prostu przeskakuję.

Millie zmarszczyła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz żadnego urządzenia ani niczego w tym rodzaju?

- Tylko siebie. - Zacząłem się bawić widelcem do sałatek. W końcu wzruszyłem ramionami i opowiedziałem jej, jak to było pierwszy raz. Znała wszystkie krwawe szczegóły, ale nie słyszała, jak uciekłem. Zapoznałem

\* Tres amusant (franc.) - bardzo zabawne (przyp. tłum.).

ją z niektórymi moimi domysłami i próbami znalezienia innych skoczków, a także z kilkoma ograniczeniami. Opowiedziałem o mojej zemście na niedoszłym gwałcicielu Topperze i o chłopaku w hotelu na Brooklynie. W końcu zwierzyłem się jej także z tego, że ukradłem pieniądze.

- Co takiego zrobiłeś? - Millie usiadła prosto i otworzyła szerzej oczy.

- Cii. - Zorientowałem się, że spoglądają na nas inni goście. Niektórzy trzymali uniesione w pół drogi do ust widelce albo łyżki.

Millie zamrugła.

- Obrabowałeś... bank? - zapytała, tym razem o wiele ciszej niż poprzednio.

- Cii. - Poczulem, że się czerwienię. - Nie rób sceny.

- Nie uciszaj mnie! To nie ja obrabowałam bank. Na szczęście powiedziała to szeptem.

Podszedł do nas kelner i przyjął zamówienie na drinki. Millie wybrała martini z wódką, a ja poprosiłem o kieliszek białego wina. Nie wiedziałem, czy mi pomoże, ale doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi.

- Milion dolarów? - zapytała Millie, kiedy kelner odszedł.

- No cóż, prawie - przyznałem.

- Ile ci jeszcze zostało?

- Dlaczego pytasz? Zarumieniła się.

- Z ciekawości - odparła. - Na pewno wyglądam jak poszukiwacz złota.

- Mniej więcej osiemset tysięcy.

- Dolarów?! - wykrzyknęła.

Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku rozlał wodę.

- Chryste, Millie - powiedziałem. - Naprawdę chcesz, żebym cię tu zostawił? Chyba wiesz, że znajdujesz się dwa i pół tysiąca kilometrów od domu.

Przyszedł kelner z drinkami i spytał, czy jesteśmy gotowi zamówić coś do jedzenia.

- Proszę dać nam jeszcze trochę czasu - odparłem. - Nie zdążyliśmy się zapoznać z menu.

Millie upiła łyk martini i się skrzywiła.

- O co chodzi? - zapytałem. - Nie dostałaś tego, co zamawiałaś? Pokręciła głową, upiła następny łyk i znów się skrzywiła.

- Nie, jest idealne - oznajmiła. - Nie zostawiłbyś mnie samej w Nowym Jorku, prawda? Mam przy sobie tylko piętnaście dolców.

- No cóż... mógłbym cię podrzucić do Central Parku. Znam także kilka miejsc w Washington Heights, które powinny o tej porze tętnić życiem.

- Davy...!

- No dobrze, nie opuszczę cię - obiecałem. Posłała mi dziwne spojrzenie.
- O co chodzi? Myślałem, że to cię uspokoi.
- Dziwny dobór słów. - Millie przesunęła językiem po wargach. - Nie tyle dziwny, ile aż zbyt trafny.
- Hm?

Pokręciła głową.

- Opuszczenie - wyjaśniła. - Właśnie o to chodzi, prawda? Twoja matka znów cię opuściła, mam rację?
- Zginęła - przypomniałem. - Wcale mnie nie opuściła. Millie pokiwała głową.
- Opuściła cię na zawsze. Uświadomiłem sobie, że zaczynam się irytować.
- Przepraszam na chwilę - powiedziałem.

Wstałem szybko i poszedłem do toalety. Ktoś w niej był. Oparłem się o ścianę i zaplotłem ręce na piersi. Patrzyłem prosto przed siebie, ale niczego nie widziałem.

Prawdę mówiąc, nie musiałem iść do toalety, ale nie chciałem krzyczeć na Millie. Moja matka była ofiarą terrorystów, nie osobą, która mnie opuściła. No cóż, nie tym razem, pomyślałem.

Nikt mnie nie widział, więc skoczyłem do łazienki mojego mieszkania w Stillwater.

Miałem ochotę komuś albo czemuś solidnie przyłożyć, ale nie został mi ani jeden talerz, który mógłbym stłuc. Przeszedłem do sypialni, osunąłem się na kolana obok łóżka i zacząłem walić pięściami w materac, aż rozboleły mnie dłonie. Kilka razy głęboko odetchnąłem, po czym wstałem i wróciłem do łazienki, żeby obmyć twarz.

Dobrze zapamiętałem chodnik przed restauracją, więc tam przeskoczyłem.

Hostessa, widząc, jak wchodzę do lokalu, zamrugła zdziwiona.

- Nie widziałam, jak pan wychodził - stwierdziła. Wzruszyłem ramionami.
- Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśniłem. Kiwnęła głową i przepuściła mnie do stolika. Zorientowałem się, że nie było mnie mniej więcej pięć minut. Millie odprężyła się na mój widok.

- Przed chwilą znów był kelner - poinformowała. - Chyba jednak powinniśmy zajrzeć do karty.

Wybieranie i zamawianie potraw zajęło nam następne dziesięć minut. Kiedy znów zostaliśmy sami, Millie zaczęła rozmowę na jakiś błahy temat. Pewnie nie chciała mnie znów wystraszyć.

- Przepraszam, Millie - powiedziałem. - W tej chwili nie potrafię rozsądnie myśleć o niczym, co ma jakikolwiek związek z mamą. Wolałbym nie sprzeczać się o nią z tobą.

Pokiwała głową. W blasku świecy jej twarz była blada, a dłonie na lichtarzu wyglądały, jakby płonęły czerwonym blaskiem. Moja irytacja roztopiła się niczym wosk. Millie była bardzo piękna, godna pożądania. Poczulem, że mam w oczach łzy, i szybko zamrugałem. Odwróciłem głowę i spojrzałem na ścianę.

- Tęskniłem za tobą - wyznałem.

Wyciągnęła rękę i uściśniła moje palce. Pod wpływem impulsu pocałowałem grzbiet jej dłoni, a ona rozchyliła wargi. Zamknąłem jej dłoń w moich.

- Ja też za tobą tęskniłam - przyznała. Milczała chwilę, po czym delikatnie cofnęła rękę.

- Martwię się z powodu tych pieniędzy, które ukradłeś - odezwała się w końcu. - Nie uważam, żebyś postąpił właściwie.

- Nikogo nie skrzywdziłem.

- A co z osobami, które ulokowały tam oszczędności? Długo się nad tym zastanawiałem.

- Ten bank co miesiąc traci takie sumy z powodu niespłacanych kredytów - odezwałem się w końcu.

- i zarabia codziennie takie sumy dzięki odsetkom. To duży bank. Pieniądze, które im zabrałem, to dla nich drobniaki. Nie wyrządziłem krzywdy żadnemu ciułaczowi.

Millie pokręciła głową.

- Moim zdaniem postąpiłaś niewłaściwie - oznajmiła. Uświadomiłem sobie, że drętwieją mi mięśnie twarzy. Poczulem chłód. Millie rozłożyła ręce.

- To nie zmienia faktu, że nadal cię Kocham - podjęła. - Strasznie za tobą tęskniłam. Brakowało mi naszych rozmów przez telefon i ciebie w łóżku obok mnie. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Moja miłość do ciebie jest znacznie silniejsza od dezaprobaty z powodu pieniędzy, które ukradłeś.

Wyciągnąłem do niej rękę nad blatem. Millie pochyliła się ku mnie. Całowaliśmy się, dopóki płomień świecy nie wypalił dziury w mojej koszuli. Wybuchnęliśmy śmiechem, a ja przyłożyłem do oparzonego miejsca kostkę lodu. Później kelner przyniósł zamówione potrawy i wszystko już było w porządku.

Wyleciałem z lotniska Kennedy'ego samolotem American Airlines, który miał wylądować w Londynie na południowym terminalu lotniska Gatwick. Maszyna typu DC-10 wystartowała po północy i wylądowała w An-

gli o siódmej dwadzieścia miejscowego czasu. Mężczyzna siedzący obok mnie w pierwszej klasie bez przerwy opowiadał głupie dowcipy o płynie hydraulicznym.

Kiedy przylecieliśmy do Londynu, naprawdę zacząłem się zastanawiać, czy nie przeskoczyć z żartownisiem z powrotem do Nowego Jorku. Co za dupek, pomyślałem.

Było mokro i zimno, a ludzie mówili, jakby byli w telewizji. Gdybym nie spał tak kiepsko podczas lotu, mógłbym ich słuchać całymi godzinami. Mój samolot do Algieru z międzylądowaniem w Madrycie miał wystartować dopiero za sześć godzin. Po zakończeniu odprawy celnej skoczyłem do Stillwater, zabrałem kamerę wideo i zarejestrowałem na lotnisku kilka miejsc lądowania. Później przeskoczyłem do El Solitario, nastawiłem budzik na czwartą trzydzieści i zasnąłem.

Do Madrytu poleciałem samolotem linii Air Algerie. Pasażerowie mogli palić na pokładzie, więc z tylnej części pierwszej klasy, gdzie czterej Francuzi palili jednego papierosa po drugim, dolatywały do mnie kłęby tytoniowego dymu. Na szczęście lot do Hiszpanii trwał tylko dwie i pół godziny, a w czasie lotu do Algieru miejsce Francuzów zajęli niepalący Arabowie.

W algierskim urzędzie celnym spotkały mnie drobne kłopoty. Nie miałem biletu powrotnego ani rezerwacji w hotelu, więc urzędnicy kazali mi odejść na bok i zajęli się załatwianiem innych pasażerów. Gdyby nie to, że zatrzymali mój paszport, mógłbym po prostu przeskoczyć w inne miejsce.

Po trzech kwadransach dali mi możliwość wyboru. Mogłem wykupić bilet powrotny albo wpłacić kaucję. Obserwowany przez czujnego funkcjonariusza, kupiłem w pełni refundowalny bilet z Algieru do Londynu. Wymieniłem także najmniejszą wymaganą sumę stu dziewięćdziesięciu amerykańskich dolarów na tysiąc algierskich dinarów i zadeklarowałem posiadane dolary, których równowartość wyniosła ponad pięć tysięcy DA (algierskich dinarów). Dopiero wtedy urzędnicy zwrócili mi paszport, przykazując surowo, żebym wszystkie wymienione pieniądze zgłosił na odpowiednim formularzu. Powiedzieli także, że niech Allah ma mnie w swojej opiece, jeżeli przy odlocie z Algieru nie będę mógł się rozliczyć z amerykańskich dolarów.

Zarejestrowałem kilka miejsc lądowania i wyszedłem na zewnątrz. Było chłodno, mokro i zielono, a góry wyrastały chyba z samego Morza Śródziemnego. Gdyby nie mężczyźni w kaftanach i djellaba oraz nieliczne kobiety w grubych czadorach, mógłbym pomyśleć, że jestem wszędzie, ale nie w Afryce Północnej. W pewnej chwili obok mnie przeszła grupa trajkoczących Anglików z nartami. Zamierzali się wybrać do Tikjdy, gdzie „warstwa śniegu jest w tym roku szczególnie gruba”.

Pracownik lotniskowej informacji wskazał mi drogę do terminala dla VIP-ów. Nie mogłem się tam dostać, ale przez okno w pobliżu stanowiska kontroli dokumentów zobaczyłem kawałek asfaltu, na którym w ciągu dwóch dni negocjacji stał samolot z zakładnikami. Zastanowiłem się, czy nie polecieć na Cypr i nie zobaczyć kawałka asfaltu, na którym zginęła moja mama.

Zarejestrowanie miejsc lądowania zajęło mi jakąś minutę czy dwie, ale nie mogłem przeskoczyć, bo wszędzie roilo się od żebraków. Byli nachalni i bardziej niechlujni niż gdziekolwiek w Nowym Jorku. Kiedy dałem jałmużnę jednej grupie, natychmiast pojawiała się następna. W końcu wróciłem do hali lotniskowej i skoczyłem z kabiny w toalecie.

Bramę otwierano o dziesiątej, więc przeskoczyłem z Millie do Disney World pięć minut później. Wylądowaliśmy przed Kosmiczną Górą. Objechaliśmy ją trzy razy, zanim zaczęła się tworzyć kolejka. Wzięliśmy udział w Star Tours w Disney MGM i w Body Wars w Epcot.

Trafiliśmy także do Piratów z Karaibów, Nawiedzonego Dworu i Szalonej Jazdy pana Todda. Później z powodu bożonarodzeniowych ferii tłum zgęstniał do tego stopnia, że dalsze przebywanie tam przestało być przyjemne, więc skoczyłem z Millie do Londynu. Pojechaliśmy taksówką do śródmieścia.

Po słonecznej Florydzie w pochmurnym Londynie zrobiło się nam zimno, ale kierowca zawiózł nas do starego hotelu, w którym podawano przyzwoitą herbatę. Później spacerowaliśmy brzegiem Tamizy, dopóki od strony ujścia rzeki nie zaczęła napływać chłodna i wilgotna mgła.

Przeskoczyłem z Millie do El Solitario.

Jeszcze w Anglii oglądaliśmy zachód słońca, ale w Teksasie była dopiero druga po południu, a na termometrze jakieś trzydzieści stopni. Millie tylko raz spojrzała na okolicę ze szczytu El Mota.

- Sądziłam, że znoszę to wszystko całkiem nieźle, ale chyba muszę teraz usiąść - powiedziała. Skoczyłem z nią do mojej górskiej samotni i posadziłem ją na kanapie.

W ciągu ostatnich tygodni skończyłem budować mur, który sięgał obecnie od nawisu do półki. Wstawiłem okna, drzwi i przepust na rurę opalanego drewnem piecyka. W odległym krańcu półki zbudowałem także zamknięte pomieszczenie na największy benzynowy generator, jaki dałem radę udźwignąć. Dostarczał prąd do pięciu lamp, które oświetlały moje nowe mieszkanie.

Dziury w dnie jaskini wypełniłem tak, że zrobiło się całkiem gładkie, chociaż nadal opadało pod wyraźnie widocznym kątem. Kupiłem kilka dy-

wanów z wyprawionych owczych skór i wiejskie meble z drewna sosnowego. W głębi jaskini, gdzie sklepienie stykało się z dnem, ustawiłem łóżko. W najwyższym miejscu muru, między oknami, postawiłem regał na książki. Stopniowo zapełniałem półki nowymi zakupami.

Millie zamknęła oczy i wyciągnęła się na kanapie. Przeskoczyłem do apartamentu w Stillwater, napełniłem dużą szklankę lodowatą wodą i wróciłem. Millie nadal miała zamknięte oczy.

- Może napijesz się wody? - zaproponowałem, stawiając szklankę na krawędzi stołu.

Otworzyła oczy i spojrzała na szklankę, na której ściankach perliły się kropelki rosy. Upiła łyk i rozejrzała się po jaskini. Zwróciła uwagę na sklepienie z naturalnej skały, a później spojrzała w prawo i w lewo, żeby ocenić głębokość.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- W Teksasie - wyjaśniłem. - Niedaleko szczytu, który ci pokazałem.

- Skąd to masz? - Uniosła szklankę.

- Ze Stillwater. Pokręciła głową.

- Przypomina mi się Sen nocy letniej.

- Który akt?

- Ten, w którym Puk mówi: „Opaszę ziemię dokoła wianuszkami w czterdzieści minut”.

- Co za ślamazara.

- Jest także inny fragment, w którym duszek mówi: „Nad wzgórzem i nad doliną, Przez zarośla, przez ogrody, Nad zagrodą, rozpadliną, Przez płomienie i przez wody, Wszędzie pędzę, wszędzie dążę, A szybciej niż księżyc krążę”\*.

Roześmiałem się.

- Znasz Szekspira lepiej niż ja - zauważyłem. Millie także się roześmiała.

- Byłam radosną wędrowniczką tamtej nocy - powiedziała. - Kpiłam z Oberona i skłoniłam go do uśmiechu. Przedstawienie z liceum, ale mimo to wspaniałe recenzje. Chcieli, żebym grała Hermie, ale nie dałam się namówić. Wszyscy chłopcy chcieli grać Puka, lecz podczas przesłuchania tylko ja potrafiłam wyrecytować cały pierwszy akt bez zagładania do tekstu.

Wstała bardzo ostrożnie i podeszła do okna.

\* William Szekspir Sen nocy letniej, przeł. Maciej Słomczyński.



Słońce rzucało ukośne promienie i na przeciwległej ścianie wąwozu było wyraźnie widać stratygrafię skał. Podobnie jak dno jaskini, ściana była nachylona pod kątem trzech stopni. Millie stanęła na palcach i spojrzała ponad dolną framugą. Z trudem zobaczyła dno wąwozu sześćdziesiąt metrów w dół.

- Dlaczego nie usłyszałam, jak przeskakiwałeś do Stillwater? - zagadnęła.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, powietrze powinno było się przemieścić z jakimś dźwiękiem, prawda? - nie dawała za wygraną Millie. - Czy nie powinnam była usłyszeć odgłosu podobnego do tego, z jakim wyskakuje korek z butelki szampana?

Nie zastanawiałem się nad tym problemem.

- No cóż, może po prostu nie wytężyłaś słuchu - odezwałem się w końcu. - Może to bardzo cichy dźwięk.

Millie odstawiła szklanę.

- W takim razie spróbuj jeszcze raz, żebyśmy mogli się przekonać - zaproponowała. - Zamienię się w słuch.

- Mam przeskoczyć i wrócić? Kiwnęła głową.

- Dobrze. - Przeskoczyłem na drugą stronę skalnej półki i wylądowałem obok komórki z generatorem, po czym odetchnąłem głęboko i skoczyłem z powrotem.

Millie się wzdrygnęła.

- No, i? - zapytałem.

Wypuściła powietrze z płuc z głośnym świstem.

- Nic - oznajmiła. - Mimo to zdenerwowałam się jak diabli, chociaż się tego spodziewałam.

Uniosłem ręce i przyciągnąłem ją do siebie.

- Przepraszam - powiedziałem. - To jeden z powodów, dla których nic ci nie mówiłem. Nie chcę cię stracić. I tak już zbyt dużo straciłem.

Przytuliła się do mnie, ale mnie nie objęła. Lekko niażakołysałem, lecz po chwili uwolniła się z mojego uścisku.

- Gdzie jest toaleta? - zapytała.

- Uhm... w Stillwater. Przewróciła oczami.

- Coś wspaniałego - mruknęła. - Zamknę oczy.

Objąłem ją i przeskoczyłem do apartamentu w Stillwater. Millie nigdy nie była w moim mieszkaniu na Brooklynie, więc nie widziała moich mebli ani sprzętu. Pokazałem jej, gdzie jest łazienka, i przeszedłem do salonu.

- Właśnie przyszedł mi do głowy okropny pomysł - oznajmiła, kiedy wyszła z łazienki. - Co by się stało, gdybyś zabrał mnie do swojego domu w górach i przeskoczył, ale został zabity albo ranny? Bardzo łatwo mogłem sobie wyobrazić taką sytuację. W moim mieszkaniu w górach nie było jedzenia, wody ani żadnego wyjścia. Millie nie przeżyłaby tam nawet tygodnia.

- Prawdę mówiąc, nie myślałem o tym - odparłem. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko odwiedzaniu tamtego miejsca, ale nie chcę, żebyś zostawiał mnie tam samą - powiedziała. - Gdybyś musiał po coś wrócić, wolałabym przeskoczyć z tobą albo wrócić do mojego mieszkania, dobrze?

Pokiwałem głową.

- Tak. Nie mam nic przeciwko temu.

Millie rozejrzała się po salonie i zauważyła moją aparaturę wideo. Powiedziałem jej, że rejestruję miejsca lądowania, a ona przeniosła spojrzenie z kamery na mnie i z powrotem.

- Hm - odezwała się z namysłem. - Czy kiedykolwiek rejestrowałeś siebie, jak przeskakujesz w inne miejsce? Może dałoby się coś zobaczyć przy powolnym przesuwie taśmy.

- Hm - powtórzyłem. - Możemy spróbować.

Ustawiłem statyw, zainstalowałem na nim kamerę wideo i skierowałem obiektyw na środek salonu. Podłączyłem kable do dużego monitora i nastawiłem kamerę na szybki przesuw taśmy.

- Dokąd mam skoczyć? - zapytałem.

- Dokądkolwiek, Davy, bylebyś tu wrócił, kiedy doliczę do pięciu, dobrze?

Przeskoczyłem na taras obserwacyjny lotniska Willa Rogersa. Wysokość nad poziomem morza była mniej więcej taka sama, więc nie poczułem w uszach zbyt dużej różnicy ciśnienia. Rozejrzałem się, żeby objąć spojrzeniem cały taras. Na szczęście był pusty, więc policzyłem powoli do pięciu i skoczyłem z powrotem.

Millie się mnie spodziewała, ale i tak znów drgnęła.

- Przepraszam - powiedziałem. Raptownie wypuściła powietrze z płuc.

- Przyzwyczaję się - obiecała. - Może. Chciałabym, żebyś mnie nauczył, jak to robić.

- Gdybym tylko wiedział, jak...

Przewinałem taśmę i puściłem z tą samą prędkością, z jaką ją nagrałem. Stałem pośrodku salonu, widoczny na ujęciu od kolan w górę, a później

nagle zniknąłem. Policzyłem do pięciu i mniej więcej w tej samej chwili, gdy skończyłem, znów się pojawiłem.

Millie, która siedziała na kanapie, pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach.

- Gdybym oglądała to w telewizji, powiedziałabym, że to tandetny efekt specjalny. Wiesz, taki, kiedy zatrzymują kamerę, każą aktorowi zejść z planu i zaczynają filmować na nowo.

- Puszczę to wolniej. - Przewinałem taśmę i nastawiłem na odgrywanie z najmniejszą możliwą prędkością.

Obserwowaliśmy, jak pytam Millie, dokąd mam skoczyć. Moje usta otwierały się i zamykały niezgrabnie. Trwało niemal minutę, zanim nagranie dotarło do momentu, w którym znikam. W jednej chwili byłem na ekranie, a w następnej już nie.

- Co to było? - zapytała Millie.

- Co takiego?

- Kiedy przeskoczyłeś, zobaczyłam coś w rodzaju błysku. Pokręciłem głową.

- Nic takiego nie widziałem.

- Cofnij to. Możesz puścić taśmę jeszcze wolniej?

- To była najmniejsza możliwa prędkość odtwarzania, ale chyba można puszczać po jednej klatce naraz. - Stałem obok kamery, przewinałem taśmę do miejsca poprzedzającego skok, a później zacząłem puszczać nagranie po jednej klatce. Dotarcie do miejsca, w którym znikam, trwało jeszcze dłużej, ale kiedy zniknąłem...

- O rany! - szepnęła Millie.

Drżący obraz na ekranie przedstawiał mnie stojącego pośrodku salonu, ale następna klatka ukazywała już tylko mój kontur. Spoglądałem na otwór o kształcie Davy'ego. Było w nim widać ogon boeinga 727 American Airlines, oglądanego przez okno tarasu obserwacyjnego lotniska.

- Co to jest? - zdziwiła się Millie.

Powiedziałem jej, dokąd przeskoczyłem. Otworzyła szerzej oczy i pokiwała energicznie głową. Wyświetliłem następną klatkę i okno w kształcie Davy'ego zniknęło. Widać było tylko pusty salon mojego apartamentu.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Millie. - Nic dziwnego, że nie słyszy się odgłosu, jaki zwykle towarzyszy otwieraniu butelki szampana. Nie znikasz w jednym miejscu i nie pojawiaasz się w innym... Przechodzisz przez coś w rodzaju drzwi, a raczej otwór drzwi przechodzi wokół ciebie, bo ty się nie poruszasz. Przewiń teraz taśmę do miejsca, w którym się znów pojawiaasz.

Odnalazłem właściwe miejsce i zacząłem puszczać klatka po klatce obrazy pustego salonu, dopóki nie pojawiło się okno w kształcie Davy'ego.

Tym razem miało trochę inny kształt, bo odzwierciedlało zmianę mojej postawy. W oknie zobaczyliśmy inny fragment boeinga, oglądanego z innego miejsca na tarasie. Wyświetliłem

następną klatkę i w oknie pojawiło się moje ciało.

- Widzisz? - zapytała Millie. Pokiwałem głową.

- Co by się stało, gdybym nie mógł przejść przez te drzwi?

- Co masz na myśli?

- Co by się stało, gdybym został przykuty kajdankami do czegoś zbyt dużego, żeby to poruszyć czy udźwignąć, albo gdyby mnie trzymał ktoś za ciężki, żebyś dał radę zabrać go ze sobą?

Millie wstała z kanapy.

- Sprawdźmy - zaproponowała. - Chwyć cię od tyłu, a ty postaraj się skoczyć.

Zastanowiłem się nad jej propozycją.

- Nie podoba mi się ten pomysł - oznajmiłem w końcu. - A co się stanie, jeżeli przeskoczy tylko część mnie?

Millie zamrugła.

- Czy coś takiego już ci się kiedyś przydarzyło? - spytała. Pokręciłem głową.

- No cóż, to mało prawdopodobne, ale muszę przyznać, że niespecjalnie by mi się podobało, gdyby razem z tobą przeskoczyły tylko moje ręce

- stwierdziła Millie.

- Zaczekaj, spróbujemy to zrobić w inny sposób.

Skoczyłem do sklepu z różnymi drobiazgami na Siódmej Alei w pobliżu Times Square i kupiłem tanie kajdanki. Sprzedawca usiłował mi wcisnąć także gumową maskę Richarda Nixona - bardzo tanio, prawdziwa okazja - ale nie dałem się namówić.

- No cóż - odezwała się Millie, kiedy pokazałem jej kajdanki - to chyba nie jest dobra pora na ekscentryczny seks.

Roześmiałem się.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będę się mógł przykuć do czegoś solidnego

- zaproponowałem.

Wyszliśmy na ganek. Nie był widoczny z okien innych apartamentów i miał żelazną balustradę ze wspornikami na stałe wtopionymi w betonowy podest. Zanim założyłem kajdanki, upewniłem się, że obie części dają się łatwo zamykać i otwierać dołączonymi kluczykami. Wręczyłem jeden kluczyk Millie, po czym zapiąłem jedną część kajdanek na żelaznej balustradzie, a drugą na moim lewym przegubie.

- Dokąd chcesz przeskoczyć? - zainteresowała się Millie.

- Do mieszkania.

Wyobraziłem sobie salon i spróbowałem skoczyć. W pierwszej chwili wydało mi się, że moje starania zakończą się powodzeniem, ale później poczułem przeszywający ból w lewym nadgarstku i stwierdziłem, że nadal stoję na ganku.

- Cholera! - krzyknąłem. Miałem zdartą skórę na nadgarstku i czułem się, jakby moją rękę rozciągnął goryl. Bolały mnie przedramię i łokieć, ale chyba nic nie zostało poważnie naciągnięte. Spojrzałem na Millie. - Otwórz te kajdanki - wy dyszałem.

Wyjęła klucz i uwolniła mój nadgarstek. Przycisnąłem rękę do piersi i zakląłem. Millie wyglądała na przerażoną.

- Kiepski pomysł, co? - zagadnęła.

Roześmiałem się chrapliwie. Ból powoli ustępował, a krew płynęła tylko z miejsca, w którym została zdarta skóra. Wróciliśmy do mieszkania i poszedłem do łazienki. Kiedy obmywałem nadgarstek w umywalce, Millie opowiadała mi, co widziała.

- Cały... zamigotałeś czy coś w tym rodzaju. Przez ułamek sekundy widziałam stojący w salonie regał z książkami, ale donikąd nie przeskoczyłeś. Jak się czuleś?

- Jakby ktoś chciał rozerwać moją lewą rękę - odparłem. - Wiesz, jakby z obu stron ciągnęły ją zaprzęgi dzikich koni.

Millie poszła do swojego apartamentu i wróciła z rolką gazy i plastrem opatrunkowym. Zręcznie owinęła zranione miejsce.

- No cóż, przynajmniej nie musimy się martwić, że podczas przeskakiwania będziesz zabierał części różnych rzeczy - stwierdziła. - Jeżeli czegoś nie dasz rady zabrać przez bramkę, to coś ściągnie cię z powrotem. Powinniśmy się przekonać, co się stanie, kiedy będę trzymała cię od tyłu. Miałem zastrzeżenia, ale Millie bardzo chciała to sprawdzić. Wróciliśmy do salonu i przesunęliśmy kanapę, żeby mieć więcej miejsca. Millie objęła mnie od tyłu.

- Gotowa? - zapytałem. Ścisnęła mnie w pasie.

- Gotowa - powiedziała.

Skoczyłem, przygotowany na opór, i o mało nie runąłem na twarz. Wylądowałem w sypialni, ale bez Millie. Przez otwarte drzwi usłyszałem odgłos, jakby ktoś się zachłysnął. Wróciłem do salonu i zobaczyłem Millie na czworakach na podłodze.

- Nic ci nie jest? - spytałem.

- Po prostu straciłam równowagę - wyjaśniła. - Poczułam się, jakbyś był naoliwiony. Wyślizgnąłeś się z moich rąk jak pestka arbuza. Pozwól mi spróbować jeszcze raz.

Wzruszyłem ramionami.

- Dobrze, jeżeli naprawdę tego chcesz.

Tym razem jedną rękę położyła na moim lewym ramieniu, drugą wsunęła pod moją prawą pachę i złączyła je na mojej piersi w taki sposób, że opasywały mnie jak bandolet. Chwyciłem ją za nadgarstki i ścisnąłem tak silnie, że miałem kłopoty z oddychaniem.

- Skacz! - poleciała.

Tym razem poszło mi trudniej i kiedy pojawiłem się w sypialni, Millie obejmowała mnie jak poprzednio. Wypuściła powietrze z płuc w moje prawe ucho.

- Ciekawe - orzekła.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Millie stoi tyłem do łóżka i się uśmiecha. Podeszedłem do niej i popchnąłem ją na łóżko. To zakończyło eksperymenty z teleportacją, ale dało początek eksperymentom zupełnie innego rodzaju.

Później Millie powiedziała:

- Byłam dzisiaj na Florydzie, w Teksasie i w Oklahomie. Chciałabym wiedzieć tylko jedno.

- Tak?

- Czy za coś takiego dostanę zniżkę z tytułu częstego korzystania z usług linii lotniczych?

## Rozdział 14

Zatłoczony tubylcami autobus firmy Entreprise Publique de Transport de Voyageurs do Tizirtu był przesiąknięty wonią potu i dziwnych przypraw, ale krajobraz za oknem, w którym pojawiały się na zmianę strome wzgórza i lazurowe fale, był uroczy. Turyści wyprawiający się do Tizirtu jeździli zwykle autobusami wycarterowanymi przez Algierską Agencję Turystyczną albo wynajętymi fiatami. Miejscowość była położona w odległości zaledwie dwudziestu sześciu kilometrów na wschód od Algieru, ale z powodu wielu przystanków podróż trwała półtorej godziny. Kilka osób usiłowało nawiązać ze mną rozmowę po francusku, arabsku albo berberyjsku, ale za każdym razem tylko wzruszałem ramionami.

W południe autobus zatrzymał się na N24 obok mostu, pod którym niewielki strumień z gór Tellian Atlas płynął w kierunku morza. W pobliżu nie było żadnych budynków, ale kierowca i pasażerowie wysypali się z pojazdu

i obmyli dłonie w strumieniu. Niektórzy rozwinęli niewielkie dywany, a inni uklękli na ziemi i zaczęli się modlić, zwróceni twarzami w stronę Mekki. Po kwadransie wszyscy wsiedli do autobusu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Recepcjonista w hotelu Mirzana w Tizirzie trochę znał angielski, lecz cały czas twierdził, że nie ma wolnych pokoi. Nie zdziwiłem się, bo wiedziałem, że miejsca w algierskich miejscowościach nadmorskich trzeba rezerwować z wielomiesięcznym wyprzedzeniem.

- Nie potrzebuję pokoju - powtórzyłem. - Szukam kogoś. Innego gościa. - Położyłem na kontuarze banknot dwudziestodolarowy. Miał wartość mniej więcej dziewięćdziesięciu pięciu dinarów po oficjalnym kursie, ale na czarnym rynku można było za niego dostać ponad pięć razy więcej.

Zastanowiłem się, czy recepcjonista o tym wie. Ja dowiedziałem się tego z przewodnika Fodora.

Recepcjonista wziął banknot i zaszczycił mnie większą uwagą.

- Kogo pan szuka? - zapytał.

- Rashida Matara. Zamrugał i na chwilę skamieniał.

- Nie znam takiej osoby - odezwał się w końcu.

Bzdura, pomyślałem. Wyjąłem fotografię z gazety i posunąłem w jego stronę. Recepcjonista znów zamrugał, wzruszył ramionami i powiedział:

- Przykro mi, ale nie.

- Jest pan pewny?

- Tak. Bardzo pewny. - Jeszcze raz wzruszył ramionami.

- No cóż, dziękuję za poświęcony czas - powiedziałem i ruszyłem przez westybul do restauracji.

Wskazano mi stolik z widokiem na morze i korty tenisowe. Hotel Mirzana wznosił się na szczycie wzgórza, dość wysoko nad plażą. Turyści przyjeżdżali do Tizirtu, żeby się opalać albo oglądać imponujące ruiny rzymskich budowli i bizantyjską bazylikę. Zamówiłem miętową herbatę i pokazałem kelnerowi fotografię Rashida Matara.

Mężczyzna był przerażony i zaprzeczył, żeby go kiedykolwiek widział, nawet gdy zaproponowałem mu pieniądze. W ogóle ich nie dotknął.

Herbatę przyniósł mi inny kelner, który nie rozumiał po angielsku. Zignorował fotografię, którą mu pokazałem, i natychmiast odszedł od mojego stolika.

Herbata była przesłodzona.

Na korcie grali dwaj mężczyźni w nieskazitelnie białych strojach tenisowych. Mieli oliwkową karnację i krzaczaste wąsy. Piłeczka przelatywała nad siatką z jednej strony na drugą jak wystrzeliwana. Przez otwarte drzwi słyszałem plask, plask odbijających piłeczkę rakiet. Żaden z mężczyzn nie

był Matarem. Przy brzegu kotwiczyło kilka motorowych i żaglowych jachtów, które kołysały się łagodnie na niewielkich falach. Z prawej strony widać było kawałek zatłoczonej plaży.

Popijając herbatę, uważnie obserwowałem przechodzących mężczyzn. Porównywałem ich twarze z moją fotografią.

Możliwe, że Matara w ogóle tu nie było. Zacząłem poszukiwania od najlepszego hotelu, ale w Tigzircie musiało być sporo prywatnych rezydencji, które można wynajmować. Mój informator powiedział tylko, że ktoś widział tu Matara.

„Jestem pewny, że przebywał tu na plaży”, stwierdził. „Wokoło kręcili się policjanci, którzy mieli na niego oko, gdy spotykał się z miejscowym walim”.

Doktor Perston-Smythe z uniwersytetu Georgetown dał mi list polecający do pana Theodore'a, który był pracownikiem brytyjskiej ambasady. Pan Theodore zaprosił mnie na obiad do restauracji Bacoura przy ulicy Patrice'a Lumumby. Podawano tam potrawy miejscowej kuchni. Po posiłku zamówiliśmy miętową herbatę, która okazała się o wiele lepsza niż ta w hotelu Mirzana.

Pan Theodore przestrzegł mnie przed usługami mniej albo bardziej oficjalnych miejscowych przewodników, którzy kręcili się wokół Muzeum Sztuki Ludowej. Ubolewał także nad stanem niegdyś malowniczej kasby, która obecnie wyglądała po prostu ponuro.

- Widzi pan, kiedy Francuzi opuszczali Algierię, zostawili szpitale i infrastrukturę w doskonałym stanie, ale gospodarka opierała się głównie na ropie naftowej, więc po krachu mamy kraj z dynamicznie rosnącą liczbą ludności dzięki przyzwoitej opiece zdrowotnej, ale ze zrujnowaną gospodarką. Algieria była kiedyś eksporterem żywności, a teraz wszyscy uciekają do miast, a pustynia pochłania najlepsze tereny uprawne. Dzisiejsza kasba jest właściwie jednym wielkim slumsem. - Powoli upił łyk herbaty. - Pewnie pan wie, że jestem leworęczny, ale tu lepiej nie używać lewej ręki podczas jedzenia, zwłaszcza w miejscu publicznym. To może spowodować okropne zamieszanie.

Na temat Rashida Matara wiedział tylko tyle, że widziano go w Tigzircie, gdzie prawdopodobnie spędzał wakacje.

- Zapewne orientuje się pan, że nie ma bezpośrednich dowodów, które by go łączyły z tamtym porwaniem? - zagadnął jakby od niechcienia.

- Naprawdę pan uważa, że tego nie zrobił? - spytałem. Pan Theodore się uśmiechnął.

- Jest winny jak diabli - odparł. - Ale równie oczywiste jest, że Algierczycy zawarli z nim umowę, byle tylko uwolnił pozostałych zakładników,



a teraz jej dotrzymują. Nie potraktują pobłaźliwie nikogo, kto by ich chciał nakłonić do ekstradycji Matara. Pokiwałem głową.

Pan Théodore spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Chyba nie zamierza pan palnąć jakiegoś głupstwa? - zapytał. - Nie zdziwiłbym się, gdyby chciał go pan zabić, ale to się panu nie uda. Ten człowiek jest zabójcą, a jego ochroniarze zobaczą pana z odległości wielu kilometrów.

Poczułem, że się czerwienię.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię - oznajmiłem. - Na razie chcę go tylko odnaleźć.

- No cóż, gdyby był pan Brytyjczykiem, poważnie zastanowiłbym się nad tym, czy nie odesłać pana do domu - stwierdził Théodore.

A zatem przebywałem w Tigzircie, gdzie ktoś widział, jak Rashid Ma-tar spędza czas na plaży w towarzystwie walego, gubernatora prowincji. Postanowiłem zostać w hotelu jeszcze godzinę i wrócić następnego dnia, by rozpocząć poszukiwania od plaży. Zapłaciłem rachunek dinarami i przeszedłem do westybulu. Obok głównego wejścia stała ławka, z której można było obserwować cały hol i windę. Usiadłem, wyjąłem z kieszeni książkę w miękkiej oprawie i zacząłem czytać. W hotelu mieszkali niemieccy turyści, którzy wychodzili i przychodzili, a także grupa Francuzów. Od czasu do czasu do hotelu wchodzili także Arabowie, ale żaden nie był podobny do Matara. Już miałem zrezygnować, kiedy do hotelu weszli dwaj umundurowani funkcjonariusze Darak al Watani, krajowej żandarmerii. Podeszli do recepcjonisty, który spojrzał na mnie.

A to sukinsyn! Wstałem z ławki, ruszyłem do drzwi i wyszedłem na ulicę. Usłyszałem, że ktoś z tyłu krzyknął:

- Arrêtez! Arrêtez!

Od razu skręciłem w prawo i gdy znalazłem się poza zasięgiem wzroku glin, przeskoczyłem do mojego mieszkania w Stillwater. Poczułem ból w uszach i natychmiast usiadłem, bo ugięły się pod mną kolana. Usłyszałem dobiegający z ulicy warkot silnika przejeżdżającego autobusu i drgnąłem. Uspokój się, powiedziałem sobie. Czy naprawdę się spodziewasz, że zaraz wejdą przez drzwi? Zostali po drugiej stronie planety.

Kilka razy głęboko odetchnąłem. Dlaczego byłem taki przerażony? Przecież nikt nie mógł mnie nawet tknąć. Mogłem tam wrócić, a oni nie mogliby mi nic zrobić, bo przeskoczyłbym z powrotem, zanim by mnie skuli. Mógłbym nawet zaczekać, aż mnie wtrąca do celi, i dopiero wtedy skoczyć.

Mogą cię także zabić, uświadomiłem sobie. No cóż, istniała taka możliwość.

Pierwszy tydzień świątecznej przerwy Millie spędzała w domu ojca w Oklahoma City. W Boże Narodzenie miała pojechać do Wichita w stanie Kansas, żeby następny tydzień spędzić z matką i z ojczymem. Tak czy owak, była zajęta z powodu obowiązków rodzinnych, więc umówiliśmy się na kilka spotkań w tym okresie.

Przeskoczyłem do Stanville, na Main Street obok Dairy Queen, i ruszyłem wolno ulicą, oglądając bożonarodzeniowe dekoracje.

Krótko po Świącie Dziękczynienia spadł śnieg i od tamtej pory utrzymywał się lekki mróz, więc podwórka i parki były pokryte warstwą śnieżnego puchu, brudną od sadzy i kurzu. Przed budynkiem sądu zobaczyłem na szarym śniegu ciemne ślady, spod których wystawały kępki zeschniętej trawy. Ulice były czyste z wyjątkiem krawężników, pod które pługi zgarnęły błoto z jezdni.

Świąteczne dekoracje były prawdziwymi cackami wiedzy petrochemicznej, ale wiedziałem, że to te same ozdoby, które władze miejskie wywieszały w ciągu ostatnich sześciu lat. Końcówki plastikowych gałązek ostrokrzewu wyglądały jak połamane, a na jednej z czerwonych gwiazd na latarni przed budynkiem sądu ktoś wymalował sprejem napis: „Rewolucja natychmiast!” Ktoś inny przekreślił poziomą linią słowo „natychmiast” i zamiast niego napisał: „wszystko jedno kiedy”. Pewnie władze imperialistycznego Stanville trzęsły się ze strachu.

Był dopiero środek dnia, ale na ulicy roilo się od ludzi robiących zakupy. Jeżeli taka przedświąteczna gorączka panuje w stosunkowo sterylnym śródmieściu, wzdrygnąłem się na myśl o tym, jak musi wyglądać sytuacja w Wal-Marcie. W tej samej chwili zobaczyłem samochód starego, stojący przed tawerną Gila obok parkometru z przekroczonym czasem parkowania.

Ulicą nadjeżdżał trójkołowy skuter pani Thompson, którą policja zatrudniła do sprawdzania parkometrów. Pani Thompson, otyła kobieta w policyjnej kurtce z niebieskim futrzanym kołnierzem, wypisywała mandat kierowcy bmw z tablicą rejestracyjną z innego stanu. Ciekawe, czy właściciel samochodu rzeczywiście przekroczył opłacony czas parkowania, czy też pani Thompson każe go za grzeszną dekadencję lub/i za to, że jest obcy. Pani Thompson była żoną wielbego Thompsona, pastora kościoła baptystów.

Wyjąłem z kieszeni kilka monet. Połowa była algierska, a wśród drugiej połowy przeważały angielskie pięciopensówki, ale znalazłem także dość pięciocentówek, żeby opłacić następne trzy kwadransy parkowania.

Dopiero kiedy zobaczyłem, że mała strzałka jest skierowana w górę, uświadomiłem sobie, że pomagam mojemu staremu.

Zmarszczyłem brwi. Przed frontowymi drzwiami tawerny leżała bryła żużlu, wykorzystywana w cieplejsze dni do ich blokowania, żeby się nie zamykały. Zastanowiłem się, czy nie wybić nią przedniej szyby cadillaca. Podszedłem nawet do niej i już miałem podnieść, kiedy ulicą przejechał trójkołowy skuter pani Thompson.

Ojciec musiał zobaczyć panią Thompson przez okno, bo w tej samej chwili stanął w drzwiach tawerny i spojrzął na monety w swojej dłoni. Dopiero po chwili uniósł głowę i zobaczył mnie stojącego przed parkome-trem.

Wyglądał na przerażonego.

- Davy?!

Byłem na niego zły, a wyraz przerażenia na jego twarzy tylko podsycił moją wściekłość.

Wyciągnąłem rękę i wytrąciłem mu monety z dłoni. Srebrzyste krążki potoczyły się po chodniku, a ja przeskoczyłem do mojej górskiej samotni w Teksasie.

Kiedy wróciłem do Tizirtu, miałem na sobie bardziej odpowiednie, tropikalne lniane ubranie. Ominąłem hotel i przeszedłem przez wioskę na plażę. Na ulicy widziałem sporo żebraków, ale o wiele mniej niż w Algierze. Wiatr wiał od Morza Śródziemnego, a słońce jasno świeciło. Miałem nadzieję, że nikt nie rozesłał mojego rysopisu.

Plaża nie była zatłoczona, a wśród kobiet w kostiumach kąpielowych nie zauważyłem ani jednej Arabki. Brzegiem morza szły trzy kobiety (któż mógł być tego pewny?) okutane od stóp do głów w czadory. Podciągnęły dół szaty na wysokość kostek i brodziły bosymi stopami w pianie. Sądząc po czarnym kolorze czadorów, mogłem się domyślić, że to Saudyjki, które były takimi samymi turystkami jak Szwedki w skąpych kostiumach kąpielowych.

Mężczyznę na mojej fotografii rozpoznał dopiero piętnasty zagadnięty plażowicz. Był Francuzem, ale mówił niezłe po angielsku.

- Tak, poznaję go - powiedział. - Mężczyzna z ochroniarzami. Mieszkał na dużym jachcie. -

Spojrzał na zatokę i jachty zakotwiczone po zawietrznej falochronu z mojej prawej strony. - Nie ma go tam - stwierdził po chwili. - To był duży motorowy jacht z niebieskim kominem. Jacht miał co najmniej trzydzieści metrów długości. Mężczyzna przychodził na plażę i zaczepiał piękne kobiety, proponując przejażdżkę na nartach wodnych.

Podziękowałem mu i postanowiłem skupić się na poszukiwaniach jachtu. Nikt na plaży nie potrafił mi powiedzieć, jak się nazywał ani kiedy od-

płynął, chociaż kilka innych osób też go widziało. Jakaś Angielka zasugerowała, żebym zapytał w doku paliwowym portu, gdzie cumowały łodzie rybackie.

- Jest tam kilka sklepów, w których zaopatrują się wszyscy rybacy - poinformowała. - Znajdzie pan tam także komendanta portu, który powinien wiedzieć coś więcej.

Podziękowałem jej i zszedłem z plaży. Chodząc po niej, nie zdjąłem butów, więc były pełne piasku. Zobaczyłem niski mur, który oddzielał jakiś ogród od ulicy. Usiadłem na nim i zacząłem wytrząsać piasek z butów.

Zawiązując sznurowadła, na chwilę uniosłem głowę i zerknąłem w głąb ulicy. Na rogu, mniej więcej sto metrów dalej, stał jakiś mężczyzna. Miał aparat fotograficzny z ogromnym teleobiektywem i kierował go w moją stronę.

Czyżby jakiś turysta, który chce uwiecznić widok ulicy? Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Wstałem i wszedłem szybko za róg w jedną z wąskich uliczek biegnących od plaży w kierunku szczytu wzgórza. Przeskoczyłem na taras hotelu Mirzana.

Zobaczyłem stamtąd port rybacki. Dzielila mnie od niego mniejsza odległość, niż gdybym szedł plażą, bo musiałem tylko zejść po zboczu, zamiast dreptać wijącym się brzegiem morza. Zniknąłem z hotelu, żeby nie zobaczył mnie recepcjonista, który zamierzał mnie wydać w ręce żandarmów. O ile mogłem się zorientować, cały teren był pod obserwacją policji.

Dok paliwowy znalazłem bez trudu, kierując się intensywną wonią oleju napędowego do silników diesla. Wyglądał jak wystający z portu cienki palec z niewielkim budynkiem na końcu. Był odpływ, bo woda opadła prawie trzy metry poniżej pomostu z desek.

Dwaj chłopcy obsługujący pompy nie znali ani słowa po angielsku, ale przyprowadzili z budynku starszego mężczyznę, który miał na sobie koszulę w zachodnim stylu, krawat i dżelabę.

- Ach, ta wielka łódź - powiedział. - Nazywać się „Hadż” i pochodzić z Omanu. Odpłynąć wczoraj wieczór. Przypłynąć tu po paliwo i zniknąć.

- Dokąd odpłynęła? - zapytałem i niby od niechcienia wyjąłem plik banknotów dinarowych w taki sposób, żeby mógł je zobaczyć.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jedna chwila - rzucił, gestem pokazując mi, żebym nigdzie nie odchodził. - Ja zapytać.

Poszedł do budynku. Przez otwarte drzwi zobaczyłem, że podnosi słuchawkę telefonu i z kimś rozmawia. Raz obejrzał się na mnie przez ramię, jakby chciał się upewnić, czy nie odszedłem.

Potem odłożył słuchawkę i wrócił.

- Ja rozmawiać z komendant portu - oznajmił. - On mi nie powie, ale ja z nim się sprzeczać. On być... tru-u-udny. - Przeniósł spojrzenie na pieniądze w mojej dłoni.

Wręczyłem mu pięć dwudziestodinarówek.

- Może to pomoże - zasugerowałem. - To prezent. Chcę w taki sposób okazać panu wdzięczność.

Pokiwał głową ale zamiast popatrzeć na banknoty, wbił wzrok w odległy koniec doku. Odwróciłem się i spojrzałem tam, ale nie zobaczyłem niczego podejrzanego.

- Dokąd odpłynęła ta łódź? - powtórzyłem. Mężczyzna pociągnął za krawat, jakby się zastanawiał.

- Oni popłyną na Sycylia - odparł w końcu, tym razem nie odrywając spojrzenia od mojej twarzy. Znow się odwróciłem.

Z przeciwległego końca doku szło w naszą stronę dwóch umundurowanych żandarmów. Nie spieszyli się, ale wyraźnie kierowali się do nas. Dok wcinał się w port, więc nie mogłem mieć wątpliwości. Wiedzieli o mnie.

Odwróciłem się i czując narastający gniew, spojrzałem na szefa doku paliwowego. Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie i powoli zaczął się cofać, żeby znaleźć się poza zasięgiem moich rąk.

Przeskoczyłem dzielące nas półtora metra i wyszarpnąłem pieniądze z jego dłoni. Skulił się i cofnął, a uśmiech zniknął jak zdmuchnięty z jego twarzy. Kiedy postąpiłem ku niemu jeszcze krok, poślizgnął się i wpadł do wody. Obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Dobrze mu tak, pomyślałem.

Słyszac dobiegający z tyłu odgłos kroków, odwróciłem się. Żandarmi biegli, jakby zamierzali mnie powstrzymać przed następnymi aktami przemocy. Stałem na krawędzi pomostu i dałem krok naprzód. Zanim moje stopy dotknęły powierzchni wody, skoczyłem do górskiej samotni w Teksasie. Tego samego popołudnia przeskoczyłem na Union Station w Waszyngtonie i z budki telefonicznej zadzwoniłem do Perstona-Smythe'a. Po czwartym sygnale telefon odebrała sekretarka, co wprawiło mnie w zdumienie. Była przecież Wigilia.

- Tu biuro doktora Perstona-Smythe'a - usłyszałem.

- Czy zastałem pana doktora?

- Jest w tej chwili w sali konferencyjnej z kilkoma gośćmi.

- A ja dzwonię z budki, więc nie mogę podać pani numeru telefonu - oznajmiłem. - Kiedy będę mógł z nim porozmawiać?

- Zaryzykuję i zapytam go o to - obiecała sekretarka. - Jak pan się nazywa?

- David Rice.

- Proszę zaczekać.

Przełączyła aparat na oczekiwanie. Ze słuchawki popłynęły dźwięki kolędy.

Obok mnie przeszedł, utykając, starszy mężczyzna w kraciastym garniturze i podartym płaszczu. Nosił brudne buty lekkoatletyczne. Prawą stopę miał wykręconą do wewnątrz w taki sposób, że

podeszwa była zwrócona w stronę drugiej stopy, zamiast w stronę chodnika, przez co musiał opierać ciężar ciała na zewnętrznej krawędzi. Nic dziwnego, że utykał.

Za nim przeszła kobieta w sięgającym kolan futrze. Patrzyła prosto przed siebie, jakby się skupiała na nieskończoności. Kiedy mijała utykającego mężczyznę, jedną ręką przyciągnęła ku sobie połę futra, żeby się nie otarła o jego ubranie. W drugiej ręce trzymała wielką torbę wypełnioną starannie opakowanymi prezentami.

W słuchawce w mojej dłoni nagle rozległ się głos samego doktora Perstona-Smythe'a.

- Nie chciałem panu przeszkadzać w konferencji - powiedziałem.
- Nic nie szkodzi, panie Rice — odparł. — Sekretarka nie wiedziała, że dzwoni pan z Algierii.
- Nie dzwonię z Algierii - oznajmiłem. - Jestem w Waszyngtonie.
- Ach tak? W takim razie może mógłby pan wpaść do mojego biura?
- Właśnie zamierzałem to zaproponować.

Perston-Smythe zakrył słuchawkę dłonią i powiedział coś do innej osoby. Później usłyszałem:

- Kiedy mógłby pan się tu zjawić?

Natychmiast, pomyślałem. Bardzo mnie kusilo, żeby skoczyć bezpośrednio do jego gabinetu.

- Proszę mi dać dziesięć minut.
- Oczywiście.

Przeskoczyłem do Teksasu, wziąłem trochę gotówki i odszukałem starego mężczyznę ze zniekształconą stopą. Dałem mu dwadzieścia tysięcy dolarów z nadzieją że z ich powodu nikt go nie zabije.

Jedenaście minut po odwieszeniu słuchawki na Union Station zapukałem do drzwi gabinetu Perstona-Smythe'a. Doktor osobiście otworzył drzwi.

- Wejdz, Davidzie - powiedział.

Stałem na progu, ale zobaczyłem w gabinecie innego mężczyznę, który siedział za biurkiem Perstona-Smythe'a.

- Mogę tu zaczekać, aż pan skończy - zaproponowałem.
- Nie, proszę wejść - odezwał się nieznajomy mężczyzna. - Czekaliśmy na pana.

Miał niski dźwięczny głos i umiał go modulować.

- To pan Cox, Davidzie - przedstawił go Perston-Smythe. - Brian Cox.

Kiwnąłem głową i z wahaniem wszedłem do środka. Perston-Smythe zamknął drzwi i wskazał mi jedno z dwóch wolnych krzeseł. Sam usiadł na tym, które stało bliżej drzwi.

Coś mi się tu nie podoba, pomyślałem.

- Są panowie pewni, że w niczym nie będę przeszkadzał? - spytałem.

- Całkowicie - odparł Cox. Był wysoki, miał nalaną twarz i kręcone czarne włosy, przystryżone bardzo krótko na skroniach. Wyglądał jak były zapaśnik, który mógłby rozedrzeć mnie na strzępy. -

Co pan porabiał w Algierii, panie Rice? - zapytał.

- Dlaczego pan sądzi, że byłem w Algierii?

- W piątek przeszedł pan przez algierską odprawę celną - zaczął Cox. - W niedzielę spotkał się pan z Basilem Theodorem, pracownikiem brytyjskiej ambasady. Wczoraj algierska policja ścigała obywatela Stanów Zjednoczonych, który uciekł z hotelu w Tigzircie po tym, jak go przyłapano na przekroczeniu przepisów dewizowych. Ten obywatel Stanów Zjednoczonych wyglądał prawie tak samo jak pan.

- Pan też pracuje na uniwersytecie, panie Cox? - zagadnąłem. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się to mało prawdopodobne.

Wyciągnął portfel, otworzył i położył na biurku przed sobą. Legitymacja z jego zdjęciem informowała, że Brian Cox jest funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Cholera.

- O co panu chodzi, panie Cox? - zapytałem. - Jeżeli rozmawiał pan z doktorem Perstonem-Smythem, na pewno pan wie, że szukałem tam Rashida Matara. Wie pan także, dlaczego.

- Uwierzyłbym w to, gdyby zatrzymał się pan w hotelu, zamiast zniknąć z lotniskowej toalety - odparł agent. - Nasza ambasada nie ma pojęcia, co się z panem działo między chwilą przylotu a spotkaniem w restauracji z Theodorem. Nie wiemy też, co pan robił później, przed pojawieniem się w Tigzircie. Dla kogo pan pracuje? W którym bezpiecznym domu się pan ukrywał? Nie jest pan jednym z naszych pracowników. Pytaliśmy o to we wszystkich agencjach. Kim pan właściwie jest?

- Nazywam się David Rice, jestem osiemnastoletnim Amerykaninem i nie pracuję dla nikogo. -

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Spodziewałem się, że Perston-Smythe spróbuje mnie zatrzymać, ale on tylko odwrócił głowę i spojrzał na mnie, kiedy otwierałem drzwi.

Za drzwiami stało trzech mężczyzn w garniturach. Dwaj trzymali ręce w kieszeni marynarki, a trzeci wyciągał ku mnie kajdanki. Zatrzasnąłem drzwi.

- Czy jestem aresztowany? - spytałem.

Cox zignorował moje pytanie. Z leżącej na biurku szarej koperty wyjął jakąś fotografię.

- To zdjęcie wykonano w Tigzircie sześć godzin temu - powiedział. - Wywołano film, zrobiono odbitkę i godzinę temu przesłano mi przez satelitę. Właśnie dlatego byłem tu, kiedy pan zadzwonił.

- Odwrócił fotografię w taki sposób, żebym mógł ją zobaczyć.

Przedstawiła mi, siedzącego na ogrodowym murku i zawiązującego sznurowadło.

- Chcę poznać odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie panu zadałem, ale przede wszystkim chcę się dowiedzieć, jak, u diabła, dostał się pan z Algierii do Waszyngtonu w ciągu niespełna sześciu godzin! - zawołał Cox, uderzając fotografię otwartą dłonią.

Wzdrygnąłem się, świadomy, że nie dam rady zniknąć z gabinetu w taki sposób, by nikt tego nie zauważył. Zawsze istniała taka możliwość, uświadomiłem sobie. Wiedziałeś to od samego początku. Czy ci mężczyźni wiedzą o innych skoczkach? Czy znają moje umiejętności? Zaczęły mi się pocić dłonie, a serce biło jak oszalałe.

- Chcę porozmawiać z moim adwokatem - oświadczyłem.

- Nie jest pan aresztowany.

- W takim razie wychodzę.

Cox pochylił się do przodu i lekko uśmiechnął.

- Nie sądzę - powiedział. - Harris! - zawołał. Drzwi za moimi plecami otworzyły się. Spojrzałem na Perstona-Smythe'a.

- Pozwoli im pan na to?

Cox uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Doktor Perston-Smythe jest kontraktowym pracownikiem naszej agencji zaczął. - Jak pan sądzi, kto nas poinformował o pana istnieniu?

Zrobiłem krok w stronę biurka. Pięciu świadków, pomyślałem. Lepiej niech ci się to uda.

Uśmiechnąłem się beztrąsko.

- Chcę powiedzieć tylko jedno - oznajmiłem. - Mam nadzieję, że przekaże pan moje słowa zwierzchnikom, których na pewno ma pan co niemiara.

Cox zmrużył oczy.

- Co chce mi pan powiedzieć? - spytał.

- Nie zamierzamy wyrządzić waszej planecie żadnej krzywdy - odparłem.

I skoczyłem.



## Rozdział 15

Mojego telefonu nie odebrali ani Millie, ani jej ojciec. Uznałem to za dobry znak. Gdyby dotarli do nich funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, na pewno ktoś odebrałby telefon, żeby wciągnąć mnie w zasadzkę.

Zanim pojawili się przed drzwiami mojego mieszkania w Stillwater, zdążyłem przenieść większość rzeczy, a przynajmniej najważniejsze: aparaturę wideo, zbiór nagrań miejsc lądowania, wszystkie ubrania, wszystkie pieniądze i większość książek.

Nie usłyszałem, jak wchodzili po schodach, ale pod drzwiami postawiłem na sztorc kilka patelni, które przewróciły się z głośnym brzękiem. Przeskoczyłem, trzymając w objęciach stos książek.

Leo Silverstein znał mój adres, bo mu go podałem. Miałem nadzieję, że nic mu nie zrobili, kiedy zmuszali go do wyjawienia tej informacji. W jego kancelarii leżał mój wniosek z adresem o wydanie paszportu, pan Anderson z Departamentu Stanu znał Leo i to on umówił mnie na spotkanie z doktorem Perstonem-Smythem. Agenci włamali się do mojego mieszkania dopiero o północy, co mogło wskazywać, że przedtem musieli się włamać do kancelarii Leo, żeby zdobyć mój adres.

Zawsze podejrzewałem, że Karta Praw bywa „liberalnie” interpretowana.

Najbardziej martwiłem się o Millie. Jeżeli znaleźli ślady wiodące do Nowego Jorku i sierżanta Washburna, mogli wyciągnąć od niego jej nazwisko i adres. Niemal natychmiast po skoku z gabinetu Perstona-Smythe'a pomyślałem, że powinienem był dać im się zamknąć w celi i dopiero stamtąd przeskoczyć w inne miejsce. Wszystko, byle tylko nie zobaczyli, jak przeskakuję.

Och, Boże. Miałem nadzieję, że nie dotrą do Millie. Z międzynarodowego lotniska Willa Rogersa jeszcze raz zadzwoniłem do domu jej ojca w Oklahoma City. Tym razem telefon odebrała Millie.

- Kocham cię - powiedziałem.

- Co się stało?

- Dlaczego uważasz, że coś się stało? - Chrząknąłem. - No dobrze, rzeczywiście coś się wydarzyło.

Możesz wyjść dziś wieczorem?

- Przecież jest Wigilia - przypomniała mi. - Muszę zdążyć do mamy na Boże Narodzenie. Moja macocha i tak się wścieka, że spędzę większą część ferii u mamy. Spotkamy się jutro, tak jak zaplanowaliśmy.

Nie miałem pojęcia, jak szybko potrafią działać agenci ABN. Możliwe, że już wykonali pierwszy ruch.

- Czy pamiętasz, gdzie poszliśmy na kolację pierwszego wieczoru, kiedy cię odwiedziłem w Stillwater? - spytałem.

- Masz na myśli...

- Nie mów tego na głos!

Od razu zrozumiała znaczenie moich słów.

- Obawiasz się, że mój telefon jest na podsłuchu?

- To możliwe - odparłem.

- Dlaczego ktoś miałby zakładać podsłuch? Co się stało?

- Sama się domyśl. Millie westchnęła.

- To była kolacja przed imprezą prawda? - upewniła się.

- Tak. - Chodziło mi o restaurację przy drodze 1-35, gdzie podawano steki. Wpadliśmy tam, jadąc z lotniska na imprezę w Stillwater.

- Kiedy zamierzasz wyruszać do Stillwater? - zapytałem. Wolałem nie wymieniać nazwy Wichita, w razie gdyby ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę.

- Planowałem wyjechać o dziewiątej.

- W takim razie spotkajmy się w tamtym miejscu. Będę na ciebie czekał. Jeżeli ktoś będzie cię śledził, na pewno go zauważysz. W Boże Narodzenie nie powinno być dużego ruchu.

Usłyszałem, że Millie przełknęła ślinę.

- Dobrze - powiedziała.

- Gdybyśmy się nie spotkali, pamiętaj, że zerwałaś ze mną tamtego dnia, kiedy zadzwoniła do ciebie policja.

- Rzeczywiście o mało wtedy nie zerwaliśmy z sobą.

- Tak. Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Odwiesiłem słuchawkę.

Następnego dnia o siódmej rano pojechałem taksówką do restauracji, w której podawano steki.

Byłem już w niej, ale nie zapamiętałem miejsca na tyle dobrze, żeby tam wylądować. Taksówkarz nie chciał mnie zostawić, bo z powodu świąt restauracja była zamknięta, a lodowaty północny wiatr ciał wszystko jak nożem. Przekonałem go jednak, że zaraz ktoś po mnie przyjedzie.

Zastanowiłem się, czy nie skoczyć do domu mojego starego, ale dom mógł być pod obserwacją. To miejsce wydawało się bezpieczniejsze.

Przeskoczyłem na drugą stronę szklanych drzwi do ciepłego wnętrza, zapamiętałem miejsce lądowania obok kuchni i wróciłem do mojej górskiej samotni.

Poprzedniej nocy, zanim poszedłem spać, skorzystałem z toalety w bibliotece publicznej w Stanville, ale bardzo mi brakowało wanny i prysznic,

które miałem w mieszkaniu w Stillwater. Postanowiłem, że później, kiedy będę miał czas, wynajmę pokój w jakimś motelu, na przykład w Minnesocie. Nieopodal postoju dla ciężarówek był tam Western Inn, do którego często wpadał Topper Robbins.

Nastawiłem budzik na ósmą czterdzieści pięć i próbowałem zasnąć, ale bezskutecznie. Zmagałem się z wizjami ubranych w białe kitle naukowców, którzy wbijali w moją głowę skalpele i hemostatyczne kleszczyki.

Przypomniałem sobie naukowców z powieści Alfreda Bestera Gwiazdy moim przeznaczeniem, którzy umieścili pewnego mężczyznę w szczelnym zbiorniku i zaczęli go topić. Mieli nadzieję, że mężczyzna „wybierze się na wycieczkę”, to znaczy teleportuje się, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Mężczyzna z książki to zrobił, ale ja miałem przed oczami obraz moich ubranych w białe kitle przyjaciół, którzy umieścili w zbiorniku Millie i zaczęli go napępiać. Jeden mówił do drugiego: „Wszystko w porządku. Jeżeli zdoła się teleportować, nic się jej nie stanie, a jeżeli nie, nie będziemy musieli dłużej zwracać sobie nią głowy”. Z każdą chwilą poziom wody w zbiorniku stawał się wyższy.

Kiedy zadzwonił budzik, wreszcie uwolniłem się od tych koszmarów. Skoczyłem do biblioteki w Stanville, poszedłem do toalety i spryskałem twarz wodą. Później zabrałem z Teksasu lornetkę i przeskoczyłem do restauracji, w której podawano steki.

Ojciec Millie mieszkał we wschodniej części miasta, ale że ruch na ulicach był niewielki, podróż do restauracji na północnym krańcu Oklahoma City zajęła jej tylko dwadzieścia minut. Z szosy zjechały za nią dwa inne samochody. Kierowca jednego minął restaurację i zatrzymał się na drodze wyjazdowej, a drugi stanął przed podjazdem do lokalu. Zobaczyłem przez lornetkę, że w każdym samochodzie siedzi czterech mężczyzn.

Spojrzałem na Millie. Siedziała w swoim aucie na parkingu i była wyraźnie zdenerwowana, więc na pewno zauważyła jadące za nią samochody. Dzieliło nas zaledwie piętnaście metrów, ale restauracja miała przyciemniane szyby w oknach, więc nie mogła mnie zobaczyć w środku. Kucnąłem, wyobraziłem sobie tylną kanapę jej samochodu i przeskoczyłem tam.

- Nie rozglądaj się - powiedziałem.

Millie podskoczyła i zaczęła odwracać głowę, ale po moich słowach znów spojrzała prosto.

- Staraj się nie poruszać ustami, kiedy będziesz coś mówiła - ostrzegłem. - Ci dranie mogą mieć lornetki.

- Ogli taghe uiesiś pluskhy w tym chamochozie.

Musiałem przyznać, że nie wziąłem pod uwagę takiej ewentualności.

- Czy stał na ulicy dzisiaj w nocy? - zapytałem.

- Nie. Ata stawiy go do gahażu.

- No cóż. Musimy zaryzykować. Kocham cię.

- Ja myślę - wybełkotała Millie. - Zwłaszcza po tym wszystkim, co się tu wyprawia.

Uśmiechnąłem się.

- Ja też życzę ci wszystkiego najlepszego z okazji Bożego Narodzenia - oznajmiłem. - Jedź na północ. Kiedy znajdziesz się na autostradzie, możesz przestać udawać bruchomówczynię.

Millie uruchomiła silnik i wjechała na drogę wylotową. Napiąłem mięśnie, kiedy przejeżdżaliśmy obok miejsca, w którym stał pierwszy samochód, i jeszcze bardziej rozpląsałem się na podłodze.

- Co robią? - zapytałem.

- Patrzą na mapę - odparła Millie. - Bardzo przekonująco odgrywają role czterech mężczyzn, którzy zabłądzili. Powinni utworzyć zespół i właśnie tak się nazwać. Drugi samochód podjeżdża przed restaurację. Wygląda na to, że zamierzają ją przeszukać. Ach, Czterech Zabłąkanych facetów właśnie uruchomiło silnik swojego auta.

Obróciłem się, bo zrobiło mi się niewygodnie. Samochód Millie miał napęd na tylne koła, więc środkiem podłogi biegło wybrzuszenie na wałek napędowy. Spojrzałem nad krawędzią fotela na przednią część kabiny. Fotel pasażera i podłoga przed nim były puste. Przeskoczyłem tam, usiadłem na podłodze i oparłem plecy o przód siedzenia fotela.

Millie drgnęła, a samochód lekko skręcił.

- Przepraszam, ale było mi niewygodnie - wyjaśniłem. Wyciągnęła rękę i musnęła mnie po twarzy.

Położyłem dłoń na jej udzie

i lekko je ścisnąłem.

- Kim są ci goście? - zapytała.

- To ludzie z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - odparłem. - Jeden z ich agentów zrobił mi zdjęcie, kiedy byłem w Algierii. Sześć godzin później... o wiele za szybko, żebym zdążył stamtąd przylecieć rejsowym samolotem... inny agent zobaczył mnie w Waszyngtonie. Miałem na sobie to samo ubranie, więc nic dziwnego, że był zaintrygowany.

- Nie ma samolotów, którymi mogłeś tu przylecieć?

- Jasne, że są. Ponaddziesięć myśliwców wojskowych, ale raczej nie zabierają na pokład cywilów.

Nie winię gości z ABN, że się mną interesują. Skoro potrafię latać wojskowymi odrzutowcami, muszę stanowić naprawdę duże zagrożenie. - Milczałem chwilę, a potem dodałem: - Szczerze mówiąc, wpadłem w panikę. Skoczyłem i zniknąłem na oczach pięciu świadków.

- O, kurczę - mruknęła Millie. - To nie było najlepsze wyjście z sytuacji.

- Wiem - przyznałem. - Ale nie pozwolili mi się skontaktować z adwokatem. Obawiałem się, że zaczną mi miażdżyć kciuki w imadle albo nakłuwać mnie igłami.

Millie skrzywiła się, jakby połknęła coś kwaśnego.

- Dla ciebie wszystko dobrze się skończyło - powiedziała. - Ale co się stanie, jeżeli zabiorą się do mnie?

- Mam nadzieję, że nie, chociaż nie jestem tego pewny - odparłem. - Teraz, kiedy wiedzą, na co mnie stać, zaczną te wojskowe bzdury, że opanowana umiejętność równa się intencjom.

Millie położyła dłoń na mojej dłoni, którą cały czas trzymałem na jej udzie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała. - Boisz się, że pomyślą, że obrabujesz wszystkie banki w hrabstwie?

Pokręciłem głową

- Nie wiedzą, że okradłem tamten bank, i raczej na to nie wpadną. Ale mogą mnie podejrzewać o coś znacznie gorszego. Że mógłbym zabić albo porwać prezydenta. Albo ukraść głowice jądrowe i umieścić je w naszych głównych miastach. Przemycić do kraju ogromne ilości narkotyków bez obawy, że ktokolwiek je przechwyci. Wskakiwać do tajnych baz, wykraść z nich tajne dokumenty i sprzedawać je Chińczykom. A najgorsze, że mogą chcieć, żebym robił to wszystko naszym przeciwnikom.

- Nie zrobiłbyś niczego takiego.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Millie nie miała cienia wątpliwości co do moich intencji. O mało się nie rozplakałem. Wzruszony, przycisnąłem twarz do jej nogi. Pogłaskała mnie po włosach.

- Przepraszam - powiedziałem.

- To nie twoja wina - odparła. - I chyba nikt tu nie zawinił, ale coś takiego bardzo wszystko komplikuje, prawda?

- Tak.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

- Nie wiem - mruknąłem ponuro. - Mógłbym od tego wszystkiego uciec. Mógłbym zainstalować prysznic i toaletę w mojej samotni w górach. Moglibyśmy się wybrać w podróż po Europie i Bliskim Wschodzie.

- Kusząca propozycja, ale niemożliwa do realizacji - orzekła Millie.

- Mam w tym semestrze szesnaście godzin zajęć.

Zacząłem przesuwając dłoń po jej udzie, aż czubkami palców dotknąłem wewnętrznego szwu dżinsów.

- Przestań! - krzyknęła. - Chcesz, żebym spowodowała wypadek?

- Zdjęła moją rękę ze swojej nogi. - Co mam zrobić?

- Jeżeli chcesz prowadzić normalne życie, będziesz musiała udawać, że między nami wszystko jest

skończone - powiedziałem. - Jeśli podsłuchiwali naszą wczorajszą rozmowę, nie dadzą się na to nabrać, ale jeśli jej nie podsłuchiwali, może mamy szansę.

Millie zaczęła wyprzedzać wlokącą się ciężarówkę. Skuliłem się przy drzwiach, żeby kierowca nie zobaczył mnie z wysokości swojego fotela.

- Mój telefon raczej nie był na podsłuchu - odezwała się Millie, gdy zakończyła manewr.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Wczoraj wieczorem dwa razy wyprowadzałam na spacer psa taty - wyjaśniła. - Zaraz po twoim telefonie i zanim poszłam spać. Za pierwszym razem na ulicy nikogo nie było, ale za drugim zobaczyłam zaparkowany wóz dostawczy. Zdziwiłam się, bo jego silnik pracował, a w głębi ulicy stał jakiś facet. Nikt nie stoi na skrzyżowaniu w tamtej okolicy, zwłaszcza późnym wieczorem, kiedy temperatura spada do minus jedenastu stopni.

Z mojego miejsca na podłodze widziałem przez okno tylko wierzchołki drzew i od czasu do czasu fragment tablicy z reklamą albo oznaczenie zjazdu z autostrady. Dostrzegłem także śmigłowiec, który leciał na północ na dużej wysokości.

- Więc przyjechali do ciebie po moim telefonie - mruknąłem. - No cóż, w takim razie tym bardziej powinnaś zachować spokój. Czy twoi rodzice

o nas wiedzą?

Millie pokręciła głową.

- Nie opowiadałam im o moim życiu uczuciowym - odparła. - Są... hm... raczej konserwatywni, więc częściej ich ogólnikami.

- A twoja współlokatorka?

- Jej też nie pisałam ani słowa. Gdybym zaczęła, musiałabym opowiedzieć wszystko. Pewnie i tak by mi nie uwierzyła, a poza tym uważa, że jesteś dla mnie za młody.

- W tej chwili rzeczywiście czuję się bardzo młodo - przyznałem. - Wygląda na to, że śledzą nas z powietrza.

- Chyba żartujesz!

- Sama się przekonaj - odparłem. - Śmigłowiec jest w tej chwili na zachód od nas, ale wisi tam od bardzo dawna. Pojadę z tobą do Wichita, żeby zapamiętać dom twojej mamy, a zwłaszcza twój pokój. Obawiam się, że odtąd będziemy mogli się widywać tylko w nocy. Jeżeli wyjdiesz na spacer i nagle znikniesz, nie zdołasz ich przekonać, że naprawdę ze mną zerwałaś.

Millie kiwnęła głową.

- Wstawię samochód do garażu, a ty postaraj się zapamiętać, jak wszystko wygląda. Dzisiaj po południu idę z mamą na świąteczny obiad do mojej siostry. Mój pokój znajduje się na tyłach domu. Zostawię na łóżku walizkę, żebyś wiedział, który to.

- O której wychodzicie? - spytałem.
- Mamy być u siostry o czwartej.
- Okej. Teraz przeskoczę na tylną kanapę i trochę się zdrzemnę. Nie spałem najlepiej dzisiejszej nocy.

Millie podniosła dłoń do ust, pocałowała czubki dwóch pierwszych palców i przycisnęła je do moich warg.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - oznajmiła. - Kolorowych snów.

Obudziła mnie, kiedy skręciliśmy na drogę dojazdową do domu jej mamy. Przeskoczyłem z powrotem na podłogę przed fotelem pasażera.

- Czy twoja eskorta nadal jest z nami? - zapytałem.

- Tak - odparła Millie. - Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, kierowcy obu samochodów zmniejszyli dzielącą ich odległość. Zaczyna mnie to doprowadzać do szału.

- Przepraszam - powiedziałem. Pokręciła głową.

- Nie jestem wściekła na ciebie - wyjaśniła. - Wkurza mnie mentalność tych ludzi, którzy cały czas rozumują w kategoriach zimnej wojny. No, jesteśmy na miejscu.

Skręciła na podjazd i zahamowała tak raptownie, że samochód zakołysał się, nim znieruchomiał.

Skuliłem się jeszcze bardziej. Millie wyskoczyła z auta i po chwili usłyszałem odgłos otwieranych drzwi garażu. Po kolejnej chwili Millie wsiadła i wjechała do środka.

- Na razie się nie ruszaj - przykazała. - Mama słyszała, jak otwierałam garaż. Odwróć jej uwagę, a ty w tym czasie zarejestrujesz miejsce lądowania.

Wysiadła w tej samej chwili, kiedy otworzyły się wewnętrzne drzwi. Jakaś kobieta powiedziała:

- W samą porę! Jak się czujesz, kochanie?

Millie zatrzasnęła drzwiczki i zniknęła mi z widoku. Usłyszałem jej stłumiony głos:

- Cześć, mammo. Boże, jak tu zimno! Zrobiłaś w tym roku świąteczne kakao?

- Naturalnie - odparła jej mama. - Chcesz filiżankę?

- Z rozkoszą. Zamknę tylko garaż i zabiorę moje rzeczy, a ty w tym czasie nastaw wodę.

- Już idę.

Usłyszałem trzask zamykanych drzwi wewnętrznych. Millie przeszła obok okna kierowcy i kiedy zasunęła drzwi garażu, w pomieszczeniu zrobiło się znacznie ciemniej.

- Chryste. - Wygramoliłem się z samochodu i przeciągnąłem. Millie podeszła do mnie i pocałowaliśmy się.

- Idź - powiedziała, odpychając mnie. - Możesz wskoczyć do tego domu między czwartą a mniej więcej siódmą. Do tej pory dzieciaki mojej siostry doprowadzą mamę do szału.

Rozejrzałem się po garażu i zapamiętałem miejsce w kącie obok jej samochodu.

- Przeskoczę do twojego pokoju o północy, dobrze? - zaproponowałem. - Nie odzywaj się do mnie, kiedy tam wyląduję. Kiedy was nie będzie, mogą naszpikować cały dom pluskwami.

Po jej twarzy przemknął grymas wściekłości.

- Mamy im na to pozwolić? Wzruszyłem ramionami.

- Ja też uważam, że to niesprawiedliwe - oznajmiłem.

- No cóż, zawsze będę mogła wezwać policję - stwierdziła Millie. - Prawdę mówiąc, to doskonały pomysł. Kiedy następnym razem zobaczę, że za mną jadą, wezwę gliniarzy. Dwie samotne kobiety śledzone przez czterech mężczyzn w samochodzie? To bardzo podejrzane. Ciekawe, co się stanie. -

Przytuliła się do mnie. - O północy.

- Tak... - Jeszcze raz ją pocałowałem i przeskoczyłem.

Jeżeli nie liczyć skoku do Wichita o czwartej piętnaście, spędziłem popołudnie, drzemiąc i rozmyślając. Cały czas zastanawiałem się, czy Millie spędza czas z rodziną swojej siostry, czy też schwyłali ją funkcjonariusze ABN.

Gdybym ją obserwował, gotów pospieszyć na ratunek, mogliby mnie zobaczyć, a to by ją naraziło na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Pomyślałem, że gdyby zobaczyli mnie gdzie indziej, daleko od niej, może przestaliby się nią interesować.

Perstona-Smythe'a nie było w gabinecie. Niestety jego szafki były zamknięte, a ja nie wiedziałem, jak się do nich włamać, ani też nie miałem na to ochoty. W pustym budynku panowała głucha cisza. Na liście w sali recepcyjnej znalazłem jednak numer telefonu i adres doktora.

Pojechałem tam taksówką.

Perston-Smythe mieszkał na północno-zachodniej ulicy M w domu wciśniętym między dwa inne. Zanim podszedłem do drzwi, rozejrzałem się po okolicy. Szukałem mężczyzn siedzących w zaparkowanych samochodach albo stojących przed innymi domami, ale nikogo takiego nie zauważyłem.

Drzwi otworzyła mi kobieta mniej więcej w tym samym wieku co Perston-Smythe, to znaczy około czterdziestki. Była ubrana w zielony golf



i czerwoną spódnicę w szkocką kratę - bardzo odpowiednio na okres świąt Bożego Narodzenia.

Miała siwe włosy, a na twarzy drobne zmarszczki.

- Czy zastałem doktora Perstona-Smythe'a? - spytałem. Kobieta sprawiała wrażenie zirytowanej, ale szybko się opanowała.

- Oczywiście - odparła. - Proszę do środka. Zaraz go poproszę. Kogo mam zapowiedzieć?

- Nazywam się David Rice.

Kobieta kiwnęła głową. Wyglądało na to, że moje nazwisko jej nie mówi. Zaprowadziła mnie korytarzem do saloniku z elektrycznym grzejnikiem na palenisku. Stałem tyłem do niego, a twarzą do drzwi.

Perston-Smythe pojawił się dopiero po kilku minutach. Domyśliłem się, że zanim przyszedł, zadzwonił do kogoś. Prawdopodobnie usłyszał polecenie: „Graj na zwłokę. Zaraz tam przyjedziemy”. Kiedy wszedł, prawą dłoń trzymał w kieszeni tweedowej marynarki.

- Dziwię się, że pan tu przyszedł - powiedział. Wzruszyłem ramionami.

- No cóż, nie załatwiłem tego, co chciałem, kiedy odwiedziłem pana wczoraj w gabinecie - przypomniałem. - Mam nadzieję, że załatwię to dzisiaj.

Perston-Smythe zamrugał i wytarł dłonią spocone czoło.

- Przede wszystkim mam nadzieję się dowiedzieć, czy pan się orientuje, gdzie mógł się podziąć Rashid Matar - podjąłem po chwili. - Przedwczoraj opuścił Algierię na pokładzie prywatnego jachtu. Jacht nazywa się „Hadż”, a jego portem macierzystym jest Oman.

Naukowiec oblizał wargi.

Kiedy zrobiłem krok w kierunku krzesła, wzdrygnął się i cofnął. Usiadłem.

- Jeżeli mi pan to powie - rzekłem - może mnie pan tu zatrzymać na dłużej, może na tyle długo, żeby zdążyli przyjechać. A nawet wystarczająco długo, żeby mnie złapali.

- Nie mogę panu pomóc - odparł Perston-Smythe. - Funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Narodowego szukają już tego jachtu, ale nie mają pojęcia, dokąd popłynął. Nie wiemy nawet, czy taki jacht w ogóle istnieje. Nie jesteśmy pewni, czy na jego pokładzie płynie Matar. Mógł się gdzieś zaszyć i obmyślać plan następnego porwania. - Wyciągnął z kieszeni prawą rękę, w której trzymał niewielki automatyczny pistolet. - Niech pan się nie rusza - przykazał.

Nie spodobał mi się czarny okrągły otwór na końcu lufy, zwrócony w moją stronę. Na jego widok wzdrygnąłem się.

- Chyba pan żartuje - powiedziałem.

- Dopiero co wróciłem do domu - ciągnął naukowiec. - Prawie cały wieczór spędziłem podłączony do poligrafii, a resztę czasu w hipnozie wywołanej przez lekarstwa. Wątpi pan, że strzele?

Przeskoczyłem na korytarz za jego plecami.

- Do kogo? - zapytałem.

Drgnął, odwrócił się i zaczął kierować lufę pistoletu w moją stronę. Skoczyłem z powrotem na krzesło. Perston-Smythe rozglądał się chwilę i w końcu zobaczył mnie siedzącego na krześle z nogą założoną na nogę.

- Naprawdę pan uważa, że Matar porwie następny samolot? - spytałem. Person-Smythe chwycił powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Ścisnął pistolet tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie. Zastanowiłem się, dokąd bym przeskoczył, żeby ktoś opatrzył moją ranę, gdyby jednak do mnie strzelił. Pomyślałem, że na pewno będę miał do czynienia z agentami ABN, więc powinienem zarejestrować miejsce lądowania w izbie przyjęć dobrego szpitala.

- Tak, bo nie osiągnął tego, co zamierzał osiągnąć przy poprzednim porwaniu - odezwał się wreszcie Perston-Smythe. Skierował lufę pistoletu w podłogę. Zaczynał oddychać wolniej, bardziej miarowo. - Jak pan to robi? - zapytał.

- Promienie Bertola - odparłem. - Rodzaj energii, której ludzie dotąd nie opanowali. - Zastanowiłem się, czy rozpozna wyświechtany frazes z serialu Star Trek. Równie dobrze mogłem powiedzieć: „Przenieś mnie tymi promieniami, Scotty”.

W tej samej chwili wpadli, nie fatygując się przyciskaniem dzwonka ani choćby naciskaniem klamki. Skrzywiłem się na widok rozłupywanej ościeżnicy.

- Mam nadzieję, że kupię panu nowe drzwi - powiedziałem, kiedy do saloniku wpadał pierwszy mężczyzna z pistoletem maszynowym w dłoniach. Zanim zdążył odepchnąć Perstona-Smythe'a, skoczyłem.

Z powodu świąt biblioteka w Stanville była zamknięta, ale prawdopodobnie obróciło się to na moją korzyść. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim w urzędach pocztowych rozlepią moją podobiznę z napisem: „Poszukiwany z powodu zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego”. A może jednak się do tego nie zniżą. Mimo wszystko przed publicznymi zarzutami można się publicznie bronić.

Posłużyłem się skorowidzem „New York Timesa” na mikrofilmie, żeby wybrać miasta z lotniskami, skąd startowały i gdzie lądowały porywane samoloty. Już wcześniej znałem dwa takie miasta, Madryt i Algier. Doszło do nich kilka innych, w tym dwa na Cyprze. I tak chciałem polecieć na Cypr, żeby zobaczyć miejsce, gdzie zginęła mama.

Przeglądanie skorowidza szło mi powoli, bo musiałem znaleźć odpowiednie szpulki, zapoznać się z zawartością, zapisać nazwę miasta albo lotniska i przejść do przeglądania następnego filmu.

Skończyłem pięć minut po północy. Schowałem listę do kieszeni, odłożyłem szpulki na miejsce i przeskoczyłem do pokoju w Wichita, gdzie czekała Millie.

Była w długiej flanelowej koszuli nocnej i leżała na łóżku, ale nie spała. Zasłony były zaciągnięte, a w pokoju paliła się niewielka lampka. Usiadłem na łóżku i pocałowałem Millie. Objęła mnie za szyję, a ja pomogłem jej wstać i przeskoczyłem z nią do samotni w górach. Wylądowałem obok łóżka i usiedliśmy.

- Zimno - powiedziała, wślizgując się pod koc.

- Zaraz rozpalę ogień - odparłem. - Opowiedz mi, co się dzisiaj wydarzyło.

- Śledzili nas aż do domu Sue, więc wezwałam policję i powiedziałam, że czterej mężczyźni w czarnej limuzynie jechali za mną i moją matką przez całe miasto i zaparkowali na ulicy. Policjanci zablokowali oba końce ulicy radiowozami w taki sposób, że tamci czterej nie mogli uciec. Mama i ja obserwowałyśmy wszystko z podwórza przed domem. Ci czterej pokazali glinom jakieś legitymacje i policjanci odjechali. Połączyłam się jeszcze raz z biurem szeryfa, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. W końcu ktoś powiedział, że ci mężczyźni to agenci federalni, którzy nie robią nic nielegalnego. Sądząc z tonu, mój rozmówca podejrzewał, że sama jestem przestępczynią!

Drewno się zajęło, więc podszedłem do łóżka i się rozebrałem.

- To musiało być dla ciebie bardzo stresujące.

- Wkurzyli mnie - przyznała Millie. - Mój szwagier Mark prowadzi kilka spraw dla ACLU\*.

Zamierza złożyć na nich skargę jutro z samego rana, kiedy tylko otworzą gmach sądu.

- To dobrze. Będą mieli, na co zasłużyli - stwierdziłem. - I pomyśleć, że martwiłem się o ciebie. -

Wślizgnąłem się pod chłodny koc i przytuliłem do jej ciepłego ciała. Opowiedziałem o mojej wizycie w mieszkaniu Persto-na-Smythe'a i o poszukiwaniach w bibliotece.

- Zamierzasz przeszkodzić w porwaniu następnego samolotu? - spytała Millie.

- Jeżeli dam radę...

- Nie podoba mi się to. Boję się, że cię zabiją. Muszę przyznać, że i mnie przyszła do głowy taka myśl.

- Najpierw zarejestruję miejsce lądowania w jakimś szpitalu - obiecałem. - Skakanie idzie mi tak gładko, że powinienem przeżyć nawet po

\* ACLU - Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (przyp. tłum.).

poważnym postrzale, jeśli od razu przeskoczę do odpowiedniego szpitala.

- No, nie wiem - mruknęła z powątpiewaniem. - Dlaczego w ogóle miałbyś tak ryzykować?

Pomyślałem o mamie i o tamtej eksplozji na płycie lotniska.

- Chcę go dopaść, Millie - powiedziałem. - Chcę, żeby zapłacił za to, co zrobił. Nie mogę nie podjąć tego ryzyka.

O piątej wróciłem z Millie do Wichita, żeby przespać resztę ranka i obudzić się pod nieustannym nadzorem rządowych agentów. Potem przeskoczyłem do Londynu i kupiłem bilet na Cypr z przesiadką w Rzymie. W obu miejscach terroryści porywali samoloty.

Po wylądowaniu w Rzymie posłużyłem się lornetką, żeby przez okno samolotu wybrać miejsce lądowania po skoku. Później wszedłem do toalety, skoczyłem w wybrane miejsce, zarejestrowałem je i wróciłem na pokład. Na lotnisku w Nikozji powtórzyłem tę procedurę, tyle że nie skoczyłem z powrotem na pokład samolotu. Nie przeszedłem także przez odprawę celną ani paszportową. Opuściłem lotnisko przez drzwi, które zamknięto z drugiej strony. W hali dworca zapytałem w informacji, jak dostać się do Larnaki na południowym krańcu wyspy.

Mogłem tam pojechać autobusem albo polecieć miejscowym samolotem, na który bilet kosztował krocie. Kupiłem bilet, zgrzytając zębami na myśl o następnym locie wahadłowym, a potem skoczyłem do Nowego Jorku, gdzie zjadłem lunch i poczyniłem inne przygotowania.

Mój problem polegał na tym, aby się dowiedzieć, że właśnie porwano jakiś samolot. Nie mogłem liczyć, że - jak w przypadku samolotu kuwejckich linii lotniczych - porwany samolot będzie pozostawał w rękach terrorystów dwadzieścia dni. Musiałem się dowiedzieć o porwaniu w ciągu godzin, żebym dostać się do właściwego portu lotniczego.

Postanowiłem skontaktować się z agencją monitorującą wiadomości, zwaną Manhattan Media Monitoring.

- Porwania? - usłyszałem. - Monitorujemy takie wydarzenia dla niektórych linii lotniczych i kilku towarzystw ubezpieczeniowych. Chce pan dostawać wydruki artykułów, nagrania wideo relacji fotoreporterów czy może jedno i drugie?

- Nagrania wideo bardzo by mi się przydały, ale przede wszystkim chcę być informowany, kiedy tylko nadejdzie informacja o porwaniu - powiedziałem.

- Przez telefon czy faksem? Uświadomiłem sobie, że nie mam telefonu.

- Jestem ciągle w drodze - oznajmiłem. - Myślę, że sam będę do was dzwonił... raz albo dwa razy dziennie.

Ustaliliśmy wysokość opłaty za tę usługę. Zapłaciłem czekami podróżnymi za kilka miesięcy z góry. Pracownicy agencji posłali mi kilka dziwnych spojrzeń, ale żaden nic nie powiedział. Nie podałem prawdziwego nazwiska.

Z powodu różnicy czasu mogłem spędzić z Millie tylko dwie godziny. Później musiałem przeskoczyć na lotnisko w Nikozji, żeby zdążyć na miejscowy samolot, który odlatywał o dziewiątej rano.

Wróciłem po Millie o północy i skoczyłem z nią do mojej samotni w górach.

- Cały dzień walczyłam z rządowym faszyzmem - oznajmiła. - A co ty robiłeś?

- Nic szczególnego - odparłem i zacząłem się rozbierać. Tym razem rozpałem ogień kilka godzin wcześniej, żeby w jaskini zrobiło cię ciepło, zanim przeskoczę do niej z Millie. Kupiłem także butelkę szampana i plastikowe wiaderko. Pamiętając o przygodach z szampanem na imprezie u Sue Kimmel, poprosiłem Millie, żeby otworzyła tę butelkę.

- Znalazłyśmy dzisiaj w kuchni mikrofon - powiedziała. - Wezwałam policję, a Mark złożył skargę z powodu naruszenia prywatności. Przyjechało kilku federalnych, którzy zajmują się usuwaniem podsłuchu. Mark wysłał także list do wszystkich gazet i agencji informacyjnych w okolicy. - Korek szampana wyskoczył z odgłosem podobnym do strzału. - Tym razem policja okazała więcej zrozumienia. Wyglądało na to, że agenci zainstalowali podsłuch bez nakazu sądowego. Mama była wściekła.

Wślizgnąłem się pod koc i wziąłem kieliszek szampana.

- Przeprawiłbym cię, gdyby z twoich słów nie wynikało, że świetnie się bawisz - orzekłem. Szampan smakował jak kiepskie piwo imbirowe.

- O rany, ale dobry! - wykrzyknęła Millie i wypła od razu pół kieliszka. Przytuliła się do mnie. - W pewnym sensie bawią mnie te zmagania. Żałuję tylko, że nie mogę się dobrać do skóry tym draniom. Ilekroć wychodzimy z domu, czekają na nas w swoich przeciwsłonecznych okularach. Nie wyglądają na zmęczonych. Nie wyglądają nawet, no cóż... jak ludzie.

Wzdrygnąłem się.

- Mnie także nie uważają za człowieka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Opowiedziałem jej o uwadze, jaką rzuciłem, znikając z saloniku doktora Perstona-Smythe'a: „Nie zamierzamy wyrządzić waszej planecie żadnej krzywdy”.

Millie zachichotała.

- Ale numer. Dlaczego to powiedziałeś?

- Chyba sądziłem, że zaczną mnie szukać gdzieś indziej, na przykład na orbicie albo jeszcze dalej - odparłem.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłeś - stwierdziła Millie. - Idę o zakład, że teraz w poszukiwaniu zaangażuje się wojsko.

- O Boże, co za afera. - Upiłem jeszcze trochę szampana i odstawiłem kieliszek. - Za dwie godziny musimy przeskoczyć do twojego domu, żebyśmy zdążył na Cypr na samolot.

Millie wypila resztę szampana.

- No cóż - zamruczała - w takim razie nie traćmy czasu. Wyciągnąłem do niej rękę.

Lot miejscowym samolotem trwał zaledwie dwadzieścia pięć minut. Większość tego czasu przespałem. Nie musiałem przechodzić przez odprawę celną. Na lotnisku zapytałem, w którym miejscu dwa miesiące wcześniej zginęła amerykańska zakładniczka. Cypryjski Turek, który znał trochę angielski, wskazał mi to miejsce przez okno terminala.

- Było bardzo niedobrze - powiedział. - Widzieć to szare miejsce? Było czarne od wybuchu.

Czyszczą je i czyszczą, ale nie jaśniej. Bardzo niedobrze.

Podziękowałem mu i nawet chciałem dać napiwek, ale mężczyzna ani myślał go przyjmować.

Pokręcił tylko głową i odszedł. Miałem nadzieję, że go nie obraziłem. Wpatrywałem się jak urzeczony w szarą plamę na asfalcie.

Właściwie wyglądała prawie tak samo jak otaczający ją asfalt, była tylko trochę ciemniejsza. Aleja oczami wyobraźni widziałem sceny zarejestrowane kamerą fotoreportera telewizji... słup ognia, kłęby dymu i podobne do szmacianej kukły bezwładne ciało.

Och, mamó...

Czy zemsta ci ją przywróci, Davy? Milion zabitych w Iraku i Iranie. Pięćdziesiąt tysięcy zabitych w Libanie. Jedna kobieta zabita na Cyprze. Czy wyrzesh zemstę za wszystkich? A co z zabitymi w Kambodży, w Ameryce Środkowej, w Afryce?

To nie są moi zabici, pomyślałem. Nie są moją matką.

Poczułem, że zbiera mi się na mdłości. Zbyt wiele ofiar, zbyt wiele cierpień. Dlaczego ludzie robią coś takiego innym ludziom? A co ty zamierzasz zrobić Matarowi, kiedy go dopadniesz?

Zamrugąłem, żeby powstrzymać łzy.

Odpowiem sobie na to pytanie, kiedy go dopadnę, pomyślałem.

## Część VI

### Zabawa w berka

#### Rozdział 16

Pojawiłem się w El Solitario w jamie z maleńką zieloną wysepką pośrodku głębokiego stawu.

Wylądowałem na skalnej półce mniej więcej piętnaście metrów nad powierzchnią wody. Strome ściany wznosiły się następne piętnaście metrów nade mną. Gdybym zeskoczył z krawędzi wąwozu, osiągnąłbym prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, zanim wpadłbym do wody.

Niektórzy umieli nurkować z tak wysoka, aleja mógłbym skrócić kark.

Słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu, więc jego promienie oświetlały tylko górną część przeciwległej ściany. Ale wapienne skały w jamie dobrze odbijały światło. Woda w dole wyglądała jak nieskazitelnie gładkie lustro, w którym odbijały się błękitne niebo i otaczające mnie ściany.

Skoczyłem z półki i poleciałem w dół. Dotarcie do powierzchni powinno mi zająć 1,767 sekundy, ale mniej więcej po sekundzie, gdy usłyszałem świst omywającego mnie powietrza, przeskoczyłem na wierzchołek i spojrzałem w dół na idealnie gładką taflę wody.

Odetchnąłem głęboko. Woda musi być bardzo zimna... zimna i twarda jak wypolerowane żelazo.

Znów zeskoczyłem, ale tym razem nie wylądowałem na skalnej półce. Znieruchomiałem w powietrzu pół metra nad nią i jeszcze raz pozwoliłem ciału lecieć w dół. Skoczyłem, zanim przeciąłem powierzchnię wody.

Ćwiczyłem to wielokrotnie, raz za razem, bez końca.

Ateny, Bejrut, Kair, Teheran, Bagdad, Amman, Bahrajn, Kuwejt City, Stambuł, Tunis, Casablanka, Rabat, Ankara, Karaczi, Lahore, Rijad, Mekka, Knossos, Rodos, Smyrna, Abu Dhabi, Maskat, Damaszek, Bagdad, Neapol, Wenecja, Sewilla, Paryż, Marsylia, Barcelona, Belfast, Zurych, Wiedeń, Berlin, Bonn, Amsterdam.

Nie dostałem libijskiej wizy, ale i tak poleciałem do Trypolisu. Nie kupiłem biletu, tylko przeskoczyłem na drugą stronę strzegącego bramki agenta i towarzyszącej mu stewardessy. Lot do Trypolisu chyba nie cieszył się dużą popularnością, bo połowa miejsc na pokładzie była wolna. Starałem się odwiedzać przynajmniej jedno lotnisko dziennie. Wstawałem o drugiej albo trzeciej nad ranem, przeskakiwałem do miasta, skąd miałem odlecieć, spałem na pokładzie samolotu, rejestrowałem następne miejsce lądowania i wracałem mniej więcej o dziesiątej. Później dzwoniłem do Manhattan Media Monitoring i pytałem, czy nie porwano jakiegoś samolotu.

W styczniu porwano tylko jeden - samolot Aeroflotu. Jego pilota zmusiło do lądowania w Kabulu w Afganistanie kilku rosyjskich bandziorów. Wszyscy poddali się wkrótce po lądowaniu. I całe szczęście, bo wtedy jeszcze nie miałem zarejestrowanego żadnego miejsca lądowania w Afganistanie.

Po tygodniu użerania się z przedstawicielami władz i prawnikami Millie zgodziła się na przesłuchanie przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego pod warunkiem, że podczas rozmowy będą obecni jej adwokat oraz sędzia federalny. Powiedziała mi o tym pewnej nocy, kiedy skoczyłem z nią do mojej samotni w górach.

- Ściągnęli także twójgo przyjaciela z Waszyngtonu - oznajmiła.

- Perstona-Smythe'a? Pokręciła głową.

- Nie, Coksa. Briana Coksa, tego gościa z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego z ociosami na głowie.

- Z ociosami? - zdziwiłem się. Millie przyłożyła palce do skroni.

- Ogolonego po obu stronach - wyjaśniła. - Byczy kark, rozrośnięty w barach.

- Wiem, o kim mówisz - burknąłem. - Nie wiedziałem tylko, co to są ociosy.

- Aha. No cóż, gość zaczął od pytania, gdzie się podziewasz.

- O co dokładnie zapytał?

- „Gdzie jest David Rice?” Powiedziałam mu, że nie wiem, i dodałam, że zerwaliśmy ze sobą w listopadzie. Jedno i drugie było prawdą... Latałeś wtedy po Europie, a my rzeczywiście zerwaliśmy ze sobą w listopadzie.

Kiwnąłem głową.

- Mów dalej.

- No cóż, później musiałam już kłamać. Zapytał, czy widziałam cię po tym, jak ze sobą zerwaliśmy. Zaprzeczyłam. Obawiałam się, że moje kłamstwo nie zabrzmii przekonująco, ale chyba zabrzmiało doskonale. Podejrzewam, że wywierasz na mnie bardzo niekorzystny wpływ. Potem Cox zapy-



tał, czy miałam od ciebie jakieś wiadomości. Zaprzeczyłam. Powiedziałam, że pokłóciliśmy się, kiedy zrywaliśmy ze sobą, i od tamtej pory nie chcę cię znać. - Pocałowała mnie w policzek. - To kolejne kłamstwo. Uśmiechnąłem się i czekałem na ciąg dalszy.

- Cox zapytał mnie o powód zerwania, a ja powiedziałam mu o telefonie od nowojorskiej policji. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Ja myślę - mruknąłem. - Zanim do ciebie trafili, musieli rozmawiać z Washburnem i Bakerem, więc znali ich wersję wydarzeń. Zastanawiam się, czy dowiedzieli się o żonie Washburna. Pewnie tak, jeżeli rozmawiali osobno z jednym i z drugim... zwłaszcza jeśli zbadali obu poligrafem.

Millie zrobiła gniewną minę. Jednym z żądań agentów ABN było sprawdzenie jej prawdomówności wykrywaczem kłamstw, ale sędzia odrzucił to żądanie.

- Cox zapytał - opowiadała dalej - kiedy się poznaliśmy, jak często się widywaliśmy i jak zażyła była nasza znajomość. Odpowiedziałam na pierwsze dwa pytania, ale odmówiłam odpowiedzi na trzecie. Jeszcze raz zapytałam, co takiego zrobiłeś^że prowadzą to dochodzenie. Cox odmówił odpowiedzi, więc wstałam, żeby wyjść.

Parsknąłem śmiechem.

- Niezłe - stwierdziłem. - Kocham cię. Millie wzruszyła ramionami.

- Wtedy Cox trochę spuścił z tonu i oznajmił, że nie może ujawnić, dlaczego mnie wypytuje, bo to tajemnica. Obiecał jednak, że będzie mógł mi to powiedzieć, jeżeli się poddam badaniu poligrafem. Nie zdążyłam nawet odpowiedzieć, bo Mark i sędzia dosłownie skoczyli mi do gardła. Sędzia trzyma naszą stronę od czasu, kiedy znaleźliśmy tamten nielegalny podsłuch.

- To miło z jego strony - zauważyłem.

- Było mi nawet trochę żal Coksa - podjęła Millie. - Prawdopodobnie chciał się dowiedzieć, jak bardzo zażyła była nasza znajomość, żeby na tej podstawie ustalić, czy jesteś człowiekiem czy nie. Miałam ochotę mu powiedzieć, że sama się zastanawiałam, dlaczego masz cztery jądra i torbę na brzuchu jak kangur, ale nie chciałam się narażać na następne pytania. Podobno nie wiem, że potrafisz rozplywać się w powietrzu jak duch, więc jak miał mi zadać to pytanie, żeby nie wyjść na wariata?

Pokiwałem głową.

- Teraz ma podwójny problem - stwierdziłem. - Jeżeli jestem obcym albo choćby tylko niezwykłym człowiekiem, musi zrobić wszystko, żeby nie dowiedziały się o mnie rządy innych krajów. Co by się stało, gdyby dotarły do mnie pierwsze? Kraj, który opanował zasady teleportacji, sprawuje władzę nad całym światem!

- Boże, błogosław Amerykę - mruknęła Millie z goryczą.
- Niestety nadal nie wiemy, czy władze znają inne osoby, które potrafią się teleportować. A może Cox powiedział coś, co by to sugerowało?
- Nie - odparła. - Zapytał tylko, czy nie dostrzegłam w tobie niczego niezwykłego... w tobie albo w twoim zachowaniu. Odpowiedziałam: „Chodzi panu o to, czy przez sen nie mówi po rosyjsku albo coś w tym rodzaju? Niczego takiego nie zauważyłam”. A później powiedziałam mu półprawdę: „Jest głupkiem. Przystojnym, ale jednak głupkiem. Przecież pochodzi z Ohio. Czego się pan spodziewał?”
- Co z tego jest prawdą? Że jestem głupkiem? Millie roześmiała się i mnie uścisnęła.
- To, że pochodzisz z Ohio - powiedziała. - Wtedy Cox całkiem się poddał. Poprosił, żebym się z nimi skontaktowała, jeżeli się odezwiesz. Obiecał też, że nadzór policyjny zostanie zlikwidowany.
- I został?

Millie pokręciła głową.

- Nie wiem. Wprawdzie agenci przestali się pokazywać, ale na drugim końcu кварталу ulic ktoś kupił dom, który od trzech lat był wystawiony na sprzedaż. Kto kupuje dom w styczniu?
- Załóżmy więc, że wciąż cię obserwują - powiedziałem. - Za dwa tygodnie wracasz na uczelnię. Dobrze byłoby przeszukać twoje mieszkanie w Stillwater i sprawdzić, czy nie zainstalowano w nim urządzeń podsłuchowych. Na szczęście - dodałem, pozwalając palcom wędrować po jej ciele - znam twoją sypialnię.

Millie wygięła się w łuk i głęboko wciągnęła powietrze. Przesunęła dłoń po moich plecach.

- Tak... - mruknęła. - Wiesz, że kiedy zaczną się zajęcia, nie będę mogła spędzać z tobą tak dużo czasu. Będę musiała się wysypiać.
- A ja nie będę mógł się z tobą widywać we dnie, nawet podczas weekendów - powiedziałem. - To niesprawiedliwe!

Millie przesunęła dłoń poniżej mojego pasa.

- To się jeszcze okaże - szepnęła mi do ucha.

Poleciałem zatłoczonym samolotem z Londynu do Glasgow, a później jak zwykle przeskoczyłem do Nowego Jorku, żeby zadzwonić do Manhattan Media Monitoring. Nasze rozmowy zaczęły przypominać rytuał. Przedstawiałem się, operatorka sprawdzała w pamięci komputera moje nazwisko i mówiła: „Nie, nic”. Dziękowałem jej, odwieszałem słuchawkę i kontaktowałem się z nią ponownie tego samego dnia mniej więcej o piątej po południu.

Tym razem jednak, kiedy usłyszała mój głos, oznajmiła:

- Ach, panie Ross, mamy coś dla pana.

- Co takiego? - zapytałem, czując przyspieszone bicie serca.

- Krótco po starcie z Barcelony porwano boeinga 727 linii Air France - odparła. - Porywacze kierują go do Algieru. Dysponujemy tylko wstępną depeszą agencji UPI. Mamy ją panu przefaksować?

Moje serce waliło jak szalone i oddychałem z wysiłkiem.

- Nie - powiedziałem. - Czy wiadomo, ilu porywaczy jest na pokładzie?

- Z depeszy UPI to nie wynika.

- Czy samolot już wylądował w Algierze?

- Tego też nie wiadomo, ale według UPI algierskie władze pozwolą mu wylądować.

- Dzięki - rzuciłem. - Proszę śledzić kolejne informacje. Zadzwoń później.

Odwiesiłem słuchawkę i skoczyłem najpierw do Teksasu po lornetkę i torbę z różnymi drobiazgami, a później na lotnisko w Algierze.

W hali dworcowej ustawiono barieje, które uniemożliwiały dostęp do terminala dla VIP-ów.

Strzegli ich uzbrojeni w pistolety maszynowe funkcjonariusze Darak al Watani. Zebrał się spory tłum gapiów, ale wszyscy trzymali się z daleka od zapory. Przechadzając się po obrzeżach tłumu, pytałem ludzi, co się dzieje, aż wreszcie natknąłem się na mężczyznę, który na tyle dobrze znał angielski, żeby udzielić mi odpowiedzi.

- Samolot z porywaczami wylądował dziesięć minut temu. Mężczyzna mówił z francuskim akcentem. Miał laptopa i futerał z aparatem fotograficznym.

- Jest pan reporterem? - spytałem. Kiwnął głową.

- Pracuję dla Reutersa. Wysłałem reportaż ze spotkania ministrów krajów OPEC i zamierzałem lecieć do domu, ale chyba nie zdążę na mój samolot. - Rozejrzył się po terminalu. - Ciekawe, gdzie są stanowiska dla prasy.

Zostawił mnie, obszedł tłum i skierował się ku jednemu z krańców zapory. Podążyłem w pewnej odległości za nim i usłyszałem, że spytał o coś po francusku jednego ze strażników, który wskazał mu tylną część terminala. Reporter ruszył szybko w tamtą stronę.

Zaporę ustawiono przed zakrętem korytarza wiodącego do terminala dla VIP-ów, więc nie mogłem zobaczyć, co się dzieje wzdłuż całej jej długości. Przeskoczyłem na oślep do miejsca, które odwiedziłem podczas mojej pierwszej wizyty w Algierze. W głębi korytarza, obok bramki, zobaczyłem grupę ludzi.

Spojrzałem przez okno i zobaczyłem boeinga 727 linii Air France. Samolot stał na drodze dojazdowej, mniej więcej sto metrów od bramki. Przednie drzwi były otwarte, ale nie podciągnięto do nich pojazdu ze schodkami. Przez lornetkę zobaczyłem mężczyznę z pistoletem maszynowym podobnym do uzi. Porywacz miał na głowie purpurowy worek z wyciętymi otworami na oczy. Stał w drzwiach i wyglądał na zewnątrz. Miałem wrażenie, że patrzy prosto na mnie. W pewnej chwili odwrócił głowę w lewo, w kierunku kokpitu, a później w prawo, w stronę przedziału dla pasażerów. Kiedy skierowałem lornetkę na okna kokpitu, zobaczyłem tylko kapitana i drugiego pilota. Obaj siedzieli nieruchomo. Zasłony we wszystkich oknach przedziału dla pasażerów były zaciągnięte. Ktoś coś do mnie zawołał, więc spojrzałem w kierunku bramki. Wołał do mnie umundurowany mężczyzna, najpierw po arabsku, a później po francusku. Odwróciłem głowę i ponownie zerknąłem na samolot. Staralem się zapamiętać każdy szczegół. Z głębi terminala dobiegł odgłos zbliżających się kroków osób. Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch żandarmów, którym towarzyszył trzeci mężczyzna, prawdopodobnie wojskowy.

Spojrzałem w dół na płytę lotniska i zauważyłem zaparkowany w cieniu terminala wózek bagażowy. Przeskoczyłem tam, obszedłem wózek i ukryłem się za nim, żeby nikt mnie nie zobaczył przez okno terminala dla VIP-ów.

Skierowałem lornetkę na drzwi samolotu i postanowiłem poczekać na odpowiedni moment. Znałem wystarczająco dużo szczegółów, żeby skoczyć na pokład samolotu, ale gdybym to zrobił, pojawiłbym się obok terrorysty. Poradziłbym sobie, gdyby był tylko jeden porywacz, ale przecież mogło być ich więcej...

Jeżeli pokpię sprawę, może zginąć wielu zakładników.

Co ty, wyprawiasz, Davy? Na myśl o skali trudności, własnej arogancji i niebezpieczeństwie, na jakie się narażałem, ogarnęło mnie przerażenie. Czy powinienem zrezygnować?

Pozbyłem się wątpliwości, kiedy spojrzałem na płytę, a ściślej na betonowe przedpole, na jakim zginęła mama.

Będę uważał, obiecałem sobie. Proszę, proszę, proszę, nie pozwól mi nic schrzanić.

Sam nie wiedziałem, do kogo się zwracam, ale poczułem się o wiele pewniej.

Purpurowogłowy terrorysta w drzwiach nagle się odwrócił i wymachując groźnie swoim uzi, ruszył w stronę przedziału dla pasażerów. Drzwi samolotu przestały być strzeżone.

Wzięłem głęboki oddech, opuściłem lornetkę i skoczyłem.

Usłyszałem czyjś krzyk. Przywarłem plecami do ściany schowka po prawej stronie drzwi. Po przeciwnej stronie zobaczyłem kuchnię dla pasażerów pierwszej klasy. Nie było w niej nikogo. Spojrzałem w kierunku przodu samolotu i zauważyłem otwarte drzwi kabiny pilotów. Drugi pilot właśnie odwrócił głowę, żeby zobaczyć, kto i dlaczego krzyczy. Na mój widok otworzył szerzej oczy.

Przyłożyłem palec do ust i poruszyłem wargami, wypowiadając bezgłośnie słowo „cicho”:

Pilot kiwnął głową. Zauważyłem, że ma nadgarstki przymocowane do podłokietników fotela za pomocą taśmy samoprzylepnej. Dostrzegłem także trochę wolnego miejsca między jego fotelem a przegrodą. Przeskoczyłem tam.

Obaj piloci drgnęli na fotelach.

- Merde! - zaklął głośno kapitan, zanim zdążyłem ponownie przyłożyć palec do ust. Z tyłu, od strony przejścia, rozległ się odgłos czyichś kroków. Skoczyłem z powrotem na asfalt i ukryłem się za wózkiem bagażowym. Purpurowy Worek minął drzwi i skierował się do kokpitu. Zobaczyłem przez lornetkę, jak otwartą dłonią policzkuje obu pilotów. Zgrzytnąłem zębami.

Ty sukinsynu, pomyślałem.

Terrorysta opuścił kabinę pilotów. Przystanął w otwartych drzwiach, omiół spojrzeniem okolice samolotu i wrócił do przedziału dla pasażerów. Znow skoczyłem do kokpitu.

Tym razem kapitan drgnął, ale zachował milczenie. Spoglądał na drzwi z nienawiścią w oczach. Na twarzy miał czerwony ślad, a z rozciętej wargi ciekła krew.

Przyłożyłem palec do ust, żeby był cicho. Pokiwał energicznie głową. Pochyliłem się tak, że moje usta znalazły się w pobliżu prawego ucha drugiego pilota.

- Ilu jest porwaczy? - zapytałem jak najciszej.

- Trzech - szepnął mężczyzna.

- W co są uzbrojeni?

- W pistolety zwykłe i maszynowe. Mają też ręczne granaty. Cholera, zakląłem w duchu.

- Wyciągnęli zawlecзки?

- Niektórych.

Wyjąłem z torby niewielkie lusterko dentystyczne, wysunąłem je powoli za róg i spojrzałem na przejście.

Światła w przedziale pasażerskim się paliły, a przez cienkie zasłony w oknach od strony słońca wpadał pomarańczowy blask. W przejściu stali trzej terroryści, dwaj w tylnej części pierwszej klasy, a trzeci mniej więcej w połowie klasy ekonomicznej.

W pierwszej klasie nie było żadnego pasażera. Domyśliłem się, że terroryści kazali im się przesiąść do klasy ekonomicznej i zmusili wszystkich do pochylenia się w taki sposób, żeby ich głowy znalazły się między kolanami.

Każdy porywacz miał na głowie worek innego koloru. Purpurowy, stojący najbliżej mnie, był uzbrojony w gotowy do strzału pistolet maszynowy. Jedną ręką trzymał spust, a drugą łożysko. Pomarańczowy Worek miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy i wsunięty za opasującą go szarfę zwykły pistolet. Mówił coś do pasażerów i przerzucał ręczny granat z jednej dłoni do drugiej.

To oznaczało, że nie wyciągnął zawlecзки.

Ostatni porywacz, Zielony Worek, tak jak Purpurowy pistolet maszynowy trzymał gotowy do strzału. W pewnej chwili pobiegł na tył klasy ekonomicznej i uderzył kolbą pistoletu jednego z niewidocznych pasażerów.

Dobrze zapamiętałem miejsca, w których stoją poszczególni terroryści. Cieszyłem się, że założyli na głowy worki, które ograniczały ich pole widzenia. Kiedy przystąpię do działania, prawdopodobnie mnie nie zobaczą.

Pojawiłem się cicho jak duch za plecami Purpurowego Worka. Objąłem go w pasie, przeskoczyłem nad jamę ze stawem i puściłem go na wysokości piętnastu metrów nad powierzchnią zimnej, twardej wody. Wróciłem na pokład samolotu.

Pomarańczowy Worek właśnie odwracał głowę, żeby zobaczyć, co oznacza krótki pomruk zdumienia Purpurowego Worka. Chwyciłem go, przeskoczyłem z nim nad staw i puściłem. Zanim wróciłem na pokład samolotu, usłyszałem plusk, z jakim Purpurowy Worek wpadł do wody. Ciekawe, czy zdąży wypłynąć na powierzchnię, zanim na jego głowę spadnie Pomarańczowy Worek.

Pojawiłem się półtora metra za plecami Zielonego Worka. Terrorysta biegł ku przodowi samolotu i coś krzyczał. Skoczyłem, żeby zmniejszyć dzielącą nas odległość, ale Zielony Worek biegł szybciej, niż się spodziewałem, więc nie dałem rady go złapać. Niech to diabli!, zakląłem w myśli. Przeskoczyłem przed niego i dłonią podbiłem lufę jego pistoletu maszynowego, kierując ją w górę. Terrorysta wystrzelił i kule odłupały kawałki plastiku z sufitu. Zderzył się ze mną, stracił równowagę, i zaczął się na mnie osuwać.

Zanim moje plecy zetknęły się z wyłożonym dywanem przejściem, chwyciłem go i przeskoczyłem z nim nad jamę. Pojawiłem się w powietrzu, ale obaj koziołkowaliśmy. Zielony Worek wpadł w przerażenie, gdy spojrział z wysokości piętnastu metrów na powierzchnię wody.

Przeskoczyłem na krawędź urwiska, puściłem go i patrzyłem, jak wpada do stawu w miejscu, w którym nieporadnie pływał po powierzchni

Purpurowy Worek. Usłyszałem głośny plusk i zobaczyłem, że Pomarańczowy Worek wypływa na powierzchnię. Nadal trzymał pistolet maszynowy, ale ciężka broń chyba ciągnęła go na dno, bo zaraz ją wypuścił.

Chwilę później na powierzchnię wypłynął Zielony. Jego worek przekręcił się pod wodą i terrorysta gorączkowo go szarpał, próbując zdjąć, zanim uniemożliwi mu oddychanie. W końcu ściągnął worek z głowy, a ja usłyszałem jego chrapliwy kaszel.

Przyjrzałem się uważniej Zielonemu Workowi. Jego mokre włosy wydawały się ciemne, lecz niewątpliwie był blondynem. Twarz miał bardzo bladą nie tylko z powodu zimna, lecz i naturalnej karnacji.

Wszyscy trzej dopłynęli do zielonej wysepki pośrodku stawu, pozostali jednak na płyčźnie, zbyt wyczerpani, by wypełznąć na ląd.

Skoczyłem na dół, chwyciłem Purpurowy Worek za kołnierz i wyciągnąłem z wody. Zaczął się szarpać i sięgnął do czegoś na wysokości pasa. Zaczerpnąłem powietrza i kopnąłem go w brzuch. Przestał się miotać i zwymiotował. Zaciągnąłem go trochę dalej, wyjąłem z torby gruby nylonowy kabel i związałem mu ręce za plecami. Wywlokłem z wody pozostałych dwóch terrorystów i również skrepowałem kablem.

Potem przeszukałem wszystkich - znajdując dwa pistolety, trzy granaty i nóż - i dopiero wtedy ściągnąłem worki z głów Purpurowemu i Pomarańczowemu.

Mieli jasną karnację i europejskie rysy twarzy. Żaden nie był Rashidem Matarem.

- Kim jesteście? - spytałem.

Patrzyli na mnie, jakby nie rozumieli, o co pytam. Woda, w której pływali, miała najwyżej piętnaście stopni, więc wszyscy trzej cierpieli z powodu lekkiej hipotermii. Nie wyszło im na zdrowie także to, że uderzyli w powierzchnię z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wypaliłem z jednego z pistoletów w wodę obok nich. Dźwięk wystrzału odbił się echem od pionowych ścian jamy.

- Kim jesteście? - powtórzyłem. Pierwszy zareagował Pomarańczowy Worek.

- Frakcja Czerwonej Armii - odezwał się cicho z niemieckim akcentem. To nie są szyccy ekstremiści. W żadnym razie. Zastanowiłem się, czy

nie zapytać ich o Rashida Matara, ale uznałem za mało prawdopodobne, żeby coś o nim wiedzieli.

Od chwili mojego wkroczenia do akcji upłynęło niespełna pięć minut. Niedaleko terrorystów wypłynął na brzeg zielony worek. Wyłowilem go i nasunąłem na głowę blondyna. Później naciągnąłem worki na głowy jego kolegów.

- Co robisz? - zapytał Pomarańczowy.

Pomogłem mu wstać, skoczyłem z nim na pokład samolotu do przedziału dla pasażerów pierwszej klasy i pchnąłem go na fotel. To samo zrobiłem z pozostałymi terrorystami. Nie zapomniałem o zabraniu znad stawu ich broni, która była ważnym dowodem.

Pasażerowie zaczęli powoli przychodzić do siebie. Kiedy pojawiłem się w przejściu między rzędami foteli, zwrócili na mnie pełne obaw spojrzenia. Niektórzy znów usiedli prosto na swoich miejscach, ale żaden nie odważył się wstać. Zauważyłem, że stewardessy siedzą w ostatnim rzędzie pierwszej klasy i tak jak piloci mają nadgarstki przymocowane taśmą samoprzylepną do podłokietników foteli.

- Wszystko w porządku! - krzyknąłem, żeby wszyscy mnie usłyszeli. - Niech ktoś uwolni personel pokładowy! - Wskazałem stewardessy, przeszedłem do kokpitu i przywłaszczonym nożem uwolniłem obu pilotów. - To koniec - powiedziałem im. - Terrorysty są związani i siedzą w pierwszej klasie.

Oszołomiony kapitan spojrzał na mnie i spytał:

- Co mam teraz zrobić?

- Co pan chce - odparłem i skoczyłem.

Kiedy samolot toczył się po asfalcie, stałem pośród reporterów. Tłum nadal został za zaporą, ale reporterom pozwolono podejść na tyle blisko, żeby widzieli wychodzących pasażerów. Zanim przeskoczyłem do hali dworcowej, zabrałem lornetkę z wózka na bagaże. Starłem się stać za plecami reporterów, którzy mieli mnie zasłaniać przed spojrzeniami Algierczyków i pasażerów. Wciąż czułem w żyłach adrenalinę, a w żołądku nieprzyjemne ssanie. Moje ręce drżały. Chciałem się roześmiać, ale w tym wszystkim, co zrobiłem, nie było nic zabawnego.

Reporter agencji Reutersa robił szybko zdjęcia. Kiedy zmieniał film w aparacie, spojrzał na mnie. Pokiwałem mu uprzejmie głową. On także pokiwał i jakiś czas posyłał mi zagadkowe spojrzenia, ale później zaczął znów robić zdjęcia.

Zanim samolot podjechał do bramki, rzecznik prasowy algierskiego rządu wydał oświadczenie, które odczytano na głos. Stwierdzono w nim, że terrorystów obezwładnili i unieruchomili sami zakładnicy.

Przechodzący obok mnie pasażerowie, kierowani przez Algierczyków w taki sposób, żeby nie znaleźli się w pobliżu reporterów, śmiali się i żartowali, ale chyba z przymusem. Wyglądali, jakby lada chwila mieli się załamać. Dobrze ich rozumiałem. Ja też się tak czułem.



Na końcu wyszli członkowie załogi. Kapitan spojrzał w moją stronę i zamarł na widok mojej twarzy za plecami grupy reporterów. Przyłożyłem palec do ust jak na pokładzie samolotu.

Cii.

Zmarszczył brwi, a ja uśmiechnąłem się do niego i przeskoczyłem.

Kiedy niosłem łyżkę z zupą do ust, Millie powiedziała:

- Bum!

- Millie! - wykrzyknąłem.

Uniosła rękę, wyciągnęła palec wskazujący jak lufę pistoletu, odchyliła kciuk i przycisnęła palec do mojej skroni.

- Bum - powtórzyła. - Za późno. Pierwszy strzał trafił cię w brzuch i może jeszcze byś przeżył, ale drugą kulkę dostałeś w głowę. Paskudna sprawa. Nie było co zbierać.

Odłożyłem łyżkę. Byliśmy na Manhattanie na Wschodniej Pięćdziesiątej Ósmej w restauracji Brunona. Zuppa de mussels była naprawdę wyśmienita, ale nagle straciłem ochotę najedzenia.

- Wiesz, jak pozbawić kogoś apetytu - oznajmiłem.

- Przecież się umówiliśmy - odparła Millie. Pokiwałem głową.

- Tak, wszystko w porządku - mruknąłem. - Przepraszam. To się już nie powtórzy.

Millie trochę się odprężyła.

- Dobrze. Dokończ zupę - zaproponowała.

Odsunąłem na bok otwarte muszle, nabrałem łyżką porcję zupy i niosłem ją do ust, kiedy powiedziała:

- Nie chcę, żeby ci się coś stało, ale jeżeli już się stanie, chcę, żebyś przeżył.

Pokiwałem głową.

- Kocham cię i... bum.

Nie wyjmując łyżki z ust, przeskoczyłem do niszy w izbie przyjęć Ośrodka Pourazowego Szpitala Adama Cowleya w Baltimore. Obok mnie przeszła pielęgniarka, ale nie spojrzała w moją stronę. Ściany były białe, a ja poczułem woń alkoholu metylowego i środków odkażających.

Zmarszczyłem nos. Zapach nie pasował do woni zupy, ale Ośrodek Pourazowy cieszył się opinią jednego z najlepszych w kraju.

Skoczyłem z powrotem na ulicę przed restauracją Brunona i wszedłem do lokalu. Trzymałem łyżkę ukrytą dyskretnie w dłoni, a serwetkę z kolan w tylnej kieszeni spodni. Kiedy podchodziłem do stolika, zaskoczony kelner spojrzał na mnie. Usiadłem, a Millie uśmiechnęła się i pocałowała mnie.

Bawiliśmy się w taki sposób cały czas, odkąd jej powiedziałem, że podczas porwania jeden z terrorystów wystrzelił z pistoletu maszynowego. W każdej chwili, gdy byliśmy razem, Millie mogła powiedzieć „bum”. Musiałem wtedy natychmiast, bez zadawania żadnych pytań, przeskoczyć do izby przyjęć Ośrodka Pourazowego w Baltimore. Nie miało znaczenia, czy byłem nagi, coś jadłem, czy też siedziałem w ubikacji.

Kupiłem także kilka budzików. Leżały wszystkie tarczami w dół w mojej samotni w górach. Millie nastawiała je co noc na różne godziny. Ilekroć któryś zadzwonił, miałem także przeskoczyć do izby przyjęć.

O wiele lepiej radziłem sobie z reagowaniem na budziki, a nawet przeskoczyłem nagi do niszy w izbie przyjęć pewnego ranka, kiedy obudził mnie mój zwykły budzik. Na mój widok pielęgniarka wrzasnęła, prawdopodobnie bardziej przerażona moim niespodziewanym pojawieniem się niż nagością.

W Nowym Jorku była jedenasta wieczorem. Millie, która miała znów zajęcia, tego dnia wróciła wcześniej. Przeskoczyłem z nią na Manhattan na naszą pierwszą „randkę” od prawie miesiąca.

- CNN przeprowadziła kolejny wywiad z Amerykaninem i dwójką Brytyjczyków, którzy zgodzili się powiedzieć, że pojawiałeś się na pokładzie samolotu i znikaleś jak duch - oznajmiła. - Później puszczono dłuższy wywiad z psychologiem, który mówił o skutkach syndromu pourazowego. Nikt nie wierzy w to, co się naprawdę stało.

Uśmiechnąłem się.

- Albo nie chce się do tego przyznać - odparłem. - Możliwe też, że niektóre informacje blokują ci z ABN. Nawet jeśli w samej agencji nie ma żadnego teleportanta, jeżeli jakkolwiek teleportant ogląda telewizję, dowie się o moim istnieniu. Pod warunkiem, że w ogóle jakiś istnieje.

Millie wzruszyła ramionami.

- Jeżeli istnieje, może w tej chwili mówić: „Jaki z niego głupiec, że zrobił coś takiego na oczach tych świadków” - powiedziała.

- A jak eksperci wyjaśniają kałuże wody w samolocie? - zapytałem. - Terrorysty byli przecież przemoczeni do suchej nitki.

Millie wybuchnęła śmiechem. Potem oznajmiła:

- Spocili się z przerażenia.

- To brzmi jak dramatyczna niewydolność ich środków przeciwpotnych - zauważyłem.

Millie znów się roześmiała.

- Jak brzmi oficjalna wersja tej historii? - dopytywałem się.

- Cały czas tak samo... że jeden z pasażerów pokonał wszystkich trzech terrorystów, ale zszedł z pokładu samolotu w Algierze i nie skorzystał

z możliwości lotu do Rzymu innym, specjalnie w tym celu podstawionym odrzutowcem.

Spoważniałem.

- Naprawdę nie obchodzi mnie, komu przypiszą zasługę - stwierdziłem. - Szkoda tylko, że jednym z tych terrorystów nie był Rashid Matar.

Millie zmarszczyła brwi.

- Dzięki tobie ocalało dwustu niewinnych ludzi - przypomniała. - Czy to ci nie wystarcza?

Poczułem się nieswojo i zacząłem się wiercić na krześle.

- Co zamierzasz mu zrobić, jeżeli go dopadniesz?

- Kiedy go dopadnę. Kiedy, nie jeżeli - sprostowałem. - Nie mam pojęcia.

Millie się wzdrygnęła.

- No cóż, zastanów się nad tym, jaki sam się staniesz, jeżeli zaczniesz stosować jego metody - oznajmiła. - Cokolwiek zrobisz, nie stań się taki jak on, dobrze?

Na myśl o tym poczułem chłód, a zupa przestała mi smakować.

- Dobrze - obiecałem.

- Bum - powiedziała Millie.

Nie widziałem starego od tamtego dnia przed świętami, kiedy natknąłem się na niego przed barem, więc pewnego wieczoru skoczyłem na tylne podwórko i spojrzałem na dom. Na podjeździe stał jego samochód, ale zasłony we wszystkich oknach były zaciągnięte. Światła paliły się w kuchni i w salonie, lecz nie w moim dawnym pokoju.

Kiedy do niego wskoczyłem, było ciemno, ale przez lekko uchylone drzwi z korytarza wpadał cienki klin światła. Na zakurzonej podłodze zobaczyłem ślady butów.

Coś za moimi plecami się poruszyło. Usłyszałem odgłos, jaki wydaje mechaniczne urządzenie, i poczułem się, jakby w tył nogi użądliła mnie ogromna pszczoła.

Wzdrygnąłem się i przeskoczyłem, ale wylądowałem w sekcji beletrystycznej biblioteki publicznej w Stanville.

To tyle, jeżeli chodzi o nawyk, jaki miałem sobie wyrobić pod czujnym okiem Millie, pomyślałem. Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, na co natknie się moja dłoń. To było coś metalowego, zakończonego kitką z pianką, i miało długość mniej więcej czterech centymetrów. Wyciągnąłem to z nogi. Igła miała długość dwóch centymetrów i była na tyle gruba, że zauważyłem na niej ślady krwi. Z końca ściekały krople przezroczystego płynu.

Cienie Dzikiego Królestwa, pomyślałem.

Pokój zaczął wirować, więc przeskoczyłem ze strzałką w dłoni do mojej samotni w górach. Upadłem twarzą na łóżko. Nie jestem pewny, czy straciłem przytomność, zanim runąłem na materac, czy dopiero później.

W filmach szpiegowskich dzielny bohater zawsze się budził po trafieniu strzałką ze środkiem nasennym z jasnym spojrzeniem i otwartym umysłem, świadomy wszystkiego, co go otacza. Kiedy się ocknąłem, zwisałem z łóżka głową w dół i wypluwałem wnętrzności na dno jaskini. Takie było moje pierwsze wspomnienie. Z pozostawionych „dowodów” mogłem wnioskować, że robiłem to kilka razy, zanim oprzytomniałem na tyle, aby sprawdzić godzinę.

Od wizyty w domu ojca upłynęło czternaście godzin. Z trudem mogłem zebrać myśli, a odór wymiocin był tak intensywny, że znów zrobiło mi się niedobrze. Przetoczyłem się na drugą stronę łóżka, z daleka od płamy na dnie jaskini. Pomyślałem, że funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Narodowego nie obserwowali dyskretnie domu starego, jak się spodziewałem... Zamieszkali tam i zapewnili sobie jego pełną współpracę.

No cóż, miałem tylko nadzieję, że uprzykrzą mu życie bardziej niż Millie. Liczyłem na to, że naszpikują go narkotykami i poddadzą przesłuchaniu. Możliwe, że ojciec czuł się w tej chwili równie fatalnie jak ja.

Przeskoczyłem do mojej ulubionej oazy. Słońce jasno świeciło, a temperatura na dworze wzrosła do niemal dwudziestu stopni. Przeplukałem usta i obmyłem twarz chłodną wodą ze źródła.

Dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że poprzedniego wieczoru nie widziałem się z Millie, która prawdopodobnie zamartwiała się na śmierć. Zastanowiłem się, czy nie skoczyć do jej apartamentu i nie poczekać, aż wróci z zajęć, ale mogłem się natknąć na jej współlokatorkę albo dać się uwiecznić na taśmach funkcjonariuszy ABN, którzy mogli umieścić pluskwy w ich mieszkaniu.

Zaczynało mnie to irytować.

Na dworcu autobusowym w Stillwater natknąłem się na bezdomną kobietę, która za sto dolarów zgodziła się przekazać Millie parę słów ode mnie. Napisałem na kartce wiadomość i wykręciłem w budce telefonicznej numer Millie, ale w taki sposób, żeby kobieta nie zobaczyła wybieranych cyfr. Kiedy usłyszałem pisk po tekście nagrany na automatycznej sekretarce, podałem słuchawkę kobiecie.

- Millie, mam dla ciebie wiadomość od Brunona, który czuje się doskonale - przeczytała bezdomna. Miała zdumiewająco miły głos. - Wydawało mu się, że dostanie jakąś pracę w szpitalu, ale nic z tego nie wyszło. Przykro mu, że nie odpisał na twój ostatni list, ale obiecuje, że wkrótce napisze. Zadzwoń do ciebie później.

W restauracji Brunona jedliśmy kolację poprzedniego wieczoru. Kiedy bezdomna oddała mi słuchawkę, odwiesiłem ją na widełki, po czym wręczyłem jej następnych czterysta dolarów. Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

- Do diabła - powiedziała. - Obawiałam się, że i tę setkę zabierze mi pan po tym, jak skończę rozmowę.

- Proszę znaleźć sobie jakieś mieszkanie - doradziłem. - Ciężko żyje się na ulicy.

- Jakbym tego nie wiedziała - mruknęła bezdomna.

Skreśliłem za róg i udałem się do sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego, w którym kupiłem mopa i wiadro.

Millie kazała mi od tej pory unikać ojca, ale obiecałem jej tylko, że będę uważał.

Przeskoczyłem z nią do samotni w górach i pokazałem jej strzałkę. Oglądała ją jakiś czas, a później uparła się, żeby oczyścić ranę. Chciała wiedzieć, kiedy ostatnio byłem szczepiony przeciwko tężcowi.

- Dwa lata temu - przypomniałem sobie. Przygryzła wargę.

- To powinno wystarczyć... Do licha, jak ja nienawidzę tych drani! Co tu tak cuchnie?

- Środek dezynfekujący - wyjaśniłem i szybko zmieniłem temat.

- Z lotniska w Atenach porwano boeinga 727 linii Pan Am - poinformowała mnie operatorka MMM. - Samolot wylądował w Larnace w tureckiej części Cypru. Władze twierdzą, że na pokładzie jest tylko jeden porywacz, ale ma na sobie ładunki wybuchowe, a zbiorniki samolotu są prawie pełne.

- Jeszcze zadzwonię - uprzedziłem.

Skoczyłem najpierw do Teksasu, a później do Larnaki. Reporterzy w hali dworca mieli aparaty fotograficzne z teleobiektywami jak armatnie lufy. Wokół unieruchomionego samolotu jeździło w kółko pięć wozów straży pożarnej. Wyglądały jak krążące wozy osadników, których atakują Indianie. Gdzie jest John Wayne, kiedy się go potrzebuje? Stałem w cieniu ciężarówki ze zbiornikiem pełnym piany i wyjąłem lornetkę.

Drzwi samolotu były zamknięte, ale jeden z silników pracował na jałowym biegu, prawdopodobnie żeby zapewnić klimatyzację. Okna przedziału dla pasażerów nie były zasłonięte. Widziałem w nich przerażone twarze.

Obok otwartych drzwi kabiny ciężarówki zgromadzili się strażacy, którzy słuchali transmisji przez radio. Podeszedłem bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- ...a jeżeli te żądania nie zostaną spełnione, zdetonuję moje ładunki wybuchowe. Zabiję wszystkich dwustu dwunastu pasażerów i członków załogi na pokładzie samolotu.

Mężczyzna mówił spokojnie, rzeczowo. Akcent wskazywał, że pochodzi z Bliskiego Wschodu. Zastanowiłem się, czy to Matar, ale miałem wątpliwości. Matar mógłby chcieć wysadzić w powietrze pasażerów, ale nie siebie.

Spojrzałem na samolot. Jeżeli porywacz mówił przez radio, musiał znajdować się w kokpicie.

Przeskoczyłem na skrzydło w miejscu, w którym łączyło się z kadłubem, w pobliżu tylnej krawędzi, skąd mogłem zajrzeć przez jedno z okien do przedziału dla pasażerów. Zobaczyłem w oknie twarz przerażonego zakładnika.

Uniosłem palec do warg. Mężczyzna raptownie zamrugał, ale nic nie powiedział. Przeszedłem po skrzydle do następnego okna. Nie siedział przy nim żaden pasażer, podobnie jak na środkowym fotelu tego rzędu, ale zauważyła mnie kobieta zajmująca miejsce przy przejściu. Zakryła dłonią usta, ale zaraz opuściła rękę i zacisnęła wargi.

Przeskoczyłem do samolotu i usiadłem na wolnym miejscu.

W przedziale dla pasażerów czuło się odór strachu. Na mój widok kobieta siedząca przy przejściu podskoczyła i krzyknęła. Gdzieś indziej zapłakało dziecko, a pozostali pasażerowie wypuścili powietrze z płuc z cichym świstem.

- Cisz! - wrzasnął z przedniej części samolotu jakiś mężczyzna. To był ten sam głos, który słyszałem przez radio, ale nie mogłem zobaczyć terrorysty z powodu ścianki między pierwszą klasą a klasą ekonomiczną.

Kobieta obok mnie przyłożyła do ust obie dłonie. Kierowała spojrzenie to na przejście, to znów na mnie. Poruszyłem się na fotelu i gestem dałem jej znak, żeby była cicho. Odsunęła się, jakby obawiała się mnie dotknąć.

Ze swojego miejsca widziałem część przedziału pierwszej klasy aż do usytuowanej z przodu kuchni. Nie mogłem zajrzeć do kabiny pilotów, ale właśnie w tej chwili porywacz podszedł do przegrody oddzielającej obie klasy samolotu.

Terrorystą nie był Matar. Zobaczyłem szczupłego, młodego Araba w okularach w metalowych oprawkach. W pierwszej chwili pomyślałem, że nosi kamizelkę, ale się pomyliłem. Porywacz miał na sobie coś w rodzaju uprząży z materiałami wybuchowymi. Biegły od nich przewody do detonatorów, a do pasa były przypięte baterie. W lewej dłoni trzymał przełącznik, od którego także odchodziły dwa przewody. Jego kciuk był oddalony o zaledwie pół centymetra od niewielkiego czerwonego guzika na obudowie przełącznika.

Pół centymetra.

O Boże! Przeskakuj!

W prawej dłoni terrorysta trzymał pistolet, którym mógł grozić konkretnym osobom, zamiast wszystkim naraz. Nie przejąłem się pistoletem. Najbardziej martwiła mnie półcentymetrowa odległość między opuszką jego kciuka a małym czerwonym guzikiem.

Przeszedł obok nas na tył samolotu. Mijani pasażerowie pochylali się, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Nie było cienia wątpliwości, kto dominuje w tej grupie. Mimo to, kiedy porywacz ich mijał, ludzie unosili głowy, żeby zobaczyć materiały wybuchowe i guzik, jakby samo ich obejrzenie mogło zapobiec eksplozji.

Pół centymetra.

Dobrze chociaż, że to nie był przełącznik rozwierny, który wywołuje detonację, kiedy zabity terrorysta traci władzę w palcach. Młody Arab zawrócił i skierował się znów na przód samolotu.

Kiedy przeszedł obok mnie, wyjąłem z torby metalowy pręt.

Był ze stali, miał grubość półtora centymetra i długość trzydziestu centymetrów. Ostatnich dziesięć centymetrów owinięto sznurkową taśmą, żeby nie wyslizgiwał się z dłoni. Ważył trochę ponad pół kilo oraz miał kolor i twardość oczu porywacza.

Kiedy terrorysta zniknął mi z oczu, przeskoczyłem na drugą stronę przegrody, na skraj przedziału dla pasażerów pierwszej klasy. Na mój widok siedzący tam trzech mężczyźni podskoczyli, ale terrorysta już wcześniej przykazał wszystkim, żeby nie krzyczeli. Gestem poleciłem mężczyznom, żeby zachowali milczenie, a oni zamrugali.

Posłużyłem się lusterkiem dentystycznym, żeby spojrzeć za róg.

Porywacz rozmawiał ze stewardessą wystrzałową blondynką o bardzo bladej twarzy i plamach potu pod pachami służbowego uniformu. Podkreślał wagę swoich słów ruchami lewej ręki, a stewardessa drżała na widok każdego ruchu przełącznika w jego dłoni.

Mimowolnie przypomniał mi się wyraz z książki, którą niedawno przeczytałem: Insh 'allah. „Jeżeli taka będzie wola Allaha”.

Uniosłem pręt nad głowę i zacząłem go opuszczać... Zanim opadł na wysokość ręki porywacza, skoczyłem.

Pojawiłem się obok niego w tym samym ułamku sekundy, kiedy pręt strzaskał kość łokciową jego lewej ręki w odległości pięciu centymetrów od nadgarstka. Jak się spodziewałem, terrorysta wyprostował kciuk i odległość opuszki od czerwonego guzika się zwiększyła. Rozluźnił pozostałe palce i wypuścił z nich przełącznik, który opadł dzięki przewodom na wysokość jego uda.

Musiał poczuć niewyobrażalny ból, bo na pewno usłyszałem trzask łamanej kości, ale błyskawicznie odwrócił pistolet w moją stronę. Zdążyłem jednak unieść pręt i wyrzuciłem go w prawy nadgarstek. Wytrąciłem z jego dłoni broń w tej samej chwili, kiedy z niej wystrzelił. Ziarenka spalonego prochu ukłuły mnie w policzek, a kula wypaliła piekącą bruzdę w szczycie mojego ramienia. Pistolet upadł za plecami terrorysty, który opuścił prawą rękę do przełącznika. Chwyliłem Araba od tyłu i przeskoczyłem z nim do jamy. Kiedy go wypuściłem, nadal się pochylał, żeby sięgnąć do przełącznika. Wzdrygnąłem się i skoczyłem na samą górę. Terrorysta eksplodował półtora metra nad powierzchnią wody.

Poczułem cios gigantycznej pięści, która uniosła mnie w powietrze. Odskoczyłem, jeszcze zanim usłyszałem huk eksplozji i zdążyłem wylądować na skałach. Pojawiłem się w izbie przyjęć Ośrodka Pourazowego i upadłem na podłogę. Moje ramię krwawiło, w policzku czułem klucie. Z wysiłkiem chwytałem powietrze.

Podeszła do mnie pielęgniarka, która zaczęła zadawać pytania, ale nadal ciężko dyszałem, więc zignorowałem ją. W końcu zaczerpnąłem haust powietrza i zacząłem oddychać z mniejszym trudem.

Cały czas widziałem błysk eksplozji. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem scenę śmierci mamy, chociaż mnie tam nie było. Spojrzałem na pielęgniarkę.

- Przepraszam - powiedziałem. - O co pani mnie pytała?

Zabiłem go, pomyślałem. Wysadziłem go w powietrze tak samo jak kiedyś inny terrorysta wysadził moją mamę.

Pielęgniarka zobaczyła krew na moim ramieniu i ziarenka spalonego prochu w policzku.

- Został pan postrzelony. - Odwróciła głowę i krzyknęła: - Niech ktoś przyniesie nosze!

Wszyscy wydawali się niemal rozczarowani, kiedy się okazało, że źródłem krwi jest tylko wąska bruzda na ramieniu, a jedyne inne obrażenia to oparzenia wywołane przez ziarenka gorącego prochu. Pielęgniarka opatrzyła mi ramię i posługując się bardzo delikatnymi pęsetkami, wyjęła ziarenka z policzka, jedno po drugim.

- Gdybyśmy je tam zostawili, wyglądałby pan jak wytatuowany -oznajmiła.

Zanim skończyła, pojawili się dwaj policjanci z Baltimore, którzy stanęli po obu stronach drzwi izby przyjęć. Zapytałem pielęgniarkę, po co przyszli.

- Rana postrzałowa - wyjaśniła zwięźle kobieta. - Musieliśmy ją zgłosić. Zdziwiłby się pan, ile trafia do nas ofiar niedoszłych transakcji prowa-



dzonych przez handlarzy narkotykami. Nie chcą rozmawiać z glinami, ale chcą przeżyć. Jesteśmy najlepsi, więc kumple podrzucają ich nam i znikają. Kto pana postrzelił?

Pokręciłem głową, starając się zrobić to ostrożnie, żeby nie naciągnąć mięśnia barku. Spojrzałem na ścianę. Jest martwy, pomyślałem.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi i sprawdziła stan moich źrenic. Posłużyła się małą latarką, żeby stwierdzić, czy się kurczą. Szukała śladów, jakie mogły pozostać po postrzale z bardzo bliska.

- To nie mój problem - oznajmiła w końcu. - To im będzie pan musiał opowiedzieć, co się stało. -

Zgasiła latarkę i zdezynfekowała neosporinem niewielkie ranki na policzku. - Nie warto nawet przyklejać plastra - zawyrokowała. - Proszę tylko ich nie zabrudzić. Same się zagoją, chyba że da się pan znów postrzelić.

Pokiwałem głową, ale nie oderwałem spojrzenia od ściany.

- Dzięki - mruknąłem.

Pielęgniarka przeszła między gliniarzami przez jedyne drzwi izby przyjęć.

- Jest wasz - powiedziała.

Policjanci odwrócili się i obserwowali, jak oddala się korytarzem. Korzystając z tego, że nie patrzą na mnie, przeskoczyłem.

Posłużyłem się wodoodpornym skafandrem i sprzętem do nurkowania, żeby wydobyć z wody jak najwięcej kawałków ciała terrorysty.

Nie chodziło o okazanie szacunku zabitemu... już bardziej o okazanie szacunku środowisku. Nie chciałem, żeby szczątki zgniły w stawie. Ilekroć myślałem o jego krwi rozpuszczonej w wodzie, zaciskałem mocniej wargi na ustniku aparatu do nurkowania.

Znalazłem mnóstwo kawałków, ale krew zdążyła się rozcieńczyć. Staw był zasilany przez podwodny dopływ i opróżniany przez podwodny odpływ. Nie uświadamiałem sobie tego, dopóki prąd nie zepchnął mnie na bok. Miałem siatkowy worek, do którego wkładałem szczątki ciała.

Mogłem pracować tylko w południe, kiedy promienie słońca padały na powierzchnię wody.

Ręce, nogi i głowa były nienaruszone. Głowa pływała twarzą w dół, a włosy wyglądały jak rozczapierzony wodorost. Nie spoglądając na twarz, wepchnąłem głowę do worka i spojrzałem w inną stronę.

Wielokrotnie wymiotowałem.

Za pierwszym razem nie wyjąłem ustnika, który wypełnił się wymiocinami. Byłem wtedy na głębokości siedmiu metrów, właściwie w najgłębszym miejscu stawu, więc krztusząc się i plując, odepchnąłem się od dna

i wypłynąłem na powierzchnię. Przeskoczyłem do źródelka w zamkniętym ze wszystkich stron wąwozie, żeby przepłukać ustnik. Nie chciałem robić tego wodą ze stawu.

Drugiego dnia, kiedy zebrałem wszystkie kawałki ciała, na jakie się natknąłem, wpuściłem do stawu trzy wiadra okoni o niebieskich skrzelach, dwa wiadra małych zębaczy i cztery wiadra raków. Kiedy je kupowałem, sprzedawca przynęt w Stillwater zrobił mi długi wykład na temat łowienia ryb na żyłkę przewieszoną w poprzek rzeki. Słuchałem go bardzo uważnie i podziękowałem mu, kiedy skończył.

Miałem nadzieję, że ryby i raki zatroszczą się o pozostałe kawałki ciała porywacza. Można to nazwać moją formą regeneracji środowiska.

Trzy dni po porwaniu zostawiłem szczątki zwłok terrorysty na drodze dojazdowej do pasa startowego lotniska w Larnace. Przetransportowałem je tam w ocynkowanej waniencie, którą przykryłem przezroczystą folią, żeby uniemożliwić dostęp muchom. Zastanowiłem się, czy nie dołączyć kartki z informacją, że to skutek eksplozji jego materiałów wybuchowych, ale uznałem, że lepiej nie zostawiać żadnego wyjaśnienia. Jeżeli ktokolwiek dojdzie do wniosku, że to moja sprawka, nie będę miał nic przeciwko temu. Może wystraszę dzięki temu następnego porywacza.

Ciekawe, kto pozbiierał szczątki ciała mamy?

Millie obejmowała mnie każdej nocy, kiedy płakałem.

## Rozdział 17

Na temat taśm wideo pokazujących moje pojawienie się na skrzydle boeinga 727 zajadło dyskutowano. Zjawisko zarejestrowały dwie agencje informacyjne, zakładano więc, że istnieje jakiś spisek. Ujęcia, nawet przy maksymalnym zbliżeniu, pokazywały jedynie moje plecy. Kiedy trzy dni później pojawiła się ocynkowana wanienska, dyskusja stała się jeszcze bardziej zażarta.

W wyjaśnieniu zamieszczonym w „National Enquirer” wspomniano o UFO, o duchu El visa i o nowej Diecie Przeciw Porywaczom Samolotów.

Ogromną wagę przywiązywano do amerykańskiego pochodzenia ocynkowanej balii. Niektórzy twierdzili, że zastosowano tortury, ale sekcja zwłok Cypryjczyka wykazała śmierć w wyniku wybuchu, a następnie zanurzenia w słodkiej wodzie.

Wspominano przemoczonych do suchej nitki terrorystów, którzy porwali samolot Air France. Omawianiu tego incydentu poświęcono na antenie mnóstwo czasu. Nadawano przeważnie wewnątrznie sprzeczne wypowiedzi stewardessy rejsu Pan Am.

Unikałem oglądania audycji na ten temat, ale same wspomnienia przygnębiały mnie. Znow się zastanawiałem, czy istnieją inni teleporterzy, którzy oglądają te sprawozdania.

W sobotę, tydzień po porwaniu, skoczyłem do Dairy Queen w Stanville i kupiłem loda w rożku, siedemdziesiąt trzy centy, proszę, oto serwetka. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, na miejski rynek i usiadłem na ławeczce pomalowanej zieloną oblażącą farbą. Na placu leżał brudny, zdeптany śnieg, ale pod szarym niebem temperatura była dodatnia i nie wiało.

Ludzie w dwu- i trzyosobowych grupkach wychodzili z podziemi kościoła baptystów. Jakaś kobieta oddzieliła się od takiej grupki i podeszła do mnie.

- Znam cię.

Naprężyłem się do skoku; wtedy ją rozpoznałem. Sue Kimmel, która zorganizowała tamtą imprezę i zabrała mnie do swej sypialni.

- Też cię znam - odpowiedziałem. Czuję się zażenowany. - Uhm, jak ci idzie w college'u?

Zaśmiała się ze smutkiem.

- Cóż, college nie wypalił. Spróbuję jeszcze raz latem.

- Przykro mi. Z czym był problem?

Zbyt późno pomyślałem, że Sue prawdopodobnie nie chce o tym rozmawiać.

Usiadła na ławce, nie za blisko i nie za bardzo daleko. Wyciągnęła stopy przed siebie. Ręce schowała w kieszeniach płaszcza.

- Wóda. Problemem była wóda. - Podbródkiem wskazała kościół. - Właśnie wracam ze spotkania Anonimowych Alkoholików. Dopiero przed miesiącem wyszłam z Red Pines. - Red Pines było nazwą centrum leczenia uzależnień na skraju Stanville. Zadrżała. - To trudniejsze, niż sądziłam. Pomyślałem o moim starym i jego butelkach szkockiej.

- Mam nadzieję, że się uda.

- Musi - odpowiedziała, znowu się uśmiechając. Spojrzała na mojego loda. - Wygląda na niezły.

Może byś zjadł jeszcze jednego w moim towarzystwie?

- Chętnie, ale ja wezmę kawę. Znowu obejrzała się na kościół.

- Miałam dosyć kawy. My w AA jesteśmy kawową potęgą.

Weszliśmy do Dairy Queen, gdzie kupiłem dla niej lody, a małą kawę dla siebie. Usiedliśmy w boksie w rogu. Oparłem się plecami o ścianę.

- Twój ojciec jest alkoholikiem, prawda?

Zaskoczyła mnie ta uwaga, a jeszcze bardziej zaskoczyła mnie własna reakcja - chciałem go bronić.

- Tak... Z pewnością.

- Przyszedł na dwa spotkania w zeszłym miesiącu, ale z obu wyszedł, zanim się jeszcze zaczęły.

Wyglądał strasznie, jakby miał drżączkę. Ktoś go widział później u Gila, za każdym razem pił. Zaawansowani alkoholicy mogą się zabić, próbując się sami odtruwać. Wiesz o tym?

- Nie, nie wiedziałem. Sue kiwnęła głową.

- Tak, aldehydy zastępują neurotransmitery i jeśli nagle zrywasz z wódą zostajesz bez małych posłańców, bez małych chemicznych iskierek. Możesz dostać drgawek i umrzeć. Często widzisz ojca?

- Nie, raczej rzadko.

- Powinien się poddać kuracji. Chyba nawet o tym wie, ale po prostu nie może przejść tego ostatniego kawałka, pokonać trudnej grani.

Sączyłem kawę i milczałem.

- Co cię skłoniło do szukania pomocy? - spytałem po chwili.

- Mnóstwo rzeczy. Tajne kryjówki z wódą. Picie na zajęciach. Halucynacje. Takie, jakie miałam na tej imprezie, na której byłeś. Przyszedłeś na moją imprezę, prawda?

- Och, tak.

- Miałam wtedy ten dziwny sen na jawie. Śniłam, że wyfrunąłeś przez okno mojej łazienki.

Wlepiłem w nią wzrok.

- Nie patrz tak na mnie. Wiem, że to wariactwo. Poczułem, że się czerwienię.

- W każdym razie chcę cię przeprosić za to, jak się zachowywałam tamtego wieczoru. Byłam kompletnie pijana. Musiałam przeproszać za wiele rzeczy. Nazywamy to dziewiątym krokiem.

Zakrztusiłem się kawą.

- Dziewiątym krokiem? - Kiedy odzyskałem oddech, dodałem: - Moja mama nie była alkoholiką ale mówiła, że przerabia ze mną dziewiąty krok, zanim pojechała do Europy. Zanim umarła.

Skinęła głową.

- Tak. Alanon realizuje program dwunastu kroków, tak jak AA. Odbywałam kurację, kiedy zginęła twoja matka, ale rodzice mi o tym powiedzieli. Było mi bardzo przykro.

Westchnęła.

- Mam nadzieję, że nie mówię za dużo. To tak jak religia, wiesz, a ja jestem świeżo nawrócona.
- Nie mam nic przeciwko temu. Zawsze jestem do dyspozycji. Pogadaliśmy trochę o wspólnych znajomych, a potem musiała iść.
- Cieszę się, że na ciebie wpadłam - oznajmiła.
- Ja też - odpowiedziałem szczerze.

Kiedy odeszła, gapilem się w pustą filiżankę. Zastanawiałem się, czy koło domu starego nadal obozuje ABN.

Przy toaletach w Dairy Queen był automat telefoniczny, ale gdybym stąd zadzwonił, ABN rozbiłoby obóz przed lokalem, mając nadzieję, że tam wrócę. Wszedłem tylnym wyjściem przy kontenerze na śmieci i skoczyłem na dworzec autobusowy w Stanville.

Mała poczekalnia przy automatach z drobiazgami wyglądała dokładnie tak samo jak półtora roku temu, kiedy wyjeżdżałem stąd do Nowego Jorku. Nieco lęku i smutku z tamtego okresu zdawało się wypełniać to miejsce, pokrywać ściany i unosić w powietrzu. Wszedłem do środka i wrzuciłem ćwierć dolara do automatu.

Ojciec odebrał po dwóch sygnałach.

- Halo?

W jego głosie brzmiała irytacja i wiedziałem, że potrzebuje drinka.

- Cześć, tato.

Zwykle odgłosy pokoju, których normalnie się nie słyszy, ucichły. Ich brak natomiast natychmiast stawał się zauważalny. Poczulem się jeszcze smutniejszy.

- Nie musisz zakrywać mikrofonu, tato. Oni umieją odtworzyć rozmowę.

- O czym mówisz? - wyjąkał.

- Idź na leczenie, tato. Jesteś ubezpieczony. Zamelduj się w Red Pines.

- Nie, do diabła! Wiesz, jaka jest różnica między pijakiem a alkoholikiem?

To był stary greps. Odpowiedź brzmiała: „Pijak nie musi chodzić na te wszystkie spotkania”. Zanim zdążył wygłosić tę puentę, odparłem:

- Tak... Pijakom pogarsza się aż do śmierci. Niektórym alkoholikom się polepsza.

- Pierdol się - rzucił.

- Idź na leczenie. Milczał przez chwilę.

- Czemu uciekasz przed rządowymi? Nie szanujesz swojego kraju?

W tym momencie byłem bliski odwieszenia słuchawki. Ale wziąłem głęboki oddech i powiedziałem:

- Bardziej niż oni szanuję ustawę o prawach obywatelskich. I konstytucję. Nie jestem dla nich zagrożeniem, ale oni w to nie wierzą. Prawdopodobnie nie są w stanie w to uwierzyć.

Z parkingu dobiegł pisk opon - ale niezbyt głośny. Brzmiało to, jakby ktoś trochę za szybko skręcił na ciasne wolne miejsce, wiedziałem jednak, co jest grane.

- Idź na leczenie, tato. Zanim umrzesz. Zanim schrzanisz życie komuś innemu.

Upuściłem słuchawkę, by wisiała na sznurze, poszedłem do holu przy toaletach i stanąłem tuż przy wejściu, nieco w cieniu.

Wpadli jednocześnie przez oboje drzwi. Czterech mężczyzn, każdy z czymś, co wyglądało na broń z krótką lufą o ogromnym kalibrze. Jezu, co to takiego? Mógłbym przysiąc, że z luf coś wystawało. Coś ledwie widocznego, ale pobłyskującego w świetle świetlówek. Chwilę później jeden z mężczyzn mnie zobaczył i uniósł broń do ramienia.

Skoczyłem.

Zadzwoiłem do doktora Perstona-Smythe'a z ulicznej budki. Miałem jeszcze sporo do obejrzenia w Waszyngtonie, ale trzymałem się z dala od Mailu. Nie chciałem, żeby obserwowali Muzeum Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej, zanim zdołam je zwiedzić.

Perston-Smythe odebrał telefon. Zastanawiałem się, czy w jego gabinecie siedzi agent i trzyma jeden z tych krótkolufowych karabinów albo pistolet strzałkowy, taki jak ten, którym postrzelili mnie w mieszkaniu taty.

- Co to za nieprzyjemnie wyglądające karabiny, z którymi się obnoszą? - spytałem.

Szybko zaczerpnął oddechu.

- Czego pan chce, panie Rice?

- Chcę, żeby dano mi spokój. Nie robię nikomu krzywdy, a już na pewno nie zagrażam bezpieczeństwu narodowemu. Posuwacie się o wiele za daleko, chłopcy.

Usłyszałem pstryknięcie i w słuchawce odezwał się inny głos.

- Panie Rice, niech pan nie odkłada słuchawki. Mówi Brian Cox.

- Nie siedzi pan chyba cały czas w gabinecie doktora Perstona--Smythe'a?

- Nie siedzę. Załatwiliśmy przełączanie pańskich rozmów na mój numer. Doktora Perstona Smythe'a nie ma już na linii.

- Czego chcecie?

- Chcemy pańskich usług.
- Nie.
- W porządku, chcemy wiedzieć, jak pan to robi.
- Nie.
- Już pan dla nas pracuje. Wykonał pan niezłą robotę w Algierze i w Larnace. Zwłaszcza w Larnace.
- Wcale nie. Nie ścigałem ich dla was.

Zaśmiał się cicho. Pokręciłem głową obserwując ulicę. Zastanawiałem się, czy rozmyślnie próbuje mnie rozproszyć, by pozwolić innym, żeby się do mnie podkradli. Chciałem go zapytać, czy wie coś o innych teleporte-rach, ale byłem pewien, że nie zawaha się skłamać, by mnie zwabić.

- Cóż, nawet jeśli mścił się pan za matkę, wyszło to nam na korzyść. Moglibyśmy dostarczyć panu Matara, wie pan.

Sukinsyny.

- W zamian za co?
- Za przysługę wyświadczoną tu i tam. Nic trudnego ani nawet nieprzyjemnego. Z pewnością nie gorszego od Larnaki.

Nie powinienem był tego robić, ale mu powiedziałem.

- Wysadził się w powietrze. Zebrałem tylko kawałki. Gdybym tego nie zrobił, wszyscy pasażerowie by zginęli.
- Och - rzucił obojętnym tonem. Nie wiedziałem, czy mi uwierzył czy nie. - Skąd pan to wie? Może poddałby się w ciągu następnych pięciu minut? Czy jest pan pewien, że nie naraził pan pasażerów na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Może nigdy nie wcisnąłby guzika, gdyby nie pańska interwencja.

Zwerbalizował tylko to, co powtarzałem sobie od tygodnia.

Jakiś samochód z czwórką mężczyzn wolno jechał ulicą. Inni szli po chodniku. Mieli długie, rozpięte płaszcze; prawa ręka każdego przywierała do boku, kryjąc coś pod płaszczem. Zatrzymali się pięćdziesiąt metrów ode mnie.

- Widzę pańskich ludzi, Cox.
- Dopóki rozmawiamy, będą trzymać się z dala.
- Czemu zadaje sobie pan tyle trudu? Myśli pan, że mogą mnie złapać? Co mają w tych nieprzyjemnych strzelbach, które noszą przy sobie?
- Środek usypiający.

Pomyślałem, że kłamie. Zbyt duży kaliber.

- A jeśli mam alergię na ten środek? Skoczę gdzieś i umrę. Pan dostanie figę.
- Powinien pan z nami pracować. Chronimy kraj. Czy to źle?

- Chyba się porzygam.

- Chce pan dorwać Matara?

- Sam go dostanę.

- W końcu pana złapiemy, chyba że chce się pan wiecznie ukrywać.

- Nie boi się pan, że zmusicie mnie do współpracy z drugą stroną? Pie-riestrojka i tak dalej, widzę coraz mniej różnic. Oni przynajmniej pozbyli się tajnej policji. My nadal was mamy. Dajcie mi spokój.

- A co z pańskim ojcem?

- Róbcie z nim, co chcecie - odpowiedziałem. - Zasługuje na to. Upuściłem słuchawkę i skoczyłem.

Spędziłem osiem godzin w samolocie z Dallas do Honolulu. Terrorysty z Japońskiej Czerwonej Armii przetrzymywali trzystu turystów na tamtejszym lotnisku, przed posterunkami kontroli bezpieczeństwa. Kiedy przyleciał mój samolot, było już po sprawie.

Komandosi z Navy Seal wsparci specjalnymi jednostkami armii z koszar w Schofield uwolnili większość zakładników. Ofiar było „niewiele”: dwoje turystów, jeden komandos i sześciu czy siedmiu terrorystów.

Honolulu było piękne, woda niewiarygodnie niebieska, góry szmaragdowozielone, ale opuszczałem je głęboko przygnębiony. Jedną z ofiar była kobieta w wieku mamy.

- Nie możesz być wszędzie jednocześnie.

Siedziałem na dywaniku z owczej skóry i wkładem drewno do piecyka. Od chwili usunięcia szczątków porywacza z zimnej ciemnej wody nie mogłem się ogrzać. Nawet w balsamicznym powietrzu Hawajów oblewał mnie chłodny pot.

Millie siedziała przy mnie, szlafrok odsłaniał jej nagą skórę. Ja nadal byłem ubrany, w płaszczu na ramionach.

- Wiem.

Objąłem rękami kolana. Gorąco buchające z piecyka niemal sprawiało ból. Czułem je na skórze, ale nie dochodziło do kości.

Chciała, żebym poszedł do terapeuty, co bolesnym echem przypominało mi mamę. Nie chciałem tam iść.

Przesunęła się na dywaniku, oparła o mnie i położyła mi głowę na ramieniu. Pocałowałem ją w czoło.

- Myślisz, że jeśli dopadniesz Matara, załatwisz sprawę - powiedziała. - Że w jakiś sposób to wszystko wyprostuje. Uważam, że się mylisz.

Pokręciłem głową i nachyliłem się do ognia.

- Przekonasz się, że to w ogóle nie pomogło - ciągnęła. - I boję się, że kiedy będziesz się o tym przekonywał, zginiesz. Możesz odskoczyć od



pistoletów, noży, bomb, ale dopóki nie odskoczysz od siebie, nie uciekniesz przed bólem. Chyba że stawisz mu czoło i sobie z nim poradzisz.

- Poradzę sobie? W jaki sposób?

- Powinieneś pójść do terapeuty.

- Nigdy!

- Terapeuta cię nie zabije... a porywacz samolotu owszem. Dlaczego łatwiej jest namówić mężczyznę do pójścia na wojnę niż do pójścia do terapeuty?

- Mam pozostawić sprawy własnemu biegowi? Mam pozwalać tym kanaliom, żeby zabijali niewinnych ludzi?

Patrzyła na ogień.

- Dzisiaj w CNN nadawali wywiad z jakimś Palestyńczykiem - odezwała się po chwili. - Chciał wiedzieć, dlaczego tajemniczy antyterrorysta nie ocalił palestyńskich dzieci przed izraelskimi kulami.

- Nie mogę być wszędzie. - Skrzywiłem się na własne słowa. Uśmiechnęła się.

- Więc gdzie postawisz sobie granice? Zanim tam poleciałeś, wiedziałeś, że sytuacja w Honolulu nie ma nic wspólnego z szyickimi ekstremistami. Wiedziałeś, że nie będzie tam Matara.

Wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Czy mogę po prostu stać z boku, kiedy mógłbym coś zrobić?

- Zgłoś się do straży pożarnej. Ocalisz więcej ludzi, narażając się na mniejsze niebezpieczeństwo. Obawiam się, że jeśli podążysz swoją drogą skończysz jak ci z ABN. Im więcej masz do czynienia z terrorystami, tym bardziej zachowujesz się jak oni.

Odsunąłem się od niej.

- Czy naprawdę zacząłem działać w ten sposób? Pokręciła głową i przyciągnęła mnie do siebie.

- Przepraszam. To moje lęki. Może jeśli będę ci stale o tym przypominać, tak się nie stanie.

Opadłem bezwładnie w jej objęcia, kuląc się. Głowę trzymałem na jej ramieniu.

- Mam taką nadzieję.

Ateny, punkt startowy wielu porwań, były także sceną następnego. DC-10 Olimpia Airlines wystartował do Madrytu i po zaledwie dziesięciu minutach kapitan poprosił o zgodę na lądowanie awaryjne z powodu nieszczelności kadłuba. Jednocześnie przełączył urządzenie odzewowe radaru na 7500, międzynarodowy sygnał, że samolot został porwany. DC-10 od dwóch godzin znajdował się na ziemi, kiedy z Manhattan Media Monitoring dowiedziałem się o tym wydarzeniu.

Kiedy skoczyłem na terminal, na miejscu były już jednostki armii greckiej, które otoczyły samolot. Poszukałem najpierw dziennikarzy, gdyż doszedłem do wniosku, że będą coś wiedzieć o liczbie porywaczy, ich uzbrojeniu i żądaniach.

Reporter Reutersa z Algieru był tam. Na mój widok zrobił wielkie oczy, wycofał się z pozycji w pierwszym rzędzie i odciął mnie od grupy dziennikarzy.

- To ty - powiedział podnieconym szeptem. - To ty byłeś na filmie. - Wciąż się rozglądał w obawie, że przyciągnie innych.

- O czym pan mówi? - Zastanawiałem się, czy to katastrofa, czy coś, co można wykorzystać.

- Nie odchodź. Pozwól, że zrobię z tobą wywiad.

- Spokojnie. Zwabi pan swoich kolegów, a ja odejdę. Wziął głęboki oddech i opuścił ramiona.

- Wiedziałem! - szepnął. - Może byśmy poszli w jakieś spokojniejsze miejsce?

- Czy pan o czymś nie zapomina? - spytałem, wskazując ruchem głowy okno terminala. Samolot stał przy końcu pasa startowego, jakiś kilometr od nas.

Oblizwał wargi.

- Kiedy się to skończy, porozmawiamy?

- To zależy. Co się dzieje w sprawie porwania? Co może mi pan powiedzieć?

- Jeśli powiem ci, co wiem...

- Mogę zapytać ich - przerwałem mu, wskazując kciukiem pozostałych dziennikarzy.

- Dobrze, dobrze, weź moją wizytówkę. - Wręczył mi białą kartę wizytową z winiętą Agencji Reutersa, nazwiskiem Jean-Paul Corseau i numerami telefonu, faksu i teleksu. - Jest ich trzech. Mają pistolety. Strażnik w cywilnym ubraniu ranił jednego, ale pozostałych dwóch go zabiło. W czasie strzelaniny kula przebiła okno pierwszej klasy. Byli na niecałych trzech tysiącach metrów, więc nic strasznego się nie stało, ale pilot nalegał, żeby wylądowali. Żądają nowego samolotu. Nie pozwolili pilotowi odblokować pasa startowego, więc ruch jest kierowany na drugi pas.

- Jakies inne żądania? Jakiej są narodowości?

- Na razie nic. Są z ETA, separatyści baskijski. Większość pasażerów to Hiszpanie.

- Baskowie? Od kiedy Baskowie porywają samoloty? Myślałem, że raczej podkładają bomby?

Wzruszył ramionami.

- Coś jeszcze? Jak ciężko ranny jest trzeci porywacz?

- Nie wiemy.

- W porządku, dzięki. Jeśli się uda, dam panu coś później. - Rozejrzałem się. Chyba nikt nas nie obserwował. - Co tam jest? - zapytałem, wskazując w tył, na dziennikarzy.

Corseau odwrócił głowę, a ja skoczyłem.

Jeden terrorysta stał w drzwiach i wyglądał przez nie na zewnątrz. Miał na sobie długi skórzany płaszcz, a w dłoniach pistolet. Tylne drzwi zamknięto, we wszystkich oknach zaciągnięto zasłony.

Drugi porywacz stał w kabinie pilotów, ledwie widoczny. Zostawał jeszcze jeden, ten ranny.

Na DC-10 przednie drzwi znajdują się za pierwszą klasą. Przy nich, od strony kabiny pilotów jest ścianka działowa, przecięta dwoma otworami prowadzącymi do przejść między fotelami na prawo i na lewo. Skoczyłem na środek części kuchennej samolotu. Od przodu osłaniała mnie ścianka działowa, od tyłu kuchnia.

Nie zauważyłem, żeby ktoś obserwował mężczyznę w drzwiach, odwróconego do mnie plecami, ale nie było to wykluczone. Zdecydowałem się zaryzykować. Skoczyłem za niego, jedną ręką objąłem go w pasie, drugą zakryłem mu usta i przeskoczyłem do szybu. Upuściłem go i wróciłem do kuchni. Chwilę nasłuchiwałem. Chyba nikt nie zauważył moich działań. Za pomocą lusterka dentystycznego obejrzałem przód samolotu.

Mężczyzna w wymiętym garniturze opierał się o przednią ściankę działową. W prawej dłoni trzymał dziwny pistolet wymierzony w kierunku siedzących pasażerów. Lewa strona marynarki, aż do samego dołu, nasiąkła mu krwią. Do plamy krwi przyciskał mocno lewe ramię. Twarz miał pokrytą potem i bardzo bladą. Z miejsca, gdzie stał, widział przejście między fotelami, to bliższe drzwi samolotu.

U jego stóp zobaczyłem głowę i wyciągniętą dłoń martwego mężczyzny - zgięte, skierowane w górę palce wyrażały jakby błaganie.

Wycofałem się do drugiego przejścia i za pomocą lusterka obejrzałem otwarte drzwi do kabiny pilotów. Stał tam, tuż przy drzwiach, ostami z terrorystów, ze słuchawkami na uszach. Wymachiwał pistoletem, żeby podkreślić wagę tego, co mówił.

Z mojej pozycji widziałem tylko jednego załoganta, pilota. Patrzył w przód. Na szczycie głowy miał niewielką łysinę.

Wyjąłem z torby stalowy pręt, uniosłem go i skoczyłem.

Pojawiłem się w drzwiach kabiny pilotów, walnąłem prętem w tył głowy terrorysty, a potem błyskawicznie odwróciłem się i rąbnąłem go w zranioną rękę. Usłyszałem, jak trzasnęła kość.

Pistolet poleciał do przodu. Pasażer z pierwszego rzędu podniósł go. Terrorysta osunął się na ziemię. Trzymał prawą ręką przegub lewej dłoni i przyciskał do zranionego boku. Ścianę za nim plamiła krew.

Zajrzałem do kabiny. Technik i drugi pilot unieruchomili terrorystę, a kapitan wyszarpywał z jego ręki pistolet. Patrzył na drzwi, na jego twarzy malowały się strach i zdecydowanie.

- Nie strzelaj - powiedziałem z szerokim uśmiechem. - Jestem po waszej stronie.

Odwróciłem się, ruszyłem wzdłuż przejścia, minąłem kuchnię i wszedłem do klasy turystycznej. Słyszałem, jak kapitan gramoli się z fotela i idzie za mną. Wszystko wydawało się w porządku. Stewardessy stały w samym tyle samolotu.

- Gdzie jest trzeci? - spytał kapitan.

- Wrzuciłem go do ładowni. Zaraz go przyprowadzę. Skoczyłem na klif nad szybem.

Mężczyzna w długim skórzanym płaszczu był na wysepce. Trząsł się. Zdołał utrzymać pistolet i stał zgarbiony ze skrzyżowanymi ramionami, rozglądając się wkoło. Jego płaszcz ociekał wodą.

- Rzuć broń! - krzyknąłem.

Szarpnął głową, krople wody zalśniły w ostatnich promieniach południowego słońca. Wycelował we mnie i zawołał coś w języku, którego nie rozumiałem.

Skoczyłem na szczyt ściany po drugiej stronie, za jego plecami.

- Rzuć broń! - krzyknąłem znowu.

Obrócił się na pięcie, tym razem szybko strzelając. Kula odłupała kamień parę metrów na lewo ode mnie.

Skoczyłem na wyspę, za plecy mężczyzny, i prętem walnąłem go w czaszkę. Wrzasnął, opadł na kolana i rękami chwycił się za głowę. Uderzyłem w jego pistolet, upuścił go. Podniosłem szybko broń i odstałem od terrorysty.

Pistolet był z plastiku. Czytałem o takiej broni, możliwej do przemycenia obok wykrywaczy metali na lotnisku.

Trzymał się za głowę i wykrzykiwał coś, co brzmiało jak przekleństwa.

Gestem poleciłem mu położyć się twarzą w dół. Splunął w moim kierunku. Znacząco uniosłem pręt. Skrzywił się i położył na brzuchu. Schowałem pistolet do kieszeni i skrępowane terrorysty ręce z tyłu linką. Potem postawiłem go i przeskoczyłem z nim do Aten, do kuchni na DC-10.

Kapitan rozmawiał po grecku z jedną ze stewardess. Oboje drgnęli, kiedy pojawiłem się tam z więźniem.

- Macie tu trzeciego porywacza - powiedziałem. Kapitan skinął głową, a ja skoczyłem.

Trzymałem się na uboczu, gdy pasażerowie wychodzili z samolotu. Dwóch terrorystów wynoszono na noszach. Za załogą i stewardessami wyniesiono ostatnie nosze, przykryte.

Kiedy odczytano oficjalny komunikat dla prasy, poklepałem Corseau po ramieniu. Wyciągnął ku mnie dyktafon, ale pokręciłem głową.

- W porządku - ustąpił i wyłączył go. - Czy dostanę wywiad?

- Gdzie ma pan następne zadanie? - spytałem. - Czy trafił pan na to, bo gdzieś się pan wybierał?

- Tak. Leciałem do Kairu.

- Gdzie jest pański bagaż?

- Już na miejscu. Oddałem go i właśnie mieli go ładować, kiedy to się wydarzyło.

Uśmiechnąłem się.

- Dobrze. - Obszedłem go i stanąłem za nim. Zaczął się odwracać, ale poprosiłem: - Niech się pan nie rusza.

Rozejrzałem się. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Złapałem go za pasek i skoczyłem z nim, torbą na aparat fotograficzny, laptopem i wszystkim, co miał, na terminal lotniska w Kairze, na chodnik przy postoju taksówek.

- Merde!

Musiałem go podtrzymać, żeby się nie przewrócił.

- Poznaje pan, gdzie jest?

- Tak.

- To dobrze - odpowiedziałem i skoczyłem.

Na Hawajach było pięć godzin wcześniej niż w Oklahomie, więc wyliczyłem, że mogę zabrać Millie z domu o jedenastej jej czasu i spędzić miły wieczór w Honolulu. Skoczyłem tam z Kairu i wziąłem taksówkę na lotnisko.

Honolulu sprawiało dziwne wrażenie. Jeśli nie liczyć Nowego Jorku, Hawaje są jedynym miejscem w Stanach, gdzie czułem się jak w mieście zagranicznym. Choć napisy są po angielsku, sceneria nie pasuje. Ale miasto było piękne i pierwszy raz od tygodni czułem ciepło.

Popołudnie spędziłem, spacerując wokół Waikiki. Kupiłem hawajską koszulę i muumuu dla Millie.

Wybrałem restaurację przy Royal Hawaiian. Następnego dnia wypadała sobota, więc Millie nie musiała rano wstawać.

Czułem się, jakbym świętował.

O jedenastej środkowego czasu standardowego skoczyłem do sypialni Millie. Miałem na sobie białe luźne spodnie i hawajską koszulę. Suknia cze-

kała na Millie w Teksasie, ale wziąłem ze sobą storczykową girlandę, żeby założyć jej na szyję. Lampka nocna była odsunięta, więc łóżko pozostało w cieniu. Postąpiłem krok, myśląc, że Millie zasnęła, kiedy na zacięzionym łóżku coś zaśniło.

Obróciłem się w bok i otrzymałem uderzenie w nogę. Na szczęście cios częściowo chybił. Bang, pomyślałem i skoczyłem do niszy w izbie przyjęć Ośrodka Pourazowego w Baltimore.

Spojrzałem w dół na nogę. Zwisała z niej srebrna rurka. Miała niecałe trzy centymetry średnicy i piętnaście centymetrów długości. Z jednego końca wystawała cienka jak drut antena. Umieszczony z drugiej strony pręt z nierdzewnej stali wchodził w materiał spodni i wychodził pięć centymetrów dalej. Pręt kończył się zębatym ostrzem, jak jakiś harpun. Na jego koniuszku zgromadziła się przezroczysta ciecz. Schyliłem się. Ostrze było wydrążone.

Cóż, Cox nie kłamał. To był środek usypiający. Ale gdyby to zębate ostrze trafiło mnie bezpośrednio, wbiłoby się w nogę i nie mógłbym go wyciągnąć.

Było trochę krwi, lecz wyglądało, jakby strzałka tylko się otarła, zaczepiając o spodnie. A antena oznaczała obecność jakiegoś urządzenia naprowadzającego.

Harpun wbiłby mi się w nogę, a ja bym odskoczył. Zanim wydostałbym harpun, środek uspokajający by mnie uspił, a urządzenie naprowadzające dokończyłoby dzieła. Czy mogli je śledzić przez satelitę?

Ile czasu by im zajęło dotarcie do mnie? Czy skonstruowali to urządzenie tylko z mojego powodu, czy też stosują istniejącą technikę do bieżącego problemu, to znaczy czy istnieje więcej teleporterów, na których polują?

Skoczyłem do Central Parku, ciemnego i zimnego. Hawajska koszula z krótkimi rękawami i sandały, które miałem na sobie, nie były odpowiednim ubraniem. Szczyrykiem wyswobodziłem harpun. Zastanawiałem się, czy go o coś nie rozbić.

Co zrobili z Millie?

Poczekalem pięć minut, a potem przeskoczyłem na parking dla ciężarówek w Minnesocie. Wielka pusta ciężarówka do transportu żwiru właśnie ruszała w drogę. Skoczyłem i rzuciłem harpun na jej platformę. Usłyszałem, jak brzdęknał; potem ciężarówka ruszyła po drodze dojazdowej do rozbiegówki autostrady.

Zastanawiałem się, dokąd jedzie.

To nie była przyjemna noc. Męczyły mnie koszmary, a o świcie skuliłem się przy piecyku i łamałem drewno na rozpałkę na coraz mniejsze kawałki.

Tego ranka budynek, gdzie mieszkała Millie, roił się od agentów ABN, ale nawet jeśli tam była, nie pojawiła się na zajęciach. Obserwowałem wszystko z dachu, przez lornetkę. Kiedy zadzwoniłem, zgłosiła się kobieta, ale nie była to ani Millie, ani jej współlokatorka, więc bez słowa odwiesiłem słuchawkę.

W Topeka w Kansas zadzwoniłem do szwagra Millie, prawnika. Sekretarce podałem fałszywe nazwisko.

- Pańska szwagierka Millie Harrison została wczoraj porwana przez agentów ABN.

- Kto mówi?

- Znajomy Millie. Agenci są wszędzie w budynku, gdzie mieszka, a ani jej, ani jej współlokatorki nie ma w domu.

- Jak pan się nazywa?

- Proszę, niech pan zrobi, co może. Odwiesiłem słuchawkę.

Dostawca wyposażenia akwariów sprzedał mi za dwa tysiące dolarów walec z przezroczystego leksanu centymetrowej grubości. Chciał mi również sprzedać stalowe dno z uszczelką i końcówkami rurek do filtrów, ale odmówiłem. Nie zamierzałem wykorzystać walca jako akwarium. Skoczyłem z rurą do mieszkania i przynitowałem wewnątrz, w połowie wysokości, dwie rączki. Kiedy stałem w środku, trzymając za nie, rura sięgała mi nieco ponad głowę, osłaniając mnie dokoła.

Skoczyłem do gabinetu Perstona-Smythe'a w Waszyngtonie.

Harpun uderzył w plastikową skorupę i odbił się od niej pod kątem. Doktora nie było w gabinecie, ale mężczyzna w rogu pokoju upuścił pistolet na harpuny i zanurkował po mnie.

Skoczyłem w bok i stanąłem przy regale. Mężczyzna przeleciał przez miejsce, które opuściłem, i wyrznął w biurko, próbując w ostatniej chwili osłonić się rękami. Nie udało mu się - uderzył w krawędź blatu głową i lewym ramieniem. Z jękiem upadł na podłogę.

Wyskoczyłem z rury i chwilę nasłuchiwałem przy drzwiach. Wydawało się, że nikt nie nadchodzi. Wyjąłem pistolet z kabury na ramieniu, a potem chwyciłem mężczyznę za pas i uniosłem. Zaczął się wrywać. Skoczyłem z nim na plażę w Tigzircie w Algierii i zostawiłem go tam, z twarzą na piasku.

Stałem za biurkiem Perstona-Smythe'a, kiedy wrócił do gabinetu. Był sam. Wycelowałem w niego pistolet agenta i poprosiłem, żeby zamknął

drzwi. Potem, obszukawszy go, skoczyłem z nim na pustynię u podnóża El Solitario.

Kiedy go puściłem, upadł na kolana. Odszedłem trzy metry i usiadłem na kamieniu.

Rozglądał się dokoła, mrużąc oczy od jaskrawego słonecznego światła.

- Jak to robisz?

Gdybym nie był skupiony na Millie, uznałbym wyraz jego twarzy za zabawny.

- Gdzie jest Brian Cox?

- Przypuszczam, że w swoim biurze. Szukałeś go tam?

- Gdzie ma biuro?

- Cóż, figuruje w spisie urzędów państwowych, chyba mogę ci powiedzieć - odparł po chwili wahania. - Zarządza swoim małym spektaklem z Pierce Building, naprzeciw Departamentu Stanu.

- Nie jest w Fort Meade?

- Nie. ABN ma biura wszędzie. Co zrobiłeś Barry'emu?

- Kto to jest Barry?

- Agent z mojego gabinetu.

- Aha. Barry poszedł na plażę. Gdzie umieścili Millie Harrison?

- Pierwszy raz o niej słyszę. Wycelowałem pistolet w jego głowę.

- Słowo daję. Nigdy o niej nie słyszałem. Pamiętaj, z kim masz do czynienia. Ci faceci nic nikomu nie mówią jeśli nie są do tego zmuszeni.

Opuściłem broń.

- Chciałbym zwrócić pańską uwagę, że przed człowiekiem z moimi talentami bardzo trudno uciec. Jeśli się dowiem, że pan mnie nabrał, odezwę się.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Przysięgam. Zajmuję się tylko Bliskim Wschodem.

- Proszę się odwrócić.

- Zastrzelisz mnie?

- Nie, chyba że mnie pan do tego zmusi. Proszę się odwrócić.

Gdy spełnił moje polecenie, złapałem go i skoczyłem z nim na terminal lotniczy w Ankarze. Tam go zostawiłem.

Miałem nadzieję, że ma przy sobie kartę American Express.

Kiedy ponownie pojawiłem się w domu Millie, liczba agentów w kompleksie była zredukowana.

Dwóch mężczyzn stało na zewnątrz, przy rogach budynku. Zobaczyłem, że jeden wyjął radio spod płaszcza i coś do niego mówił.



Zostawiłem go na lotnisku w Bonn. Wymachiwał pistoletem do miotania harpunów i znowu próbował rozmawiać przez radio. Ochroniarze lotniska biegli w jego stronę.

Nie sądzę, żeby przez swoje radio mógł rozmawiać z innym kontynentem.

Drugiego strażnika przenieśli na lotnisko Orły pod Paryżem. Zdołał walnąć mnie łokciem w żebra, ale go nie puściłem i zostawiłem w pobliżu grupy japońskich turystów tłoczących się przy informacji.

Agentów w mieszkaniu załatwiłem za pomocą cylindra z lexanu. Ściągnąłem ich ogień na siebie, a potem przenieśli na lotniska na Cyprze, we Włoszech i w Arabii Saudyjskiej.

Ojciec chyba był w pracy. W każdym razie na podjeździe nie było jego samochodu. W domu zastałem tylko trzech agentów. Rozmieściłem ich w Tunisie, Rabacie i Lahore. Kosztowało mnie to następnego siniaka na żebrach i stratowane podbicie stopy.

Zastanawiałem się, czy nie uzbroić się w stalowy pręt, ale nie chciałem ryzykować, że kogoś zabiję. Mogłem podjąć takie ryzyko, kiedy stawką był samolot pełen ludzi, ale ryzykować życie Amerykanów?

„To też są swego rodzaju terroryści”.

Zadrżałem, przypomniawszy sobie ostrzeżenie Millie. Nie chciałem stać się do nich podobny.

Jeszcze bardziej nie chciałem stać się podobny do ojca.

W Waszyngtonie panował mrok. Ciężkie chmury zasłaniały zachodzące słońce, ze wschodu wiał zimny wiatr. Poszedłem na stację i wybrałem numer Perstona-Smythe'a. Przypuszczałem, że nadal jest w Turcji, chyba że miał przy sobie paszport, ale chciałem rozmawiać z Coksem.

W słuchawce usłyszałem obojętny głos nieznanego mężczyzny.

- Mówi David Rice - powiedziałem. - Chciałbym rozmawiać z Bria-nem Coksem.

Mężczyzna na drugim końcu linii wyraźnie się wahał.

- W czym problem? - zapytałem. - Jeśli nie liczyć rejestrowania tej rozmowy?

- Pan Cox rozmawia przez drugi telefon. Czy może pan chwilę poczekać?

- Niech pan nie wciska mi kitu.

- Słowo daję: rozmawia z ambasadorem w Bonn. To pan spowodował ten problem.

No tak, pistolet z harpunami na lotnisku. Uśmiechnąłem się.

- Zadzwoń za chwilę.

Pięć przystanków dalej wsiadłem do zatłoczonego w godzinach szczytu metra. Czyste, pachnące świeżością stacje, tak różne od nowojorskich, zadziwiły mnie. Na peronie zadzwoniłem z innego automatu. Telefon odebrał sam Cox.

- Spowodowałeś mnóstwo kłopotów - stwierdził gniewnie.

Jego ton przypominał mi ojca. Przez chwilę czułem, jakbym zrobił coś złego. Potem ogarnęła mnie irytacja.

Odwiśnię słuchawkę i wydałem głośny, nieartykułowany wrzask wściekłości. Pasażerowie wracający z pracy patrzyli na mnie zaskoczeni i nieco przestraszeni. Żujący tytoń umundurowany żołnierz piechoty morskiej zapytał:

- Złe wieści?

- Chrzę się! - burknąłem i skoczyłem do mojej górskiej samotni. Znowu wrzasnąłem, wściekły jak diabli. Ten drań porwał Millie. Kazał

swoim ludziom strzelać do mnie ostrymi kawałkami koleczastej stali i był na tyle bezczelny, żeby twierdzić, że to ja sprawiam kłopoty! Ukląłem przy łóżku i waliłem pięściami w materac. Boże, ale byłem przerażony.

Ojciec wrócił do domu w eskorcie dwóch agentów, jednego z przodu, na siedzeniu pasażera, drugiego z tyłu. Kiedy wjeżdżał na podjazd, obserwowałem ich przez kuchenne okno. Zaskoczyło mnie, że stary prowadzi. ABN kręciła się wokół niego od paru tygodni, więc agenci musieli wiedzieć, że to alkoholik. Ja nie wsiadłbym do prowadzonego przez niego samochodu.

Tylko jeden z agentów miał pistolet na harpuny. Trzymał go pod płaszczem, gdy szli do domu, ale na dworze było ciemno i nie chciało mu się płaszcz zapiąć.

Ledwie wszedł do środka, przeniosłem go na lotnisko w Sewilli. Z drugim skoczyłem do Kairu.

Kiedy wróciłem, mój stary biegł przez trawnik do samochodu.

Skoczyłem na fotel kierowcy i gapiłem się na ojca przez okno. W tej samej chwili uruchomił się alarm. Stary wrzasnął, odskoczył od samochodu i niezgrabnie popędził ulicą. Skoczyłem znów do Waszyngtonu.

Tym razem Cox powiedział tylko:

- Słucham.

- Gdzie jest Millie Harrison?

- W bezpiecznym miejscu.

- Gdzie?

- Dlaczego miałbym ci to powiedzieć?

Popatrzyłem na słuchawkę w dłoni, a potem rozejrzałem się wokół budki. Byłem przed całodobowymi delikatesami w Alexandrii.

- Powinien pan zrobić o wiele więcej niż mi to powiedzieć. Istnieją miejsca znacznie mniej przyjemne od lotnisk, gdzie mogą skończyć pańscy ludzie. Łatwo też byłoby upuścić ich z miejsc wysoko położonych. A w moje małe podróże nie muszę zabierać tylko pańskich agentów. Co powiedziałby prezydent, gdybym zabrał go do Kolumbii? Nie sądzę, by szefowie tamtejszych karteli za nim przepadali. Albo na Kubę? To byłby wyczyn: prezydent udaje się na misję rozpoznawczą. Szalona wyprawa. Zaskoczyłaby nawet tajne służby.

Cox milczał chwilę.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Niech się pan przekona.

- Nie muszę. Mamy twoją dziewczynę i nie wiesz, gdzie jest. Nie zrobisz niczego, co naraziłoby ją na niebezpieczeństwo.

- Czemu nie? Pan chce narazić na niebezpieczeństwo prezydenta.

- Nie sądzę, bym czymkolwiek ryzykował. Przyjdź, porozmawiaj z nami. Pomóż nam ustalić, jak robisz to, co robisz. Możemy ci pomóc. Masz właściwe podejście do działań antyterrorystycznych. Możemy ci dostarczyć Rashida Matara...

Odwiesiłem słuchawkę.

Następnego ranka w mieszkaniu Millie było więcej agentów. Przeniosłem ich do Knossos, Moskatu i Zurychu. Stawałem się małym biurem podróży. Miałem nadzieję, że sprowadzenie ich do domu kosztuje ABN mnóstwo pieniędzy.

Sprawdziłem dom ojca. Był pusty i zamknięty na klucz.

Skoczyłem do Waszyngtonu i pojechałem metrem do stacji oddalonej o dwie przecznice od Gmachu Pierce'a. Budynek rządowy naprzeciwko nie miał ochrony, więc bez trudu dostałem się na dach. Miałem stamtąd widok na bok Gmachu Pierce'a i na jego tylne wyjście, prowadzące na parking.

Sam parking ogrodzono płotem, przy wyjeździe stał strażnik. Drugi siedział w szklanej budce przy wejściu do budynku. Przez lornetkę widziałem, jak obaj strażnicy sprawdzają papiery. Ten w budce musiał nacisnąć guzik, żeby odblokować drzwi budynku.

Kamery telewizyjne w systemie pętlowym monitorowały parking, wszystkie ściany gmachu, a nawet dach.

Skoczyłem z powrotem na Union Station i skorzystałem z automatu.

- Chcę rozmawiać z Coksem.

- Przy telefonie. Słucham.
- Spotkajmy się.
- Dobrze. Przyjdź do mojego biura.
- Chyba pan oszalał.
- Więc gdzie?
- Spotkamy się przy stawie przed Kapitołem. Proszę iść środkiem murawy do pomnika Waszyngtona. Sam.
- Kto teraz oszalał?

Było mi wszystko jedno, ilu ludzi weźmie ze sobą. Chciałem tylko, by myślał, że mam zamiar się z nim tam spotkać.

- Dobrze, może pan zabrać jednego człowieka, ale bez broni. Żadnych długich płaszczy, niczego, pod czym można ukryć ten paskudny pistolet harpunowy. Agent ma iść za panem.

Zgodziliśmy się w końcu na dwóch ludzi.

- Kiedy? - zapytał.

- Natychmiast. Jak pan wie, dotrę na miejsce przed panem, więc bez żadnych sztuczek. Mail jest w tej chwili całkiem pusty. Zorientuję się, jeśli przyprowdzi pan kogoś jeszcze w przebraniu.

Usłyszałem, jak Cox przełyka ślinę.

- W porządku. Będziemy za dziesięć minut.

Odwiesiłem słuchawkę, skoczyłem znowu na dach i uniosłem lornetkę.

Cox wyszedł z budynku z sześcioma ludźmi. Niektórzy mieli pistolety harpunowe. Czterech wsiadło do jednego samochodu, a pozostała dwójka, w grubych swetrach, ale bez płaszczy, do innego. Cox szedł za nimi beztrąsko, spodziewając się, że prawdziwa konfrontacja nastąpi na promenadzie.

Jeden z agentów otworzył mu tylne drzwi. Gdy je przytrzymał, złapałem Coksa.

Był bardzo ciężki, ale sztukę zbijania z nóg i skakania miałem już opanowaną do perfekcji. Zanim zniknąłem z parkingu, usłyszałem, jak agent trzymający drzwi zaczyna krzyczeć. Dźwięk ustał, gdy przeskoczyłem do Teksasu, na półkę piętnaście metrów nad stawem w jamie.

Skoczyłem na wyspę i patrzyłem, jak Cox spada.

Woda niczym gejzer wzniosła się z powierzchni i ochlapała mi płaszcz drobnymi kroplami. Cox przechylił się do przodu, kiedy go puściłem, więc choć uderzył w wodę najpierw stopami, zaraz potem klapnął w nią klatką piersiową. Słyszałem, jak stęknął, gdy się zanurzał.

Wypłynięcie na powierzchnię zabrało mu kilka sekund, a zaczerpnięcie oddechu jeszcze dłużej.

Miałem nadzieję, że to boli.

Ale nie wydawał się tak wstrząśnięty jak inni, których upuszczałem w tym miejscu. Podpłynął do wyspy i wyszedł na brzeg. Wycelowałem w niego pistolet Barry'ego.

- Jeśli się zaraz nie odezwę, dla twojej dziewczyny sprawy mogą przyjąć bardzo nieprzyjemny obrót - zagroził.

Strzeliłem tuż obok niego, w wodę. Kula odbiła się od powierzchni i odłupała kawałek skały od ściany klifu. Huk był ogłuszający, a wstrząs wyczuwalny, ale już widziałem, jak detonowano tu materiały wybuchowe. Mimo to lekko zadrżałem.

Cox wzdrygnął się i zmrużył oczy.

- Zdejmuj ubranie - rozkazałem mu. - Migiem. Pokręcił głową.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

Znowu wypaliłem z pistoletu, tym razem z drugiej strony Coksa. Znowu się wzdrygnął, ale zacisnął zęby i ponownie pokręcił głową.

## Rozdział 18

Cox obudził się i zobaczył obok siebie toaletę chemiczną oraz ostrzeżenie „Nie zanieczyszczaj stawu. To twoja woda pitna”. Zostawiłem również buteleczkę z ibuprofenem i dużą szklanek wody. Przez lornetkę obserwowałem go ze środka wyspy, gdzie leżałem pod krzakiem ciernistego jadalno-szynu.

Przypomniały mi się niedzielne poranki w domu. Stary budził się skacowany, a ja chodziłem na palcach, dopóki nie wypił dwóch filiżanek kawy. Siedziałem jednak w domu, bo mnie potrzebował. Musiałem mu zrobić kawę i przygotować śniadanie. Na kacu nie był agresywny.

To przychodziło później.

Cox miał trudności z odczytaniem napisu. To go przybliżał do oczu, to odsuwał. Wreszcie odłożył i zażył ibuprofen. Poruszał się bardzo ostrożnie, od czasu do czasu kręcił szyją, jakby była sztywna.

Przeskoczyłem do Waszyngtonu na Union Station. Chciałem zadzwonić do ABN i podjąć negocjacje w sprawie Millie, ale gdy wkładałem ćwierćdolarówkę do aparatu, dostrzegłem mężczyznę czytającego gazetę. Czekał na pociąg. Pomyślałem, że może to agent ABN, jeden z wielu szwendających się po mieście, gdy na zwróconej ku mnie gazetowej stronie zobaczyłem tytuł: „Szyccy ekstremiści uprowadzili statek wycieczkowy”. Niżej było

zdjęcie lśniącego białością statku, zrobione z dużej odległości, a obok - fotografia Rashida Matara. Skoczyłem do Nowego Jorku i zadzwoniłem do MMM.

- Ach, pan Ross - powiedziała operatorka. - Mamy dla pana mnóstwo materiałów. Porwano statek.

- Widziałem w gazecie. Gdzie?

- W Egipcie, w pobliżu Aleksandrii.

Zacisnąłem zęby. Nigdy nie byłem na tamtejszym lotnisku.

- W gazecie była fotografia Rashida Matara. Czy on ma z tym coś wspólnego?

- Tak donosi Reuters.

- Jakież liczby? Hu pasażerów, ilu terrorystów?

- Przynajmniej pięciu terrorystów, stu trzydziestu pasażerów i stu pięciu członków załogi.

- Dlaczego taka duża załoga?

- „Argos” to wielki luksusowy jacht. Został wynajęty przez nowojorskie Metropolitan Museum.

Zaproszono głównie bogatych sponsorów. Prawie sami Amerykanie. Jedna para Anglików. Załoga grecka.

- Jak daleko są od brzegu? Usłyszałem szelest papierów.

- Nie ma danych.

- Czy wiadomo, gdzie jest telewizja i prasa? Gdzie mają kamery?

- Nie.

- W porządku, dziękuję.

Skoczyłem do Londynu i rozmieniłem trochę pieniędzy, bo musiałem z publicznego telefonu zadzwonić do Reutersa pod numer z wizytówki Corseau. Odezwał się głos z brytyjskim akcentem:

- Redakcja Bliskiego Wschodu.

- Mam pilną informację dla Jean-Paula Corseau - mówiłem szybko. - Czy wie pan, gdzie go mogę złapać?

- Możemy mu przekazać informację od pana.

- Muszę mu to powiedzieć bezpośrednio.

- Proszę wybaczyć, ale nie podajemy danych o miejscu pobytu naszych dziennikarzy. Jeśli zostawi pan swój numer telefonu, może uda mi się go poprosić, żeby do pana oddzwonił.

- Nie. - Zamilkłem na chwilę. - Ostatnio podwiozłem go do Kairu. Czy to coś panu mówi?

Nie odzywał się przez parę sekund.

- Chodzi o tę zwariowaną historię? Omal nie wyleciał z pracy. Więc to pan jest tym facetem, który powstrzymuje porwania?

- Tak.
- Może by pan do nas wpadł pogadać? Chętnie zrobilibyśmy o tym materiał.
- Jean Paul Corseau. Natychmiast.
- Skąd mam wiedzieć, że to właśnie pan?
- Kończę rozmowę. Trzy... dwa... jeden...
- Dobrze, dobrze. Mieszka w hotelu Metropole w Aleksandrii, ale media nadają z Fortu Qait Bey we wschodniej części portu.
- Dziękuję.

Kairskie lotnisko roіło się od mężczyzn proponujących wymianę pieniędzy po bardzo korzystnym kursie oraz od dzieciaków, które biegły za mną, wołając: „Bakszysz! Bakszysz!” W informacji spytałem o połączenia do El Iskandarija. Powiedziano mi, że tego dnia nie ma już samolotu, ale jest pociąg, z komfortową klasą pierwszą a podróż do Aleksandrii z kairskiego dworca przy placu Ramzesa trwa zaledwie sześć godzin.

Czytałem, że jazda z lotniska na dworzec może zająć ponad godzinę, jeśli na ulicach są korki - a w Kairze korki są zawsze.

Pół godziny później, uboższy o trzy tysiące dolarów, leciałem helikopterem Bell na północny zachód na wysokości ponad kilometra. Obiecałem pilotowi premię, jeśli do wschodniego portu dotrzemy szybciej niż za godzinę.

- To Heliopolis - powiedział, wskazując dzielnicę na zachód od lotniska, która według mnie niczym się nie różniła od reszty Kairu. - Lecimy nad Heliopolis moim helikopterem.

Pilot - miał na imię George - był Egipcjaninem dumnym ze swej precyzyjnej angielszczyzny. W nagłośniku wcisnąłem guzik „rozmowa” i odparłem:

- Hell.opolis. Hell.kopter. Dowcipna gra słów. - Idiota. Nie czułem się zbyt rozbawiony.

Podczas tankowania paliwa George powiedział mi, że zwykle wozi dyrektorów koncernów naftowych, udających się na wschód na Synaj, albo bardzo bogatych turystów, którzy chcą dotrzeć do Gizy bez przedzierania się przez kairski ruch.

Helikopter skręcił na zachód.

- Abu Rawash. - George wskazał w dół po stronie pilota. Znalazłem miejsce na mapie, którą rozłożyłem na kolanach. George wskazywał piramidę, ale nie widziałem jej ze swojego fotela.

- Dlaczego tak daleko na zachód? - spytałem.

Tym razem wskazał prosto przed siebie na cienką ciemną linię biegnącą przez pustynię.

- Polecimy nad rurociągiem. Prosta droga, bardzo szybka.

Znów spojrziałem na mapę. Rurociąg Sumed prowadził z Ain Sukhna nad Zatoką Sueską do Morza Śródziemnego, niemal ocierając się od zachodu o Aleksandrię, i dostarczał na zachodnie rynki ropę naftową znad Zatoki Arabskiej. Egipt nie miał bogatych złóż własnej ropy, ale czerpał pewne zyski z pośrednictwa w jej transporcie zarówno rurociągiem, jak i Kanałem Sueskim.

Dalej na wschód od naszej trasy, gdzie Delta Nilu przechodzi w pustynię, widziałem strefę roślin znacznie bardziej zielonych od zbrązowiałych krzaków rosnących pod nami. Ten wyraźny podział świadczył o tym, że tu woda się zatrzymuje. Śledziłem naszą drogę, obserwując na mapie drugorzędne szosy. Za drogą numer 7 rozciągały się piaszczyste wydmy. Po chwili skręciliśmy na północ, rozstając się z rurociągiem. Znów zbliżyliśmy się do Delty Nilu. Na horyzoncie pojawiło się morze.

W oczach rosła Aleksandria - pas budynków wzdłuż wybrzeża. Od południa graniczyła z jeziorem Marjut, więc z mojego punktu obserwacyjnego wyglądała prawie jak wyspa. Przelecieliśmy nad wąskim paskiem lądu, a potem na północny wschód wzdłuż brzegu nad portem naftowym i zachodnią przystanią, wewnątrz której pływały statki handlowe i antycznie wyglądające dau oraz cumowały statki wycieczkowe.

Żaden z nich nie mógł być „Argosem” - były na to za duże.

Potem przelecieliśmy nad jeszcze węższym pasem lądu, mijając ruiny starożytnego fortu.

- El Atta - wyjaśnił George.

Nieco dalej, na małej mierzei, która chroniła wschodni port, drugi fort stawał czoło morzu.

- Zatoka Qait - oznajmił George, spoglądając na zegarek. Sprawdziłem czas na swoim: minęło pięćdziesiąt siedem minut od startu w Kairze.

- Dobra robota - stwierdziłem, a on się uśmiechnął.

Wylądował dwieście pięćdziesiąt metrów od Qait Bey na lądowisku dla helikopterów przy Instytucie Oceanografii i Rybołówstwa. Wyjąłem z torby premię - pięćset dolarów - i wręczyłem ją pilotowi. Wcisnąłem guzik „rozmowa”.

- Dodatkowe pięćset za krótki lot - zaproponowałem.

- Jak daleko? Muszę nabrać paliwa, jeśli lot ma być długi.

- Około piętnastu minut. Najwyżej dwadzieścia. Skinął głową.

- Kiedy? Nie mogę zbyt długo blokować tego lądowiska. Rozejrzałem się, zapamiętując lądowisko jako miejsce skoku.



- Dziesięć minut.

Na mapce, którą studiowałem w helikopterze, ulica nosiła nazwę Qasr Ras El Tin, ale tu napisy były arabskie, więc nazwy nie byłem pewien. Drogę do fortu wskazywał angielski znak. Odźwierny nie chciał przyjąć ode mnie opłaty za wejście w dolarach amerykańskich, więc przeskoczyłem przez niego.

Przedstawiciele mediów odnalazłem bez trudu: stali na murze i patrzyli przez lornetki w morze; wycelowali w tamtym kierunku teleobiektywy. W odległości półtora kilometra od brzegu stał biały statek z niebieskim kominem.

Corseau rozmawiał z oficerem armii egipskiej. Pomachałem mu, a on natychmiast przerwał rozmowę i podszedł do mnie. Ujął mnie za łokieć i poprowadził w dół po schodach z dala od innych dziennikarzy.

- Godzinę temu rozmawiałem ze swoim biurem. Dlaczego tyle ci zajęła droga tutaj?

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć mu, że nie mogę skoczyć tam, gdzie nie byłem wcześniej. Nie chciałem jednak ujawniać swoich ograniczeń.

- Tkwiałem w korku - odparłem. - Pochrzaniła się płaszczyczna astralna.

Schodziliśmy po wąskich schodach, ukryci przed wzrokiem innych. Zatrzymałem go i rzekłem:

- Pójdę tam, ale potrzebuję jak najwięcej informacji. Nie ruszaj się. - Przesunąłem się za niego i

objąłem go w pasie. - Poczekaj... - przeskoczyłem z nim na lądowisko helikopterów - ...chwilkę!

Puściłem go. Zachwiał się, ale stanął pewniej, gdy uświadomił sobie, że przebył niespełna pół

kilometra. Zaprowadziłem Corseau do helikoptera. Usiadł na tylnym fotelu, wziął wiszącą nad nim nagłownik i włożył. Niewątpliwie latał już śmigłowcem, bo sam zapiął pasy.

Zająłem miejsce w środku i pokazałem kciukiem w niebo. George uruchomił silnik i podniósł maszynę z lądowiska.

Gdy zobaczyliśmy morze, wskazałem odległy statek.

- Zatocz nad nim duże koło, jakieś sto metrów nad wodą. Nie podlatuj zbyt blisko.

George skinął głową.

- Jean Paul, słyszysz mnie? - Obejrzałem się przez ramię. Corseau wcisnął guzik.

- Tak.

- Opowiedz mi, co się stało.

- Ale tym razem muszę mieć wywiad.

- W porządku - zgodziłem się bez wahania. Bardzo mi zależało, żeby dostać Matara.

- Wczoraj po południu - zaczął Corseau - wypuścili mężczyznę, który dostał ataku serca, i jego żonę. Potwierdziła, że na pokładzie jest przynajmniej pięciu terrorystów. Na podstawie zdjęć zidentyfikowała ich przywódcę jako Rashida Matara. Są uzbrojeni w pistolety maszynowe, zwykle pistolety i granaty. Twierdzą, że zaminowali zbiorniki z paliwem plastikowymi bombami, które w ciągu sekundy mogą zostać zdetonowane drogą radiową.

George dotarł do „Argosa” i zataczał koło zgodnie z ruchem wskazówek zegara, więc statek miałem po swojej stronie. Patrzyłem przez lornetkę, słuchając Corseau.

Statek miał około stu metrów długości i piętnastu metrów szerokości. Przed kominem znajdował się pokład widokowy, z tyłu pokład pasażerski z basenem, poniżej którego był poziom z obszernym pokładem słonecznym. Z tyłu pokładu widokowego wystawał duży maszt z antenami radia i innych przyrządów. Między czubkiem masztu a dziobem przeprowadzono obwieszoną porporczykami linę, która biegła dalej do drzewca przymocowanego z przodu do basenowej markizy w żółto-brązowe paski. Porporczyki łopotały żwawo na wietrze - ten widok kojarzył mi się z komiśm samochodowym.

Na dachu mostka stali dwaj mężczyźni z pistoletami maszynowymi. Patrzyli w naszą stronę.

- Otrzymałem przez radio od władz wojskowych rozkaz opuszczenia rejonu statku - powiedział George.

Wybrałem miejsce skoku: za kominem, między wielkie białe wentylatory. Dwaj terroryści na dachu mostka wpatrywali się w helikopter. Jeden z nich podniósł pistolet maszynowy i zobaczyłem, że koniec lufy błyska, jakby mężczyzna robił zdjęcia migawkowe.

- Wynosimy się stąd! - Patrzyłem przez lornetkę na miejsce skoku, badałem je i martwiłem się, że nie jestem wystarczająco blisko. Helikopter zanurkował i obrócił się gwałtownie; obawiałem się, że dostaliśmy, ale to tylko George robił uniki. - Wracaj do Instytutu Oceanografii. - Poluzowałem uprząż, wyjąłem pieniądze z torby i podpiąłem je do podkładki z listą kontrolną. - To twoje wynagrodzenie. - Spojrzałem przez ramię na Corseau. - Do zobaczenia, Jean Paul.

I skoczyłem.

Pokład lekko drżał, wiedziałem więc, że pracują albo silniki, albo przynajmniej generatory.

Porporczyki na linie łopotały na wietrze. W oddali niktł odgłos leżącego helikoptera. Poza tym nie słyszałem żadnych dźwięków

- strzałów, głosów, krzyków czy szeptów. Możliwe, że na wielkim morzu byłem sam.

Zastanawiałem się, czy Coksa przestała boleć głowa.

Używając lusterka dentystycznego, obejrzałem dookoła komin. Dostrzegłem tylko jednego z terrorystów na dachu mostka. Kilka razy podnosił radio do ust i coś mówił, ale słowa niknęły na wietrze.

Czy tym radiem mógłby włączyć zapalniki materiałów wybuchowych?

- zastanawiałem się. Albo czy inny z terrorystów mógłby to zrobić?

Z tyłu pokładu widokowego, po drugiej stronie komina, znajdowały się drzwi. Skoczyłem i znalazłem się tuż przy nich. Mały występ nad drzwiami zasłaniał mnie od góry. Za pomocą lusterka zajrzałem do środka - wąski korytarzyk z kilkoma parami drzwi prowadził na sam mostek. Nikogo w pobliżu nie było.

Wszedłem ostrożnie i już byłem koło kabiny radiowej tuż przy mostku, gdy usłyszałem skrzypienie krzesła i odgłos kroków. Skoczyłem z powrotem na zewnątrz, do tylnych drzwi pokładówki. W lusterku zobaczyłem, że pomieszczenie jest puste. Odgłos kroków dochodził z holu, ale cichł. Wysunąłem lusterko i od razu zobaczyłem w nim mężczyznę, który w drugim końcu przejścia wszedł na mostek i skręcił w prawo.

Znów skoczyłem do korytarzyka i znalazłem się przy kabine radiowej. W lusterku zobaczyłem pustą cabinę pełną imponujących urządzeń rozstawionych na półkach. Ostrożnie przesunąłem się w stronę kabiny kapitana i spojrzałem na mostek. Nikogo tam nie było. Koło sterowe tkwiło nieruchomo, nie pilnowano radaru, loranu ani stołu nawigacyjnego. Z obu stron mostka na niższy poziom prowadziły wąskie schodki. Z góry dobiegał odgłos kroków mężczyzny, który krążył po dachu w tę i z powrotem, lekko powłócząc nogami.

Mężczyzna z kabiny radiowej poszedł w prawo - na prawą burtę, poprawiłem się w myślach - więc wolno, bardzo ostrożnie zszedłem w dół na lewą burtę.

Schody prowadziły na następny pokład na zewnątrz. Otworzyłem drzwi z lewej i przeszedłem, przywierając do ściany, osłonięty przed wzrokiem dwóch mężczyzn na górze. Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, bo przy ścianie stały leżaki i musiałem albo ostrożnie je przekraczać, albo ciasno omijać. Na tym pokładzie znajdowały się łodzie ratunkowe, które wisiały na żurawikach nad relingiem.

Drzwi prowadziły do klimatyzowanego centralnego holu z dużą klatką schodową pośrodku i wąskim, biegnącym ku rufie korytarzem, w którym były drzwi do prywatnych kabin. Z lewej strony, bezpośrednio przy wejściu, zauważyłem na drzwiach tabliczkę „Galeria Kastora”. W holu panowała ci-

sza, ale wydało mi się, że słyszę jakieś odgłosy dobiegające z klatki schodowej, więc zszedłem w dół.

Na szczęście schody pokrywał gruby dywan.

Na dole przez środek statku biegł wąski korytarz w stronę rufy. Z lewej strony znajdowały się szklane drzwi z napisem „Barek kawowy”. Z prawej - prowadzący ku dziobowi korytarz, z którego dochodził jakiś hałas. Ostrożnie wyjrzałem zza rogu: mniej więcej dwadzieścia metrów dalej, gdzie korytarz rozszerzał się w większy hol, stał plecami do mnie mężczyzna z pistoletem automatycznym wycelowanym w ludzi stłoczonych na meblach i podłodze.

Z miejsca, w którym stałem, mogłem obserwować tylko fragment holu, ale i tak widziałem, że jest tam bardzo dużo osób.

Wycofałem się do barku kawowego po drugiej stronie schodów. Było to pomieszczenie wąskie, jasne i w tej chwili całkiem puste. W głębi znajdowały się drugie szklane drzwi z napisem „Bar”. Tam też nikogo nie było, ale drzwi okazały się zamknięte. Przeskoczyłem na drugą stronę. Pokój miał ściany wyłożone drewnem i stały w nim skórzane meble - typowy męski klub. Butelki w barze przymocowano małymi skórzanymi opaskami, na wypadek sztormowej pogody. Od drugiej strony drzwi przesłaniała kotara.

Tabliczka nad drzwiami informowała, że za nimi jest „Główny Salon Złotego Runa”. Odsunąłem kotarę. Mogłem się założyć, że wszystkich pasażerów i załogę stłoczono w tym pomieszczeniu. Pasażerowie mieli na sobie ubrania eleganckie, ale pomięte. Mężczyźni rozwiązali krawaty lub w ogóle je zdjęli. Niektóre panie wyglądały, jakby zbyt wiele czasu spędziły w ciasnych gorsetach. Inne zarzuciły na ramiona męskie marynarki. Grupki kobiet tuliły się do siebie. Nikt się nie odzywał.

Załogę zgromadzono w jednym miejscu. Oficerowie i marynarze pokładowi byli w białych mundurach, kelnerzy i kelnerki w ciemnych strojach, pokojówki nosiły fartuszki, kucharze - białe kitle. Jeden z kucharzy trzymał w dłoniach toczek szefa kuchni, ledwo rozpoznawalny po dwóch dniach miętoszenia.

Na krześle siedział siwowłosy kapitan o muskularnych, opalonych nogach wystających z mundurowych szortów. Otaczali go oficerowie usadowieni na podłodze. Pozostali członkowie załogi siedzieli z przodu, jakby w ten sposób mogli uchronić kapitana i oficerów przed nieszczęściem. Kapitan miał obojętną minę, ale w rękach wciąż obracał swoją czapkę. Kobieta, którą zwolniono poprzedniego dnia, myliła się. W salonie było pięciu terrorystów; trzech wycelowało pistolety maszynowe w zakładników, a dwaj pozostali naradzali się ze sobą. Zatem na statku znajdowało się ich przynajmniej siedmiu.

Coraz bardziej wątpiłem w istnienie innych teleporterów. Wskazywały na to reakcje Coksa i moje własne badania. A jeszcze paru teleporterów przydałoby się w tej sytuacji.

W jednym z konferujących terrorystów rozpoznałem mężczyznę, za którym szedłem z kabiny radiowej. Drugim był Rashid Matar.

Popatrzyłem na niego spod przymrużonych powiek. W pierwszym przemożnym odruchu chciałem przenieść go przed moją skalną siedzibę, w miejsce, pod którym nie było nic prócz sześćdziesięciu metrów powietrza. Potem były kamienie i kaktusy, ale te pierwsze sześćdziesiąt metrów...

Siedmiu terrorystów. Rozbolał mnie żołądek, w przełyku czułem gorzki smak żółci.

Mężczyzna, który pilnował kabiny radiowej, skończył naradę z Matarem i wyszedł. Matar się odwrócił. Zauważyłem, że ma radio w skórzanej kaburze, tak jak terrorysta na dachu mostka, ale z jego szyi zwisał na sznurku mniejszy nadajnik z czarnego plastiku z czerwonym przyciskiem na obudowie.

Spojrzałem na pozostałych terrorystów. Mieli uzi i po cztery granaty przypięte do skórzanej upręży przytrzymującej pas pistoletu. Dodatkowe magazynki amunicji zwisały z tyłu pasów w skórzanych futerałach. Mieli też radia w kaburach, ale nie były to nadajniki detonacyjne.

Nie mogłem liczyć na to, że blefują w sprawie bomby. Rashid już zademonstrował swoją sprawność w posługiwaniu się zdalnie odpalanymi materiałami wybuchowymi.

Skoczyłem do barku kawowego przy głównej klatce schodowej i wyjrzałem zza drzwi. Na schodach nikogo nie było. Na niższym pokładzie znajdowało się biuro głównego stewarda i recepcja, gdzie na kontuarze leżała laminowana mapa z planem statku. Przystudiowałem ją dokładnie.

Stałem na Pokładzie Dionizosa, jednym z czterech pokładów z kabinami. Wyższy, gdzie trzymano zakładników, nazywał się Pokładem Wenus. Pokładowi z basenem nadano miano Pokładu Apolla. Piętro niżej znajdował się Pokład Posejdona; było tam dwa razy mniej kabin niż na innych pokładach, bo na tym poziomie znajdowała się maszynownia.

Ostrożnie zszedłem na dół - tu też nikogo nie dostrzegłem. Za schodami znajdowały się drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu” i szklanym iluminatorem pośrodku. Nawet nie próbowałem ich otworzyć. Uważnie obejrzałem korytarz za drzwiami i skoczyłem.

Szum tła, ledwie wyczuwalny na wyższych poziomach, tu był wyraźny - słychać było odległy odgłos silnika Diesla. Szedłem szybciej, bo miałem pewność, że hałas zagłusza moje kroki.

Przeszedłem przez drugie drzwi i znalazłem się w maszynowni na pomoście biegnącym między dwoma olbrzymimi dieslami, wyższymi ode mnie. Były unieruchomione, ale

w przedniej części pomieszczenia pracowały generatory zasilające system klimatyzacji.

Przy maszynowni znajdowała się kabina głównego mechanika - ciasna klatka pełna książek i zrolowanych planów. Grzebałem wśród rysunków technicznych, rozrzucając je na podłodze jak jesienne liście, aż znalazłem schemat zbiorników paliwa. Były dwa - przed maszynownią, na lewej i prawej burcie - i miały podwójnie wzmocnione grodzie.

Zbiorniki przylegały do zewnętrznych ścian kilku kabin na Pokładzie Posejdona, między innymi do kabiny głównego mechanika. W ciągu sekundy zorientowałem się, że tutaj nie umieszczono ładunków wybuchowych. Z planem w ręce przeszedłem dalej, sprawdzając kolejne pomieszczenia. Nie znalazłem żadnych ładunków. Wróciłem więc na górę i przeszedłem do przedniej części statku, do kambuza. Z planów wynikało, że górne części zbiorników dotykają podłogi kambuza po prawej stronie burty i podłogi jadalni pasażerów po obu stronach statku. W kambuzie nie było ładunków wybuchowych.

Ostrożnie przemieściłem się do jadalni, znajdującej się bezpośrednio pod Salonem Złotego Runa, gdzie zgromadzono wszystkich zakładników. Prowadziła tam otwarta klatka schodowa.

W jadalni również nie było żadnych ładunków wybuchowych.

Czy to oznacza, że Matar blefował i nie podłożył żadnych ładunków pod zbiorniki paliwa? Niekoniecznie, uświadomiłem sobie. Mógł umieścić bomby w szczelnym opakowaniu i wprowadzić je jakoś do jednego ze zbiorników przez zawory. Z planów wynikało, że wewnętrzna średnica tych rur wynosi prawie czternaście centymetrów.

Z góry dobiegł czyjś płacz, ktoś inny zaczął krzyczeć. Cofnąłem się do kambuza. Musiałem przeanalizować sytuację.

Uznałem, że to mało prawdopodobne, by Matar umieścił materiał wybuchowy w zbiornikach. Ich podwójnie wzmocniona stalowa obudowa zakłóciłaby przekaz sygnału radiowego. Ale równie nieprawdopodobne było to, że blefował w kwestii bomby.

Rozejrzałem się. Pod jedną ze ścian kambuza stało szesnaście palników, wielki kontuar z nierdzewnej stali. Spiżarko-lodówki i zamrażarki umieszczono przy sąsiedniej ścianie. Trzecią ścianę obudowano piecykami.

Przekręciłem jedną z gałek: z palnika wystrzeliły niebieskie płomienie. Gaz! Znacznie bardziej wybuchowy od paliwa dieslowskiego. I prawdopodobnie znajdował się bliżej zakładników.

Pomyślałem, że powinienem prześledzić drogę rur gazowych, więc skoczyłem do pokoju głównego mechanika poszukać odpowiednich planów.

Gaz do kuchni trzymano w wielkim walcowatym zbiorniku za kambu-zem, w specjalnie wentylowanym pomieszczeniu. Wróciłem do kambuza i ruszyłem stamtąd do przedniej części statku. Pierwsze drzwi z prawej

- wychodzące na morze, uszczelnione i zamknięte stalowymi klamrami
- miały tabliczkę „Magazyn propanu. Palenie wzbronione”.

Były zabezpieczone dwoma solidnymi łańcuchami na kłódki, przy których nadal widniały etykiety z ceną. Nie było okna ani bulaja, więc w żaden sposób nie mogłem przekroczyć tych drzwi.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wziąć pistoletu - prawdziwego, nie paralizatora. Mógłbym zastrzelić Matara, zabrać mu detonator i skoczyć z nim daleko od stołu.

Znów przyjrzałem się planom. Nie było innego sposobu dostania się do pomieszczenia. Wentylację zapewniała długa zakręcająca rura, która nie pozwalała zajrzeć do środka.

Należało się zatem pozbyć detonatora.

Skoczyłem do zamkniętego, zasłoniętego baru i znów spojrzałem zza kotary. Jeden z terrorystów odprowadzał zakładników czwórkami do toalety. Rashid spacerował w tę i z powrotem. Od czasu do czasu podnosił radio w futerale i coś mówił. Detonator na sznurku kiwał mu się na szyi.

Skoczyłem do głównego holu na Pokładzie Apolla i centralnym korytarzem przeszedłem do basenu, przy którym znajdował się kolejny bar. Osłonięty barową markizą przed terrorystami na dachu mostka wyjrzałem na boki. Z tego pokładu był ponaddziewięciometrowy spadek do wody poniżej.

Trudno porównywać z moim szybem, ale ujdzie. Starannie obejrzałem re-ling, potem znów skoczyłem do baru.

Korytarzem szła kolejna grupa pasażerów prowadzona przez strażnika. Czyli w rogach salonu stało teraz dwóch mężczyzn z bronią maszynową oraz Matar, który przechadzał się między nimi. Głęboko zaczerpnąłem powietrza - miałem tylko nadzieję, że u Matara znajduje się jedyny detonator propanowej bomby.

Matar nie miał czasu krzyknąć, nie zdążył nawet sięgnąć po detonator. Spadał z wysokości piętnastu metrów do przepaści w Teksasie, a ja znów byłem w salonie, chwyciłem terrorystę stojącego przy korytarzu i zrzuciłem go z lewej burty Pokładu Apolla.

Spadając, naciskał spust swojego pistoletu maszynowego, aż wpadł do wody. Wróciłem i ukryłem się w barze za kotarą słysząc, jak odległy terkot ustaje.

Terrorysta, który został w salonie, wrzeszczał na zakładników, żeby położyli się na podłodze.

Rozglądał się, usiłując patrzeć równocześnie na wszystkie strony; potem jak wąż wyrwał się do przodu, zrzucił kapitana

z krzesła i przyparł go twarzą do ściany. Puścił pistolet maszynowy - teraz broń swobodnie zwisała na taśmie - i wyciągnawszy z kabury mniejszy pistolet, przystawił go kapitanowi z tyłu do głowy, a drugą ręką objął go za gardło.

O Boże, tylko nie to...

Bałem się, że od razu go zabije, ale stanął oparty plecami o ścianę, z pistoletem gotowym do strzału.

Skoczyłem do korytarza na pokład widokowy. Mężczyzna pilnujący radia cofnął się gwałtownie w kierunku mostka. Skoczyłem do przodu i podciąłem go, gdy przeszedł przez drzwi. Gdy padał, jego pistolet strzelał, rozbijając przednią szybę. Upadł na koło sterowe; kopnąłem go w brzuch, gdy próbował się czegoś złapać. Uderzył głową w podstawę koła. Pochyliłem się, żeby go podnieść i zrzucić z rufy, a wtedy kule rozerwały powietrze nad moją głową.

Skoczyłem na rufę bez rannego terrorysty. Usłyszałem krzyki z pokładu widokowego i wyjrzałem spod markizy. Jeden z porywaczy nadal był na dachu mostka, ale inny stanął na pokładzie poniżej, tuż przy mostku. To musiał być ten, który do mnie strzelał.

Skoczyłem i po chwili facet leciał do wody przy rufie, a parę sekund później w jego ślady poszedł terrorysta z dachu.

Wróciłem do salonu. Z toalety wracała grupa zakładników prowadzona przez terrorystę, który rozdzielał im kopniaki i od czasu do czasu strzelał w sufit. Zadrzałem. Sytuacja nie była stabilna: nie wiedziałem, czy jeśli opuszczę to miejsce na parę chwil, zaczną zabijać pasażerów, czy się uspokoją.

Znów skoczyłem na mostek. Terrorysta, którego przedtem podciąłem, powoli wstawał; jedną rękę trzymał na czole, gdzie miał krwawiącą ranę. Wrzuciłem go do morza. Był półprzytomny, więc otworzyłem szafkę z kamizelkami ratunkowymi i cisnąłem za nim kilka kamizelek. Potem wróciłem do baru, by zapoznać się z rozwojem sytuacji w głównym salonie.

Wszyscy zakładnicy leżeli na podłodze twarzami do dołu; przykrywali głowy rękoma, niektórzy usiłowali schować się pod stołami i krzesłami. Przed jednym terrorystą siedział na krześle kapitan, przed drugim - starsza kobieta, która w swojej etoli z nerek zupełnie nie pasowała do tej scenerii. Obojgu porywacze przystawili pistolety do karków; oboje pochylili głowy, jakby się modlili.

Może rzeczywiście odmawiali modlitwę.

Skoczyłem do jadalni na niższym pokładzie i ostrożnie zacząłem wchodzić po schodach.

Trzymałem swój żelazny pręt, ułożony na wewnętrznej, niewidocznej części przedramienia.

Pragnąłem przenieść cały swój strach i wściekłość na Matara w Teksasie i zostawić zakładników własnemu losowi.



Weź się w garść.

Wszedłem do salonu, stawiając kroki nad skulonymi zakładnikami. Gdy terroryści mnie zobaczyli, musieli pomyśleć, że jestem jednym z pasażerów.

- Na ziemię! - wrzasnął ten z prawej, aleja nadal szedłem w głąb salonu, w połowie odległości między nimi.

- Mówiłem: na ziemię! - ryknął jeszcze głośniej.

Widziałem pot na jego twarzy i pot na wysokim czole kapitana - jeniec i porywacz złączeni strachem. Uważnie obserwowałem terrorystów, czekając na właściwy moment.

Wreszcie ten drugi nie wytrzymał; gwałtownym ruchem odsunął pistolet od głowy kobiety i wycelował we mnie. Skoczyłem, a pręt uderzył w lufę pistoletu pierwszego terrorysty, odsuwając go od głowy kapitana. Pistolet wystrzelił kapitanowi przy uchu, a ja obróciłem pręt i walnąłem terrorystę w twarz, potem znów skoczyłem, by wytrącić broń drugiemu facetowi. Ryknął i skoczył ku mnie. Pozwoliłem, by mnie chwycił, a potem zrzuciłem go z rufy, z wysokości prawie dziesięciu metrów - niech sobie powalczy z wodą.

Wróciłem do salonu. Terrorysta leżał płasko na podłodze, a kapitan z pistoletem w jednej dłoni, drugą wyjmował granaty z jego pasa. Spojrzał na mnie, uśmiechając się niepewnie. Ktoś krzyknął.

Na podłodze leżała kobieta w stroju pokojówki. Dywan pod nią był czerwony. Skoczyłem tam. Została trafiona w pierś kulą przeznaczoną dla kapitana. Nie wyczuwałem pulsu. O Boże! Nie! Ludzie tłoczyli się dookoła.

- Odsunąć się! - krzyknąłem. Nie poznawałem swojego głosu. Nachyliłem się, jak najdelikatniej podniosłem dziewczynę i skoczyłem do Baltimore, do Ośrodka Pourazowego.

Ratowano ją przez dwie godziny. Bezskutecznie.

## Część VII

### Koniec zabawy w berka

#### Rozdział 19

Następnym razem pozwól, że spakuję torbę, żeby móc zostać dłużej.

Perston-Smythe mówił tylko z lekką irytacją, jakby podchodził do sprawy filozoficznie.

- Jak wy dostał się pan z Turcji?

- Zabrali mnie odrzutowcem US Air Force, bez kontroli paszportowej. - W jego głosie pobrzmiwał teraz ponury ton. - Co zrobiłeś z Coksem?

Odwrociłem się i uważnie rozejrzałem po otoczeniu budki telefonicznej.

- Cox ma się dobrze. Wypuście Millie Harrison.

- Skąd przypuszczenie, że ABN ją przetrzymuje?

- Nie mam czasu na te brednie! Cox przyznał, że ją przetrzymywał. Powiedzcie szefowi Coksa, że jeśli jej nie puszczą, zacznę organizować małe podróże dla wszystkich agentów Agencji, jakich uda mi się dorwać. Będzie to was drogo kosztowało. Jeśli to nie podziała, zajmę się personelem prezydenta.

- Ale...

Odwiesiłem słuchawkę i skoczyłem na klif nad szybem w Teksasie.

Tam, na brzegu wysepki, siedzieli Matar i Cox oddaleni od siebie o parę metrów. Matar był w bieliźnie, jego spodnie i koszula schły rozpostarte na krzaku jadłoszynu. Cox, ciągle nagi, siedział na rogu śpiwora, owinięty pozostałą jego częścią. Miał pistolet Matara i dwa z jego granatów. Matar natomiast miał rozciętą wargę i podbite oko.

Pojawiłem się tuż przed Coksem i przycisnąłem mu do karku zimny koniec mojego stalowego pręta. Identyczny układ był na „Argosie”, gdy dwaj terroryści trzymali przed sobą siedzących zakładników. Cox zeszywniał.

- Oddaj pistolet - powiedziałem.

Wziął pistolet za lufę i podał mi go przez lewe ramię. Włożyłem broń do kieszeni płaszcza.

- Teraz granaty. - Gdy oba znalazły się w mojej drugiej kieszeni, skoczyłem do jaskini i dołożyłem pistolet i granaty do rosnącego arsenału na stole.

Przez chwilę wpatrywałem się w tę kolekcję: plastikowy pistolet baskijskiego terrorysty, paralizator Coksa i ta niemal wszechobecna broń automatyczna kaliber 9, zabrana innym.

W prawą dłoń wziąłem jeden z pistoletów automatycznych, a w lewą - granat. Małe bum i wielkie bum. Pokojówka z „Argosa” zginęła od kuli kaliber 9 milimetrów, która przeszła przez aortę i zastawki serca. Granat przypominał mi o śmierci mamy, ale z jakiegoś powodu jeszcze bardziej przypominał mi o żywej bombie. Sądzę, że dwa dni zbierania jego szczątków zostały we mnie trwałe ślady.

Dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

Wzdrygnąłem się i odłożyłem broń na stół.

- Z zasady nie negocjujemy z terrorystami.

Patrzyłem na telefon szeroko otwartymi oczyma. Zaniemówiłem i byłem bardzo, bardzo zły.

- Jest tam pan jeszcze? - Głos należał do urzędnika ABN, którego nazwiska nie poznałem. Perston-Smythe przedstawił mi go jako zwierzchnika Coksa.

- Co, do jasnej cholery, ma pan na myśli?

- Nasz rząd trzyma się zasady, żeby nie negocjować z terrorystami.

- Czy sugeruje pan, że uważa mnie za terrorystę?

- Owszem - odparł afektowanym głosem. - Wziął pan zakładnika.

- Terroryci atakują niewinne osoby dla osiągnięcia swoich celów - wycedziłem przez zęby. - Jeśli twierdzi pan, że Cox jest niewinnym obserwatorem, to koniec naszej rozmowy.

- Terroryci są...

- Pieprzyć to! Chce pan akcji terrorystycznej, żeby móc mnie uznać za terrorystę? Nie uda się wam zagrozić mi drogi do waszych arsenałów atomowych. Gdzie ma wybuchnąć pierwsza? Nad Pentagonem? Nad Białym Domem? Nad Kapitołem? A może Moskwa albo Kijów? Czyż nie byłoby to interesujące? Jak pan myśli: odpowiedzą atakiem nuklearnym?

- Nie zrobi pan tego. - Teraz jego głos był znacznie mniej afektowany.

- Tak, rzeczywiście nie zrobię. Ponieważ nie jestem terrorystą! - Z impetem odwiesiłem słuchawkę i skoczyłem.

Gdy znów pojawiłem się w teksaskim szybie, zobaczyłem, że Matar trzyma w dłoni kamień wielkości pięści. Przykucnął na trawiastym spłachetku brzegu i uważnie obserwował Coksa. Ten siedział na swoim śpiworze kilka metrów dalej, wyraźnie ignorując terrorystę, choć nie odwrócił się do niego plecami.

- Jedzenie - powiedziałem.

Dostrzegłszy mnie, Matar się cofnął. Cox ostentacyjnie ziewnął, ale wykazał zainteresowanie, gdy zobaczył pudełko z kurczakiem. Postawiłem je i odszedłem w głąb wyspy. Cox położył kilka kawałków kurczaka na pokrywce i wycofał się do śpiwora. Potem Matar zbliżył się do pudełka i zabrał je na trawiasty spłachetek.

Odwrócił głowę w moją stronę i stwierdził:

- Lepszy jest oryginalny przepis pułkownika Sandersa.

Byłem zaskoczony: posługiwał się potoczną angielszczyzną, z amerykańskim akcentem.

Niepokojące spostrzeżenie - burzyło moje dotychczasowe wyobrażenie o nim, w moich oczach stał się bardziej ludzki. Potwór, który zabił moją matkę, nie powinien być ludzki. Przypomniałem sobie wykład Perstona-Smythe'a na temat uprzedzeń i nietolerancji. Chryste, Davy, czy tylko Amerykanie są istotami ludzkimi?

Cox skończył jeść drugi kawałek kurczaka.

- Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać?

Pytanie przypomniało mi o zarzutach jego szefa i znów poczułem przypływ złości.

- Tak długo, jak to będzie konieczne. Gdybyś mi powiedział, gdzie trzymają pannę Harrison, może postarałbym się to przyspieszyć.

Wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. W jakiejś kryjówce. Nie znam nawet numeru telefonu. Gdy musiałem z nimi porozmawiać, łączyła mnie sekretarka.

Wpatrywałem się w niego. Kłamie czy mówi prawdę? - zastanawiałem się.

- Jak twoja głowa?

- W porządku. - Skrzywił się. - Napiłbym się kawy.

Matar siedział po turecku na trawie. Twarz miał wąską, przez co jego oczy wydawały się większe, niż były. Znów spojrzałem na Coksa.

- Czy on wie, dlaczego tu jest? Pokręcił głową.

- Nie chce ze mną rozmawiać. Gdy wyszedł na brzeg, mieliśmy małą sprzeczkę na temat jego broni.

Matar zerknął na Coksa spode łba i splunął.

- Chcesz kawy? - spytałem go.

Po chwili wolno skinął głową.

- Z cukrem i śmietanką.

Popatrzyłem na Coksa, unosząc pytająco brwi.

- Czarną poproszę.

„Poproszę” było chyba odruchowe. Teraz zwróciłem się do Matara.

- Moja matka nazywała się Mary Niles.

Zmarszczył czoło, jakby nazwisko wydało mu się znajome, ale nie mógł go umiejscowić.

- Zamordowałeś ją na Cyprze. Wysadziłeś w powietrze na pasie startowym za pomocą zdalnie sterowanego ładunku.

I nawet nie pamiętasz jej imienia.

Przeskoczyłem do kawiarni w Nowym Jorku i kupiłem dwie duże kawy w styropianowych kubkach. Byłem jedynym klientem. Gdy płaciłem, ręce mi drżały. Wyszedłem na zewnątrz i skoczyłem; po niecałych dwóch minutach znów znalazłem się w szybie.

Matar wzdrygnął się, gdy mnie dostrzegł. Wyraz twarzy miał teraz inny, oczy nieco szersze, usta lekko otwarte.

Pojawiłem się tuż przed nim. Cofnął się i zaczął ode mnie odpelzać. Postawiłem jego kawę na ziemi, potem skoczyłem do Coksa i wręczyłem mu kubek.

On też drgnął, ale dobrze to zamaskował. Skoczyłem do jaskini, wziąłem krzesło i wróciłem na wyspę jakieś pięć metrów od obu więźniów. Usiadłem na krześle, założyłem nogę na nogę i zacząłem się w nich wpatrywać.

Matar podszedł wolno do swojego kubka i ujął go w taki sposób, jakby się bał, że go ugryzie. Zdjął wieczko i powąchał zawartość.

- Nie jest zatruta - powiedziałem.

- Kim ty jesteś? Wyczarowujesz rzeczy znikąd.

- Może jestem Ifritem, geniuszem. Może aniołem. Cox słuchał tego z zainteresowaniem.

- Może jesteś Shaitan - mruknął Matar. Uniosłem brwi, a Cox uprzejmie wyjaśnił:

- Szatanem.

Uśmiechnąłem się. Z twarzy Matara odpłynęła krew.

- Może - rzekłem. - Witajcie w piekle.

- Jesteście gotowi uwolnić Millie Harrison?

- Nie negocjujemy z terrorystami.

- Nie jestem terrorystą - odparłem znużonym głosem. - A poza tym to wszystko lipa. Stany Zjednoczone zawsze negocjowały z terrorystami. I dlaczego sprzedawaliśmy broń Iranowi?

- Uwolnij Briana Coksa. Zastanowimy się.

- Millie Harrison jest nielegalnie przetrzymywana. Brian Cox ją porwał. Kto tu jest terrorystą? Kto atakuje niewinnych? Uwolnijcie ją to oddam wam Coksa.

Przerwałem rozmowę.

Przeniosłem na wyspę drewno na ognisko, zapalki i gazety. Drewno pochodziło z pustynnych krzewów suchych jak pergamin, które płonęły jasnym ogniem. Matar i Cox przesunęli się do ogniska. Po zachodzie słońca w szybie robiło się zimno. Usiadłem na krześle. We trzech tworzyliśmy trójkąt równoboczny. Iskry leciały w słupie dymu prosto w ciemne niebo i błądziły wśród zimnych punkcików gwiazd.

- Skąd właściwie jesteś? - spytał Cox.

- Ze Stanville. Ohio. Stany Zjednoczone. Ameryka Północna. Ziemia. Układ Słoneczny. Droga Mleczna. - Te trzy ostatnie informacje dodałem, żeby go skłonić do zastanowienia. Czy takich jak ja jest więcej?

Wpatrywał się we mnie spod przymrużonych powiek. Wzruszyłem ramionami i skierowałem wzrok na Matara. Skulił się przy ognisku i patrzył to na mnie, to na Coksa.

- Dlaczego? - odezwał się wreszcie. - Dlaczego ją zabiłeś? Matar się wyprostował.

- Dlaczego? A dlaczego twój rząd wspiera izraelski faszyzm w Libanie? Dlaczego obaliliście demokratyczny rząd Iranu i przywróciliście do władzy szacha? Dlaczego wasze koncerny naftowe pozbawiają nasze kraje bogactwa i siły? Dlaczego Zachód profanuje naszą religię, pluje na naszą wiarę i miejsca święte?

Poczułem ucisk w żołądku.

- Czy to wszystko zrobiła moja matka? Rozumiem, dlaczego jesteś wściekły na nasz rząd. Ale czemu nie atakujesz ich, ale bezbronne kobiety i dzieci? Czy to honorowe? Czy Mahomet by to zaaprobował?

Splunął w ogień.

- Nie wiesz, co to honor! Twój rząd nie ma honoru. Jesteście bezbożnymi narzędziami szatana. Twoja matka umarła dla słusznej sprawy. Nie była ofiarą... była męczennicą. Powinieneś być dumny.

Podskoczyłem do niego i uderzyłem go w twarz. Ręka odbiła się od kości policzkowej; Matar upadł do tyłu. Poczułem ostry ból w knykciach. Odskoczyłem, bo chciał mnie kopnąć. Dźwignął się na nogi. Cofnąłem rękę, skoczyłem, pojawiając się za nim i kopnąłem go nieco powyżej nerek. Odwrócił się, chwytając się kurczowo za bok. Zamachnął się lewą ręką. Odskoczyłem i z całej siły uderzyłem go otwartą dłonią w twarz, a potem znów

na odlew, aż głowa mu odskoczyła. Zakrył twarz rękoma, a wtedy kopnąłem go w krocze. Padł na ziemię, ale kopąłem go nadal. Zwinął się w kulę, usiłując ochronić twarz łokciami, a krocze kolanami.

- Powinieneś być dumny! - krzyczałem. - Jesteś męczennikiem słusznej sprawy. - Nacierałem na niego, nie próbując nawet skakać. Tylko krok, kopnięcie, krok, kopnięcie, aż wpadł do lodowatej wody na płyciźnie.

Chryste. Co ja robię? Jestem gorszy od ojca.

Szlochałem, łzy leciały mi po policzkach, ręce mi się trzęsły. Odwróciłem się. Cox stał przy ognisku i patrzył na nas z otwartymi ustami. Skoczyłem do swojego mieszkania na skale.

Schowałem się ze wstydu.

Owinięty w koce, które miały lekki zapach Millie, skuliłem się na łóżku. Prześladowała mnie twarz starego wykrzywiona wściekłością. Usiadłem gwałtownie. Zabłąkana myśl dźgnęła mnie do żywego, rozbrzmiewając doskonałą prawdą.

Mężczyźni w szybie byli odpowiedzialni za to, że zabrano mi kobiety, które kochałem. Cox zabrał Millie. Rashid zabrał mamę. Ale przecież ojciec zrobił to samo...

Jego dom był nadal pusty, zamknięty. Nawet śladu ABN. Może robili wszystko zdalnie, obawiając się, że przerzucę kolejnych agentów na Bliski Wschód. Skoczyłem na ulicę w centrum; znalazłem go - siedział w barze u Gila. Przez wielkie okno widziałem, że rozstawił dłonie na kontuarze, a między nimi stała szklanka bursztynowego płynu. Wpatrywał się w nią, jakby to był wąż. W pewnej chwili dotknął jej, chcąc podnieść, ale cofnął rękę, jakby się oparzył.

Nie ruszył drinka i dopiero gdy zobaczył mnie w drzwiach, oczy mu się rozszerzyły i wypił do dna, jakby się bał, że mógłbym mu go odebrać.

- Co tu robisz? - spytał na wpół ze złością, na wpół ze strachem. Cofnął się na stołku, choć zatrzymałem się w połowie wąskiego pomieszczenia.

Poruszyłem dłońmi w kieszeniach płaszcza. Knykcie prawej pulsowały bólem, bałem się, że mi puchną. Przypomniałem sobie twarz Matara, gdy kilkakrotnie w nią uderzałem. To samo chciałem zrobić również z tym mężczyzną.

- Czego chcesz? - Tym razem głos starego pobrzmiwał rozpaczą. Skoczyłem, chwyciłem ojca z tyłu i uwolniłem na wysepce w szybie,

parę metrów od ogniska. Wycofał się z kręgu światła i wstał.

Matar znajdował się po przeciwnej stronie ogniska. Drżał. Uniósł gwałtownie ręce, żeby się zasłonić. Mokre ubranie parowało na nim. Nieco dalej owinięty śpiworem Cox siedział na krześle, które tu zostawiłem.

Ojciec rozglądał się oszołomiony. Nie wściekły czy przestraszony, tylko oszołomiony. To mnie jeszcze bardziej rozżłościło.

Skoczyłem i poranionymi knykciami uderzyłem go hakiem. Zęby mu szczęknęły. Upadł na plecy, a ja skoczyłem do ogniska, przyciskając do piersi bolącą dłoń. Matar wycofał się z kręgu światła w mrok.

- Teraz moja kolej?

- Co?

Cox wyprostował się na krześle.

- Pytałem, czy kolej na mnie. Mam wstać? - Zrobił taki ruch, jakby chciał się podnieść.

- Zamknij się i siadaj. Usadawił się ponownie.

- To twój ojciec, prawda? Spojrzałem wściekle na Coksa.

Ojciec siedział prosto, trzymając się za obolałą szczękę. Jęczał. Miałem ochotę znów go uderzyć.

- Nie spieszyłeś się z atakiem na ojca - odezwał się Cox. - Dlaczego wcześniej go nie zabiłeś?

Dzięki tej swojej sztuczce mógłbyś upozorować samobójstwo albo przynajmniej spreparować przekonujące alibi. To znaczy... uważaj!

Usłyszałem szelest na piasku i odskoczyłem półtora metra w bok. Matar przemknął przez miejsce, które zajmowałem przed chwilą. W dłoni trzymał kamień wielkości pięści; jego ostry koniec był wysunięty do przodu. Ponieważ nie natknął się na mnie, musiał niezgrabnie przeskoczyć nad ogniskiem. Odwrócił ku mnie twarz wykrzywioną wściekłością.

- Rzuć to do wody - rozkazałem mu.

Zamrugał. Podniosłem lewą rękę jak do uderzenia, choć stałem ze trzy metry od niego. Szybko się odwrócił i cisnął kamień. Usłyszałem plusk i opuściłem dłoń.

- To jest mój ojciec. - Wskazałem starego. Patrzył teraz z autentyczną nienawiścią, nie z oszołomieniem. - A to Rashid Matar, człowiek, który zabił mamę.

Przypatrywali się sobie nieufnie.

- Dlaczego jeszcze żyje? - spytał ojciec.

Patrzyłem w ogień. Płomienie przypomniały mi wybuch na płycie cypryjskiego lotniska.

- A dlaczego ty jeszcze żyjesz? Jeśli pragniesz jego śmierci, sam to zrób.

Cox wstał, owinięty szpiworem jak Indianin. Skoczyłem za niego i powiedziałem:

- Nie ruszaj się. - Otoczyłem go ramionami w pasie i podniosłem. Zesztywniał, ale nie wyrywał się.

Przeskoczyłem z nim na parking Pierce



Building w Waszyngtonie, skąd porwałem go poprzedniej nocy. Padał śnieg. Strażnik ze szklanej budki przy bramie zobaczył nas i nacisnął guzik. Rozległ się dźwięk alarmu.

Cox odwrócił się i spojrzał na mnie, przestępując z nogi na nogę na oblodzonym chodniku.

Rozpoznał budynek.

- Czy są inni tacy jak ja? - Musiałem go o to zapytać. Musiałem wiedzieć.

Najpierw zrobił zdziwioną minę, potem zamyślił się. Przekazałem mu pewne informacje, których przedtem nie posiadał. Teraz miałem się przekonać, czy się odwzajemni.

- Nie - odparł w końcu. - Przynajmniej my nic o tym nie wiemy.

A więc samotny. Na zawsze samotny. Zgarbiłem się, gardło miałem ściśnięte.

- Jeśli Millie wróci cała i zdrowa, przestanę rzucać agentów ABN po całym świecie. Zostawię was w spokoju. Jeśli nie zostanie zwolniona... -urwałem. - Po prostu ją puśćcie. Nic wam nie zrobiła.

Oblizwał wargi i zaczął się trząść. Z drzwi budynku wybiegali mężczyźni. Skoczyłem.

Nigdy nie dadzą mi spokoju.

Siedziałem na podłodze swojego skalnego mieszkania owinięty w koc i dorzucałem drewna do ognia.

Nie miało znaczenia, co zrobię ojcu, co zrobię Rashidowi Matarowi. Nie wskrzesi to mamy.

Odeszła, umarła, jedzą ją robaki, tak jak grecką pokojówkę z „Argosa”. Tak jak chudą Arabkę owiniętą materiałami wybuchowymi. Nie wróci.

A czy ABN kiedykolwiek zaprzestanie prób wykorzystywania mnie, pojmania lub - jeśli to się nie uda - zabicia? Czy Millie kiedykolwiek będzie bezpieczna? Czy będziemy mieli szansę zaznać szczęścia?

Zatrzasnąłem drzwiczki piecyka, wzbijając w górę iskry, które wylądowały na kamiennej podłodze, wypalając w kocu maleńkie dziurki. Uderzałem w nie z roztargnieniem, potem wstałem, a koc zsunął się na podłogę. Skoczyłem do szybu.

Matar dusił starego. Siedział na nim okrakiem, zaciskając mu dłonie na szyi. Ojciec nieudolnie próbował chwycić napastnika za nadgarstki. Jego twarz była ciemna w świetle ogniska.

Skoczyłem i kopnąłem Matara w żebra. Oderwał się od ojca i wpadł do wody, trzymając się za bok.

Chyba złamałem mu kilka żeber.

Ojciec odzyskiwał dech, z głośnym świstem głęboko nabierał powietrza. Złapałem go za kołnierz kurtki i odciągnąłem od stawu w stronę ogniska.

Matar powoli wypełzał z wody, cały czas trzymając się za bok. Oddychał bardzo ostrożnie, krótko i płytko. Dlaczego go powstrzymałem?

Zastanawiałem się, czy nie skoczyć do jaskini po granat, wrócić tu z nim i wyciągnąć zawleczkę.

Nie wiedziałem, czy zdołałbym uciec przed eksplozją. Nie wiedziałem, czy mi na tym zależało.

Oddech Matara ustabilizował się. Mówił coś po arabsku i pluł na ziemię między nas.

Uzmysłowiłem sobie, że nie mogę użyć granatu. Gdybym się zabił i w ABN by się o tym nie dowiedzieli, mogliby przetrzymywać Millie do końca świata.

Czy to normalne, że kobieta wkracza w twoje życie, a potem znika na zawsze? Och, Millie...

Skoczyłem za Rashida i chwyciłem za kołnierz i w pasie, nie dotykając jego mokrego ubrania.

Machnął nogą i butem dosięgnął mojej goleni. Skoczyłem.

Pojawiliśmy się poza platformą obserwacyjną na World Trade Center. Sześć metrów od stalowo-szklanych ścian, sto dziesięć pięter nad ziemią. W rześkim, chłodnym powietrzu spadaliśmy jak kamienie na plac pod wieżami.

Matar wrzasnął, gdy odepchnąłem go od siebie; młócił rękami powietrze i obracał się pode mną.

Mój płaszcz wydał się jak spadochron, wskutek czego spadałem nieco wolniej i zwiększała się odległość między mną a Matarem. Za dziewięć sekund mógłbym zobaczyć jego śmierć, nim sam pocałowałbym chodnik.

ABN zidentyfikowałaby nasze ciała i wypuściliby Millie. Matar już nigdy nie zabijałby niewinnych osób, a ja przestałbym zadawać ból.

Po dwóch sekundach powietrze wyło jak huragan, szarpało, otepiało. Po czterech parło na mnie w górę, rozplaszczając moje ciało tak, że byłem zwrócony do dołu. Matar znajdował się dziewięć metrów niżej, ja ślizgałem się na boki, płaszcz działał jak żagiel. Odchyliłem ręce do tyłu i płaszcz zsunął się jakby szarpnięty przez olbrzymią dłoń. Spadałem teraz szybciej, doganiając Matara.

Oświetlona fontanna na placu błyskawicznie się do nas zbliżała.

Matar cały czas krzyczał, ale jego żałobne wycie było ledwo słyszalne ponad szumem wiatru.

Uśmiechnąłem się. Pieprzyć to.

Skokiem skróciłem odległość między nami, złapałem go za pasek i przerzuciłem z powrotem do szybu. Matar upadł na ziemię i nadal wrzeszczał.

Ojciec siedział przy ognisku. Wzrok utkwiał w terroryście.

- Co ty mu... - przelknął. Głos miał chrapliwy. - Co mu zrobiłeś?

- Wycieczkę. Twoja kolej. Zadrzał.

- Nie, dziękuję.

Skoczyłem za niego i podniosłem z tyłu za koszulę.

- Co...

Przerzuciłem go na cmentarz Pine Bluffs na Florydzie, a potem pchnąłem, żeby upadł na grób.

Minęła północ, ale w świetle latarni rtęciowych, górujących nad cmentarną bramą wyraźnie widać było wyryty na płycie napis: „Mary Niles, 13 marca 1945-17 listopada 1989”.

Stary skomlał. Jedną ręką przyduśiłem go, żeby leżał płasko, a swobodną dłonią wysunąłem pasek ze szlufek jego spodni. Cofnąłem się.

- Pamiętasz to? - Machałem paskiem jak wahadłem. Srebrna kowbojska sprzączka migotała w świetle. Uniosłem pasek, rozkołysałem nad swoją głową, a potem uderzyłem nim w ziemię tuż obok ojca. Strzępki trawy wleciały w powietrze. Stary drgnął.

- Ile razy, tato? - Uderzyłem paskiem po drugiej stronie. W ziemi pojawiło się wyżłobienie. - Ile razy?

Podszedłem bliżej i kilka razy chlasnąłem pasem o grób. Ozdobna emalia na klamrze popękała, a srebrne brzegi się powgniatały. Na kamiennym nagrobku powstały zadrapania. Rzuciłem pas ojcu na uda.

- Czy byłaby tu - wskazałem grób - gdybyś jej nie bił? Nie znęcał się nad nią? Nie zmasakrował jej twarzy? Leżałaby tu, gdybyś przestał pić? - Wzdrygnął się bardziej z powodu moich słów niż uderzeń pasa. - Co z ciebie za człowiek? Co za żalosny egzemplarz istoty ludzkiej!

Zrobiłem krok w jego stronę; zaczął płakać.

- Wybacz. Wybacz. Wybacz. Nigdy tego nie chciałem. Nie... nie chciałem zrobić jej krzywdy. Nie chciałem tobie zrobić krzywdy. - Łzy spływały mu po twarzy.

Chciało mi się rzygać.

- Przestań! Przestań! Znów zadrzał i umilkł.

- Wstawaj.

Dźwignął się wolno na nogi, jedną ręką przytrzymując spodnie. Pas ze zniszczoną klamrą został na grobie.

- Odwróć się.

Wykonał polecenie, a ja przerzuciłem go na parking Centrum Leczenia Uzależnień w Stanville.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? Przelknął ślinę.

- Tak...
  - No i...?
  - Nie mogę! Straciłem pracę. Nie mam już ubezpieczenia! - W jego głosie było więcej cierpienia niż wtedy, gdy się kajał. Odbierał jako poniżenie to, że nie ma pracy, pracy, którą wykonywał, odkąd pamiętam - albo przynajmniej tak mi zawsze mówił.
  - Możesz sprzedać samochód.
  - Bank przejął! - Znow zaczął płakać.
  - Przestań! Czy gdyby można było jakoś za to zapłacić, podjąłbyś leczenie?
- Zacisnął usta w wąską linię.
- Ilu jeszcze ludziom schrzaniś życie? Niech cię cholera. To twoje życie. Zabij się, jeśli chcesz. - Stałem ze skrzyżowanymi ramionami.
  - Nie powiedziałem, że nie. Podejmę leczenie. Zamierzałem to zrobić, ale zaraz potem straciłem pracę.
- Skoczyłem do mieszkania na skale i wróciłem z torbą pod pachą. Ojciec ruszył za mną po schodach do budynku kliniki.
- Wypełnianie papierów trwało z pół godziny, ale podpisał wszystkie we właściwym miejscu.
- Dowiedziałem się, że opłata za sześciotygodniowe leczenie wynosi dwanaście tysięcy dolarów.
- Zapłaciłem gotówką z góry.

## Rozdział 20

Telefon odebrał Cox. Mówił znużonym głosem.

- Millie Harrison i jej współlokatorka są znowu u siebie.
- Co takiego?
- Są wolne. W domu. Bezpieczne. Sędzia federalny w Wichita wydał nakaz aresztowania mnie, kilku moich ludzi i szefa agencji w związku z uprowadzeniem dwóch osób. Mogliśmy to zablokować, ale... przekonałem swoich zwierzchników, żeby tego nie robili.
- Kiedy znowu je zgarniecie? Przez minutę milczał.
- Nie wiem - odparł w końcu. - Nie wiem, kto jeszcze zna twoją tożsamość i wie, że Millie jest z tobą związana.
- Wy na pewno w tym nie pomogliście. Odchrząknął.

- Raczej nie. Ale uwolniliśmy ją. Weź to pod uwagę. Działaliśmy w dobrej wierze, podobnie jak ty, gdy mnie uwalniałeś.

Wpatrywałem się w słuchawkę.

- Zastanowię się nad tym

- Masz mój numer - rzucił i zakończył rozmowę.

Zadzwoniłem z budki. Nadal nie byłem pewien, czy Cokowski można ufać.

- Halo? - odezwała się Millie zaniepokojonym głosem.

- Kręci się tam jakieś straszidło? - Ton miałem beztroski, ale oczy pełne łez, a gardło ściśnięte.

- Och, Davy! Boże, dobrze się czujesz? Nie jesteś ranny?

- Jesteś sama?

- Tak! Lepiej, żeby te dranie się tu nie zbliżały, bo Mark walnie ich... Skoczyłem do jej sypialni, a Millie rzuciła słuchawkę. Łóżko było bez

pościeli, podłoga zastawiona częściowo spakowanymi pudłami. Potem już niczego nie widziałem; czułem tylko jej ciało przy moim ciele, zapach jej włosów, smak jej łez na policzkach.

Gdy rozluźniliśmy uścisk na tyle, by się sobie wzajemnie przyjrzeć, spytała:

- Nic nie jadłeś? Zaśmiałem się.

- W zasadzie nie. - Rozejrzałem się. - Co to za pudła?

- Sherry się wyprowadza. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego, bo zadaję się z „podejrzanymi” ludźmi. Nie mogę sobie pozwolić na samodzielne płacenie czynszu za to mieszkanie.

- Prawdziwa przyjaciółka. Millie wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie byliśmy blisko. A ją na tydzień zamknięto w pokoju tylko dlatego, że mieszkała za mną.

- Zrobili ci krzywdę?

- Nie. Traktowali nas dobrze, tylko nie pozwalali kontaktować się ze światem. Nie zadawali nawet żadnych pytań, poza tymi pierwszego dnia.

Kojarzyłem fakty. To musiało być po tym, jak zacząłem przerzucać agentów do Europy, Afryki i na Bliski Wschód.

- Co zamierzasz zrobić? Wynająć mniejsze mieszkanie? Wzruszyła ramionami.

- Cóż, jeśli nie otrzymam lepszych propozycji... co się tak śmiejesz? Pocałowałem ją.

- Nie chciałabym się martwić, że zbiry wyłamią mi drzwi. O twoim mieszkaniu można przynajmniej powiedzieć, że jest spokojne.

- I że czynisz nie jest wysoki. Skinęła głową.

- Ale musisz wymyślić jakiś sposób, żeby w nagłym wypadku mogła się stamtąd wydostać. I potrzebna mi jest prawdziwa łazienka. Nie szczerz głupio zębów i pomóż mi się pakować.

Millie patrzyła w głąb szybu. Matar siedział przy tłących się szczątkach ogniska. Zauważyłem, że spalił krzesło, gdy skończyło mu się drewno.

O kawałek piaskowca próbował zaostrzyć jedną z metalowych śrub krzesła, ale twarda stal wyłobiała tylko rowki w kamieniu.

Millie szepnęła:

- Co zamierzasz z nim zrobić?

- Mogę go znowu rzucić z World Trade Center, ale tym razem... -Opuściłem pięść na wysokość bioder i nagle ją rozwarłem. - Plask! Albo złapać go w ostatniej chwili i powtarzać to tyle razy, aż przestanie się bać.

I wtedy go puszczyć, niech walnie.

Millie pokręciła głową.

- Jeśli zamierzasz go zabić, zrób to. Nie baw się z nim jak w kotka i myszę.

- Uważasz, że powinienem go zabić? Spojrzała w dal, na horyzont, i westchnęła.

- Nie do mnie należy decyzja. Przecież to nie moją matkę zabił.

- Ale to będzie miało wpływ na twoją opinię o mnie, prawda? Wolno skinęła głową i przeniosła wzrok na mnie.

- Myślałem o tym, żeby go zostawić w szybie, dostarczyć mu jedzenia na kilka lat i co parę miesięcy sprawdzać jego stan. Nikogo by nie mógł zabić.

- To kiepski pomysł. W ten sposób musiałbyś się nim opiekować do końca świata.

- Racja. I pewnie ktoś by się w końcu na niego natknął albo Matar wykułby sobie stopnie do wspinaczki w ścianie szybu.

- Przekaż go ABN - zaproponowała.

- Amerykańskiemu systemowi sprawiedliwości? Miał na twarzy maskę, gdy zabijał obywatela amerykańskiego. Wątpię, czy zostałby skazany. Gdy zabił pokojówkę, znajdował się na wodach Egiptu na greckim statku. Boże... zapomniałem o pokojówce. Jej ciało jest w Baltimore, nie znają jej tożsamości.

- A jej rodzina...

Dobrze rozumiałem, jak muszą się czuć.

Umówiłem się z Coksem w kostnicy szpitala w Baltimore. Uważnie rozejrzałem się wokół - przyjechał sam.

Ciało dziewczyny - nazywała się Maria Kalikos - włożono do worka na zwłoki. Maria Kalikos - chciałem to zapamiętać. Nie mogłem zapomnieć. Cox podpisał dokumenty i zagadywał pielęgniarkę, a ja przeskoczyłem z ciałem na płytę lotniska w Atenach i włożyłem je do pustego wózka bagażowego. Potem wróciłem po Coksa i przeskoczyłem z nim w to samo miejsce.

Słońce stało nisko. W Atenach było późne popołudnie; w Baltimore późny ranek.

Spojrzał na zegarek.

- Dziesięć minut. - Wyjął nóż i zaczął odcinać od worka na zwłoki przywieszkę „Kostnica Baltimore”.

- Zrobi się - odparłem. Skoczyłem na lotnisko Heathrow.

Corseau czekał przy kasie biletowej New Caledonia. Miał ze sobą aparat i dyktafon. Przeszliśmy za róg i przeskoczyłem z nim do Aten.

- Brian Cox z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Jean Paul Corseau z Agencji Informacyjnej Reutersa - dokonałem prezentacji. - Pan Cox będzie występował jako „niezidentyfikowany amerykański agent wywiadu”.

Corseau skrzywił się, ale taka była umowa - reportaż na wyłączność, choć z ograniczonym dostępem do danych. Cox był jeszcze mniej zadowolony, lecz między innymi taki warunek postawiłem.

- Jasne - odparł Corseau.

- Zaraz wracam.

Skoczyłem do szybu. Matar był gotów. Wcześniej skuliłem mu kajdankami ręce i nogi i usadziłem go na krześle. Jak zwykle wzdrygnął się na mój widok.

Zastanawiałem się, czyby go nie zabrać na jeszcze jedno spadanie z World Trade Center. Nie...

Millie by się to nie spodobało.

- Jak nazywała się moja matka? Obliznął wargi.

- MaryNiles.

- Dobrze - powiedziałem. - A pokojówka z „Argosa”?

- Maria Kalikos.

Nie zabrałem go na spadanie, ale zagroziłem, że to zrobię, gdyby zapomniał te nazwiska. Gdy jesteś odpowiedzialny za śmierć człowieka, musisz pamiętać, jak się nazywał.

Krzyczał, kiedy znalazł się na płycie lotniska, ale zamilkł, gdy zorientował się, że jest na solidnym podłożu i nie spada. Pchnąłem go na wózek bagażowy; usiadł obok worka ze zwłokami.

Cox wręczył mi kartkę i trochę greckich monet.

- Zadzwoń pod ten numer i powiedz, przy której jesteśmy bramie. Nie pokazuj się, dopóki nie pójda. Wystarczy, że my wiemy, kim jesteś.

Zaczynałem lubić Coksa. Nie wierzyłem mu, ale bez wątpienia zaczynałem go lubić.

- Pamiętaj - zwróciłem się do Matara - jeśli uciekniesz, znajdę cię. Jeśli cię nie skażą, znajdę cię. Jeśli jeszcze kiedykolwiek kogoś zabijesz, znajdę cię. Zapewniam cię, wolałbyś tego uniknąć.

Nie patrzył na mnie, ale twarz mu zbielała.

Millie czekała w terminalu. Na szyi miała przewieszoną moją lornetkę. Przerzuciłem ją tu przed innymi. Chciała widzieć wymianę. Głos po drugiej stronie linii powiedział:

- Metaxos.

- Bramka dwudziesta siódma - poinformowałem.

Po angielsku, ale z silnym akcentem, pan Metaxos oznajmił:

- Poślę ich od razu. -I odłożył słuchawkę.

Pięć minut później dwa nieoznakowane samochody i ambulans okrążyły budynek terminalu. Millie podała mi lornetkę. Z każdego samochodu wyszło czterech mężczyzn. Porównano twarz Matara z fotografią, po czym wsadzono go na tylny fotel, między dwóch mężczyzn. Corseau robił zdjęcia, a Cox stał za nim.

Potem otworzono worek i porównano twarz Marii Kalikos z fotografią. Sanitariusze z ambulansu zamknęli worek, włożyli ciało - ją! - na nosze i załadowali do ambulansu.

Maria Kalikos, powtórzyłem sobie w duchu. Chciałem zapamiętać.

Cox uściskał dłoń jednemu z Greków i samochody odjechały.

- Chcesz, żebym najpierw przeskoczył z tobą do domu? Millie wzięła ode mnie lornetkę.

- Poczekam. Najpierw ich zabierz. Pocałowałem ją i skoczyłem na płytę lotniska.

- W porządku? - spytał Cox.

- Tak.

Corseau pokręcił głową.

- To nie wystarczy. Chcę wywiadu.

- Przykro mi, ale tylko tyle mogę zrobić bez narażania swojego bezpieczeństwa. Spójrz na pozytywne aspekty: mogę być bardzo pomocny, gdybyś potrzebował się gdzieś szybko dostać.

- Dobrze, nie naciskam. Ale gdybyś kiedyś zamierzał się ujawnić...

- Jasne - odparłem.

Przeskoczyłem z nim z powrotem na Heathrow.

- Gotowy? - spytałem Coksa po powrocie.



- Musimy mieć lepszy sposób na kontaktowanie się z tobą. - Mówił to bez przekonania. Podniósł ten problem, bo tak mu polecono zrobić.

Pokręciłem głową.

- Będę sprawdzał ogłoszenia drobne w „New York Timesie”. Więcej nie mogę obiecać. Gdy zobaczę wiadomość, zadzwonię. Jeśli będę mógł pomóc w szybkim przetransportowaniu czegoś, zastanowię się nad tym. Ale nie jestem szpiegiem. Nie jestem agentem.

- W takim razie co będziesz robił? Zajmował się tylko porwaniami? W końcu cię złapią. Specjalnie w tym celu ktoś może nawet sfingować porwanie.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Może zatrudnię się w straży pożarnej. Może zrobię coś, żeby dostać się na listę więźniów sumienia Amnesty International. Może pojedę na wakacje.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy obserwowali Millie? Energicznie pokręciłem głową.

- Prędzej wzbudzicie zainteresowanie nią niż ją ochronicie. Ja będę nad nią czuwał. Wy, chłopcy, lepiej trzymajcie się od niej z dala.

Skoczyłem z nim do Waszyngtonu i na pożegnanie nawet uściśnąłem mu dłoń.

Przerzuciłem Millie z powrotem do szybu. W Teksasie był późny ranek i promienie słońca padały z ukosa, nie dotykając wody na dnie szybu.

- Dlaczego tu przybyliśmy? - spytała. Uniosłem ramiona.

- To koniec, a ja mam wrażenie, że wcale nie! Ojciec prosił mnie o wybaczenie, ale to niczego nie zmienia. Matar jest w rękach władzy, ale... wszystko nie tak.

Spojrzała na mnie.

- Czy twój ojciec przyznał, że wyrządził ci krzywdę? Zmarszczyłem brwi.

- Powiedział, że prosi o wybaczenie i że nigdy nie chciał nas skrzywdzić.

- To nie jest przyznanie... tylko prośba „nie bądź na mnie wściekły”. Podniosłem poczerniały od ognia kamień i cisnąłem go do stawu. Wpadł blisko klifu, rozpryskując wodę na skalną ścianę.

- Davy, możesz nigdy nie usłyszeć od niego przyznania się do winy. On może nigdy nie być do tego zdolny.

Cisnąłem drugi kamień, większy, wydobyty z piasku. Dotarł tylko do połowy odległości od ściany szybu. Zacząłem wygrzebywać następny, jeszcze większy, ale przerwałem to.

Tak bardzo się starałem!

Usta Millie wygięły się w podkówkę, jej oczy błyszczały.

- Czy o to ci chodzi? Że nie mogłem uciec od siebie? Skinęła głową.

- To boli. To bardzo boli.

- Wiem.

Podszedłem do niej i ją objąłem. Byłem smutny, nieskończenie smutny. W końcu odsunąłem się od niej i powiedziałem:

- Porozmawiam z kimś... jeśli pomożesz mi znaleźć dobrego terapeutę.

- Dobrze.

Próbowałem się uśmiechnąć. Nie było to niemożliwe, ale bardzo, bardzo trudne.

Odkoczyłem i prawie natychmiast wróciłem.

- Co to? - spytała.

- To lei - odparłem. - Hawajski wieniec z orchidei. - Założyłem go Milli na szyję i pocałowałem ją.

Uśmiechnęła się.

- W krasowym zapadlisku w Teksasie wydaje się nie na miejscu. Podniosłem ją.

- Udajmy się więc tam, gdzie będzie pasował. Trzymaj się.

- No pewnie - odparła. Skoczyliśmy.